



Ksawery Pruszyński
Opowieści

2

PEDAGOGICZNA
BIBLIOTEKA
WOJEWÓDZKA



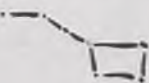
Gdańsk-Wrzeszcz
Al. Gen. J. Hallera 14

161176

Opowieści



WIELKI WÓZ.



Ksawery Pruszyński

Opowieści

2

Twoi STYL

Warszawa 2000

Projekt okładki i karty tytułowej
Piotr Goliszek

Fotografia autora z archiwum
Mieczysława Pruszyńskiego

Edytor
Katarzyna Merta

Korekta redakcyjna
Barbara Brzezińska
Barbara Wiśniewska

© Copyright by Mieczysław Pruszyński
Warszawa 2000

© Copyright by Wydawnictwo Książkowe Twój STYL
Warszawa 2000



ISBN 83-7163-192-8

161176/sygn 161175/2

Wydawnictwo Książkowe Twój STYL
Warszawa 2000

Wydanie pierwsze

Skład i łamanie: „Enterek”, Warszawa

Druk i oprawa:

Zakład Poligraficzno-Wydawniczy „POZKAL”

Przedmowa

W ciągu dziewiętnastu lat pracy w dziennikarstwie, rozpoczętej w krakowskim „Czasie” w 1929 roku, Ksawery Pruszyński tylko przez cztery lata pisywał utwory literackie. Zaczął je tworzyć w jesieni 1944 roku, kiedy ciężko ranny w bitwie pod Falaise znalazł się w angielskim szpitalu wojskowym w hrabstwie Shropshire, niedaleko granicy Walii. Przebywał w nim kilkanaście miesięcy, i choć gips usztywniający kręgosłup utrudniał mu chodzenie, to jednak mógł pisać na maszynie. Wtedy to, chyba po raz pierwszy w życiu mając pod dostatkiem wolnego czasu, mógł rozpamiętywać swoje i nie tylko swoje wojenne przeżycia. Z frontu do szpitala napływali coraz to nowi żołnierze, często byli to pułkowi koledzy, leczący tu jak on, swoje rany – ich wspomnienia dopełniały obrazu wojny, który Pruszyński wy-

niósł ze swego doświadczenia. Z tego tworzywa wyobraźnia pisarza czerpała później wątki dla przyszłych opowieści.

Tak się złożyło, że w tym czasie stacjonowałem na lotnisku oddalonym o 20 kilometrów od szpitala, więc kilkakrotnie odwiedziłem tam Ksawerego. Był w doskonałej formie. Zdawał sobie sprawę, że cudem uratował się z płonącego czołgu. Miał poczucie dobrze wykonanego obowiązku. Sprawiała mu też przyjemność wiadomość, że dowódca dywizji pancерnej, generał Maczek, odznaczył go Krzyżem Walecznych (już po raz drugi – po raz pierwszy otrzymał to odznaczenie za Narwik).

Ksawery Pruszyński wrócił z Zachodu do kraju (za zezwoleniem Naczelnego Wodza) w lecie 1945 roku. Pierwszy zbiór jego utworów, *Trzyście opowieści*, wydał „Czytelnik” w 1946 roku, a w dwa lata później – *Karabelę z Mszhedu*.

Pisane żywo, barwnie, realistycznie – przez frontowego żołnierza, często dowcipnie, nieraz wzruszająco, opowieści Pruszyńskiego spotkały się z entuzjastycznym przyjęciem Polaków – od lat odciętych od swoich wojaków na Zachodzie.

W czarnych latach stalinizmu Pruszyński był na indeksie. Od 1955 roku zaczęto wydawać jego książki: *Droga wiodła przez Narwik*, *Margrabia Wielopolski*, *Opowieść o Mickiewiczu*, i wznawiać opowieści, choć nie wszystkie: na przykład wzruszająca opowieść o *Księdzu Ułasie* nie ujrzała światła dziennego w PRL.

Twórczość Ksawerego Pruszyńskiego cieszyła się powodzeniem u czytelników.

We wstępie do *Margrabiego Wielopolskiego* Stanisław Mackiewicz opisał taki epizod:

„W pięknych, tak słonecznych dniach lutego 1957 roku, który znów w Warszawie należał do miesięcy dobrych nadziei, mijalem wystawowe szyby księgarni na rogu Nowego Świata i Alej Jerozolimskich, kiedy jakaś trochę ryżawa we włosach i trochę przeźroczyta na twarzyczce panienska zawołała:

– Ach, ja tego nie przeżyję!

– Czego nie przeżyjesz? – zapytała ją koleżanka.

– O, patrz, Pruszyńskiego *Droga wiodła przez Narwik*, a ja nie mam pieniędzy, aby to kupić.

Poszedłem dalej i potem zawróciłem. Chciałem jej powiedzieć:

»Proszę pani, byłem osobistym przyjacielem Ksawerego Pruszyńskiego, pozwoli więc pani, że jej kupię tę książkę«. Ale niestety, gdzieś zniknęła».

Mieczysław Pruszyński

Madonna Mikulińska

Kolegom z jedenastej kompanii

Jak już sama nazwa wskazuje, jedenasta kompania powstała nie jako jedna z pierwszych. Co prawda, jak to w wojsku bywa, nazwa nie jest dość ścisła, albowiem pierwszą, najpierwszą kompanią była trzecia. Trzecia ce-kaem. Kiedyśmy tak rozpoczęli nasze opowiadanie, wszyscy wiedzą już resztę. Potomność czytelnicza jest usytuowana i w przestrzeni, i w czasie. Czasem jest chmurna, późna, powrześniowa jesień 1939 roku; przestrzenią są wydzwignięte pod niski pułap chmur, falujące, niespokojne pagórki Bretanii. Cienka linia toru przerzyna wzgórze; na prawo od małej stacyjki, niczym te nasze poznańskie, odbiega asfalt wąskiej szosy i pnie się w stronę płaskowzgórza, na którym szeroko rozrzucone są długie jak strzały – baraki. I sosny pod niebem, i biały szpital, i drewniane tanc-

budy wzdłuż drogi, nie oznaczone na wojskowej mapie, ale znane w gwarze żołnierskiej jako Putainville:

– Coëtquidan.

Kiedy jechało się z Modany, z granicy włoskiej, przez trzy dni i dwie noce, przesiadając się wszystkiego tylko jedenaście razy, trzeba było sobie wbijać tę nową nazwę w głowę: nie wchodziła! Potem miała wejść na dobre. Jakże to było? Codziennie rano od strony Rennes nadjeżdżał napchany ludźmi staroświecki pociąg. Codziennie rano ludzka struga pełzła od dworca w Guer do bramy obozowej, rozpływała się po barakach, wsiąkała w ewidencyjne zeszyty i magazyny odzieżowe. Przez październik wyławiano z niej inteligentów do przyszłych kompanii podchorążackich; w listopadzie jeszcze ich przyjmowano. Ale w połowie tego miesiąca powiedziano:

– Szlus!!!

Okazało się, że z Rumunii ruszył wreszcie potężny potok oficerów, coraz, coraz, coraz liczniejszy. Ów zbiornik ludzki, który tymczasem w ciągu września, października i pierwszych dni listopada napełnił się tu był ludowymi ściekami z kopalń na północy

Francji, z farm na jej południu, czasem z jakichś obozów dla byłych kombatantów w Hiszpanii, a zawsze ze wszystkiej biedy, nędzy i niedoli, jaka tyrała się od lat po Francji, teraz napływał zgoła inną wodą. W toni starych francuskich mundurów, pamiętających rok osiemnasty, pojawiły się w Coëtquidanie takie spod igły, niczym nie zbrukane i nie musnięte, chyba wyczekiwawczym etapem rumuńskim. Polskie. Z Polski. Nawet zakwitły na moment (niebawem zdjęte zresztą) rogatywki. Jeszcze wtedy ich czas nie nadszedł. Na to, aby nadszedł (czy powrócił), i na to, aby nastąpiło na nowo wiele, wiele rzeczy, które, zdawało się, przekreślił wrzesień, trzeba było dopiero klęski francuskiej.

Nim jednak osądzono, że z Rumunii nadejdzie zupełnie dostateczna ilość dowódców dla owej emigranckiej Polski z farm i fabryk, i nim zamknięto otwarte tak niebacznie bramy do nowej Szkoły Podchorążych, powstała właśnie z takich ostatków owa jedenasta kompania. Znalazł się zaraz kapitan, porucznik, sierżant-szef. Sierżant-szef był starym wygą, obeznanym z tajnikami kancelarii. Miał nóżki przedziwnie krótkie, postać pękającą, oczki przymrużone i oblicze obojętne. Jak

wiadomo, sierżant-szef jest istotnym bogiem kompanii. Gdy zwracano się do niego we wszystkich sprawach, które, leżąc w jego kompetencji, nie leżały jednak w zakresie jego rozumienia – a takich spraw było dużo – miał na nie jedną, z niezwykłą powagą cedzoną odpowiedź:

– G.... mnie to obchodzi.

Kapitan był wspaniałym typem dowódcy, na którym znać było w pełni wpływ wychowawczy Wehrmachtu. Posiadał tuszę pana Zagłoby i pana Zagłoby tubalny głos. Oraz wspaniałe oko. Chwył źle wykonany na samym końcu drugiego szeregu, but nie doczyszczony na obcasie, najlżejsze odchylenie głowy w czasie trzeciego tempa „prezentuj broń”, wszystko to było zawsze dostrzeżone, zgromione i skomentowane. Obok niedościgłych przykładów z armii pruskiej doceniał w pełni i te pozytywne walory, jakie wносиła ongi w dziedzinie wyszkolenia bojowego armia cesarskorosyjska.

– W ooczy patrzeć, w ooczy, patrzeć w ooczy – warczał złowrogo przed frontem kompanii. – W ooczy – powtarzał – w ooczy – choć kompania wytrzeszczała już swe ślepie z takim napięciem, jakby owo wytrze-

szczenie miało złamać wszystkie siły Hitlera.
– W Rosji mówiło się tak: *sałdat j.....t głazami* swego przełożonego.

Po czym (aby i polskim tradycjom stało się zadość) zwracał się do ospałego zawsze sierżanta-szefa:

– Szefie, ćwiczyc ich, ćwiczyc ich tak, aby im się woda w d.pci zagotowała!

Porucznik był zupełnie inny. Młody, szczupły, wysoki, milczący na ogół, zawsze smutny. Miał duży zmysł humoru, talent wykładowczy zupełnie niespotykany i wielką umiejętność rządzenia ludźmi. Niezawodnie stanowił doskonały materiał na nowoczesnego oficera, i szkoła, którą przeszedł jak tylu innych, nie zwichnęła go wcale. Może to ona właśnie wsączyła mu ów gorzki, spokojny pesymizm. Stał tak przed barakiem, gdzie właśnie grupa cywilusów pod srogim okiem kapitana i zaspanym sierżanta-szefa pobierała owijacze, mundury, gacie i berety. Kapitan wydawał się jakiś podniecony.

– Ano cóż, będziemy z tego robić wojsko? – zwrócił się jakby nieprzekonany do porucznika.

Grupa ludzi określonych słowem „to” oczekiwała odpowiedzi w niemej trwodze; a nuż każe im się, jako niezdarom, pówrócić

na stację, potem do Modany i przez góry do Polski. Nie wiedzieliśmy jeszcze, nieboracy, że wojsko można robić ze wszystkiego.

Porucznik smętnie potaknął głową:

– Będziemy, panie kapitanie.

Wówczas poniektórzy, mniej zgodnie nastrojeni, ludzie uważali, że owo powątpiewanie o ich zdolności bojowej jest niesłuszne i krzywdzące, ale dzisiaj, po zapoznaniu się z wojskiem nie tylko poprzez Gąsiorowskiego i *Wieniec pieśni polskich*, rozumiem zupełnie troskę kapitana. Jeśli w ogóle cała owa szkoła podchorążych przypominała jako żywo swą jednolitością arkę Noego, to jedenaście kompania była jeszcze bardziej nieprawdopodobnym zbiorowiskiem ludzkiej fauny. Najmłodszy mieli tam, wedle swoich – podawanych w wątpliwość – zapewnień, „skończonych” lat siedemnaście. Najstarszy miał ponad pięćdziesiąt; ponieważ zajmował się archeologią, przeto z dobrego serca dosypywaliśmy mu najmniej drugie tyle, przedstawiając go znajomym Francuzom:

– *Et celui-là... il a fait la guerre de Crimée!...*

Socjalnie biorąc, byli tam baciary spod Lwowa i arystokraci spokrewnieni z dworem włoskim, byli Żydzi i byli księża, byli prawo-

sławni, był jeden Ukrainiec, byli zniemczeni Ślązacy i spolszczeni Niemcy, zwolennicy reformy rolnej i sympatycy ONR-u, urodzeni w Poznaniu, Charlottenburgu, Władystoku, Kabulu, Małkini, Rio de Janeiro, malarze, alpiniści, kasjerzy, literaci, muzykolodzy, ziemianie (z ziemią i bez ziemi), docenci, esperantyści, chudzi, tłuści, krótkowidze, dalekowidze, mówiący tylko po polsku albo paroma językami z wyjątkiem polskiego. Na ich widok musiał sobie przypomnieć kapitan innych rekrutów: osiemnasto- i dziewiętnastolatków spod Brześcia czy Sieradza, dąbczastych, krępych, prostych, jednakowych niczym te karabiny, komiśniaki czy menażki. Czemuż się dziwić, że westchnął?

W wojsku, jak wiadomo, najgorzej temu, co przychodzi ostatni. Toteż późno zrodzona, czy też raczej sklecona, jedenasta kompania nie znalazła dla siebie miejsca w Guer. Parodniowy biwak w jakiejś stodole niewiele pomógł. Miasteczko było pełne aż po ostatni stryszek i obórkę. Nawet cały departament był pełny. Ale w sąsiednim departamencie, Ile et Vilaine, była niewielka, zupełnie mała mieścinka – wieś raczej – dziura po prostu, z dala od „głównych” gościńców. Na swym

trójkątnym rynku miała trzy tak zwane kafejki, wydzierające sobie heroicznie pięciu lokalnych bywalców kawiarnianych, z których każdy, ku zgrozie rodziny, marnotrawił tam miesięcznie do 18 czy nawet 25 franków. Zaszławszy o złotych górach, jakie zwały się na kafejczarzy w Guer, odkąd tam stanęło wojsko, kafejczarze sąsiedni udali się w te pędy do mera:

– Koniecznie nam trzeba Polaków!

Mer nie był byle kim. Mer był ziemianinem miejscowym i jego biały, bardzo francuski *château* stał w kępie drzew na drodze idącej do Guer. Swój obieralny, demokratyczny tytuł mera uzupełniał dziedzicznym i arystokratycznym – markiza. Markiz-mer miał żonę, trzy córki (wciąż niezamężne), był gorącym katolikiem i posiadał nie mniej ciepłe prawicowe sympatie. Umiał być niespożyty w swej działalności. Dość, że niebawem, pewnego listopadowego poranku, nasza kompania opuściła natłoczone Guer i wijącą się przez wzgórze, wciętą głęboko drogą pociągnęła do Comblessac.

Tak się stało, że z dwoma kolegami wyprzedziliśmy ją tam o jeden dzień; w Coëtquidanie przydzielono nas do jedenastej kompa-

nii, która już wymaszerowała do Comblessac, ale w Comblessac okazało się, że jest ona jeszcze w Guer. Przynieśliśmy więc kompanii świeże wieści o przyszłym miejscu postoju. Jedni, słusznie przekonani, że w wojsku wszystkie zmiany bywają zwykle na gorsze, z góry odnosili się nieufnie do Comblessac:

– Będziemy tam zupełnie sami – mówili – pies z kulawą nogą o nas nie zadba.

Ale bardziej doświadczeni wojacy odpowiedzieli:

– Przynajmniej nam nikt przeszkadzać nie będzie!

Ci wszyscy, którzy wolą być pierwszymi w Psiej Wólce niż drugimi w Rzymie, od razu opowiedzieli się za Comblessac. W Guer byliśmy na zawsze przytłoczeni wielkością paru innych kompanii; trzeciej cekaem, czwartej cekaem, siódmej, ósmej... W Comblessac byliśmy sami. Frajbarony. Tylko my. Mieliśmy n a s z kościół, n a s z e kafejki, n a s z e g o markiza, n a s z *château*, wszystko było nasze. Pokochaliśmy też z miejsca Comblessac. Okazało się nie tylko, że jego mer jest markizem, ale że tu właśnie narodził się święty Convoyon. Święty Convoyon! Czyście słyszeli o takim? Nawet nasi trzej księża nie słyszeli o nim, ale



gdy wyszperano, że żył mniej więcej za czasów Mieszka, że organizował monarchię bretońską itd., nabraliśmy szacunku. Do medalików z Matką Boską, tak trudnych do zdejmowania w czasie mycia, przybywały teraz niekiedy medaliki bretońskie ze świętym Konwojonem.

Nie byliśmy skoszarowani, nie byliśmy zglajchsztaltowani, byliśmy u siebie. Pola wokół runiejące oziminą były nasze; pod kapliczką na drodze do Maur rozstawiliśmy czujki; przy wzgórzu La Touche ćwiczyliśmy obronę i natarcie. (Łaciate krowy starego Roger markowały z powodzeniem czołgi). Przyszedł nowy kapitan, rzetelny, skromny Poznaniak, ale przykazanie o zagotowaniu się wody w pewnej, nieraz w wojsku omawianej, części ciała było i nadal wykonywane ściśle. Wracaliśmy codziennie z ćwiczeń obłoceni, spoceni mimo zimy, zmordowani. Z menażkami w rękę pchaliśmy się do kafejek. Żołd był 50 centymów dziennie, co nie pozwalało na zbyt hulaszczy tryb życia, nawet w Comblézac, ale wysprzedawaliśmy się z łachów cywilnych, rumuńskich lub węgierskich, pożyczaliśmy od znajomych z Paryża, „Wiadomości Polskie” i „Słowo” płaciły honoraria

niezgorsze – po 200, 300 franków. *Un verre de fine* kosztował u *Maman Roger* 3 franki, *chez Vester* 2,50. Można było żyć.

Stosunki z ludnością miejscową stały się wzorem pokojowych stosunków pomiędzy armią a cywilami, gospodarzami a gośćmi, alian-tem nieszczęśliwym i tym, który nim dopiero miał być. Późniejsze idylle szkockie miały swój niedoceniony prawzór w zapomnianym Comblessac. Przede wszystkim, nazajutrz po naszym przybyciu była niedziela. Kompania hurmem stawiała się na mszy – pięknie śpiewa-ła – niektórzy komunikowali się. Ksiądz był tak przejęty tym niezwykłym zjawiskiem, że z tru-dem dokończył mszy. Od czasów rewolucji francuskiej męska połowa mieszkańców Com-blessac zwykła spędzać czas mszy świętej na łonie przyrody, w Guer lub w kafejkach. Kościół nawiedzali przeważnie tylko tuż p o uro-dzeniu albo tuż p r z e d pogrzebem; w obu wy-padkach, rzecz jasna, nie o własnych siłach. A już widok wojskowego w kościele był rzad-kością. Od tego dnia mieliśmy w Comblessac silnego alianta: był nim Kościół.

Władza państwowa nie pozostała w tyle. Też niedzieli po południu grono *French-speaking and count-looking* adeptów szkoły

podchorążych złożyło swe uszanowanie u państwa markizów. Salon ożywił się i ożywił odtąd co niedziela, a czasem i w tygodniu. Życie towarzyskie rozkwitło.

Jak wspaniałe interesy robiły trzy kafejki! Wystarczy, gdy powiemy, że nie zauważyły nawet, jak przybył im czwarty konkurent.

Wreszcie ogólne zmęczenie po ćwiczeniach, młodociany wiek części kompanii, a starczy drugiej, słaby dziewczostan Combléssacu, smętność powrześniowych nastrojów, brom w soli, chlebie i kawie, wszystko to sprawiało, że kompania jedenasta prowadziła się w sposób, który można by zalecić sodalicjom mariańskim. Jedynym powodem do lekkich zatargów było wyrywanie chrustu z opłotków dla celów opałowych, parę skrytobójstw popełnionych na niewinnych królikach i lekkie podniszczenie rowerów wypożyczanych dla wycieczek krajoznawczych. Wszystkie te szkody regulowano finansowo w sposób budzący jedynie zazdrość u tych, którzy ich nie doznali.

Najwięcej polonofilskich uczuć przejawiało najmłodsze męskie pokolenie grodu św. Konwojona. Piękność i mądrość zajęć wojskowych oceniali oni chyba na równi z sa-

mym kapitanem (tym założycielem kompanii). Chodzenie w mundurze, salutowanie, czyszczenie broni, ganiecie po polach z plecakiem na plecach, apele i zbiórki wydały się milusińskim prawdziwie interesującym zajęciem. Ponieważ wiek niektórych członków jedenastej kompanii nie tak bardzo odbiegał od ich wieku, a wiek innych znowuż urobił w nich tęsknoty ojcowskie, przeto porozumienie było tym łatwiejsze. Kiedy zaś okazało się, że kieszenie wojskowe służą najwyraźniej do noszenia kolorowych cukierków fasowanych u grubej *Maman* Roger, prestiż armii polskiej podniósł się na prawdziwie niedościgłe wyżyny. Aż raz w szkole, gdy nauczycielka zanudzała dzieci pytaniem, czym chcą być, gdy dorosną, jedno odpowiedziało bez wahania:

– *Moi, je serai Polonais...*

Chłopaczek wyobrażał sobie zapewne, że być Polakiem oznacza właśnie oddawać się tym znakomitym zajęciom, które u nas podziwiał. (Kto wie, może i miał rację?). Kompania, dowiedziawszy się o tym, nie nabrała zbyt wysokiego mniemania o rozsądku tego młodego człowieka. Sam sierżant-szef orzekł, że „z takiego głupka nie będzie pocie-

chy". Niemniej, filopolskie uczucia, tak dosadnie i lekkomyślnie wyrażone, zasługiwały na podtrzymanie. Mikrus został uroczyście zaproszony na kwaterę mojej drużyny. I to w czasie zarządzanego popołudniowego czyszczenia broni. Nie powiem, żeby na naszą salkę, gdzieśmy leżeli pokotem, wchodził z duszą lepiej ulokowaną niż na ramieniu. Ale pewna początkowa trema została szczęśliwie pokonana. Obznajomiono go ze wszystkimi tajnikami karabinowego zamka, pokazano, jak pięknie błyszczy lufa poprzecierana szmatami, pozwolono mu tłuc cegłę na proszek i dano kawy z menażki. Mama musiała osobiście i nie bez trudu wyciągnąć kawalera na kolację i wydała głośny krzyk oburzenia zobaczywszy, że jego wizytowy fartuszek jest dokumentnie wysmarowany oliwą. Naza jutrz dowiedzieliśmy się, że nadmiar spożytych karmelków przyprawił naszego gościa o silne zaburzenia żołądkowe. Ale w parę dni później ujrzeliśmy go znowu. Okazało się, że kilkugodzinny pobyt u Polaków nie minął bez śladu. Malec, zapewne aby nas ucieszyć, zasalutował po polsku i powtórzył wcale udatnie kilka polskich wyrażen spośród tych, które u Polaków słyszał najczęściej. Były one,

rzecz jasna, jak najbardziej wojskowe i jak najściślej odnoszące się do broni.

Jak wiadomo, wojsko ma to do siebie, że ujednostajniając jedne rzeczy jak tylko można najbardziej, stara się inne rzeczy jak najbardziej wyodrębnić. Żołnierz musi być jak najbardziej podobny do żołnierza, choć znowu oddział, formacja czy broń stara się możliwie jak najbardziej odróżnić, nawet zewnętrznie, od innych oddziałów, formacji czy broni. Stąd barwne furażerki historycznych pułków angielskich, stąd nasze w Polsce proporczyki ułańskie, mitra książęca Poniatowskich na naramiennikach jednego z pułków ułańskich, korona i inicjały S.B. na naramiennikach pułku imienia Batorego. Zimą 1940 roku we Francji nie było już dawnego ozdobnictwa, a nie wyrosło jeszcze nowe. Sznury norweskie, tartany szkockie, czarne naramienniki miała dopiero przynieść wiosna i historia. Myśmy też byli nader młodymi żołnierzami. Ale jużemy opanowali podstawy sztuki wojennej. Już niezgorzej wyglądał paradny krok, salutowanie, chwyt i szereg innych, równie wojennych spraw. Byliśmy więc w stanie pojąć i tę prawdę, że wyodrębnianie się jest w wojsku źle widzia-

ne indywidualnie, ale wprost konieczne zespołowo.

Z właściwą wojskowym bystrością kompania wkrótce doszła do wniosku, że należy się czymś wyróżnić z całej reszty innych, jej podobnych kompanii. Raz doszedłszy do tego zbożnego wniosku, rozważała długo, jak ma tego dokonać. Pierwsza podchorążówka na ziemi obcej zdobyła już sobie była sławę, że przeróżne znakomitości wprawiają się w niej w sztuce władania bronią. Trzecia cekaem stała się przystanią dyplomatów; czwarta kompania, jeśli się nie mylę, polityków i wyższych urzędników; siódma miała bodaj jakiś charakter ideowo-harcerski. Po niedługich namysłach nasza przyjęła charakter „intelektualnej”. Posiadała bowiem paru od nagłej potrzeby malarzy, muzykologa, kilku zapiewajłów, paru literatów, paru grafomanów, jeszcze większą ilość pijaków i ludzi „z temperamentem”. Władze ze swej strony uznały ów charakter intelektualny, albowiem przez to słowo rozumiały element jak najmniej nadający się do tego, co w rozumieniu normalnego oficera służby stałej nazywane bywa wojskiem. Uznanie intelektualnego charakteru kompanii było w ich oczach rozgrzeszeniem z wielu bardzo

rzeczy. W kompanii tej, na przykład, pozostała absolutnie nieznana sztuka składania mundurów w kostkę, ceremonia wnoszenia „śmiecia” na kocu oraz parę podobnych instytucji, stanowiących, jak wiemy, istotę rodzimej sztuki wojskowej. Nigdy. Ani razu! Uznano w głębi oficerskich dusz, że ów element ludzki, z którego wyroki losu kazały stworzyć kompanię piechoty, tak się do tych spraw nadaje jak ryba do roweru.

– Trudno, intelektualści...

Słowo to dla szefa kompanii było za trudne. Toteż pluton, który właśnie składał się z takich istot, miał u niego na zmianę dwie nazwy. Raz nazywał się plutonem „szlacheckim”, drugi raz „czerwonym”. Uzasadnienie każdej z tych nazw było prawdopodobnie tajemnicą wojskową, bo nikt nigdy tej tajemnicy nie dociekał. Ale nauczyliśmy się już i owej prawdy, że nie należy zbyt często dociekać jakichś przyczyn. Przyjmowaliśmy życie, jakie ono jest.

Ustronność Comblessacu była darem nieba. Nie ściągano nas do Coëtquidanu na byle paradowy popis, nie pojawiał się u nas żaden generał. Tylko kucharza, emigranta z Francji, roztropniejsi niepokoiли czasem:

– No, panie kapralu, ale jutro musi być mięso jak cyc!

– Dlaczego jutro?

– Jak to, nie wiecie? Sikorski jutro jest z inspekcją! Jak był w trzeciej, to zaraz zaglądał do garnka...

Kucharz, niewyparzona gęba, wypowiadał zazwyczaj parę uwag określających dosyć dosadnie jego stosunek do armii, nas, kuchni, Naczelnego Wodza i całego świata. Ale nazajutrz zupa była zawiesista, gulasz miał więcej mięsa. Raz nawet dali *épinards*. Niestety, nawet na Naczelnego Wodza nie można w wojsku wiecznie nabierać, toteż nasz kucharz, doszedłszy do wniosku, że Comblessac leży poza zasięgiem najwyższych inspekcji, opuścił się zupełnie i musiano go wylać. Został potem kucharzem w jakiejś „niecenzusowej” kompanii, aż za Guer. Ale tęsknił do nas. Złość swoją odbijał na kompanii, której teraz kucharzował, zacnych, szczerych chłopcach, takich jak on emigrantach z Francji. Rozlewając im, niemal z łaski, rzadką zupę, mamrotał wyniośle.

– Na co mi to zeszło. Gnojkom takim gotować. W Comblessac, jak tam byłem, to same doctory, ężyniery – he!

Regularnie w niedzielę rano brał przepustkę i wstępując po drodze na *un coup* do bistra oznajmiał:

– Idę do mojej kompanii!! Co tam mam z wami siedzieć! Tam jinteligentsze ludzie, okrutnie mnie ciągną. Przyjeżdżaj a przyjeżdżaj, mówią. To już im to zrobię, niechta...

I wybierał się do Comblessac. Ale nie zawsze dochodził.

Po drodze bowiem były kafejki w Guer.

*

Wszystko na tej ziemi ma jednak swój koniec, a wszystko, co dobre, ma w wojsku kres znacznie wcześniej niż gdzie indziej. Z wiosną w Coëtquidanie z owej masy bezkształtnej, która tamtej, pamiętnej jesieni spływała codziennym strumieniem, utworzyła się już dywizja pierwsza, druga... Wysiedlano je stopniowo z obozu, jak się kurczęta wyprowadza z kojca, aż wreszcie pchnięto gdzieś w Wogezy. Coëtquidan przerzedził się. Wtedy przelano tam Guer, a kiedy Gueru było mało, przypomniano sobie naraz, że gdzieś za górami, za lasami i za siódmym od Guer kilometrem siedzi sobie taka jedenasta kompania w jakimś Comblessac.

Nie było rady.

Trzeba było pakować manatki, zwiąć kwatery, zegnać kafejki. A właśnie pola, tak dobrze już znane, zieleniły się świeżą runią, dzikim jabłoniom miały już przybyć kwiaty, ospali Bretończycy wyjechali z pługami na pole czy rzucali dymiący, wyprażony gnój... Nam trzeba było rozstawać się z tym wszystkim i gdzieś w ogromnym obozie zatonać w jakimś baraku H 27 czy E 49, obok latryn wysokich jak mównice, z dala od kafejek, za drutem, no i pod samym bokiem dowództwa, centrum, sztabu. To znaczy tego wszystkiego, czego roztropna jedenasta kompania nauczyła się skwapliwie unikać, z jak największym, rzecz jasna, szacunkiem.

Ale jednocześnie okazało się, że – poza utrapieniem dla dowódców, zgorzeniem dla maluczkich i zadowoleniem dla samych siebie – jesteśmy tu jeszcze dla kogoś czymś. Mianowicie jesteśmy czymś dla Comblessac. Samiśmy nie wierzyli zrazu. Ale to właśnie tak było. Comblessac nas żałowało. To nie to, żeśmy w niedzielę napelniali proboszczowi kościół, a markizowi salon, żeśmy dzieciom dawali cukierki, a kafejkom dochód. To było jeszcze coś innego. Owo bretońskie mia-

steczko dzieliło los tylu wsi i miasteczek wielkiej, wymierającej Francji. Nie darmo było tak stare jak nasze Gniezno. Wszystko, co młode uciekało stąd chyłkiem do Rennes, do fabryk, do kin, do Paryża i, na dobrą sprawę, pozostawiali tylko starcy i dzieci. Myśmy wnosili tu życie. Bez nas miała się ta cała piękna miejscina zapaść na nowo w swą pierwotną martwość. Tak. Trzeba znać Francję, aby zrozumieć, że jedenasta kompania była czymś dla Comblessac.

– Musimy im się jakoś upamiętnić – zrodziła się myśl.

– Świetnie, tylko jak?

– Może składką na ubogich?

Ale w porę zmiarkowaliśmy, że ubodzy w Comblessac byli bogaczami w porównaniu z nami, pobierającymi po 0,50 franka dziennego żołądu. Mętny projekt „albumu pamiątkowego” nie chwycił; był jakoś (na owe czasy jeszcze) zanadto w stylu różnych Ksiąg Jazdy i Almanachów Zasłużonych. Oczywiście, jak zawsze w takich wypadkach, zwrócono się do nas. Tak zwanych intelektualistów.

– No, ruszcie tam głową...!

Z właściwym sobie lenistwem intelektualiści odpowiedzieliby zapewne szeregiem

niezupełnie intelektualnych propozycji, gdyby nie Stanisław Mikuła.

Stanisław Mikuła był niezawodnie najbardziej popularną postacią w całej kompanii, w niej zaś samej najbardziej eksponowanym przedstawicielem całej jej intelektualnej frakcji. (Co prawda, w jej łonie ludzie bardziej zawistni ośmielali się czasem czynić niejake kąśliwe uwagi. Ale wszystko to nie brało). Mikuła był rzutki, pomysłowy, dowcipny i zawsze w dobrym humorze; to ostatnie zaś jest nieocenione zarówno w więzieniu, jak w wojsku.

Otóż Mikuła wyruszył z konceptem:

– Mamy jedno do zrobienia. Bretania jest krajem religijnym, Polska także. Pamiętajcie, jakie wrażenie robiło nasze jawienie się na mszy. Trzeba im ofiarować do ich kościoła obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Na zawsze pozostanie tu po nas.

Myśl podobała się. Cała rodzina markiza spędzała wolne chwile w kruchcie, proboszcz był tu potęgą, najpotężniejszą organizację Comblessac stanowiło bractwo różańcowe. Nie, nie było wątpliwości, że Mikuła ma rację. Tylko niedomyślni powątpiewali:

– Ale skąd tu we Francji dostać obraz Matki Boskiej Częstochowskiej?

Mikuła popatrzył na pytających z wyżyn bezgranicznej pogardy:

– To wy, ciemne żłoby, nie wiecie, że Stanisław Mikuła jest malarzem religijnych obrazów?

Ciemne żłoby mogły o tym i zapomnieć, albowiem rysunki, jakimi Stanisław Mikuła wylegitymował w kompanii swoje malarstwo, mogłyby posłużyć za ilustracje raczej do *Dekameronu* niż do *Psalterza*. Tak, istotnie, Stanisław Mikuła był malarzem. Przyszedł do nas z tą sławą ze Lwowa, ale poza pićciem i opowiadaniem kawałów nie dał dotąd zbyt wielu dowodów swego talentu malarzkiego, a już jego religijnego charakteru najmniej. Toteż niewierni Tomaszewie wątpili nawet i teraz, a kapitan, który lubił solidną robotę, dbał o dobre imię u obcych i jakoś nie miał zbyt wiele do Mikuły i intelektualistów przekonania, nawet zapytał:

– No, dobra... Ale czy, jak to mówią, czujecie się na siłach? Potraficie? Bo to kościół – poważna rzecz.

Mikuła zagrzmiął świętym oburzeniem:

– Ja? Czy potrafię? To chyba pan kapitan nie widział kościoła w Kopyczyńcach? A polichromii w Tuszczu? A głównego ołtarza w Podkamieniu? A w Hoszczy? A w Kętach? A...

Na głowę dowódcy kompanii posypały się naraz, jak tynk, dziesiątki małopolskich kościołów, ołtarzy, witraży. Wszystkie Matki Boskie i Święci Pańscy malowani kiedykolwiek przez Staszka Mikułę, wszyscy jego anieli, wszyscy *cherubim atque seraphim* zlecieli naraz dać świadectwo prawdzie. Interwencja niebios poskutkowała. Tegoż wieczora sierżant-szef wypisywał Mikule przepustkę do Rennes.

– Muszę kupić farb i wszystkiego – zdecydował Mikuła.

Sierżant-szef wypisywał przepustkę niechętnie, raz, że pisanie było dlań czynnością trudniejszą od sztuki dowodzenia, dwa – że cały ten projekt z Matką Boską wydawał mu się kantem jednym z wielu. Ale Mikuła czuł się wsparty niedawną niebiańską interwencją. I dopiero chowając przepustkę do kieszeni powiedział:

– Pan sierżant też by kiedy pojechał... Tam w Rennes dziwki, o takie! Radziłbym... Wiosna idzie! Inaczej może się jeszcze na mózg rzucić...

A już wychodząc kończył:

– ...jeśli go kto posiada. Jak nie, to co innego.

Najbliższe dni podcięły na nowo ufność kapitana, a wzmożyły wytrwałą nieufność sierżanta-szefa. Mikuła nie wrócił ani w sobotę, ani w niedzielę, ani w poniedziałek, wrócił dopiero we wtorek, i, jak to się mówi, na rzęsach. Kot w marcu, po pracowitym harcowaniu na dachach, nie wygląda inaczej niż nasz malarz po wyprawie po farby. W kompanii panowało milczenie, pełne konfuzji. Trzej księża, przydzieleni do kompanii jako nasi koledzy na przeszkolenie liniowe*, dawali do poznania, że z urlopu uzyskanego na cel tak zbożny nie godziło się czynić tak mało budującego użytku. Gorliwcy, ciemne żłoby, jak ich nazywał Mikuła, znowu podnosili głowy; czyż nie mieli racji mówiąc zawsze, że cały ów „intelektualizm” to jedno wielkie nabieranie? Myśmy także nie byli zachwyceni, albowiem sława lub niesława kompana obarczała ogół. Jeden tylko odnosił się do tego obojętnie – sam winowajca. Na kwaterze, ustąpionej mu gwoli malarskiej pracy, kropnął się bowiem spać twardym snem tak spracowanego, jakby w Rennes wymalował polichromię do wszystkich kościołów Bretanii. Sen ten był do tego stopnia

* Jeden poległ potem pod Arnhem.

spokojny, że mógł w zupełnym braku lepszych dowodów świadczyć o niewinności naszego malarza.

Gdzieś dopiero nazajutrz, w porze obiadowej, ruszyliśmy we trzech do kwatery naszej Śpiącej Królowny. Malarzysko w rozchełstanim mundurze już się było zwlokło z barłogu. Na zaimprovizowanych sztalugach naciągnięte było na ramę zagruntowane już płótno, a na nim, z tła pierwszych konturów, wyłaniała się Matka Boska. Ci, co się wybrali, byli na ogół koneserami sztuki. Sami malowali, mieli przyjaciół malarzy, naszych kapistów i paryskich. Idąc do pracowni mistrza czuli pewne, że tak powiem, wątpliwości. A wszedłszy przystanęli.

– No co – rzekł z zadowoleniem Mikuła – jakże wam się zdaje?

Jury koleżeńskie przeżywało w milczeniu swe pierwsze wrażenie, ale nie spieszyło się jakoś z wyrokiem. W tej chwili drzwi otworzyły się raz jeszcze. Wszedł sam kapitan. Poderwaliśmy się do postawy zasadniczej, tylko Mikuła stał w niezmienionej postawie. Nie czuł się w tej chwili żołnierzem. Końcem pędzla, szerokim ruchem, pokazał kapitanowi obraz i zapytał:

– A pan kapitan co?

Otóż kapitan zaniemówił tak samo jak przedtem my, choć może – tak się zdawało – jakby nieco inaczej. Stał i patrzył. Nawet na nas nie zwrócił wcale uwagi, toteż trwaliśmy w najprzykładniejszej postawie zasadniczej, na jaką nas było stać.

– No, jak pan kapitan uważa – zagadnął jeszcze raz Mikuła, i dopiero teraz, a nawet jeszcze po chwili, kapitan rzekł:

– Te perły... o, te perły... To się kole-dze udały!...

– Prawda? – zatriumfował Mikuła. – Nie mówiłem? Ale to jeszcze nic; pan kapitan dopiero zobaczy!...

I z końca Mikułowego pędzla kapnęła nagle na koronę Matki Boskiej ogromna, wspaniała perła, cudnie biała na ciemnym tle obrazu, o odcieniu błękitnawym i sinym. Efekt był wspaniały. Zaraz potem jedno dotknięcie pędzla osadziło w koronie krwawy rubin, skrzący się całą świeżością olejnej farby. Nim kapitan zdążył ocenić, wyrósł tuż obok wspaniały prostokątny szmaragd takiej wielkości i blasku, jakiego nie zna żaden indyjski skarbiec. Jeśliśmy mogli wątpić o talencie Mikuły jako malarza religijnych dzieł, to

o jego talencie jako malarza drogich kamieni nie wolno już było powątpiewać. Kapitan chłonał wzrokiem powstawanie obrazu. Był zapewne po raz pierwszy świadkiem owego procesu, w którego toku z farb wyciskanych z jakichś tubek wyrasta powoli obraz. I ów proces był dla niego nie mniej tajemniczy i wielki niż dla nas wszelkie sprawy wojny.

Aż wyszedł zagadawszy jeszcze do nas:

– No co? Udało się koledze, prawda?

Któż, jeśli i chciał, pisnąłby co na to. Tylko Mikuła po wyjściu kapitana umocnił szybko pozycję:

– Widzicie, choć się na tym nie zna, umiał ocenić. A tu byli tacy, co nie rozumieli... Ciemniaki...

Właśnie kończyła się przerwa obiadowa. Poszliśmy na ćwiczenia. Gdyśmy wracali po piątej, z domu, w którym mieściła się kwatery zamieniona obecnie na atelier, wychodził znowu kapitan. Coś go ciągnęło do tej polskiej i Polskę przypominającej Madonny, którą tam właśnie jeden z jego żołnierzy kładł barwnymi plamami na płótno.

Mieliśmy się teraz przekonać, że nie tylko porażki naszego kolegi odbijają się na nas. Swe znaczenie mają i sukcesy. Matka Boska Częstochowska dopiero wyłaniała się na płótnie z bretońskiego lnu, ale już do niej ciągnęły pielgrzymki. Dwaj podporucznicy, dowódcy innych plutonów, weszli przed samą kolacją – i wrażenie, jakie odnieśli, było nie mniejsze niż to, pod jakim padł rażony kapitan. Tłum, jeśli nie nabożny, to ciekawy, tłoczył się do pustelni, a Mistrz – bo teraz Mikuła rozwinął pełne żagle – wypychał ich dość bezceremonialnie za drzwi. Sam sierżant-szef zaglądał przez okno. Inaczej nie śmiał. Sam kapitan wchodził niemal na palcach. Ponoć omawiali starannie każdy szczegół precjozów, w jakie Mikuła za pomocą swego czarodziejskiego pędzla miał ubrać polską Matkę Boską tak, aby „tym Francuzom oko zbiełało”.

Mikuła pokazywał się rzadko, chodził jakiś uroczysty, a cień jego sławy spadał na całą resztę kompanijnej cyganerii. Aż czuliśmy się jakoś nieswojo, zwłaszcza ci, co ze sztuką malarską mieli w taki lub inny sposób coś wspólnego. Zwolnienia z ćwiczeń, przepustka do Rennes – nie odmawiano nam niczego. Teraz łaski spływały na nas strumieniem rów-

nie obfitym jak te drogocенności z Mikułowego pędzla.

Na drodze była już tylko jedna przeszkoda do przebycia. Co powiedzą Francuzi? Czy na widok dzieła Mistrza zamilkną w taki sposób jak my trzej, czy też zamilkną w ten sposób, w jaki uczynili to po nas wszyscy inni? Pesiści bąkali coś pod nosem o wytrawnym smaku malarskim Francji, od Poussina do Corota, i to ich bąkanie było pełne wątpliwości. Teraz powodzenie obrazu stawało się sprawą honoru całej kompanii, jeśli nie w ogóle Rzeczypospolitej. (Polacy, jak wiemy, są nader honorowym narodem). I życzyliśmy Mikule największego sukcesu. Sam nie byłem na uroczystym zaprezentowaniu obrazu, ale świadkowie naoczni mieli się przekonać, że Mikuła był jeszcze i znakomitym reżyserem. Kiedy już ukończona, mokra od oliwy Matka Boska zabłysła przed oczyma parafian kąblesackich, wzruszenie ogarnęło zebranych. Markiz-mer zamienił się w bobra, a jego córki w trzy fontanny łez; ksiądz starszek przyrównywał Mikułę do świętego Łukasza, malarza Madonn. Dzieci patrzyły na klejnoty Matki Boskiej Polskiej takimi oczyma jak przedtem nasz kapitan. Nawet repre-

zencyjny bezbożnik wsi, ślusarz, u którego pożyczaliśmy rowery, zwolennik Frontu Ludowego, przyszedł także. Ksiądz, który w co drugim kazaniu zapewniał swych parafian, że piekło tego ateusza nie minie, zupełnie na jego widok osłupiał:

– To był pierwszy cud, jaki sprawiła wasza Matka Boska – oznajmił – a moje owieczki potwierdzą wam, jak wielki!

Owieczki potwierdziły skwapliwie. Ślusarz był w ich oczach wcieleniem Woltera, Lucyfera i Lenina w jednej osobie. Obraz z triumfem poniesiono do kościoła. Zналиśmy dobrze ów kościół; znał i on nasze *Boże, coś Polskę* i wygnańcze *O Panie, któryś jest na niebie*. Ale teraz dopiero rozejrzeliśmy się po nim inaczej niż dawniej. Był on szary, ciemny, nawet niestary. Sztuka francuska była w nim „reprezentowana” przez najgorszą tandetę końca XIX wieku. Na tym tle wniesiona właśnie nasza Matka Boska rwała oczy świeżością swych barw. Trzeba przyznać, że ściemniły się one w tych murach i już nie łupiły tak w oczy jak przedtem. Majestatyczna, hieratyczna Pani patrzyła na lud bretoński swą ciemną, regularną twarzą poznaczoną dwiema bliznami, spokojna i zatroskana. Tak zatroskana, jakby wzięła

w siebie i wniosła w ten przyćmiony kościółek bretoński wszystkie troski wiekowe polskiego narodu. Najwięksi niedowiarkowie kompanii (to znaczy my) byliśmy wtedy wzruszeni na równi z kapitanem, kompanią i cichymi ludźmi z Comblessac.

Nazajutrz nastąpił odmarsz do Coëtquidannu. Po raz ostatni na trójkątnym rynku rozbrzmiała polska komenda. Ksiądz błogosławił, markiz ponownie zmienił się w bobra, markizianki obdarowały nas raz jeszcze medalikami ze świętym Convoyonem, dzieci biegły za nami aż pod Guer, a Mikułę komunista-ślusarz zaprosił jeszcze na ostatnią *chopine*. Nikogo tak nie żegnał Comblessac jak bohatera kompanii.

Po nas w małym kościółku wiejskim pozostała Częstochowska. Francuzi z trudem wymawiali to imię. My, ostatkiem niewygasłej przekory, nazwaliśmy ją między sobą Madonną Mikulińską. Mikuła bowiem urozmaicił obraz wedle własnych pomysłów. To pewne, że Matka Boska Częstochowska w swych najstrojniejszych koronach i sukienkach nie jest tak strojna w złoto i drogie kamienie, jak ta z obrazu Staszka Mikuły.

*

W dwa tygodnie później jedenasta kompania rozeszła się w świat: do pierwszej i drugiej dywizji, do brygady podhalańskiej i pancерnej, do Lotaryngii, Wogezów, Norwegii i Montbart. W maju uderzył Hitler, a w czerwcu padł Paryż. Tego właśnie dnia wyładowano w Brest brygadę podhalańską, ściągniętą z Norwegii, a potem przez kilka dni manewrowano nią tak, że znalazła się daleko od portów i bez amunicji w chwili, gdy zagony niemieckie dopadły ją pod boki, a z jasnego czerwcowego nieba runął grom armistice'u. Po czym... Po czym jedni siedli na auta, inni rozeszli się po Francji, a jeszcze inni, najliczniejsi, spływali, jak po wrześnieu, na południe. I tak z paroma kolegami dotarliśmy po dwóch dniach w znane okolice. W Coëtquidan kupy żołnierzy, pozostawionych na łaskę własną i Niemców, wałęsały się bezpańsko, Guer było przerażone i puste, na drodze do Redon śmigały już niemieckie motocykle. A my, jak te konie, co znają drogę do domu, skręciliśmy w tym miejscu w lewo, na wąską, nierówną drogę, która wrzyna się głęboko w pola jak bruzda i która wiedzie – gdzieżby wieść mogła? – do Comblessac.

O, jakżeż był wówczas piękny i smutny świat naszej pierwszej wiosny wojennej!

Świat tonął w zieleni, jakby ziemia rozpekła się tą zielenią i obłożyła nią wszystko jak mchem, jak lukrem. Cicha wioszczyna, od stuleci chroniona pilnie od wszystkich dziejowych burz, teraz nagle stanęła otworem, bezbronna, czekająca z osłupieniem w oczach na swój nieunikniony, niezawodny gwałt. W kafejkach siedzieli ludzie nic nie pijąc, nic nie mówiąc, milcząc. Kobiety miały oczy czerwone i opuchłe. Wystraszone dzieci wyzierały zza opłotków. Tylko radio, skrzypiące z jakiegoś okna, w ten dzień słoneczny i milczący nadawało apel słów, które brzmiały jak werbel samotny i rozpaczny. To przemawiał z Londynu, piętnując zdradę, generał o nieznanym wczoraj jeszcze nazwisku, de Gaulle.

Na naszych rowerach trzeba było jechać dalej. – Dokąd? – pytano. – Do Anglii! – Potrząsano głową smutno, życzliwie i z niedowierzaniem.

– *Que votre Vierge vous protège* – powiedziała pewna dobra dusza.

Wtedy przypomniałem sobie tę *Notre Vierge*. Madonnę Mikulińską. Moi towarzysze coś majstrowali przy rowerach. Była już chyba dziesiąta, i słońce, nieczułe na to wszystko jak nasze we Wrześniu, lało już

swój ukrop najbardziej złocisty. O dwa kroki czerniał kościół. Wszedłem. Nie, nawet nie po to, żeby się pomodlić. Ale oto w tym kościele był ślad ostatni. Znak taki czegoś, coś tu kiedyś przeżyli, i czegoś, co już nie miało wrócić nigdy, nigdy więcej. Przed nami, przed nowym celem naszej drogi, leżał już odgradzający wszystko Rubikon oceanu. Trzeba się było zatem pożegnać i pokłonić.

W kontraście z tym dniem, pełnym słońca, kościół był, jak to w lecie, tym bardziej ciemny. Wchodząc nie widziało się nic. Tylko słyszało głosy, a raczej głosiki, jakby idące z posadzki, z dołu. Były bezradnie słabiutkie i wątle, takie właśnie jak głosy dzieci zupełnie małych albo ludzi starych już bardzo. Samych ludzi nie było tam widać, nawet gdy oczy nawykły do mroku; okazało się, że głosy dochodzą z bocznej nawy. Właśnie z tej, gdzie obok świętej Tereski umieszczono *n a s z* obraz.

Wszedłem bardzo, bardzo cicho. Skradając się. Nawa była pełna jak w dni największych nabożeństw. Wszystko to klęczało na ziemi, jak u nas w kościołach się klęczy, złote świece paliły się u ołtarza, a zdrowaśki Różańca sypały się żarliwie, tak jak wtedy,

gdy spada na nas Nieszczęście. Aż na którymś z ziarenek Różańca zdrowaśki ustały na chwilę, a wtedy tuż u samego ołtarza, spod tych żółtych zapalonych świec, jeden pojedynczy głos począł wzywać *Notre Dame de Tsenstohova*. Głos się łamał na tym trudnym słowie, ale powtarzał je wciąż, uporczywie, jakby był przekonany, że aby być wysłuchany tam, w niebie, musi zaklinać Matkę Zbawiciela właśnie owym imieniem polskim, i że jeśli to zrobi, to wtedy Ona osłoni tarczą swej opieki Polskę, Francję i owo małe, zagubione w świecie Comblessac, któremu żołnierze polscy w przechodzie tułaczym pozostawili obraz swej Królowej, właśnie po to, aby je chronił, wspierał i strzegł.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946.

O głowę murzyńskiego króla

10. pułkowi strzelców konnych

Bylem wtedy zupełnie nowy w pułku i kiedyśmy ruszali rano naprzód, długim przemarszem czołgów, wsadzono mnie do wysokiej ciężarówki, dwutonówki: przy kierownicy siedział wachmistrz. Jasiak potrząsnął mu rękę, zapoznał nas i powiedział, że jest to żywe archiwum pułku; mnie przyszło na myśl, że nie tylko żywe archiwum, ale i chodzący bar, bo pomimo wczesnej pory już zalaływało spirytusem silniej niż smarami nawet. Potem wozy ruszyły, czołgi zgrzytały gąsienicami po asfalcie, huk niósł się powietrzem, dzieci wybiegały przed domy i zatykały sobie uszy chudziutkimi palcami, dziewczyny kiwały więcej niż zwykle i jakoś inaczej, jakby wiedziały – i pewno wiedziały – że tym razem to tędy szły przecież wszystkie dywizje inwazyjne nie na manewry żadne, ale przemarsz: Anglia na po-

łudnie. Na wieczór mieliśmy być w Aldershot, gdzie byłem raz na stage'u, i stamtąd już prosto do portu, na okręty, do Francji. Jeszcze rozłożyłem gazetę i były nowe wiadomości z odcinka Avromanches, a także zaczynało wymieniać Caen. Jeszcze nic o Falaise. Żywe archiwum pułku jakos było niezbyt rozmowne. Próbowiałem zagadać o to i o owo, i o tamto, bo droga była monotonicznie prosta, rozsypiająca. Ale wachmistrz nie rozgadywał się długo, już myślałem, że się nie oswoi wcale, i dopiero zapytany, czy zna Francję, zadygotał oburzeniem:

– Francję? Ja dwa razy, panie poruczniku, byłem we Francji. Dwa razy w wojsku we Francji, ma się rozumieć: nie tak, o! Dla mnie Francja – to piec własny, panie poruczniku, he, jak ja mogę jej nie znać. Albo Włochy? Jak w radio mówią o froncie włoskim, to ja tylko słucham: doszli już nasi do Udine czy nie. Albo do Lamadria di Chiavasso – pan porucznik wie choć, co to Lamadria di Chiavasso?

– To pod Turynem. Tam pułk powstał.

– Nie bardzo to tak pod Turynem, no, ale nie tak już znowu żeby daleko. No dobra. Jak ja nie mam znać Francji, skoro znam Lamadria di Chiavasso? Kolebka pułku, jak mówi

ksiądz kapelan; gniazdo tej całej pułkowej ferajny, jak mówi pan major. Gniazdo 10. pułku strzelców konnych, naszych łańcuckich, *yellow green*, jak mówiły Szkotki. Od kolorów pułkowych, uważa pan porucznik? Lamadria di Chiavasso! Boże! Boże! Od samego Lamadria di Chiavasso! Od samego osiemnastego roku!

– Jakże się pan tam dostał w 1918 roku?

Wachmistrz począł tłumaczyć powoli, jak rekrutom trójkąć celowania:

– Nic trudnego, panie poruczniku. Pęta-kiem zaciągnąłem się do Legionów, ale jakoś tam tego wiele nie miałem, aż przyszedł nasz bunt; odmówiliśmy przysięgi – może pan porucznik słyszał? Raban wielki, nas zamknęli, sądzili, skazali i ułaskawili na front włoski. W austriackim uniformie, rozumie się. Jasne. Coś w tydzień, jak to nas dali w te góry, to przeszedłem w nocy do linii włoskich. Inni, słyszałem, tak robili. Włosi – niczego naród, przejdę i ja. Że się tam nasi formują, to ktoś mi na dworcu w Grazu, jakeśmy stali, szepnął. No dobra. Noc była ładna, nie za ciemna, nie za jasna, coś koło drugiej nad ranem, najlepszy czas: ani się spostrzegli Kroaci z okopu. Za to u Włochów naciąłem się zaraz na placówkę.

Było tam z dwunastu chłopów z oficerem. Mieli takie strasznie wielkie pióra, kogucie, zdaje się, na głowie i musiałem czujkę dobrze targać za rękaw, żeby się zechciał obudzić, ale jak krzyknął, to pobudzili się i inni z tego krzyku i zaraz chcieli się poddać. Mówili *a basso la guerra* i o kimś, że jest *porco*. Ja nie umiałem jeszcze po włosku i bardzo trudno przyszło mi wytłumaczyć, że to ja chcę się poddać. Tak, Włosi – to dobry naród, panie poruczniku.

– No i co potem?

– Potem zaprowadzili mnie na placówkę karabinierów. Ci dla odmiany chcieli mnie rozstrzelać, bo myśleli, że jestem rewolucyjnym agentem, wysłanym przez sztab austriacki. Ponieważ nadal nie umiałem po włosku, więc było ze mną źle. Ale zażądałem księdza. To rozdziwiło karabinierów. Kapitan ich był bowiem wrogiem papieża i na wiadomość, iż jestem katolikiem, chciał mnie rozstrzelać tym szybciej, ale porucznik pochodził z Neapolu, miał ciotkę hrabinę na Sycylii, wierzył w Boga i słuchał papieża. Kapitan wreszcie uległ i odesłano mnie w dolinę, do miasteczka, do księdza. Ksiądz był kiedyś w Polsce i lubił Polaków. Poszedł ze mną do generała. Odesłali mnie do obozu

jeńców, specjalnego dla Polaków. Stąd do Carabia. Niewielka miejscowość górską, lichą, ludzie dobrzy. Potem do tej Lamadria di Chiavasso. Tam powstał mój pułk.

Nasz pułk 10. strzelców konnych. Pan zna ich barwy zielono-żółte. Pułk rozpoznawczy dywizji.

Dostaliśmy włoskie mundury i amerykańskie karabiny. Mało brakowało, a mielibyśmy na głowie takie same kapelusze włoskie z kogucimi piórami, jak ci karabinierzy. Aleśmy nie chcieli. Zrobiliśmy sobie małe, białe orzełki z cyny – wylewano je na kamieniu – takie same jak te. Nosiliśmy je na beretach. Potem poszliśmy do Francji, gdzie było więcej Polaków. Była zima 1918 roku, tłuśliśmy, się daleko i długo, poprzez całą Francję, zły mi, lokalnymi kolejami. Już nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, aż wysadzono nas na jakiejś małej, obdartej stacji. Nad dworcem był napis tak krótki, że mogłem go łatwo zapamiętać: G U E R.

O sześć mil stamtąd był wielki obóz wojskowy, jeden z największych, jakie znam w Europie. A ileż ich znam! Tam były niskie, drewniane baraki, wysokie, murowane latryny, trochę sosen, dużo wrzosów, trzy stare

strzelnice. Na bramie widniały herby Bretanii, bo było to w Bretanii, a za bramą wzdłuż drogi wyrosło przy tym obozie miasteczko, które składało się z samych *cafés*. Café Victoire, Café du bon soldat, Café du vaillant caporal, Café Hortense, Café Madelon i jeszcze więcej; był tam drogi calvados, zła kawa, podłe wino i zniszczone kobiety. Na mapie nie znajdzie pan tego miasteczka i nie ma ono oficjalnej nazwy. Żołnierze francuscy z obozu nazwali je *Putainville*, nasi nazwali je Kurwidołki, a gdyby tam byli Anglicy, to na pewno by je nazwali *Pin-up-girls-town* albo może jeszcze wyrażniej, ale nie chcę powiedzieć, bo Anglicy są bardzo wstydlivi. Ale Anglików tam nie było, bo im pobudowano śliczny obóz pod Rennes i asfaltową szosę do niego, i Rennes odgrywało dla tych boysów tę samą rolę, co dla naszych *Putainville*. Napije się pan whisky? W tej mierze. Jak tylko przejedziemy to miasteczko, opowiem panu dalej.

*

– Sam obóz miał długą i trudną nazwę, która była dla mnie tak trudna do spamiętania, jak dla Anglika polskie nazwisko zakoń-

czony na -ski. Dostaliśmy francuskie mundury i zatrzymaliśmy amerykańskie karabiny, mieliśmy swoje chody w *Putainville*, a dwa razy to nawet byłem w Rennes. Odbyliśmy dwie defilady przed generałami francuskimi, których kepi kapało od złota, a siwe bródki przypominały capa, otrzymaliśmy sztandar z Matką Boską, wyhaftowany przez dobre panie z miasta o zapomnianej przeze mnie nazwie, francuska orkiestra zagrała nasz hymn narodowy, a przed frontem naszych oddziałów przeszedł nasz Prezes Komitetu Narodowego i Prezydent Republiki Francuskiej. Był zupełnie taki jak na fotografiach. Pan wie, jakie ja mam długie wąsy. To może one zwróciły jego uwagę, bo powiedział coś o Sobieskim i spytał, skąd jestem.

– *De Wolica* – huknąłem – *mon président*. – Prezydent się uśmiechnął, a jeden polski major, co za nim biegał, elegant taki, syknął do mnie: – *Votre Excellence* – co jednak nie miało znaczyć, że ja jestem Ekscelencja, ale że do prezydenta trzeba mówić *Votre Excellence*. Ale prezydent nic, tylko powiedział – *Et où est-ce qu'elle se trouve votre Volitsa, mon garçon?* – Coś tam wybąkałem, a on: *Eh bien, laissez le pour dit, la République Française*

vous rendra votre Pologne et votre Volitsa avec. – I znowu zagrano hymny narodowe, francuski i polski, i oficerowie poszli z prezydentem do kasyna i pili różne zdrowia, a myśmy poszli do dziewczyn w *Putainville*. Dziewczyny wcale się nie cieszyły z naszych zaszczytów, tylko płakały: – *Lis les journaux, idiot, les Allemands avancent sur Arras, il y a une nouvelle trouée vers Compiègne.* Nie zobaczysz żadnej Polski i żadnej twojej Wolicy, zagnają cię do tej rzeźni i zgnijesz jak tylu innych chłopców, z którymi leżałam w tym łóżku. – I mówiły bardzo brzydko o swoim prezydencie i o tych paniach, co nam wyhaftowały nasz sztandar. Niezawodnie były to niemoralne dziewczyny, choć dla nas były dobre. Nawet nie zdzierały wiele.

Istotnie były to dni wiosennej ofensywy niemieckiej. Niemcy posunęli się byli bardzo daleko. Potem, oczywiście, bagatelizowano ten moment, ale wtedy myślało się inaczej, tak jak w Anglii w roku 1940. Nie tylko każdy pułk, ale każdy pluton był w owej chwili cenny. Jak potem każdy lotnik z Hurricane'a. Oho! Jeszcze jak! W morale żołnierzy francuskich na froncie też dokonały się zmiany po czterech takich latach, w okopach poja-

wiały się ulotki, na drutach czerwone sztandary i mówiono wiele o Leninie i o tym, co się stało w Rosji. Nasze pułki poszły w bój. Byli w nich Polacy z całego świata. Z Rosji, z Niemiec i Austrii, ze Stanów Zjednoczonych, z Korei, z Chile, z Maroka, z Islandii, tak jak teraz. Powiedziano im, że będą walczyć po to, aby była ich Polska, że będą tak jak Belgowie, którzy mają swą Belgię, i Szwedzi, co mają swą Szwecję, i Bułgarzy, co mają swą Bułgarię – zupełnie jak teraz. „Naród, co wydał Szopena i Kopernika, i Paderewskiego, i tylu innych, ma prawo do tego, co ma każdy naród”. Tak pisał wtedy jeden wielki Anglik i wydawało się nam, że tak będzie – bylebyśmy się dobrze za nich bili.

I biliśmy się dobrze, a nawet bardzo dobrze, co stwierdzały rozkazy dzienne korpusu, armii, frontu, a nawet naczelnego wodza. Posypały się odznaczenia. Co prawda, zauważyliśmy po niejakiem czasie, że za ćwierć tego, co dokonywał Polak, Francuz otrzymałby dawno czerwoną rozetkę Legii Honorowej, i nasz postój w pierwszej linii był co najmniej dwukrotnie dłuższy niż pułków niepolskich, choć w odwodzie staliśmy równie długo jak oni, a raz nawet krócej. Przy nas

była dywizja strzelców senegalskich. Wszyscy czarni i bardzo dzielni. Też bywali długo na froncie – jeszcze dłużej niż my – też krótko w odwodzie. Ordery i wzmianki w rozkazie dziennym przychodziły im trudniej niż nam. Lubiliśmy czarnulków i oni nas lubili, ale nie mogliśmy zrozumieć, po co przyszli marznąć do Europy i umierać w błocie Flandrii. Oni też nie rozumieli, dlaczego my to robimy. Wyjaśnili nam, że wytłumaczono im, iż niemiecka ekspedycja karna temu dwadzieścia lat ukradła zasuszoną głowę jakiegoś króla czy księdza, czy generała – Murzynom Konga, ich świętość narodową, i umieściła w muzeum berlińskim. Powiedziano im, że jeśli Murzyni pójdą bić się do Europy, to dobrzy alianci doszedłszy do Berlina odbiorą zasuszoną głowę i odeślą ją do Konga – a alianci są dżentelmenami i dotrzymują słowa. – Teraz rozumiecie, Polacy – mówili czarni – dlaczego się bijemy po stronie Wielkich Demokracji Zachodu. A wam, czy także ci niegodziwi Niemcy ukradli jakąś waszą urzędową głowę?

Wachmistrz musiał zwolnić, aby przepuścić jakieś amerykańskie ciągniki, potem mijaliśmy lotnisko, na którym lądowały

i z którego startowały maszyny, i huk był niemożliwy. Potem mówił dalej:

– Przebyliśmy u boku aliantów najcięższe wojenne lato – nie, nie 1940, jak pan porucznik pewno myśli, ale 1918. Wszak mówię o tamtej wojnie, nie o tej. Jesienią pomoc amerykańska przyniosła zwycięstwo. Po wielu miesiącach to, co zostało z naszych pułków, poszło do Polski, tak samo jak czarnul-kowie, którzy obok nas byli w okopach, wrócili do swego Senegalu czy Konga, do swoich plantacji, żon, borków i kacyków Oczywiście, jeśli dożyli. Nie wiem, czy im oddano tę zasuszoną głowę, czy nie, ale sły-szałem, że w traktacie wersalskim jest jeden taki paragraf. Może jednak Niemcy nie wy-konali go, jak nie wykonali tylu innych, no a alianci może nie dopilnowali wykonania tej obietnicy, jak nie dopilnowali wykonania wielu, wielu innych.

W Polsce mieliśmy jeszcze, jak pan wie, wiele, bardzo wiele do roboty, nim na miej-sce niemieckiej, rosyjskiej i austriackiej wła-dzy ustaliła się władza polska. Ja byłem ran-ny, leżałem w szpitalu długo, a potem wróciłem do mego pułku, który ongiś po-wstał na ziemi włoskiej. Nie wróciłem też

nigdy do mojej Wolicy, choć mi to tak wyraźnie obiecywał osobiście Prezydent Republiki Francuskiej. Wolica, i nie tylko Wolica, nie weszła do wolnej Polski. Co miałem zrobić? Pułk stał mi się domem rodzinnym zamiast tej Wolicy. Pozostałem w nim na stałe. Przetrwiałem w pułku siedmiu dowódców, kilkanaście manewrów i dwadzieścia lat. Przetrwiałem nawet pewną wielką rewolucję. Oto nasz pułk należał do jednego z dwóch pułków kawaleryjskich w Polsce, które w 1938 roku zmotoryzowano. Zamiast koni mieliśmy teraz motory. Cóż to był za cios! Co to była za hańba! Starzy, zakochani w koniach rotmistrze i wachmistrze uważali, że jest koniec pułku! Taki upadek! Gdyby przynajmniej doczekać dwudziestej rocznicy powstania pułku! Doczekano. Dwudziestolecie dnia, kiedy na ziemi włoskiej powstawał pułk polskiej kawalerii, uczczono jeszcze na koniach. Ale potem przyszły motory... Ile jest stąd jeszcze do Bedford? Czterdzieści mil? Jeśli nie będzie przeszkód na drodze, opowiem panu porucznikowi resztę historii.

Czarny rok 1939 zastał nas na motorach. Mieliśmy czołgi lekkie, niezgorzej uzbrojone, które na ówczesne czołgi niemieckie nie

byłyby najgorsze; cóż, kiedy na każdy nasz czołg szło trzydzieści ich, nie mówiąc o samolotach z powietrza. Brygada zmotoryzowana, w której skład wchodziliśmy, weszła do walki wcześniej, nim Francja i Anglia weszły oficjalnie do wojny. Co to była za walka! W dzień bój, w nocy odskok, i znowu bój, i znowu odskok. Cofaliśmy się w walce wzdłuż całego podnóża Karpat, górzystymi dolinami. Zasadzaliśmy się na niemieckie dywizje w lasach, na górach, u przepraw. Biliśmy się stale w stosunku jak 1 do 3, 1 do 5. Tak pisano w rozkazach. Nigdy inaczej. Przeszywaliśmy niemieckie oskrzydlenia – ciężko tak się stale cofać, ale wiedzieliśmy, że my, jedyne czołgi polskie, zadajemy Niemcom większe straty niż kawaleria na koniach ze swymi lancami. Czarne kurtki skórzane naszych oficerów dobrze były znane dywizjom niemieckim. *Die schwarze Brigade* – tak nas nazwali. Czarna Brygada tego czarnego polskiego września.

Wreszcie przyszedł dzień ostatni. Byliśmy bez amunicji. Niemcy doganiali nas zewsząd. Wsie i miasta płonęły wokoło nas, daleko paliła się Warszawa, jeszcze dalej, nad morzem, walczyły fortyfikacje Helu. To był koniec.

Przyparci do granicy węgierskiej przeszliśmy ją składając broń. Zostaliśmy internowani.

Był to ciężki moment, o, i jak ciężki! Nie było Polski i nie było pułku. Ale była wojna, więc mogła być Polska i musiał być pułk. Polacy za wiele więzień zaznali w swym życiu, aby nie umieli z nich uciekać. Po kilku tygodniach już szedł odpływ ludzki z Węgier, z Rumunii, z obozów, twierdz i więzień do Francji. Ja, na dwa dni przed przekroczeniem granicy, byłem ranny, leżałem w węgierskim szpitalu, tak że wydostałem się później. Przebyłem wpław rzekę na granicy Węgier i Jugosławii. Strzelano za mną w górach przed Triestem. Ale była śnieżycyca, bo to już był grudzień. W styczniu wyjechałem do Francji.

Będę zawsze pamiętał ten dzień, bo od tego wyjazdu przez szereg następnych tygodni wydawało mi się, że śnię jakiś zły sen. Że wszystko wraca, co było. Czy pan uwierzy, że stacja była ta sama? Ta sama, co w 1918 roku, kiedyśmy – też zima – z Włoch odeszli do Francji. Mówiłem do siebie: głupi, czemu się przejmujesz? Co z tego, że góry nad Modaną te same? Wiadomo, że te same, co w tym dziwnego? Że przez Modanę się jedzie do Francji? Więc co? Jeszcze nie tylko 10. pułku

strzelców konnych nie było, ale kolei nie było, a przez Modanę jechali ludzie do Francji. Że mała stacja pograniczna została taka, jak jest, co za nadzwyczajność? Sto tysięcy takich samych stacji jak tu, w tej Francji, w Hiszpanii, w Bułgarii, w Niemczech, w Rosji, w twojej Polsce pozostały, jakie były. Ale weszło dwóch żandarmów: polski i francuski. Serce mi zabiło. Tak. Wtedy, dwadzieścia – nie, dwadzieścia jeden lat temu, tak samo weszło dwóch żandarmów, francuski i polski. W dodatku i wtedy, i teraz był wieczór, mrok, stacja nie oświetlona, nie widziało się twarzy. Można by było pomyśleć nawet, że to ci sami żandarmi. Widać, że nawet rozkłady jazdy pozostały te same i granicę w Modanie przejeżdża się zwykle wieczorem.

Czy pan uwierzy, że wiedziałem, jak się idzie z dworca w Modanie. Cóż dziwnego, że barak był ten sam co dwadzieścia jeden lat temu? W złym, marnym świetle wyglądał, jakbym z niego wyszedł temu pięć minut. Przez środek baraku prowadziło przejście – jak wtedy – po obu stronach leżała słoma, a na niej Polacy. Zastanawiałem się, czy poznam miejsce, na którym wtedy leżałem. Było to po lewej stronie, raczej bliżej pieca niż drzwi;

ale nie mogłem spamiętać dokładnie. Zresztą, leżeli tam jacyś studenci z Poznania. Do późna w nocy gadano w baraku tak samo, jak gadano w tym samym baraku dwadzieścia jeden lat temu. Zupełnie tak samo, aż śmiech gorzki brał. O Polsce, jaka będzie, o rodzinie, od której nie ma wieści, o czyimś bracie rozstrzelanym, o czyjejs matce wywiezionej, o domu, który spłonął, i o wielu innych złych rzeczach, o których ludzie Zachodu nie lubią słyszeć, bo im to źle działa na trawienie. Mówili zupełnie tak, jak mówili wtedy, i na ścianie było nawet jak wtedy: Biały Orzeł, Matka Boska i Paderewski. Sikorski wisiał nad moją głową i nie wiedziałem, czy jeszcze słyszę, czy mi się już śni. Byłem naraz w roku 1918 – i w roku późniejszym od tamtego o równych dwadzieścia jeden lat... Ile jeszcze mil do punktu przejściowego dywizji? Osiemnaście? No, to mamy czas.

Następny ranek był taki sam zapewne jak tyle innych styczniowych ranków u podnóża Alp, i mówiłem to sobie z dziesięć razy. Tak, ale cóż pan porucznik robi – dla mnie to był jak tamten, mój ranek! Wsiedliśmy do pociągu. Ze względu na tajemnicę wojskową – pan wie, ile głupstw się z tym robi – nie powiedzia-

no nam, dokąd jedziemy. Ale mniej więcej o południu byliśmy w Chambéry. Wysoko nad nami, w bladoniebieskim niebie, ostra korona Alp była tak samo przejmująco biała od śniegu jak wtedy i jak zawsze. Przesiedliśmy się w tym Chambéry. Zboczyliśmy na zachód.

Los się widać wziął na powtarzanie. Jechaliśmy przez Francję przez trzy dni i dwie noce, przesiadając się trzynastokrotnie, jakimiś małymi, zesłowiecznymi kolejkami, wagonami, które robiły wrażenie, że rozpadną się na najbliższym zakręcie. Lokomotywy były od babci Drypci, zdyszane jak stare chabety, i nie ulegało wątpliwości, że kolejnictwo francuskiego Plateau Central nie poddało się w niczym zgubnemu wpływowi postępu. Tak zajechaliśmy do Tours. Na chwilę przed naszym odjazdem zajechał na wprost naszego pociągu inny pociąg, też przepelniony rekrutami spieszącymi walczyć na ziemi francuskiej. Z okien tamtych wagonów wyglądały ciekawe, załęknięte, smutne, uległe, a przede wszystkim zziębnięte twarze, dobrze mi pamiętne z 1918 roku z Flandrii. Był to pociąg pełen Murzynów. Olbrzymi pociąg. Przez chwilę chciałem ich zapytać, co ich pcha znowu do Europy; zapewne artykuł traktatu wersalskiego, odno-

szący się do zasuszonej głowy murzyńskiego władcy, należał do tych nielicznych artykułów owego traktatu, jaki Niemcy weimarskie raczyły przecież wykonać? Ale nasz pociąg ruszył bardzo wolno i nie mogłem o nic się pytać, a tylko przed oczyma przesuwały mi się wyglądające z okien wciąż inne, a zawsze takie same murzyńskie twarze. Był wieczór i zrobiło mi się smutno. A może, pomyślałem, Niemcy nie wypełnili i tamtego postanowienia traktatu wersalskiego, i Murzyni walczą po raz wtóry o zasuszoną głowę swego bohatera?

W moim wieku nie jedzie się bezkarnie na twardych drewnianych ławkach, siedząc trzy dni i dwie noce. Toteż wreszcie zubożniałem na wszystko, którędy i dokąd jedziemy, potem zaś zasnąłem i przespałem nawet końcową stację. – Hej, wstawaj, niech pan wstaje, panie wachmistrzu – wołano na mnie – dojechaliśmy, wysiadamy.

Uczułem ulgę, że to już koniec tej mordęgi, przeciągnąłem się i ruszyłem za innymi. W tej chwili myślałem tylko o tym, co będzie teraz, zaraz, nie o tym, co było kiedyś. Zapomniałem naraz Modanę, Murzynów, rok osiemnasty.

Chciałem jednak dowiedzieć się, gdzie jesteśmy. Próżno o to było pytać kogoś z towa-

rzyszy; zresztą wychodziliśmy, dowiem się sam. Byliśmy stłoczeni, i ten, co przede mną wychodził, malarz ze Lwowa, był wysoki i miał szerokie plecy. Kiedy wreszcie zeskończył z wysokich stopni wagonu, odsłonił świat. Świat – to była mała stacyjka, która zaraz wydała mi się skądś znajoma. Podniosłem wyżej oczy i przeczytałem napis. Był on krótki, łatwy do spamiętania. Zawierał tylko cztery litery, cztery litery na białym tle. – G U E R. Guer.

Pan może myśli, panie poruczniku, że byłem wtedy zgnębiony jak w Modanie? Otóż wcale nie. Nie wiem nawet, dlaczego, może że się wyśpałem. Pomaszerowaliśmy razem z innymi, prosto do tego obozu – bo gdzieżby indziej? – w prawo i pod górę. Droga była taka sama, wierzbami po bokach porosła, wgłębiona w grunt, bretońska. I jabłonie na *cidre*, na polach. I domy biedne. I wreszcie wykwił na wzgórzu obóz, ten sam co wtedy, tyle że parę nowych baraków przybyło, parę starych sosen ścięto. Ta sama brama, te same kantyny, kasyno oficerskie w głębi, szpital po prawej, wysokie latryny, herby Bretanii. Na placu idę, patrzę: pod magazynem – ten sam magazyn – kto to? Rotmistrz Wysocki! Toż to rotmistrz Wysocki!

Wiedziałem, że po tamtej wojnie wyszedł z pułku, żył we Francji, ponoć bił się w Hiszpanii. Stary rotmistrz Wysocki. Oficer, ale nie jak drudzy. Brat prawie. Wysocki! Posiwał. Twarz mu się pomarszczyła na jabłko, ale ani się nie przygarbił, ani roztył. Suchy, jaki był. Poznał mnie zaraz.

– To wyście sami?? Zaraz zaraz... Jakże wam to? Czekał! Sam przypomnę. No oczywiście. Lendzion! Wojciech Lendzion! Z pierwszego czy drugiego? No tak, drugiego. Pewno, że was pamiętam. Wyście dla całego pułku jeszcze w Lamadria we Włoszech te orzełki z cyny odlewali. Czekał! Mam jeszcze waszego orzełka.

Rotmistrz szukał w portfelu i długo nie mógł znaleźć, a mnie się jakoś naraz w oczach zrobiło mętno i z grdyką coś tak... nie tego. Więc głowę spuścił i widziałem tylko, że ręce rotmistrzowi jakoś nerwowo bardzo po tym jego portfelu chodzą. Aż się coś zasrebrzyło. Poznają. Rotmistrz patrzy na tego orzełka i ja patrzę, i jemu on przypomina naraz jego młodość, tamte czasy, to, w co człowiek wierzył, to, co nie przyszło, i to, co się teraz zawaliło. Wszystko, czego nie ma. I jeden drugiemu w oczy nie patrzy, a tylko w tę blaszkę świetlistą. I nie wiem, co by się stało. Może

bym buchnął rykiem na samym środku tego francuskiego obozu, ja, com w szpitalu, gdy mnie na żywo krajali, tylko śpiewał; może bym buchnął rykiem, gdyby nie rotmistrz. – No więc, takiego orła? Bo pułk tu się formuje, rozumiesz. Ten sam, co w Lamadria. Ten sam, co był tu. Mundury znowu będą francuskie. Broń podobno amerykańska. A orzełków trzeba na gwałt. Zrobisz?

I ja odpowiedziałem jak dawniej:

– Tak jest, obywatelu rotmistrzu!

– A cynę i formę masz?

– Zrobi się!

– No to, walaj! Aha, nasz barak K 220. Zapamiętajcie tylko. Nie zgubcie się. Cynę dostaniecie pewno w tych tam budach... *Putainville*. Jakeśmy to nazywali je?

– Kurwidołki, panie rotmistrzu.

– Mnie możecie bez tego tam „panie”. Ja nie z takich. E, głupstwo. Ale pamięć to macie. Biegnijcie do tych Kurwidołków, stare kąty nawiedźcie, a może tam która pamięta i nasz pułk, to jej tam, co możecie, odstawcie! Rozumiecie, tradycja!

– Rozkaz, panie rotmistrzu!

Poszedłem do Kurwidołków, ale cyny tam nikt nie miał, a kamienia do formy jeszcze

mniej. W drzwiach kafejek, które były te same co wtedy, stały za to rozmamłane dziwy o śmiałym spojrzeniu. Widziały, że nie jestem Francuzem. – *Polonais, Polonais?* – zakrakała jedna czarna dziwka, krzykliwa zupełnie jak kruk. – Ja mówić po polski! *Viens, mon garçon! J'en ai vu des copains comme toi. C'est pas cher, pour un allié. Je sais que vous n'êtes pas des milords.*

I jej głos ścigał mnie, panie poruczniku, chrapliwie i niepokojąco, jak we Flandrii albo we wrześniu w Polsce, naprawdę jak głos kruk, który wietrzy nowe trupy i nowe pobjowisko. I mnie się czemuś znowu zrobiło smutno i straszno.

Czołgi przed nami wjeżdżały na wprost przed Bedford.

– A teraz może ja będę znowu w Guer i w Coëtquidan – tak się ten obóz nazywał, a ci nasi we Włoszech podchodzą może pod Lamadrię. I niejeden zobaczy je pewnie po raz drugi, jak ja zobaczę Coëtquidan po raz trzeci. Jednogom tylko ciekaw jeszcze, panie poruczniku, a jak ci Murzyni? Co pan porucznik myśli? Czy oni też...

Ostatnie słowa zgłuszył chrzęst gąsienic na moście.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946.

Trębacz z Samarkandy

Był kiedyś, jak ja, młodszym asystentem przy katedrze historii prawa i wkładał tę samą, co ja, pasję w *volumina i pandecta*, w wilkierze i *rescripta*. Kolejne zimy słały białe gronostaje śniegu na renesans krużganków wawelskich; kolejne wiosny rozzieleniały Sikornik zielenią jeszcze młodszą niż ta z trawników Green Parku. Ale ciemne pokoje gmachu na Gołębiej 20, gdzie zakłady uniwersyteckie gnieździły się od czasów Zygmunta Starego, były zawsze tak samo mroczne, jedynie może na wiosnę bardziej jeszcze wilgotne. A myśmy pisali rozprawę po rozprawie, pracę po pracy. Kiedy pracował nad prawem kulmeńskim, ja zaczynałem moje *Urządzenie włości monarszych na podstawie «Capitulare de villis» Karola Wielkiego*. Kiedy grzebał się w ustawodawstwie miejskim Prus Królewskich, ja kończyłem studium

o wpływie Monteskiusza na Konstytucję trzeciego maja. Byliśmy w wielkiej zgodzie, bo łączyły nas te same pasje naukowe. Ale mnie coraz bardziej pociągał Wschód naszych najbliższych sąsiadów, ów Wschód republik kupieckich Wielkiego Nowogrodu i Pskowa, Złotej Ordy, z którą kumał się Witold, Girejów krymskich, z którymi korespondowali Jagiellonowie. Tylko że w Krakowie, jak i na Zachodzie, brakło dla mnie kluczy do tego tajemniczego świata. On za to do swego miał wszystkie. Jak mnie pociągał Wschód, azjatycki i mongolski, tak jego pociągał umiar, spokój, chłód i ład miejskiego średniowiecza Europy. W Krakowie, obok arystokratycznego klanu Pałacu pod Baranami, Brackiej i Szlaku Tarnowskich, obok świata profesorskiego, gdzie katedry naukowe były zwyczajowo dziedziczne, niczym kasztelanie w dawnej Polsce, no i jak nieraz stanowiska polityczne w niedawnej Anglii, istniał jeszcze i cichszy, skromny, ale silny w sobie świat mieszczański. Bardziej odpowiadała mu Panna Maria niż katedra na Wawelu, a mieszczańskie domy Grodzkiej bardziej niż pałace. Mój przyjaciel wyrósł właśnie z tego świata.

Młodzi historycy mają zwykle pogardę dla wszystkiego, co określane jest przez nas jako legenda, obrzęd, podanie ludowe i co nie może się wylegitymować świadectwem wyraźnych dokumentów. Mój przyjaciel inaczej. On raczej najbardziej zdawał się wierzyć właśnie tradycji ludowej. Uważał, że, przechowywana przez ludzi o umysłach prostych, znacznie mniej ulega skażeniu niż wtedy, gdy biorą ją w objęcia swej fantazji ludzie określane jako wykształceni. Uważał, że jeśli jakąś wersję przechowuje jeden tylko człowiek albo paru ludzi lub kilka dokumentów, jest ona znacznie mniej wiarygodna niż wersja przechowywana przez ogół mieszkańców pewnej wsi, dzielnicy czy miasta i przez masę ludzką przekazywana następnym pokoleniom. Toteż gdy w pewnej chwili zawrzał spór o tzw. lajkonika, mój przyjaciel stanął mocno po jego stronie. Wszyscy znamy historię lajkonika, nie warto jej powtarzać. Dość, że naraz wydłubano nie wiedzieć skąd, iż owa tradycja, z której Kraków był tak dumny, którą tak hucznie obchodził rokrocznie w okresie Bożego Ciała, jest wymysłem na pewno bardzo późnego pochodzenia! Albowiem nie znaleziono

przecież w żadnych źródłach najmniejszego śladu, by Kraków doznał kiedyś takiego właśnie najazdu tatarskiego, o jakim mówi tradycja. Nigdy Tatarzy nie podeszli do miasta niespostrzeżenie i tak blisko, by móc je chcieć opanować podstępem i, co ważniejsza, móc ubić z łuku strażnika na wieży mariackiej w chwili, gdy ten grał hejnał. Tak samo nie ma wzmianki o tym, jakoby rozgromiono później owych Tatarów, i to tak, że ich wódz czy ksiązę poległ. A nawet owe stroje, rzekomo wschodnie, w które przystrojony jest corocznie lajkonik i jego „tatarska” świta (wszystko zwierzynieckie zuchy), w niczym nie przypominają strojów krymskich, wiadomo zaś, że z Krymem mieliśmy do czynienia. Są to stroje raczej z głębi Azji, znad granicy perskiej, typowo orientalne, aczkolwiek wypaczone w toku lat. Profesorowie, jak wiadomo, nie lubią legend, a lubują się w ścisłości.

Lud krakowski nie bardzo się przejął owymi odkryciami profesorskimi. Po pierwsze dlatego, że żył odgradzony zarówno od Krakowa hrabiowskich koron, jak od Krakowa profesorskich tóg murem obronnym znacznie dawniejszym niż Brama Floriańska. Po dru-

gie, że już raz stoczył bój zaarty a zwycięski o gołębie Kościoła Mariackiego. Ale mój przyjaciel począł kruszyć kopie z dobrą półkopą mędrców zasiadających rokrocznie w stallach Collegii Novi i defilujących w gęstych oparach naftaliny, w purpurze, fiolecie, zieleni i granacie tóg, z kościoła św. Anny do tegoż Collegium. Przypomniał, że przecież hejnał mariacki był niegdyś grany z baszt na murach miasta i że na jednej z tych baszt mógł być ustrzelony ów trębacz; wywodził, że w kronikach są luki i niedokładności; że jeśli czegoś nawet nie było w kronice, w życiu przecież mogło się zdarzyć. Dyskusja się toczyła; lata też: mój przyjaciel na marginesie innych prac bronił swej legendy.

W roku 1939 powołano go do wojska na ćwiczenia rezerwistów. Pisał do mnie, gdzieś z Ostroga: „Zwiedzam Twoje rodzinne strony”. Niebawem miał zwiedzić je w sposób nieco dokładniejszy. Znalazł się bowiem w Starobielsku, potem w Griazowcu, a wreszcie w Taszkencie. Po dwóch latach ponieważ mundur polowy armii polskiej był wyświechtany, obskubany, wycerowany, ale więcej w nim było sławy niż w niejednym sztandarze, co to nigdy poza defiladami nie widział fron-

tu. Człowiek zszarzał, ściągnął się, ale fantazji nie stracił. Dużo czytał, trochę pisał.

– Szalenie żałuj, żeś tego wszystkiego nie przeżył. Kozielsk, co tam za monastyr! Prawosławny barok! Zjeździłem jako oficer kwaterekową całą środkową Azję sowiecką. Co to za wspaniałości! Bucharą, Samarkandą!

Był to naprawdę naukowiec, bo najgorsze wszy nie zdołały w nim zabić owej pasji, tak samo jak w Józefie Czapskim nie osłabiły wrażliwości na piękno, na barwę, na światło i linie, tak samo jak w Broniewskim nie odczadziły uroku wierszy Jesienina i Błoka. Siedzieliśmy już w Teheranie, mieście legend Szeherezady, mieście Wschodu, i poprzez tandetę europejską, która tak zachwycała ludzi po wyjściu z Rosji, Wschód nachylał się nad nami i zaglądał nam do okien. A rozmowa stłumiona mówiła o Krakowie, o profesorach, o Stanisławie Estreicharze, którego nie ma, o Kutrzebie, Taubenschlagu, o Adamie Vetulanim, o całym świecie, który się gdzieś zagubił, wymarł czy rozproszył. Żegnaliśmy się. Miałem zejść do niego wieczorem. Powiedział mi jeszcze: – Gdy przyjdiesz, coś ci opowiem... coś pięknego ci opowiem.

Mój przyjaciel mieszkał na końcu miasta, u Ormian. Siedzieliśmy na podwórzu domu,

pod drzewami, sami. Wiedziałem, że opowie mi coś, jak opowiadał kiedyś w seminarium na Gołębiej 20, o dokonanych właśnie odkryciach czy spostrzeżeniach. Zaczął jednak opowiadać o Samarkandzie.

– Wiesz – mówił – muszę się przyznać, że gdy nas skierowano znad Wołgi do tamtych okolic, odetchnąłem od razu. Krajobraz takiego Jangijulu na przykład – to czasem krajobraz podkarpacki. Czy pamiętasz może Biecz, przypięty w górach, omszały? Nie znaleźliśmy naszych miast! Poza tym byli tam ludzie. Być może, że w innych okolicach byli inni, być może, że gdybyśmy byli więźniami, zachowaliby się inaczej, ale teraz, ja przynajmniej mogę powiedzieć, że odetchnąłem. Jest to stara rasa, na swój sposób kulturalna i cywilizowana. Ma ową godność, jaką mają mieszkańcy Maroka i Arabowie Palestyny. Myśmy dla nich prócz tego byli synami Lechistanu. Nie ma dla tych ludzi żadnej Łotwy, żadnej Czechosłowacji. Nie słyszeli o Holandii, Szwajcarii czy Hiszpanii. Ale o Lechistanie słyszeli. Tak jak my ongi o Turcji. Po tylu wiekach zostały tylko dobre wspomnienia. Może tak będzie kiedyś i po obecnych wojnach. Co krok, co jakieś miasto, meczet jakiś, mogiła, natrafiało się na wspomnienia historii. Nie ma

śladów historii w zielonych ostępach Komi, nie ma jej za Uralem, skąpa i młoda jest nad Wołgą. Ale tam, za Morzem Kaspijskim, a ku granicy Persji, historia ułożyła się fałdami tysiącleci. Kraj cały jest jak wygasły wulkan, który przed wiekami lał lawę na świat. Ludy tamtejsze to taka właśnie lawa. Wylewała się ona szeroko i daleko, niosąc wojnę, ogień i mór. Aż zgubiła się w sobie i ostygła. Siedzi to nieruchomo teraz w progu nędznych domostw i czeka na nie wiedzieć co. Nawet rewolucja nie przeorała jeszcze tego marazmu do dna. Wschód. Otóż nas, Polaków, wojsko, witano, powiedziałem ci, niezmiernie serdecznie: Uzbekowie, Tadżykowie, Kirgizi, wszyscy. Ale dopiero w Samarkandzie rozpylwano się w gościnności typowo wschodniej, orientalnej, nasiąkniętej jakimś tajonym interesem. Interes był rzeczywiście bardzo dobrze utajony. Nie wyszedł nawet wtedy, gdy zapytano nas, ni to z głupia frant, ni to nie wiedzieć co: – Jesteście synami Lechistanu, prawda? – Jesteśmy. – I jesteście żołnierzami, prawda? – Jesteśmy. – Kilku starszych, o pomarszczonych, pożółkłych na brąz twarzach zadumało się, raz jeszcze stwierdziwszy to, co wiedzieli przecież od dawna. Po czym pytali dalej jakby od niechcienia: – I wierzycie w Boga? W swego

dawnego Boga, tak? – Wierzymy, księży mamy, o patrz, krzyże nosimy – odpowiedzieliśmy. Starzy ludzie popatrzyli na wyjęte z zanadrza krzyżyki. Takie z puszek po konserwach wycięte. Zdawało się, że ich to dziwnie raduje. Tu przyszło nowe, dość niespodziane pytanie, już jakby śmielsze, już idące wprost: – A trębaczy macie? – Mamy! – Jak wiesz, instrumenty muzyczne mieliśmy bardzo prędko; rozumiesz przecie, jak by wyglądało polskie święto pułkowe czy defilada bez orkiestry. Nie wiem, jak tam u was w Szkocji, ale u nas to tego nie brakło... Po przerwie Uzbekowie rzekli: – Bo my mamy tu do was jedną wielką prośbę... Jeśli jesteście z Lechistanu i jesteście żołnierzami... i wierzycie w swego Boga... i macie trębaczy... czy nie moglibyście jutro wieczór kazać waszym trębaczom, by zatrąbili na naszym starym rynku? Na wprost meczetu, w którym leżą prochy Wielkiego Timura? – Zgoda. – Starzy ludzie podziękowali, dziwnie, jak na Wschód, krótko, i odeszli. Jeszcze, odprowadzeni, spytali w progę: – Czy na pewno zagraacie? – Zagramy. – Nazajutrz uświadomiliśmy sobie, że jest to czwartek, przeddzień mahometańskiego świętego dnia, i pamiętam, że ktoś w oficerskiej stołówce zwrócił nawet na to uwagę. Że może

ma to jakiś związek. Ale naprawdę poczuliśmy to dopiero wieczorem. Pułkownik, który lubi takie rzeczy, postanowił godnie wystąpić. Trębaczy wypucowano jak się należy, trąby, wszystko, a jakże. Wieczorem przed meczetem w Samarkandzie, słynnym meczetem, gdzie spoczywają prochy Tamerlana, czerniał tłum tak zbity, tak gęsty i tak nieruchomo czekający, jak tylko na Wschodzie azjatyckim tłum czekać może. Zupełnie zastygł. Falował tylko pomrukiem. Nawet przyległe ulice i bazyry, wszystko to było wypełnione. Jedyne przed meczetem widniała niewielka, otoczona mrowiem łysina pustego bruku. Ku niej podeszli trębacze. To było miejsce dla nich. Zagrali raz, drugi i trzeci. Zagrali pobudkę wojskową, zagrali jakiś apel, zagrali wreszcie hejnał. Nasz, mariacki. Pamiętasz, jak grano go w Tatiszczewie w grudniu? Wiesz dobrze, jaka jest ulica w takiej Samarkandzie czy innej Bucharze. Otóż wtedy nie było nic z tego wrzasku, rejdachu, wobec którego nasze Nalewki czy Kazimierz były oazą cichości. Oni naprawdę zmartwieli. Muzyka na nich tak działa, czy co? W milczeniu słuchali, w milczeniu się rozeszli. Aleśmy tedy już zrozumieli, że coś w tym jest. No i zaczęliśmy tropić, wietrzyć, węszyć. Żaden z naszych domorośłych

szpicłów – a przyznasz, że u nas w ostatnich czasach ta branża dziwnie się rozmnożyła! – tak nie wierzy, tak za słowa nie łapie, tak w cudze życie nie wścibia się jak my wtedy. Ale ludzie Wschodu byli nieprzeniknieni. Nie chcieli nic powiedzieć.

Przyjaciel uśmiechnął się:

– Pierwsze wygadały się kobiety... – uśmiechnął się pięknymi, młodymi zębami, których nie zgryzł skorbut, których mu szczęśliwie nikt nie wybił w tej poniewierce. Ale o tych rzeczach nigdy nie mówił, więc wrócił do tematu: – Z relacjami świadków jest jak z relacjami w archiwach. Znajdziesz coś w Jagiellonce, porównasz z czymś w Raperswilskiej; znajdziesz coś w Raperswilskiej, porównasz z czymś w Kórniku. Byle było zahaczenie. Zahaczeniem było to, co mi powiedziała owa dziewczyna. Potem wygadali się starzy ludzie, ci, co to znali lepiej.

Pamiętam, już się ściemniło zupełnie i na ścianie ormiańskiego domu były cienie od księżycy błękitne, kiedy mówił dalej:

– Jest, okazuje się, w Samarkandzie pewna legenda. A raczej prorocstwo. Otóż oni kiedyś brali udział wespół z Tatarami w najazdach na Polskę. Rzecz zrozumiała, że brali,

bo skądże by takie masy parły na nasze kraje w czas najazdów? I oto raz dopadli do miasta, „które u was – tak mi powiadał Uzbek – jest tym samym, czym u nas (to jest tamtejszych Tatarów) Samarkanda”...

– Kraków? – zapytałem nagle.

– Nie wiem: tego mi nie powiedział i nazwy legenda nie podaje: mówi tylko, że bardzo stare i bardzo bogate miasto...

– Jeśli bogate, to nie Kraków.

– Przepraszam: w ich pojęciu także Samarkanda jest bogatym miastem.

– No, jeżeli Samarkanda... – przyznałem.

– ...bardzo stare i bardzo bogate miasto, stolica kraju. I miasto święte. Właśnie z jednego z minaretów – jak oni mówią – tego miasta trąbiono modlitwę. Tatarzy podkradli się pod same mury. Chcieli miasto wziąć przez zaskoczenie. I wtedy...

– Toż to lajkonik!

– Uważaj! I zaledwie trębacz mógł zaalarmować miasto, gdy strzała z tatarskiego łuku przeszła mu gardło. Zginął, ale zaalarmowane miasto obroniło się. Tatarzy ponieśli klęskę.

(Dziś, kiedy sobie spisuję tamto teherańskie opowiadanie, przychodzi mi na myśl, że

przynajmniej raz źródła dziejowe dwóch narodów opisują to samo wydarzenie w identyczny sposób. Wtedy, w Teheranie, mogłem myśleć tylko o legendzie).

– Więc to naprawdę nasza legenda?

– Poczekaj. Ale czy wiesz, dlaczego chcieli, żeby nasi trębacze zagrali w ich mieście na wielkim placu, u progu meczetu?

– Dlaczego?

– Ano, wyobraź sobie, że owi Tatarzy mieli ongi szlachetny zwyczaj spisywania dokładnych raportów po każdej wyprawie. Jaki miała przebieg, jak długo trwała, jak wojowali przeciwnicy, gdzie łup był najbogatszy w bydło, a gdzie w kobiety. Raporty takie były po powrocie do ojczystych stepów poddawane badaniom jakby komisyj, gdzie zasiadała starszyzna, a więc i kapłani. Szczególnie pilnie badano raporty, jeśli wyprawa poniosła klęskę.

Pomyślałem, że nie był to wcale taki zły wynalazek i że cywilizacja polityczna Tatarów w w. XIII stała wyżej od krajów lepiej mi znanych. Ale słuchałem dalej.

– Tym razem przyczyny klęski zbadano tym dokładniej, że zginął w niej jakiś królewicz tatarski, syn wodza czy coś takiego. Zupełnie więc jak w naszej legendzie krakowskiej. Jak

widzisz, czasem legendy mają rację. Kapłani nie biedzili się długo nad swą wyrocznią. Orzekli oni niebawem, że klęska była spowodowana karą nieba za to, że w czasie gdy miasto zabierało się do modlitwy, przerwano znieścacka jego pacierze. Nie wiem, dlaczego tak właśnie orzekli. Może dlatego, że wszyscy kapłani mają poczucie solidarności, może dlatego, że nie znalazłszy innych przyczyn chcieli w ten sposób wyrazić to, co my nazywamy *vis maior*. Dość, że tak orzekli. I dodali jeszcze przepowiednię nader ponurą dla tych wszystkich ludów „Czyn wasz – mówili – ześle na was karę nieba. Jak wyście innych brali w niewolę, tak sami w obcy jasyr pójdziecie. Nie będziecie tratowali cudzych ziem co wiosnę, ale inni wasze ziemie stratuja. Jednak i dla was zabłyśnie jeszcze nad stepem słońce pomyślności. Ale nie nastąpi to, zanim trębacz z Lechistanu nie zatrąbi na rynku w Samarkandzie pieśni, której wtedy nie skończył”. Tak powiada legenda samarkandzka. I tak wierzą wszystkie plemiona mongolskie od Tien-Szanu po brzegi Morza Kaspijskiego. Duch Dżyngis-chana błąka się po stepach Azji.

– Więc to jest autentyczna legenda?

– Cóż to znaczy: legenda autentyczna? Bywają dokumenty autentyczne lub podrobione;

nie ma autentycznych lub podrobionych legend. Legendy nie mają metryki. Kraje nowe nie mają legend; kraje stare je mają. Legenda fermentuje w mózgu paru pokoleń, jak wino w kadziach, nabiera siły. To pewna, że tutaj nikt nie słyszał o Krakowie, o hejnale, o naszym lajkoniku. Ale mieli legendę, która jest jakby połową naszej legendy. Jak w naszym kilimie odnajdujemy ich stepowe wzory, tak w rysunku owej legendy odnajdujemy ślad naszej.

W zmierzchu niebieskim nocy, pod białą, wyblękitniałą ścianą, Kraków nagle zesuwał się na obraz Samarkandy. Wieża mariacka, Rynek, Gołębia, Planty. Opadała zasłona przestrzeni i czasu. Zmalały gdzieś mile i wieki. Pomiedzy dalekim Krakowem a niemal legendarną Samarkandą poczynał się więc wzorzysty, jednakowy dla nich i dla nas rysunek wspólnej legendy. Splotły się naraz jednakim wspomnieniem i jednakową do dni lepszych tęsknotą dwóch tak samo ongi wielkich, tak samo później ugiętych przez złą dolę ludów.

„Trzynaście opowieści” – Warszawa 1946.

Ksiądz Ułas

Poznałem go na początku roku akademickiego 1929 albo 1930, na pewno nie później, bo potem opuściłem już Kraków. Było to w piętrowym, niewysokim domu, który stał – a może i dotąd stoi – na samym środku targowego, źle brukowanego placu, noszącego po krakowsku uroczystą nazwę „imienia Jabłonowskich”. Niewysoki dom należał do magistratu i na parterze mieściły się jakieś wyższe instancje rzeźni miejskiej, lokalna komisja poborowa i jakiś trzeci urząd, także w tym rodzaju. Wszystkie one przeciągały swe zajęcia co najwyżej do trzeciej po południu, po czym zamykały biura na wszystkie możliwe spusty, sztaby żelazne i kłódki. Było to niezawodnie nawykiem jeszcze z owych archaicznych austriackich czasów, kiedy Kraków w tej stronie miasta kończył się na granicy Plant, a Wenecja, Wolska, Garncarska, nie mówiąc już

o Błoniach i Salwatorze, stawały się z nastaniem mroku jakimiś Dzikimi Polami, na których harcowała bezkarnie dzika Krowodrza i niepokojące samą swą nazwą Półwsie Zwierzynieckie. Tamte czasy, oczywiście, dawno minęły, „Dzikie Pola” skolonizowano alejami Trzech Wieszców; miasto całą nową dzielnicą odpierało już Błonia od Rudawy. Nawet za sam Park Krakowski wyrzuciło, jak nowy Barbakan, grupy nowoczesnych will. Ale biurokracja wolnego stołecznego miasta umiała szanować tradycje, toteż lokale urzędowe w domu na placu Jabłonowskich zamykano dalej na wszystkie sztaby, kłódki i zastawki, jakie tylko były. Po czym, jeśli było niedługo po pierwszym, to wszyscy, a jeśli dłużej, to tylko niektórzy pospieszali do szynków, i to znowu wedle stanu: jedni do Wencla, drudzy do baru „Żywiec”, inni na róg Straszewskiego, po prostu do Goldmana. I dom zostawał pusty.

Tak samo jednak jak parter domu na Jabłonowskich żył tylko pierwszą połową dnia, tak piętro żyło drugą. Piętro liczyło sobie parę dużych pokoi, nie tak jednak dużych i nie tak nowoczesnych, aby móc służyć za mieszkanie w mieście, gdzie czynsze były niskie,

a nowych domów sporo. Magistrat miał zresztą złe doświadczenie jako kamienicznik, albowiem krakowianie byli zdania, że, komu jak komu, ale magistratowi nie powinno się płacić komornego, wprost nie wypada. Zawsze trzeba było dopiero na drodze sądowej prostować te mylne poglądy. Toteż z mieszkaniem na piętrze nie chciano mieć kłopotów i po prostu oddano je za darmo – byle tylko za elektryczność płacili – Akademickiemu Kołu Kresowemu.

Akademickie Koło Kresowe zaś było całkiem osobnym rozdziałem krakowskiego życia. Należeli do niego ludzie urodzeni na ziemiach, których zachodnią granicę stanowił Bug i Zbrucz, wschodnia zaś ginęła gdzieś we mgle globu. To jedno można było ustalić, że obejmowały one nie tylko Irkuck i Tobolsk, ale nawet Harbin. Był czas, gdy chciano nawet przekonać delikatnie harbińczyków, iż skoro jest ich w Krakowie aż kilkunastu, mogliby zawiązać własne koło, mieć prezesa, skarbnika, zarząd, może nawet własną stolówkę z potrawami chińsko-polskimi? Ale harbinianie nie odznaczyli się zbytnimi ambicjami do samostanowienia i tłumaczyli nam uparcie, że między nimi, z Harbina, a tymi

urodzonymi w Wilnie, Mińsku, Równem, Kijowie, Ałcie, Moskwie – nie ma właściwie różnicy, że różnica pojawia się dopiero tam, gdzie naraz znika drewniana cerkiew, kabłak „dugi” zgięty nad karkiem końskim i krupna kutia, ugniatana z makiem i miodem w poranek wigilijny. Oto właściwe słupy graniczne. Teoria ta wydawała się nam wtedy pozbawiona naukowych podstaw. Na uniwersytecie bierze się jeszcze naukę bardzo na serio. Dziś nie wiem, czy charbinianie nie mieli trochę racji.

Liczebnie biorąc, Akademickie Koło Kresowe nie mogło iść w zawody z takim Kołem Śląskim, ba, nawet z rzeszowskim czy tarnowskim. Już także zakopiańczycy stanowili poważną konkurencję. Ale swym zasięgiem terytorialnym biło wszystkich, albowiem włączyło bez pardonu cały Związek Radziecki, część Chin, część Persji, całą Turcję, Afganistan, Bombaj, a nawet japońską część Sachalinu. Wszędzie tam lat temu dwa czy trzy dziesiątki stały kolebki tych ludzi, toteż ciągnął ich jakiś żywy sentyment do owych stron, z którymi najczęściej rozstali się na zawsze. A przynajmniej do wspomnień stamtąd i ludzi stamtąd. Sentyment ten nie miał w sobie żadnego

politycznego zabarwienia. Akademickie Koło Kresowe nigdy i w niczym nie przyczyniło się do zmażenia stosunków polsko-perskich, polsko-chińskich, polsko-tureckich czy polsko-sowieckich. Panowała tu raczej wspaniała tolerancja sympatyj. Świadczyła już o tym tablica Koła, na której pojawiały się tuż przy sobie następujące ogłoszenia:

„Kto zabrał – zapewne przez pomyłkę – drugi tom Szołochowa *Tichij Don*, zechce”... itd.

„W piątek siódmego w sali Muzeum Rzemieślniczego odbędzie się staraniem «Proświty» akademii ku czci głównego atamana Semena Petlury...”

„Członkowie Koła proszeni są na odczyt prof. dra W. Lednickiego: *Nowa Rosja w literaturze sowieckiej*”.

„Sekretariat obwodowy Obozu Wielkiej Polski zawiadamia, że broszura dra Klaudiusza Hrabyka: *Ukraińców stworzył Berlin* jest do nabycia dla członków i sympatyków”.

Na stole pingpongowym, gdzie przedstawiciel Krymu łupił niemiłosiernie reprezentację Polesia i który, jak wieść niosła, posłużył kiedyś jednemu z członków zarządu do ćwiczeń seksualnych z pewną sercową pacu-nelką spod Wodoktów, leżały zgodnie i przy-

kładnie monarchistyczne „Słowo” i komunistyczny „Miesięcznik Literacki”, klerykalny „Głos Narodu” i Boy’owskie „Wiadomości Literackie”, ukraińskie „Diło” i warszawski rosyjski „Miecz”. Towarzystwo biorąc, Koło było tak samo mieszane. Syn magnata spod Białocekerki był sekretarzem w zarządzie, w którym syn ekonoma jego papy zaszczytnie prezesował, córka carskiego dygnitarza urzędowała na tańcówkach w bufecie wespół z córką biednego warszawskiego kolejarza, którego los rzucił do Orenburga i tam skojarzył małżeństwem z jakąś miejscową Gałafirą, Sonieczką czy Lubaszą. Ach, tak, tańcówki! Zapewne, bal górników na św. Barbarę był świetniejszy, bal snobistycznej korporacji „Corolla” (zawsze w gościnnej „Floriance”) – bardziej szykowny, ale proste tańcówki sobotnie na Jabłonowskich były jednak najlepsze. Nigdzie też tak nie tańczono mazura, kujawiaka i krakowiaka. Miano je zresztą wszystkie w niejkiej pogardzie; narodowym bowiem tańcem Koła był ukraiński kozak. Tu jednak los ciężko pokarał kresową kolonię, gdyż okazało się, że kozaka najlepiej tańczy w Krakowie pewien rodowity... Ślązak z czeskiego Cieszyna. Był to wielki despekt zwła-

szcza dla synów Zaporozża, ale tak było. W dodatku ów Ślązak poświęcał znacznie więcej czasu choreografii ukraińskiej niż prawu rzymskiemu, toteż studiował każdy rok po dwa lata i przy każdej sposobności uświadamiał potomków Siczy, że aby tańczyć kozaka jak należy, trzeba być rodem z Zaolzia. Na szczęście miał wuja i wuj dał mu wreszcie jakąś posadę, wobec czego poniechał i studiów, i występów. Koło odechnęło.

*

Na parę lat przed tym wydarzeniem, pewnego wczesnego popołudnia zjawił się w Kole dość osobliwy gość. Był ubrany w szeroką sutannę, inną niż katolickie, i pomimo młodego, całkiem młodego wieku puszczała mu się już broda. Wszedł dość zakłopotany, wymamrotał jakieś niewyraźne pozdrowienie, po czym upewnił się, już wyraźniej, czy jest to istotnie Akademickie Koło Kresowe? Polszczyzna jego była poprawna, może zanadto poprawna; lśniła gramatyką, niczym drzwi świeżo malowane, błyszczące nieobeschłą farbą. Lepiej być dalej od takich drzwi – i le-

piej nie poddawać takiej polszczyzny zbyt szczegółowym badaniom.

Polszczyzna zresztą utknęła sama na tym pierwszym pytaniu i może tkwiłaby tu długo, gdyby znad partii szachów w kącie nie padło naraz znacznie swobodniejsze zapytanie:

– *Batiuszka!! A wy zwitki?!*

Olśniło nas. Tak, oczywiście, *batiuszka*. Jasne, że *batiuszka*! Jakiśmy mogli nie domyślić się od razu! Wstyd doprawdy! Ale też skąd naraz w Krakowie prawosławny, ruski pop? Tego jednego jeszcze nawet w Akademickim Kole Kresowym nie było. Katolicycy owszem. Jeden z byłych prezesów Koła sam nałożył sutannę. Ale przedstawiciele cerkwi nie było ani u nas, ani w całym Krakowie.

Gdyby *batiuszka* lepiej znał finezje polskiej mowy, znał samego mówiącego i ton jego głosu, odczułby zapewne ową ironię, zatrącającą i wyższością, i prawie pogardą, jaka istniała nieraz na tamtych ziemiach – nie tylko u katolików zresztą – w odniesieniu do prawosławnego duchowieństwa. Ale *batiuszka* może nie rozumiał, może też uradował go sam dźwięk mowy swojskiej w tym bardzo obcym mieście. Przeto odpowiedział, siłąc się na polski, ale wpadając w ten swój rodzin-

ny, co i jak, i czemu. Dowiedzieliśmy się po chwili, że jest synem popa z Derażnego, że jego ojciec proboszczował „za cara” w Połonnem, potem w Braiłowie, wreszcie w Nowomalinie...

– To tam, u was, w Braiłowie, Chrystusowi w kościele włosy rosły? – wtrącił ten od szachów.

Batiuszka się nie stropił:

– Prawosławnemu nie rosły. To w katolickim kościele braiłowskim ten Chrystus stał...

Rzecz jasna, że Derażne, Braiłów, Połonne, nawet sam Nowomalin niewiele mówią komukolwiek na szerokim polskim świecie. Ale ludzie wysiadujący popołudniami w owym domu na placu Jabłonowskich znali to wszystko albo sami, albo z dziesiątka opowiadań. Byli tacy, co jeszcze w dzieciństwie zajadali się znakomitymi lodami, jakie w Połonnem (za kordonem) sprzedawała Żydówka Chaja Czarnomorska! Cóż to były za lody! Ponoć z przepisów francuskich, które emigranci burbońscy, po 1789 roku w Dubnie osiadli, na Wołyn przynieśli. Inni pytali o Czecha, właściciela browaru w Derażnem, inni o Dowgiałłów z Nowomalina, o sąsiedni Mizocz, o Dermań, o to, czy żyje właścicielka hotelu „Bona”

w Krzemieńcu i o coraz to inne, takie właśnie, bardzo istotne sprawy. Zrobił się wieczór, naszło dużo ludzi, ale nie było tego dnia ani ping-ponga, ani bilardu. Był tylko wieczór wołyński. We wspólnocie narodów Koła Wołyńskie nie stanowili ani tak hucznej wspólnoty jak sąsiedzi z Naddnieprza, ani tak zwartej jak wilnianie, ani tak ruchliwej jak skośnooki Harbin. Byli ciężcy, powolni, sentymentalni pod pozorami szorstkości. Ale na ów dzień odsunęli wszystkich i wszyscy zgodnie omawiali lody u Czarnomorskiej, wadliwą restaurację monastynu w Dermaniu, dobre serce Paraski, ciotkę Dowgiałłów, belfrów z Równego i tańcówki w Ostrogu. Obojętne, czy znali, czy nie znali; bo czyż to nie to samo? Wszędzie przecież było w tym kraju tak jak z tą Paraską, z tą cerkwią, z tym Szomszteinem, Trochimem, stawem w Matwijowcach i szkołą w Korcu. Pnącza wspomnień rozeszły się owego wieczoru szeroko i wcisnęły w najciaśniejsze szczeliny pamięci.

I może by nigdy tak nie było, gdyby nie ten dziwny gość. On to wszystko sprawił. Jak i czym? Jego niezgrabne słowa polskie i swojskie ukraińskie, jego głęboki, męski głos, jego uśmiech szeroki, łagodny, smętna-

wy, ruchy po polsku niezdarne. Oto były narzędzia, czy też środki, którymi otwierał każdemu z nas sezam naszego dzieciństwa. Gdy siedział, widać było spod sutanny nie jakieś czarne, starannie wyczyszczone trzewiki, jak u naszych znajomków z seminarium duchownego w Alejach. Nie. Spod zbyt szerokiej sutanny wyglądały wtedy szerokie, silne buciory z chropawej skóry, prawdziwe buty. Tak, buty. Widziało się od razu batuszkę, jak w takich butach, tyle że podkasawszy sutannę, brnie jesienią czy wiosną przez tłuste, przepastne błoto wołyńskiej wsi. Te buty właśnie, uśmiech, głos i akcent dodawały smaku opowieściom. Zdawało się naraz, że buchają rodzime zapachy i cerkiewny *ładan*, chleb razowy dymiący jeszcze po rozkrojeniu nożem, ostra machorka i zmysłowy zapach stajni, letnim wieczorem.

To wszystko i wiele innych rzeczy wyczarował samym swym zjawieniem się zabłąkany w Krakowie pop wołyński.

Tak się stało, że obowiązek wprowadzania krajana w egzotyczny dlań Kraków spadł na mnie. Ojciec Ułas – takie miał imię i takeśmy go zwali – obszedł już wprawdzie jako tako Kraków. Ale zrobił to, zdaje się, z nieśmiało-

ścią wiejskiego prostaka i trzeba mu to było szybko z głowy wybić. Trzeba było, aby dostrzegł szczątki ruskich malowań ściennych w kaplicy kijowskiej księżniczki Sonki, ostatniej, najbardziej frywolnej i najbardziej płodnej małżonki Władysława Jagiełły. Trzeba mu było pokazać wspaniały Matejkowski ikonostas w cerkwi unickiej przy Plantach i groźnego *Wernyhorę* w Muzeum Narodowym nad Sukiennicami, z Kozakiem, Lachem, popem i chłopakiem, zasłuchanymi w groźne słowa stepowego proroka. Ale nie wiem, czy *Trójka* Chełmońskiego, rozpędzona w galopie przez błotne wyboje, nie wydała mu się bliższa i bardziej swojska. Potem widział na starych rycinach Wawel średniowieczny, jeszcze nie tknięty przez Włochów, gdzie zamiast barokowych hełmów rozpięły się na jego wieżach krągłe, jak cerkiewne, kopuły, gdzie jeszcze było w nim mniej z Florencji, a za to więcej z Kijowa. Potem widział przywileje królewskie pisane w mowie białoruskiej oraz, dla odmiany, *Lament cerkwi*, pisany przez ruskiego archimandrytę Melecjusza Smortyckiego w najczystszej Skargowskiej polszczyźnie. To wszystko drzemało w „Jagiellonce”. Na Salwatorze, u profesora Bohdana Łepkija,

odnalazł najpiękniejszy chyba zbiór starych ikon ukraińskich. Właśnie także w tym czasie groby królewskie na Wawelu przyjęły jeszcze jedną trumnę – poety, który całe życie bez mała spędził w Paryżu, ale nigdy nie zapomniał wołyńskiego Krzemieńca. I tak przez rok pierwszy i drugi – obce miasto stawało się stopniowo coraz mniej obce.

Ale że wszystko się kończy, przeto kiedyś, jakoś, po którychś wakacjach w Akademickim Kole Kresowym zabrakło młodego świąszczenika z Wołynia.

Poszły słuchy, że dostał parafię, gdzieś tam właśnie.

– Ożeni się, napłodzi z pół tuzina dzieci, rozpije się i roztyje – prorokowali znawcy prawosławnego duchowieństwa.

– Nie ożeni się, wyrośnie z niego taki prawosławny Szeptycki, prowodyr ludowy w sutannie – mówili drudzy.

*

W cztery lata później dogonił mnie w Warszawie najpierw list z pieczętką „Ostróg Woł.”, a potem sam ksiądz Ułas z oryginalną prośbą. Jak zawsze w takich wypadkach najpierw

uśmiechał się bezradnie, kluczył, nie dopowiadał i trzeba go było zachęcać. Wreszcie wykrztusił. Oto, muszę, bardzo trzeba, bardzo, bardzo trzeba, abym ja, ale koniecznie, przyjechał do niego, do Omelna. Nie zaraz, nie teraz. W przyszłym roku. W przyszłym. Omelne – jeszcze jedna nazwa Wołyniem pachnąca. Niestety, musiałem ze wstydem przyznać, że nie mam wielkiego pojęcia, gdzie dokładnie to Omelne leży.

Ksiądz Ułas popatrzył na mnie ze zdziwieniem, a także – po raz pierwszy w życiu – z karcącym wyrzutem.

– Omelne? Jak to tak być może? Ooo! To pan nie wie nawet, kto fundował cerkiew w Omelnem?

Pytanie było zbyt jasne, abym się nie domyślał. Już tylko na wszelki wypadek zapytałem batiuszkę: – Pruszyńscy?

Ksiądz Ułas odetchnął. Ja podjąłem obronę.

– Proszę ojca, na Wołyniu jest jedenaście cerkwi, których fundatorami lub współfundatorami byli Pruszyńscy. Religijna, wiadomo, rodzina. O niebo zawczasu dbająca. Tak że trudno mi to wszystko spamiętać...

Ale egzamin nie był skończony:

– A wie pan, kiedy? – pytał uśmiechnięty swym szerokim uśmiechem ksiądz Ułas.

– Ksiądz chce mnie obciąć na rodzinoznawstwie?

– W roku pańskim tysiąc siedemset trzydziestym i piątym! – obwieścił egzaminator.

Zrozumiałem! Był bowiem właśnie rok 1934 i nawet dla urzędnika państwowego byłoby chyba jasne, dlaczego proszą właśnie na przyszły rok. Życie w Polsce niepodległej nauczyło widać młodego wołyńskiego popa, iż rocznice należy wynajdywać i święcić. Pobyt w mieście narodowych obchodów i pogrzebów nie minął u niego bez śladu. Dwóchsetna rocznica! Jeżeli można było urządzać na Śląsku szumne obchody na cześć dziesięcioletniego urzędowania pana wojewody, to czemuż by Omelne nie miało urządzić choćby odpustu na dwóchsetlecie swej cerkwi? Z nieśmiałego księżyny wyrastał pojętny proboszcz. I jedząc podwieczorek zabraliśmy się do obmyślenia szczegółów. Ksiądz Ułas wiedział wszystko. Wiedział, że cerkiew fundował ten sam pradziad Wawrzyniec, który żyjąc 109 lat pobił na długie czasy rekord rodzinny długowieczności: stąd cerkiew jest pod wezwaniem niezbyt szeroko w Kościele wschodnim znanego Ławrentija. Dzień tegoż świętego przypada 23 sierpnia. Obaj (z krakowską rutyną w tych

sprawach osądziliśmy, że jest to świetna pora dla obchodów. Lato, ciepło, żniwa się kończą, kartofle jeszcze nie zaczęły, droga nie popsuta, wieś ma trochę pieniędzy, w sadzie jabłka i renklody. Przodkowie nasi wiedzieli, kiedy fundować cerkwie.

I już wszystko było umówione, kiedy naraz tknęła mnie paskudna obawa. Że to wiadomo, jak to z księżmi... Słodkie to, niby nic, święte, a potem naraz... Więc zacząłem mówić, akurat tak samo pokrętnie jak przedtem ksiądz.

– Ale, wielbny ojciec rozumie chyba, że od czasu długowiecznego Wawrzyńca bardzo dużo się zmieniło w – że tak powiem – finansach mojej rodziny. Że mnie dziś będę klepiącemu, z rodziną, byłoby trudno... ksiądz rozumie?...

Nad swą szeroką, niezachodnią twarzą młody pop miał czarne załamane brwi, bardzo czarne i nieregularne, które czasem podnosiło zdziwienie. Tym razem podniosło je tak wysoko, jak jeszcze nie widziałem ich nigdy. I zaraz ściągnął je gniew. Twarz księdza stała się cała ciemna:

– To pan myślał? Ja? Jak każdy ksiądz?

Tym „każdy” wkopał się dość zabawnie.

– Ostatecznie jest ksiądz księdzem czy nie? Ja sam na miejscu księdza poszedłbym

raczej do mych kuzynów z Pustomyt. Ci jeszcze by mieli z czego.

– Parafia sama ma dać! – osądził ksiądz. I powiedział to z jakąś siłą decyzji, której nie znałem u niego przedtem.

Te cztery lata naszego niewidzenia się były dla niego czterema latami sprawowania rządu dusz. A rząd dusz robi swoje. Nawet w Omelnem.

*

Omelne ze swoją zbliżającą się powoli rocznicą weszło od tego popołudnia w świat moich rozważań, tak samo jak o kilka lat wcześniej zjawienie się tego księdza, w innym mieście, innego popołudnia, otworzyło na nowo okna myśli na ogród dzieciennych lat. Dawniej myślałem po prostu: Wołyń. Teraz myślałem: Omelne. Myśl zwężając się stawała się konkretniejsza. W ten sposób w jakimś Chicago czy Milwaukee zestarzali emigranci nie myślą o Słowaczczyźnie, ale o jakichś Mi-hajlovcach, nie o Litwie, lecz o jakiejs wsi nad ciemnowodą Niewiażą, nie o Warszawie nawet, ale o Polnej, Puławskiej lub Gęsiej.

I odtąd poznawanie Omelna uzupełniało się samo. Nie wiedzieć skąd dowiedziałem

się, że zamiast wysiadać za Równem, znacznie lepiej jest przesiąść w Równem do autobusu. Idą sprzed poczty i tylko w szabas nieczynne. W Omelnem była kooperatywa mleczarska „Masłosojuzu”; potem ją zamknięto. W lasach za Omelnem kwitną żółte, egzotyczne azalie; kwiat to ze stepów Turanu, zawleczony tu pewnie na kopytach koników tatarskich; o siedem kilometrów za Omelnem malowniczo przełamuje się Słucz; jest tam latem kąpielisko zdolbunowskich Żydów; miał stać KOP; otwarto agencję pocztową.

Tak się też samo stało, że wypadło mi coś w Równem i po raz pierwszy, niespodzianie, pewnego wieczoru zjawiłem się jesienią najętymi końmi w Omelnem. Już zaczynały się roztopy. Kiedy zgodziłem bryczkę, siadł ze mną sierżant KOP-u, który najpierw mnie wylegitymował, a potem zabawiał rozmową. Był to sympatyczny blondas, poznaniak, zdaje się zadowolony z siebie i ze służby. Był bardzo pewny siebie. Tryskało z niego energią. Po godzinie zrobiło się ciemno na bryczce i nie widziałem już jego twarzy. Słuchałem tylko dość sennie długich wywodów. Nie były zbyt konkretne... Tu się wiele robi, ale nie tyle, ile trzeba... Tu by można bardzo wiele

zrobić. W dwadzieścia lat... Wszystko to tak trzeba wziąć. Zauważyłem z pewnym zdziwieniem, że zwykły sierżant wypowiada nader dosadne opinie o wojewodzie i wyraża się dziwnie lekceważąco o miejscowym staroście. Ale nigdy nie dopowiadał niczego do końca. Za to ciągle wracał do celu mojej podróży, zupełnie tak, jakby oczekiwał, że za trzecim razem dam mu inne wyjaśnienie niż za pierwszym.

– W Omelnem nie ma dworu...

– Ja do proboszcza.

– Popa – batuszki?

– Tak.

Sierżant zamyślił się znowu w ciemności. Błoto rozpryskiwało się z kałuż. Powoli z za garbu czarnoziemiu podnosił się czerwony księżyc. Krągła czapka KOP-isty rysowała się wyraźniej; i tylko twarz pytającego ocieniał długi, blachą okuty daszek.

– To pan go zna z Krakowa?

– Z Krakowa.

– A co on tam robił?

– Studiował.

– Studiował? Ja bym chciał wiedzieć, co on tam w tym Krakowie studiował... Nie samą świętą teologię...

Konie w tej chwili przeszły w kłusa, a pod bryczką rozdzwonił się bruk. Nawet gdybym bardzo chciał słyszeć, nie dosłyszałbym już dalszych wywodów sierżanta. Po obu stronach drogi powyrastały chaty, długie, duże, bielone, w nich niewielkie okna lśniące czerwonym światłem naftowych lamp czy ogarków. Jakieś psy, jakieś cienie ludzkie, jakieś cienie koni. Potem jakieś ciemne drzewa nad nami – i jakiś masyw.

– To pan już jest na miejscu – powiedział sierżant. – Ja mam jeszcze kawał.

Bryczka z sierżantem znikła właśnie w chwili, gdy ksiądz Ułas wyszedł przed próg.

Miałem wyjechać z Omelna nazajutrz, ale wyjechałem dopiero w cztery dni później. Ksiądz Ułas odwiózł mnie aż do Równego. Sam pomagał wnieść do wagonu olbrzymi tobół, z którym na Wołyń nie przyjechałem, ale który za to wywoziłem do Warszawy. Co tam było, czy też raczej, czego tam nie było! Były – podkład wszystkiego – gruszki „fun-tówki”, słodkie, rozpływające się w ustach olbrzymki. Tylko na Wołyniu są takie. Były renklody osobliwego kalibru; cztery czarne puklerze słoneczników, zerwane sprzed sa-

mej plebanii; była nawet kukurydza – bo czyż w Warszawie można mieć taką? Nad tym wszystkim ulokował się osobliwy staroświecki ser, który nabrał smaku na skutek parotygodniowej kwarantanny, jaką odbył w ogrodzie pod grubą warstwą ziemi wołyńskiej. Ser zmartwychwstaniec. Były i dary trwalsze: dwa wspaniałe, czerwono i czarno haftowane ręczniki, przypominające raczej jakiś obrzędowy aparat niż przedmiot służący do otarcia rąk; cztery talerze gliniane polewane zielono, w białe wzorce; kilkanaście pisanek jak miniatury, pozostałość wielkanocnej gorliwości wszystkich Parasek, Jakyłyn i Ewdokij Omelna. I co za koszula! Z szarego, ale cieniutkiego – cały szyk! – konopnego płótna, nadziana po prostu i opancerzona pasami grubego haftu. Aż sztywnego. Jak staroświecki ornat. Tak. Nie wracałem z próżnymi rękami do Warszawy i z góry już przewidywałem, że w domu ta wyprawa będzie oceniona należycie.

– Ha, gdyby tak wszystkie jedenaścioro wołyńskich cerkwi, zawdzięczających swe powstanie bogoboju przodków, zechciało iść śladem Omelna, nie byłoby jeszcze tak źle – rozważało się w wagonie Polskich Kolei

Państwowych – zwłaszcza że Omelne biedne jest w istocie i niewiele mu tam zostało, a na przykład takie Sarny – bogate. Mogłyby tam kiedy jaką kobiałkę. Cóż, kiedy nie wszyscy proboszczowie są tacy jak ksiądz Ułas!...

Omelne istotnie było równie piękne jak biedne. Jedynym śladem po potomkach Wawrzyńca była cerkiew i stara plebania; dwór dawno przeszedł był na Kaszowskich, potem na Deskurów, potem go skonfiskowano. Miał go jakiś Popow, a po nim znowuż Iwanow, czy odwrotnie, i już same te pospolite nazwiska mówiły o upadku. Podczas wojny światowej dwór zgorzał ze szczętem – i teraz tylko duża, obrosła jaśminami wyrwa w ogrodzie znaczyła ostatni ślad. Część gruntów poszła na parcelację; część bardziej w dole, w stronę Kostopola – na osadę wojskową. Tak że wieś nie wzbogaciła się nimi. Czuć było, że ma też o to utajony żal. A żal o ziemię to bardzo wielki żal. Prawie taki jak o kobietę.

Już te ostatnie sto lat nie były zbyt łaskawe dla Omelna, a ostatnie lat dwadzieścia także. Kolej, która ożywiła tyle podłych dziur, ominęła z daleka Omelne; wąskotorowa linia, jedyna cenna pozostałość austro-niemieckiej

okupacji, także szła bokiem. Środkiem wsi biegł co prawda szeroki gościniec, zwany tradycyjnie „traktem”. Ale tylko u wjazdu do wsi był brukowany, rzadko kiedy przejechał nim wóz chłopski, zarastała go z obu stron trawa.

Jedynym śladem świetności były lipy idące tym szlakiem aż za wieś, na wschód, w step. Przy samej cerkwi była jeszcze piękna, zwarta grupa, pospłatana konarami, listowiem rozszumiała ponad kopułami. Ale zbiegając ku drodze lipy stawały się rzadsze, mizerniejsze, były coraz mniejsze i było ich coraz mniej. Kiedy o wczesnym wieczorze wychodziło się na drogę, sterczały na polu dalekim i równym jak zastygły, ścielący się pod nogi kilim. Na końcu były lasy. Za lasami kończył się wtedy świat.

Pierwsze parę lat po studiach to lata, które wprowadzają człowieka w tor całego późniejszego życia. Studia mijają. Najważniejsze są lata potem. Wiele rzeczy odpada wtedy po drodze, ale za to te, co zostają, zostają na zawsze. Jakże wygląda kolega akademicki jako pop prawosławny na zapadłej, kresowej wsi? W pociągu, pod takt kół wagonowych, porządkowały się wrażenia.

Plebania omelska była jedną z wielu podobnych sobie plebanii. Tak samo obrastały ją malwy i słoneczniki, tak samo złociły się ikony w rogu izby, tak samo sterczał stos poduszek na wysokim drewnianym łożku. Tak samo tandeta prowincji mieszała się z autentyzmem wsi, pachniało woskiem świec i rosołem z kury, pełno było haftowanych obrusów i serwet. Na komodzie, na miejscu uroczystym, stały fotografie rodzinne. Stare i nowe. Ojciec pop i matka, grubopierśna, wybałuszona popadia – jakiś zadzierzysty stryjek w mundurze jakiegoś tam *jelizawietskawo połka* – jakieś tłuste dziecko z tąż popadią – pewno mój Ułas – i jakiś czwórząd siedzących i stojących prawosławnych duchownych z archirejem w środku. Oto roczny *wypusk* ichniego seminarium, domyśliłem się. Tamto, zeszlowieczne pokolenie popiej dynastii. I naraz wśród tego wszystkiego – bardzo znajoma i zupełnie inna fotografia. Tak. Oczywiście! Zebranie koleżeńskie Akademickiego Koła Kresowego w Krakowie! Rok? 1929! Oczywiście. Wszyscy są. I Kazek Połtowicz, i Kot Połtowicz, i gruba „Dunia”, i Korszon! Ciumdziewicki i Zaleski Wojtek, i ksiądz Bukowiński, i Gieysztor,

i Hasztrakiewicz, i ja, i nasz pop. Stoi w drugim rzędzie z lewa. (Zrobiło mi się przykro, że stoi. Powinien, jak ksiądz Bukowiński, siedzieć w pierwszym rzędzie).

Obok była jeszcze inna amatorska fotografia. Ta z wycieczki do Tyńca. Stoimy na „krakowskim” brzegu rzeki, na skale nad Piekarami; Tyniec za nami. Ksiądz Ułas jest bez sutanny; w spodniach, marynarce. Kto ten piąty? Może Henelt? Tak się zapomina to wszystko...

Było jasne, że Kraków zawędrował do owego Omelna i zawędrował różnorako. Na ścianie w jadalnym były naraz dwa talerze krakowskie (swoją drogą szpetnawe, ale były). „Wawel, Wawel, poznaje pan?” – niepokoił się ksiądz. Istotnie na jednym był Wawel, taki od Plant. Na mereżkowanej serwecie leżał barwny album Krakowa. Bodaj teka Stasiaka. Najlepsza była z tego wszystkiego ciemna reprodukcja cudownego Chrystusa na Krzyżu ze znanego ołtarza wawelskiego. Tak, tego wszystkiego nie było chyba w żadnej prawosławnej plebanii, przynajmniej z tych, które znałem.

Ale najsilniej wdarł się tu Kraków książkami i pismami. Oczywiście nie było tu „Ikaca”,

nie zobaczyłem jakoś „Czasu”, nie spodziewałem się zobaczyć „Głosu Narodu”. Ale szły, tom przy tomie, zeszyty „Przeglądu Współczesnego”, były w wiśniowej oprawie trzy tomy kapitalnej *Encyklopedii polskiej* Akademii Umiejętności – i pełno, pełno książek. Chyba na dwóch półkach zagnieździła się cała „Biblioteka Narodowa” ze swymi wydaniem klasyków, od Długosza i Galla po Mochnackiego, Goszczyńskiego, Bohdana Zaleskiego, Malczewskiego. (Do łóżka, przed spaniem, brałem, pamiętam, tom po tomie, właściwie po to tylko, aby przeczytać ich kapitalne niekiedy wstępy). Tak, to prawda, że klapło to cenne wydawnictwo, bo nie znalazły się na nie pieniądze, ale jednak, jeśli dotarło go trochę do takiego bodaj Omelna, to już wiele. Książdź Ułas gładził ręką te książki jak chłop konia czy krowę. Widać, że mu się nieraz przydały w tej wołyńskiej głuszy.

Tak, Kraków stawał silnie w Omelnem, ale nie wszystkie książki były tu krakowskie. Organem prenumerowanym było „Diło”, a z nim chyba kilkanaście organów ukraińskich. Tygodniki, miesięczniki, pisma specjalne. Dalej były książki. Parafia w Omelnem miała je chyba wszystkie. Był Szewczenko

w warszawskim wydaniu i piękny przekład *Pana Tadeusza* pióra Maksyma Rylskiego, i wiersze Pawła Tyczyny, i pisma zebrane Iwana Franki, i historyczna trylogia Łepkija, no i pierwszy tom świeżo nagrodzonego we Lwowie Samczukowskiego „Wołynia”. Przyparte do nich, jak dobudówka, mieściły się osobno wiersze poetów z chełmskiej „Kameny”, wśród nich przede wszystkim Czechowicza. Były one jak ostatnie przęsło utrzymujące łączność nad przepaścią, jaka się otwarła pomiędzy dwoma narodami.

Tak, tak. Pamiątki lat krakowskich były, co tu gadać, trochę jak te zręby omelińskiego dworu, spowite całe w bujną zieloność tej ziemi... Buchała nad nie, oplatała je mocno, właśnie jak tamta zieloność w ogrodzie. To, co w tym księdzu nieco przytłumił czy przycisnął Kraków, teraz buchnęło tym mocniej w pełni wołyńskiej wsi.

On sam czy się zmienił? O, na pewno tak. Przede wszystkim przytył w sobie, ogorzał, sczerwieniał na twarzy. I, jak już wspomniałem, nabrał autorytetu. Nie darmo klękano na jego głos co niedziela, baby przypadały mu do rąk, starzy chłopci mówili: „ojcze”. Takich parę lat zrobiło swoje. Wreszcie były pewne

zagadki, do których brakło mi klucza. W naszych rozmowach z tych dni były jakieś nie-domówienia lub zamilknięcia: ksiądz Ułas nie mówił wszystkiego. Za to w paru takich wypadkach naraz skręcał na Kraków: – Tak, Kraków... Kraków. Pan nawet nie wie, ile ja tu czasem, gdy ciężko bardzo, myślę o Krakowie. Ja bym inaczej może poszedł, gdyby nie wasz Kraków... A, Kraków...

Dlaczego nie zapytałem ani razu, co ma właściwie na myśli? Ani o to, dlaczego bywa mu ciężko. I dlaczego myśli wtedy właśnie o Krakowie? Nie wiem. Czasem nie stawia się komuś właśnie najprostszyc pytań. Teraz, w pociągu, przypominając sobie tamto, przypominałem jednocześnie i tamten nocny dojazd, z sierżantem KOP-u na bryczce. On także – prawda! – napomykał coś o tym Krakowie proboszcza z Omelna. Ale inaczej.

Właśnie podczas tych moich rozważań pociąg stanął. Była to większa stacja. Po peronach biegali ludzie; przez okno świeciły latarnie. Dwie baby, jakiś student, jakiś Żyd kapociarz weszli i zajęli miejsce w przedziale. Wątek myśli się urwał. Wyjrzałem przez okno.

Była noc, a nad niskim, długim dworcem widniał jasno oświetlony napis: Lublin.

*

W ciągu tych ośmiu miesięcy, które dzieliły ową jesień od uroczystego dnia świętego Wawrzyńca, ksiądz Ułas dawał o sobie znać coraz częstszymi komunikatami. Jego biuro prasowe działało znakomicie, jego prywatny urząd konserwatorski również, ale nade wszystko wspaniale funkcjonowała jego parafialna izba skarbowa. Ta była podstawa wszystkiego, bo ona wyciskała ostatni grosz z parafian na podniesienie Omelna. Toteż w każdym liście była zawsze jakaś triumfująca wiadomość:

„...wybieliliśmy całą cerkiew z zewnątrz i w seredyni. (Czasem zdarzały się takie lapsusy). Wcześniej nie można było, bo na wilgoci wapno źle bierze...”

„...jeździłem po ikonostas do Lwowa, ten, co go miałem pozłocić, pamięta pan. Lepiej niech pan nie pyta, co kosztowało, ale solidna robota. Wszystkich nas przetrwa”.

„...dach pobijamy nową blachą cynkową ze Śląska, właśnie jej przyszło 200 arkuszy, ale trzeba będzie więcej. Konserwator z województwa upiera się, żeby po wierzchu gontami pobić, i pewno tak będzie, choć lu-

dziom świecąca blacha lepiej się podoba niż zwykły gont...”

Cała parafia omelniańska musiała dyszeć ciężko pod tym gorliwcem. Niejedne chowane pilnie złociste rubelki z ostatnim carem powędrowały na ten ikonostas, dach, remont. Ale skargi Omelna nie docierały do mnie, a komunikaty parocha były mimo wszystko dowodem, że opór, jeśli był, ulegał przełamaniu, karny wysiłek parafian postępował naprzód, a „operacje rozwijały się zgodnie z planem”. Byłem pewien, że do mety dojdzie to w cuglach, kiedy naraz, na dwa tygodnie przed wszystkim, przyszedł krach. Telegraficznie i listownie zawiadamiał ksiądz Ułas, że władze zakazały obchodu.

Dla laika w sprawach kresowych historia była zupełnie nie do pojęcia. Tyle obchodów i jubileuszy szastano co roku na prawo i lewo; Polak studiował każdy nowy kalendarz właśnie pod tym kątem widzenia, czy nowy, nadchodzący rok nie przynosi czasem jakiejś trzechsetnej rocznicy urodzin pana Zagłoby, połogu królowej Bony czy śmierci świątobliwego Kadłubka; rok bez rocznic wydawał się z góry smętnym, nieciekawym rokiem; a władze Rzeczypospolitej popierały jeszcze

to zapatrzenie swych obywateli w przeszłość. Dlaczego z Omelnem miało być inaczej, wydawało mi się niezrozumiałe. Ale zbyt wiele pracy i nadziei ten biedny ksiądz włożył w to swoje Omelne, aby mu teraz nie pomóc. Gdzie pop z Omelna nic zrobić nie może, tam dziennikarz z Warszawy coś wskóra. Dwa dni później byłem w Równem.

Ksiądz Ułas czekał raniutko na dworcu, a nim starostwo zaczęło urzędowanie, wyjaśnił mi sprawę przy kawie po wiedeńsku w hotelu „Ermitage”. Przez okno widać było, jak po drewnianym chodniku panny Zuzie, kanceliści, a wreszcie sami panowie referenci podążali kolejno ku starostwu. Ksiądz pokazywał jeden, drugi papierek. Istotnie. Ale przyczyny? Jeden jedyny akcik mówił: „ze względów ogólnych i bezpieczeństwa”. Jakie względy ogólne mogły tu wchodzić w grę? Jakiemu bezpieczeństwu zagrażało święto?

– Czy ksiądz się nie domyśla czego?

Ksiądz Ułas domyślał się. Ale mętnie:

– To, panie, ciągle teraz tak. Coraz gorzej. Życ nie dają. Ale takich rzeczy to jeszcze nie było. Może rzeczywiście panu się co uda...

W starostwie udało mi się przez pół. Z początku nawet wcale nie. Referent miał piegi

i nic nie wiedział. Potem odszedł pokonferować. Potem wrócił i powiedział, że cerkiew jest stara. Może się strop zawalić. Wyjaśniłem mu, że strop był właśnie odnowiony tej zimy, i to pod nadzorem władz konserwatorskich. Ale wtedy okazało się, że Omelne leży w pasie pogranicznym i tam rządzi wojsko. W pasie pogranicznym nie toleruje się żadnych większych zebrań. Jak to dobrze, że znałem już Omelne. Mogłem wyjaśnić, że leży właśnie o równy kilometr od tego pasa. Nie w jego zasięgu. Wtedy referent zapytał, dlaczego właściwie wdaję się w te sprawy, a kiedy udzieliłem mu równie uprzejmej odpowiedzi, wszedł starosta. Wszyscy powstali z miejsc. Starosta zapytał, o co chodzi, i zabrał mnie do gabinetu.

Starosta był to miły, gładki, kulturalny człowiek. Miał na biurku „Wiadomości Literackie” właśnie z moim artykułem wstępnym, pytał o Iwaszkiewicza. Wygłosił długie i dość piękne przemówienie o współpracy narodów Rzeczypospolitej. Napomykał o idei jagiellońskiej, o Marszałku, o pochodzie na Kijów, o separatyzmie ukraińskim, o niezrozumieniu. Wobec tego, że „żona będzie chciała koniecznie pana poznać”, prosi na herbatę o szóstej. – Ale, panie

starosto, co z Omelnem? – Sprawę Omelna rozważy. Dlaczego mi o to tak chodzi? Ach, tak? A czy ja co piszę o Równem? Nie? Skąd znam tego księdza? No, to pogadamy sobie.

Na herbatce była pani starościna, jej siostra, starosta, ja, ale przede wszystkim był pan pułkownik. Były świeżo upieczone ciastka i stare kawały o Wieniawie, no i wreszcie była sprawa Omelna. Pytali długo, co, dlaczego i jak, nie mówili nic sami. Wreszcie zabrał głos pułkownik. Przedstawiciel armii stwierdził, że przyczyną wszelkiego zła na kresach są właśnie ci polscy ziemianie, co tu kiedyś stawiali prawosławne cerkwie w miejsce katolickich kościołów, że lepiej by było o tym zapomnieć, że dziś wojsko odrabia tu tamte grzechy przeszłości. Potem oznajmił, że wojsko na pewne rzeczy nie może pozwolić oraz że dziennikarze niepotrzebnie jeżdżą po prowincji. Było to długie *exposé*, ale nie dawało odpowiedzi na pytanie: czy władza uważa obchód rocznicy założenia wiejskiej cerkwi za niezgodny z prawami Rzeczypospolitej? Tak czy nie i dlaczego. Starosta był tak słodki jak jego ciastka, ale odesłał mnie do województwa. Tegoż wieczoru jechałem do Łucka. Może w Łucku powiedzą, że do-

piero w Warszawie? Ale w Łucku był w województwie Kazek Połtowicz, stary kolega z Akademickiego Koła Kresowego. Miał, rzecz jasna, stosunki.

Kazek też przytył nieco na twarzy przez tych parę lat, zrobił się jakiś wyrozumiały i miarodajny, ale pozostał po dawnemu serdeczny. Był to doświadczony urzędnik Nie zdziwił się ani temu, że wydano taki zakaz, ani temu, że interweniuję. Obiecał sam wszystko załatwić i uznał moje chodzenie za niepotrzebne. Jeszcze wszystko zepsuję. Zwiedzałem więc Łuck, łągi zielone nad Styrem, rozpadliny ogromnego zamku rzucone kształtem podkowy na te łągi. Wziąłem pokój w hotelu „Savoy” i obejrzałem wystawę ceramiki wołyńskiej. Wieczorem Kazek przyniósł odpowiedź. Omelne może urządzić obchód, ale wyłącznie w ramach parafii. Nie może przyjechać ani archirej z Równego, ani archimandryta z Poczajowa, co najwyżej sąsiedni prawosławni proboszcze. I, naturalnie, nikt z prasy. I nikt obcy.

– Z prasy będę ja – powiedziałem.

– Ty się nie liczysz.

Obchód był już na karku; dobre więc było i to. Umowa stała. Zgoda. Ale dlaczego, tak

dla prywatnej ciekawości, te wszystkie historie? Dlaczego proboszcz z Omelna, jeśli mu się tak podoba, nie może sobie pozwolić na taki obchód, jaki chce, z biciem w dzwony, archirejem, archimandrytą i prasą? (Co by to była za „prasa”: „Diło”, „Wołyń” i „Seło” w najlepszym razie). Dlaczego to wszystko?

Kazek Połtowicz był rozumnym, ludzkim człowiekiem, który na te wszystkie sprawy patrzył z pewnego dystansu. Dla niego było ważne nie tyle to, co być powinno, ile to, co być może, a ideałem nie tyle najlepsze dobro, co najmniejsze zło. Siedział w tej całej maszynie, która na Wołyniu była Państwem Polskim, znał zasady jej działania, możliwości jej pracy. Zaczął mi mówić o Wołyniu, wschodniej prowincji Rzeczypospolitej, co, dlaczego i jak. To, co mówił, były to rzeczy na pozór ogólne i zasadnicze. Przeciwwstawienie coraz mniej tu wpływowej władzy cywilnej – województwa, i coraz bardziej wpływowej – Korpusu Ochrony Pogranicza. Coraz bardziej wyblakłych teorii o współpracy „narodów, jakie tu żyją” – i coraz silniej wchodzących w życie poglądów, że „w Państwie Polskim naród polski powinien być jedynym gospodarzem”. Począł mi mówić o tym, jak

skurczyła się ilość szkół ukraińskich, jak znikły ukraińskie samodzielne kooperatywy. Tak, dużo się zmieniło na Wołyniu od pierwszych lat Rzeczypospolitej... – I, rozumiesz – mówił – pozostała im tu właściwie jedna rzecz – cerkiew. Cerkiew.

Lampa naftowa na werandzie filowała mocno. Od Styru rechoły bataliony zab.

Kazek Połtowicz mówił dalej bezstronnym głosem referenta. Był to niewątpliwie doskonały urzędnik. Wykonałby każdy rozkaz, jaki by otrzymał, ale zachowałby własne zdanie o jego celowości. Pewno starałby się wykonać rozkaz błędny w taki sposób, aby wyrządzić jak najmniej szkód. Kazek Połtowicz mówił z kolei o tym, czym jest na Wołyniu cerkiew. W pierwszych latach po wojnie była niczym. Był to stary, tradycjonalistyczny szkielet, pełny popów nieuków i dusigroszów. Był niezwykle słabo związany z ludem, który się tu budził, a mocno z państwem, które stąd odeszło, i z czasem, który tu przeminął. Młode pokolenie wsi radykalizowało po sowiecku albo ukrainizowało jak Lwów, i dla niego szkoły, masłosojuzy i proświty miały wtedy sens znacznie żywszy niż niedzielne obiednie i chóry Ale tamto minęło, pozostała cerkiew.

W tej zaś cerkwi jest już teraz nowe pokolenie księży prawosławnych, wychowane w Polsce, wykształcone, inne. Nie wszyscy jak nasz Ułas, ale wielu. Ta nowa cerkiew staje się właśnie bastionem rodzimego oporu. Z nią właśnie mnożą się tarcia: Kazek Połtowicz przewidywał, że będą się mnożyć.

Przy tejże lampie naftowej wydobyl z kolei, w dyskrecji największej, akta sprawy. Ksiądz Ułas Trochimczuk. Urodzony w 1910. On sam. Państwo Polskie nie na próżno miało urzędników. Papierek po papierku, akt po akcie, meldunek po meldunku, życie księdza parocha z Omelna leżało tu przed nami, posegregowane, wciągnięte do dziennika, opatrzone uwagami na bokach, pospinane w imponującą plikę. Wiedzano wszystko o księdzu Ułasie. Wiedzano, ile bierze za mszę i jakie pisma prenumeruje, kto go odwiedza i komu co powiedział. Mignęła jakaś niewyraźna, nie dolepiona historia miłosna. Teraz podobno nic. Wstydzilem się, że czytam to wszystko. Wydało mi się naraz, że to ksiądz Ułas leży przed nami na tym stole, w świetle tej naftowej lampy, zupełnie nagi, nieprzyzwoicie obnażony. My patrzymy, a on nas nie widzi i okryć się nie może. Pamiętałem jego wstydlivość i było tym przykrzej. Ale Kazek nie podzielał tego za-

kłopotania. Przeciwnie. Wczytywał się, medytował, jak lekarz dokonujący na zimno oględzin czyjegoś ciała czy pośmiertnej sekcji.

Przed wszystkim rozumiał w tym rzeczy, których ja nie rozumiałem. Był jak kabalarka nachylona nad kartami. Widział to, czego nie widzą inni: odczytywał właściwy sens słów:

– No, nie jest tak źle, sam widzisz: „kontaktów z ruchami politycznymi najpewniej nie posiada”. To dobrze. To bardzo dobrze. Bardzo. Tak... Tylko że dalej, widzisz: „Bardzo ostrożny i uważny. Trzyma się ściśle wszystkiego. Niepodatny na prowokację”.

– To chyba dobrze?

Kazek skrzywił się:

– Eee... popatrz zresztą sam: „niewątpliwie wybitna jednostka. Posiada wpływ nieprzeciętny. Także na młodszych”.

– Doskonale?

Kazek był coraz mniej zachwycony. Czytał dalej. A raczej pokazywał mi palcem ważniejsze, w jego pojęciu, ustępy tekstu. „Nie da się zastraszyć ani pozyskać konkretnymi korzyściami. Zdolny do dużego uporu”.

Na tym kończyła się lektura. Mój kabalarz, świadom tych zawiłych spraw, wyciągał z kolei swoje wnioski:

– Widzisz, jest, jak mówiłem. Będą starali się go wykończyć... Słuchaj. Przecież coś możesz w Warszawie? Czy nie mógłbyś go zabrać z Omelna? I w ogóle stąd? Z Wołynia?

Zabrać księdza Ułasa? Z Omelna? Trzeba było nie znać księdza Ułasa, nie czytać jego listów pisanych zimą, jego trosk o arkusze cynkówki, o pozłotę ikonostasu, nie pamiętać jego plebanii na wzgórzu, jego cerkwi dożywającej swych lat dwustu za niespełna tydzień. Kazek musiał naprawdę nie wiedzieć tego wszystkiego, aby móc tak mówić. Wiedziałem dobrze, że nawet gdybym mógł co zrobić, nigdy bym tego nie zaproponował.

Ale Kazek znał za to drugą połowę wołyńskiej prawdy, którą ja dopiero zaczynałem poznawać. Stuknął dłonią po papierach i powiedział:

– Jak chcesz. Ja zawsze zrobię, co tam będę mógł. Ale może być niedobrze. Bardzo niedobrze.

Tu naraz błysło mu coś, jakby sobie przypomniał. Zastanowił się chwilę, zawahał. Zaczął mówić i znowu się zawahał.

– Wiesz co – zagadnął ociągliwie – byłaby jeszcze jedna rzecz...

– Jaka?

– Wiesz... To by może pomogło. To by nawet na pewno pomogło. Mnie by to dało element, rozumiesz, argument do ręki... Już ja bym to potem wygrał, gdzie trzeba. No, to by całkiem zmieniło sytuację.

Pamiętam, odezwały się we mnie ostrzegawcze dzwonki:

– Dobrze, ale co, co takiego?

Wpatrywał się we mnie:

– Ty byś to musiał przeprowadzić z nim. On ciebie posłucha...

– Ale co?

– Widzisz – zaczął Kazek – to nie jest takie bardzo przyjemne. Ale ostatecznie może i szczegół. Tylko drobiazg. Rozumiesz, po mszy jest zawsze taka krótka modlitwa. Nic w niej nie ma. No, nasza zwyczajna modlitwa za Rzeczpospolitą. Więc i oni ją odmawiają w cerkwi. Ale po rusku. Czy tam ukraińsku. No i teraz jest tendencja i ja to uważam za głupstwo, nowe wymysły tych durniów z KOP-u. Ty wiesz, że oni tu teraz są wszystkim i otóż taki jakiś obmyślił, żeby tę modlitwę mówić odtąd w cerkwi po polsku... W niektórych parafiach to robią. Gdybyś ty jemu zdołał...

Zrozumiałem. Milczałem.

– On by może ciebie jednak posłuchał. A to by mi wiele ułatwiło. Upewniam cię. Spróbuj. No, co myślisz?

Miałem żółć w ustach i długo odpowiedzieć nie mogłem.

– No, co?

– Widzisz, mój drogi – zacząłem wreszcie nieporadnie – to jest tak, że dziękuję ci za to, że chcesz najlepiej. I pewno to byłby dobry pomysł. Ale, rozumiesz, ja właśnie, tak się akurat składa, tego mu radzić nie mogę...

Brwi Kazka podniosły się ze zdziwieniem:

– Dlaczego akurat ty nie możesz? Ty najlepiej! Masz jego zaufanie.

Wikłałem się w szlamie słów:

– To nie to jeszcze nawet, że on... Widzisz, jest jeszcze... jak by powiedzieć... jest jeszcze ta cerkiew... w tym Omelnem... Tę cerkiew... otóż tę cerkiew stawiał taki jeden mój, jak by to powiedzieć, praszczur i dziad. Dawno temu. Stawiał ją, rozumiesz, w akcie erekcyjnym widziałem, dla ludzi *wiry i mowy prawosławnej*. Sam jeszcze był tej mowy, a nie był już owej *wiry*, ale ją szanował. Ja, rozumiesz, nie mogę...

Słowa grzęzły w milczeniu jak w szlamie, aż ugrzęzły zupełnie. Kazek nie nalegał.

– Rozumiem. No, może inaczej spróbuję. Bo wierz mi, ja bym naprawdę chciał pomóc.

W kilka dni później odbył się uroczysty jubileusz i muszę powiedzieć, że wtedy dopiero zrozumiałem księdza Ułasa. Nie, nie było to tylko małpowanie jubileuszy krakowskich, naśladownictwo owego świętowania wszelkich okazji, do którego mieliśmy wszyscy taki pociąg. To nie to, że celebrans był wzruszony, to nie to, że od kadzideł zrobiło się niemal granatowo, od oddechów parno jak w pralni, że ikonostas świecił najzłocistszym ze złót, a chóry – ach, cóż to były za chóry! Mogły być jechać do Paryża i tam zrobić grubą forszę. Najważniejsze jednak, że to było naprawdę święto. Lokalne, ludowe, narodowe, religijne. Młody Wołyń Omelna, który długo boczył się na cerkiew, do niedawna pełną starych rosyjskich popów, ciemnych, ludowi obcych, zapatrzonych w odeszłą przeszłość, łasych tylko na grosz, ciułających zielone dolarowe papierki, teraz wtłaczał swe życie w ramy owej cerkwi, pod wodzą tego nowego księdza, ich księdza, człowieka ich czasu, ich narodu, ich ziemi i ich pragnień. Właśnie jeśli nie było już

szoły własnej, jeśli skończyła swój żywot kooperatywa, która zaczęła się tak pięknie, potrzebne było coś – i tym czymś stała się naraż cerkiew. Wszystko zespoliło się w tym jednym. Ksiądz silnym głosem intonujący głębokie: *Hospodi, pomyłuuuj* – był tu naprawdę pasterzem. Kto chciał tutaj sprawować rząd dusz, musiał jego naprzód obalić.

Zostałem, kiedy odjechali wszyscy. Bo paru ziemian okolicznych przybyło tu także – dziadowie niejednego z nich niejedną tu cerkiew przecież wznieśli. I ze szlachty zaściankowej z okolicy przyjechało dość wielu, choć podobno zrywał się na to ich proboszcz, z Poznańskiego rodem. Ale kiedy zrobiło się pusto, przeszliśmy się jeszcze z księdzem Ułsem po polu szeroką drogą, która zawsze była pusta i za której krańcem o niewiele mil stąd kończył się wtedy świat. Ksiądz Ułas był zmęczony i wzruszony. Mówił więcej niż zwykle. Był także jakiś bardziej uroczysty, jakby jeszcze nie zwłókł z siebie tych rjas i szat kościelnych i szedł tak cały w nich owym pylnym traktem wołyńskim.

Zaczął sam od trudności, jakie były, i powiedział, że dawniej wolał o tym nie mówić, bo sądził, że nie wiedziałem, a nie chciał ro-

bić przykrości. Teraz, kiedy już byłem w Łuc-
ku, kiedy wiem, to co innego. Mówił potem
o rzeczy, która nosiła gładkie miano „rewin-
dykacji”, tak jak inna, o kilkadziesiąt mil na
południe stąd, nosiła parę lat temu równie
gładkie miano „pacyfikacji”. Mówił – łama-
nym, powściąganym głosem – jak to z tym
naprawdę jest. Mówił, jak poznikały szkoły.
Mówił, jak piękne były te kooperatywy i jak
poznikały także. Mówił, jak poznikali i lu-
dzie. Mówił, jak jest coraz trudniej. Jak jemu
zwłaszcza jest ciężko.

– Bo widzi pan, najgorsze jest to, że ja by-
łem u was w Krakowie. Wyście mnie wtedy
przyjęli, ot powiem tak, sercem. I tam było
serce. W tej katedrze, gdzie te freski ruskie,
było miejsce dla nas. W tym muzeum, gdzie
ten Wernyhora, było miejsce dla nas. Tam
wszędzie, w tamtej Polsce krakowskiej, co ją
poznałem, dawniejszej i waszej, było miejsce
dla nas. I ja wiem, że tak byłoby najlepiej, że
tak mogłoby być. Ale coraz mniej widzę, aby
tak było.

– Pan może się dziwił, że ja... tamto świę-
to cerkwi? Dwusetlecie? Oni, tamci, myśleli
znowuż, że ja z tego *nacjonálnu agitacju*?
A dla mnie to było przypomnienie, że i tu

kiedyś mogło być inaczej. Wasi tu wtedy otwierali cerkwie. Nie zamykali. Ot co jest.

Wiedziałem niestety dobrze, o czym mówi i o kim, kiedy mówił o tym zamykaniu cerkwi. Już się zabrano i do tej roboty.

Szliśmy dalej drogą. Znowu, jak kiedyś, słońce gasło nad lasami. A ksiądz mówił:

– Ot i teraz, pisali do mnie, ludzi nasyłali. Nawet w intencji dobrej. Że ot, żebym ja w czymś ustąpił. Na przykład tę modlitwę po mszy po polsku mówił. Nie po naszymu. Ukraińsku. Ale jakżeż ja mogłem! Pan sam niech powie, jakżeż ja mogłem? Jakżeż ja mogę?

Miał zasmucone, nieporadne oczy. Nie, nie mógł.

– Nie, nie mógł ksiądz – odrzekłem.

Odetchnął, jakby szukał tego potwierdzenia.

– Ale też nie wiem, jak będzie i jak długo będzie. Narasta nienawiść ta od jednej i od drugiej strony. Krzywda krzywdę rodzi. A mnie ciężko, bom innych Polaków znał niż ci, co tu przyłazą lub po gazetach judzą. I wiem, że inni Polacy są, tak jak nie wszyscy Ukraińcy – nacjoniści. I czasem sobie mówię, że może dotrwać, aż to tu wszystko inaczej będzie – i lepiej. I może naprawdę dotrwać?

*

W rok później, nie, w pełne dwa lata później, stało się to, czego należało oczekiwać. Ksiądz Ułas został usunięty z Omelna. Poszło odpowiednie pismo odpowiednich instancji. Nie było rady. Został w ogóle usunięty z Wołynia, a także z kresów. Przyjechał do Warszawy. Nie. Nic przeciw niemu nie miało. Tylko ludzie z pogranicznych wsi do niedawna prawosławnych, teraz nawróconych na katolicyzm, biegali dalej chyłkiem do pobliskiego Omelna. Ba! Gdyby ksiądz Ułas był uległym, kornym popem, nie wyzierającym za miedzę, wyduszającym grosiwo z parafian, gmerającym się w betach z popadą, dano by mu spokój. Ale tak samym swym istnieniem płoszył i niepokoił.

Trzeba było raz jeszcze się odwołać do Kazka. Ten dał nieocenioną radę:

– Teraz tylko ktoś z dwójki. Musisz tam chyba znać takiego. Ale mur! Major Pytek? Znasz majora Prawdzic-Pytka? Świetnie. O, gdybyś mógł jego...

Major Pytek kręcił się w kołach niewyraźnie literackich Warszawy. Coś pisał sam, na czymś się podobno znał, posiadał jakieś

tajemnicze koneksje i nie mniej tajemnicze zasługi. Telefon odebrała pani i prosiła na herbatę. Major Pytek słuchał znudzony, o coś zapytał, coś zapisał. Miał zbadać wszystko. Potem nastąpił mu ksiądz, który tymczasem zjawił się w Warszawie. Major miał dużo zrozumienia. Przekonywał księdza łagodnie i rozumnie, jak tylko mógł, żeby szedł przynajmniej – w bliżej nieokreślony sposób – na rękę. Napomknął wreszcie, że to chwilowo nie jego resort...

– Ach, jeśli pan major nie może...

– Co znaczy nie mogę? Mogę – oburzył się major. Major Pytek istotnie jednego tylko nie mógł: nie móc. On musiał móc.

Niestety, i pani majorowa była nie po mojej stronie. Powiedziała:

– Proszę pana, jeśli władze tam już tamto przesądziły, to tam pewno coś jest. Tacy ludzie jak ten ksiądz to przecież Bronka Pierackiego... I Hołówkę. I ilu jeszcze.

Ale na szczęście pani majorowa „popęłniała”, jak powiedziała, książkę. Tom opowiadań. POW. Z wdzięcznym uśmiechem prosiła o recenzję. „No, gdy pan napisze”. Wytrzymałem babę. Dopiero na schodach zrobiliśmy układ:

– Ale ksiądz Ułas wróci do Omelna?

– A recenzyjka będzie?

Byliśmy oboje słowni. „Recenzyjka” ukazała się w prasie, a ksiądz Ułas powrócił do Omelna. Przyznam się, że oddając recenzję do redakcji byłem trochę zażenowany. Ale że sezon był ogórkowy, zamieścili jakoś. Potem było przez kilka dni głupio, ale przeszło.

Ksiądz Ułas był u majorostwa Prawdzic-Pytek i zrobił miłe wrażenie. W Omelnem parafianie przyjęli jego powrót niczym zmartwychwstanie, a potężni wrogowie z sąsiedztwa tak, jakby ich wróg wstał z grobu. Wśród małych piesków rozeszła się legenda o potężnych wpływach Warszawy. Oznaczało to spokój na rok, może dwa. Póki co. Tylko przezorny Kazeł doradzał:

– Lepiej go jednak zabierzcie.

*

Księdza Ułasa nie miałem już więcej zobaczyć, ale panią majorową Pytek zobaczyłem w Londynie. Jej mąż miał krótki paryski okres lekkiego zmięzchu, ale teraz odzyskał z powrotem swe zasługi, koneksje i kontakty. Po małej przerwie wszystko wracało prze-

cież do dawnego stanu. Był już nawet podpułkownikiem i czekał na dalszy awans. O majorowej słyszałem, że była w Polsce po wrześniu. Tak, istotnie, była. Nawet w październiku. Dopiero w listopadzie, przez Kowno. To było straszne. Wszystko przez tych znajomych z autem, którzy puścili ją kantem w Równem.

– Ach – ożywiła się – a wie pan, kto mi się za to przysłużył? Ksiądz Trochimczuk!

– Ksiądz Ułas? Z Omelna?

– Ależ tak. Byłam w Omelnem. W samym Omelnem! U tego, co to go nasi z parafii wyrzucać mieli. Oho, żeby pan tylko wiedział! Niech pan zajdzie do nas. Na Kensington. Wszystko opowiem!

Istotnie opowiedziała wszystko. Mieli wygodny, *flat*, z prawdziwym kominkiem. Piliśmy whisky:

– Więc muszę panu opowiedzieć. Na czym to ja skończyłam? Kiedy Marysiowie już zwiali z tym autem? Pan rozumie. O bolszewikach już mówią, że nadchodzą, w Równem czerwone flagi na drutach... Żydostwo... Czerń. Sam pan to widzi. A ja sama jedna z walizami. Wyszłam na ulicę. A tu naraz ktoś. Nawet nie poznałam. Ale on mnie poznał. Ten

pański ksiądz. Był własnymi końmi. Zabrał mnie, jak stałam, do Omelna.

– Byliśmy na noc, ale już radio sowieckie grzmiało i wiadomo było, co. Wieś huczała od rozmów. Policji nie było. O świcie jużśmy wiedzieli wszystko i wszystko było jasne: *Polsza propała*. Ja siedziałam w mojej izbie cicho, ale słyszałam wszystko naokoło. Jeden ksiądz Ułas był spokojny, bardzo spokojny. Aż od lasu nadjechali tamci. Najpierw motocykle, potem czołgi. Panie, jakie czołgi! Ogromy. Skąd oni mieli takie czołgi? A potem wojsko. Czy pan pamięta tamten trakt, taki zarosły trawą? Stary trakt szeroki? To teraz był on za ciasny, za wąski na to wszystko. Waliło to dniem i nocą, i następnym dniem. Szły wojska sowieckie, z tymi ich długimi sztykami. Pułk za pułkiem, za pułkiem pułk. Ksiądz Ułas stanął w tej swojej sutannie na progu i patrzył. Oni na niego, on na nich. Pokazywali go sobie niektórzy, pewno dawno nie widzieli. Przyszedł patrol także. Potem dwóch oficerów. Nawet całkiem poprawni. Pytali ludzi o księdza i powiedzieli mu przy mnie: *Nam skazali, czto ty był charosz*. I dziwili się, że cerkiew była otwarta. Im mówiono, panie, że u nas zamykano cerkwie... I że

prześladowano popów... Pan wie, że to nieprawda...

— ...

— Tak, tak. Nigdy nie zapomnę tego ranka. Niedziela 17 września. Wojsko waliło i waliło, wieś cała się zbiegła. Na drzewie nad drogą zawiesili głościki i te głościki nadawały Moskwę, a może Kijów. Same przemówienia, pieśni, marsze. Jeden szczególnie huczał, pamiętam — przecież byłam w Petersburgu na pensji: *Maskwa maja, strana maja, nikim nie pobiedimaja*. Istotnie. A i w uszach huczało od tych czołgów i od tych pieśni. Napije się pan jeszcze whisky? Co to ja mówiłam? Aha, tak. No i właśnie, że tylko ten ksiądz nic. Jakby nigdy nic. Na dwunastą kazał bić w dzwony jak zawsze. Leniwie złaziło się pod górę chłopstwo. Gdzie im tam w głowie cerkiew! Wojsko waliło drogą ciągle. Popod tą samą cerkwią.

Powiem panu prawdę, bałam się zostać na plebanii. Jednego się tylko czepiałam rozpaczliwie, to tego księdza. Jego spokój był zupełnie inny niż u tych wszystkich ludzi wokoło. Dla tamtych naraz coś się stawało, wstrząs jakiś, szło coś przez świat, jak te czołgi przedtem drogą. Podniecenie, krzyki.

On nic. Jakby wiedział, co było, a także co będzie. O, to nie był zwykły sobie pop, proszę pana. Nie chciałam być bez niego ani chwili. Więc poszłam na tę mszę. Niby popia kuzynka. Ale kto by się patrzył na mnie! Dzwony biły, ten głośnik dolatywał z daleka, czasem na drodze zadudniło coś, jakieś działa pewnie, a w cerkwi, pod tymi sklepieniami starymi – jak zawsze chóry, kadzidła, ikony, a ksiądz Ułas spokojnie odprawiał mszę. Jak gdyby nigdy nic. A może nie. Może bardziej ważny niż przedtem.

– I wie pan, że wtedy w tej cerkwi było mi naraz najlepiej. Tylko tu był jeszcze spokój i ten dawny świat. Klęczeli starzy chłopci, baby, młodocianie i chłopcy, były dzieci i zaduch. Ksiądz Ułas śpiewał obiednię. Aż przyszedł koniec. Pan wie – ta chwila, kiedy ksiądz schodzi na sam dół, przed ołtarz, przed carskie wrota, i śpiewa jeszcze ostatnią modlitwę. Pan wie, jaką modlitwę? Za Rzeczpospolitą...

– I co?

– Wszyscy wiedzieli w cerkwi, że to teraz chwila na tę modlitwę. Niedawno kazano ją mówić po polsku, nie po rusku, i ksiądz Ułas się temu opierał. Pan pamięta? Ale teraz już

nikt przecież nie kazał. Ani nie mógł nawet kazać. Teraz było już nawet całkiem odwrotnie. I ksiądz Ułas nie odszedł od ołtarza, nie zdjął szat, ale stanął jak zawsze. Chwilę milczał. Cała cerkiew tak samo zamilkła, nawet nikt nie zakaszłał i naraz było tak cicho, tak cicho, jakby wszystko na świecie zamilkło. Tylko to dudnienie przeciągających wojsk szło ze dworu, ale i ono cichło. I wtedy dopiero, kiedy zrobiło się bardzo cicho, ksiądz Ułas zaintonował: *Mołytwa za Riczupospołytu*.

Pan wie, jak to jest w teatrze, kiedy ktoś ze sceny coś ogłasza? Więc to było właśnie tak. Naraz wszyscy sobie uświadomili. Rzeczpospolita! Była tu jeszcze wczoraj. Jeszcze dwa dni temu. Teraz jej nie ma. Pan wie, lud ruski jest zabobonny. Więc to było tak, jakby ten ksiądz wywoływał teraz widmo, kazał jakimś dziadom w grobach leżącym powstać i zjawienia się ich oczekiwać. Zupełnie tak.

Aż z jednego kąta odezwały się jakieś głosy czy syki. Poszedł pomruk po cerkwi. I wtedy ksiądz powtórzył, tylko głośniejsze jeszcze i spokojniej: *Mołytwa za Riczupospołytu*.

Znowu poczekał chwilę. Pamiętam, będę pamiętała do końca każdą sekundę tej chwili. Naraz niektórzy ludzie, ale tylko niektórzy

jeszcze, najbardziej to starzy tacy, do słuchania księdza nawykli, poczęli, jakby tym nawykiem samym, obsuwać się na kolana. Ale cała reszta stała dalej, niechętną, co tam niechętną – wrogą ciżbą. Pewno jedni czekali tu Sowietów, inni może za Niemcami się oglądali. Temu, co tu było jeszcze wczoraj, byli wszyscy jednako wrodzy. I w głuszy tej nienawistności ksiądz od ołtarza począł naraz mówić, tak ogromnie spokojnie:

– Bracia moi i siostry! *Koły budete teper so mnoju mołyty sia, wy ne budete mołyty sia za to, szczo buło tut wczera i buło zło, i szczo nykoły ne wernyt sia bilsze. Wy ne budete mołyty sia za cich, szczo nam mowu i wiru i ziemlu widbiraty chotiły. Ni za cich, kotoryje teper utikły z boja* –

Głos jego powoli się podniósł:

– *Wy budete mołyty sia za to, szczo je i buło, i bude sławne, a teraz krwawi się u bram waszej ziemi rodzinnej w walce nierównej. Za polskij narod! On teper s nieszczastnych nieszczastnyj, ale i z bohatiriw bohatyr. Koły wy zdies mołytyś i radujeteś, jewo syny bijut sia o ziemlu i wolu swoju. Bijut sia sami odny z mohuczym najizdom wraha. Bijut sia u Helu a Westerplatte, u Kutna, u Warszawy sław-*

noj. Ałe, bratia i siestry moi, oni tam nie tylki o swoju ziemi i swoju wolu bijut sia –

Zaczerpnął jakby oddechu, po czym głosem wypłynął wyżej:

– Oni bijut sia teper i za waszu ziemi, i za waszu wolu. Tak to jest, bratja moi. U Kutna, u Westerplatte i Warszawy oni bijut sia teper sami, no o swoju i waszu swobodu. Tak uże było kołyś i tak je teper. Bo wraħ, kotoryj naszol polskije ziemi, on i ukrajskich ziemiel choczit, on i na naszi chutori ide, jomu i naszoho chliba choczet sia. Myne rik, myne druhij rik, a on do nas k' naszym sełam pryjde. Todi wy zrozumijete i wsi zrozumijut, szto cja borotba, kotoruju polskij narod weł, buła poczatkom i naszoj borotby, a ti, kotoryje tam teper na poljach Polszy hinut, i za naszu hinut swobodu –

Znowu jakby się zadyszał, pewnie nawet zadyszał się, bo za pierś się schwytał. Ale zaraz z tą ręką na piersi począł dalej mówić i była taka cisza w cerkwi, jakby nie mówił, ale – czy ja wiem? chyba – wieszczył:

– ...liły sia, proti w sobi, ich krow i nasza krow. Lacka i kozacka. Ałe pryjde deń, koły po hruzach Polszy wraħ, kotoryj Polszu zmoh, na Ukrainu pojde. Pryjde deń, koły my

w bij za naszu swobodu pijdem, jak oni teper za swoju pijszły, i w toj deń my ne tilki za naszu swobodu budem wojowaty, no i za waszu, Lachy. I pryjde tretij deń, koły ni na polskoj, ni na ukrainskoj, ni na drugoj słowianskoj ziemi i slida wrażoho ne bude. I todi nowyj deń stane dla nich i dla nas. I o toj deń my teper, bratja, pomolim sia, a cim, kotoryje w boju tam hynut – wicznaja pamiat’.

I chór głosów przeszedł naraz dreszczem:
– *Wicznaja pamiat’.*

I z tymi słowami rytuału ciżba naraz poczęła obsuwać się i klękać, klękać ciężko, niezdarńie i głucho, tak właśnie, jakby naraz na podłogę cerkwi wiejskiej poczęły walić się grube dębowe pnie. Sama cerkiew jakby poczęła się podnosić i wydłużać w górę, bo oto ludzie zgięli się klęcząc, w tej modlitwie, aż przez to stało się widniej i przestronniej, jakoś aż strasznie pusto, i tylko żółty blask grubych woskowych świec chygotał niespokojnie po tej pustce. W nią właśnie, w tę pustkę, poczęły teraz wpadać jedne po drugich słowa długiej, obrzędowej modlitwy, zwyczajnej, coniedzielnej, ale które w owej chwili osobliwej nabrały całkiem innego znaczenia. Gdzieś tam nad Wisłą lał się teraz z nieba niszczący ogień

samolotów; gdzieś daleko nad Sekwaną ludzie pracowali spokojnie w winnicach; w dalekiej Anglii inni ludzie po raz pierwszy nie pojechali na *weekend*; a tutaj drogą przez wieś waliły wojska i wojska. W tym świecie całym, nad przepaścią historii nachylonym, szła teraz ku nielitosnemu niebu owa jedna, najdziwniejsza modlitwa, wznoszona ponad krzywdy i niesnaski, zupełnie jak taki dym wlokący się pod niebo z nędznej chaty niskiej pod sam błękit i spokój wieczysty. Ksiądz skończył, diaczek gładkolicy zaczął gasić świece, a ludzie jeszcze stali jak nad zwłokami jakimiś. A potem rozchodzili się jeden po drugim, nie od razu i nie spieszący, przycichli. Jakby ich ogarniały jakieś złe przeczucia czy co.

— ...

— A wie pan, ksiądz Ułas kazał mi potem to panu właśnie powiedzieć.

— Powiedzieć, co?

— To właśnie. Kiedy wyjeżdżałam. Do Wilna, a stamtąd do Kowna. Odwiózł mnie, ubrał i powiedział, że pewno pana zobaczę. Żebym wtedy panu powiedziała.

— Co powiedziała?

— No, właściwie nic. To wszystko.

„Karabela z Meschedu” – Warszawa 1948.

Karabela z Meszhedu

Pana Lazara poznałem osobiście dopiero po latach, w czasie których dowiedziałem się o nim, zdawałoby się, wszystkiego. Na długo przed tym deszczowym, pustym dniem, gdy zajrzał do mego pokoju w oficynie – może znechęcony odgłosem maszyny do pisania – pan Lazar był mi już znany, dobrze znany, jako postać klasyczna miejscowej, paropowiatowej Iliady, jakiś lokalny Jankiel czy ksiądz Robak, jakiś Zagłoba rodzinnego eposu. „To od Lazara...” „Lazar to wtedy zabrał...” „Trzeba by Lazara się spytać...” „Tu także był Lazar...” „No i wiecie, kogo spotykam? Lazara!” – przeplatało się najniespodzianie w świecie w najmniej oczekiwanych tu rozmowach czy wątkach. „Trzeba, żebyś poznał Lazara...” „Doprawdy, jeszcze nie znasz Lazara? No, ale chyba wiesz, kto?...” – dziwno się po latach mojej luce w znajomości

tych stron. Kiedy pierwszy raz byłem w Suwałkach, polecono mi być u Lazara, polecono tak prawie, jakby chodziło o oficjalne ucałowanie rąk jeszcze jednej żoninej ciotce ze wsi. Ku zgrozie rodziny zapomniałem na śmierć o Lazarze; co mnie mógł obchodzić jeszcze jeden żydowski kupiec? Po roku byłem po raz drugi w Suwałkach i niemal prosto z autobusu popielgrzymowałem do Lazara. Ale sklep z napisem: „Lazar Gitman, starożytności” – był zamknięty. Przez szybę tylko widziało się nie tyle zresztą „starożytności”, co rupieciarnię nieprawdopodobną, jakieś wypaczone, litewskie pewnie, mahonie, jakieś okurzone uprząże, ikonę, pewno rumuńskiej podróbki, źle imitujące Francję sztychy berlińskie. Legenda Lazara przybliżała. Pewno, antyki na miarę Suwałk...

Z drugiego domu wyszła Żydówka na pokręconych nogach, spytała, czy jestem „z intereselem”, i oznajmiła, że pana Gitmana nie ma, że powiedział, żeby powiedzieć, że jest w rozjazdach. Widać było, że słowo to jest dla niej obce, że przyswoiła je sobie od tegoż pana Gitmana. Najchętniej powiedziałyby zapewne „on ujechał”, gdyż – bez obrazy kapitana, a dziś majora Kirkora – żydowska nacja

jego ukochanych Suwałk przemawiała polszczyzną, w której było nieporównanie więcej Wołogdy niż Nagłowic. Nie poznałem zatem wtedy pana Lazara Gitmana.

Poznać go miałem dopiero w jakie dobre dwa, może nawet w trzy lata później; musiało to być na jesieni jakiegoś 1937 czy 1938 roku. Byłem już wtedy po mojej hiszpańskiej podróży, hiszpańskich reportażach i książce o *Czerwonej Hiszpanii*, książce, która nie była tak bolszewicka, jak się wielu bardzo ludziom wówczas zdawało, ale niemniej zaskarbiła mi wtedy całą serię prasowych ataków, pół kopy wszelakich wyklinań, radosne przepowiednie o wykończeniu się, no i uroczyste a zbiorowe wypowiedzenie mi posady ze strony mych dawnych prasowych chlebo-dawców. Wziąłem się tedy do tłumaczeń, do sporadycznych artykułów, do różnych dziwacznych zajęć aż do hodowli pieczarek włącznie, ale to wszystko było mało, a w każdym razie, jak na żonatego i dzieciatego mężczyznę, dalekie było od dostatku. Wtedy właśnie otworzyły się przede mną gościnne podwoje tego dworu.

Dwór zaś był rzeczywiście dworem. Miał jak się patrzy wysoki, piękny podjazd, oparty

na czterech jeszcze wyższych kolumnach: na jego frontonie świecił dumnie swą datą rok 1791 i spoza przerąbanego wojnami parku widać go było poprzez nisko sfalowane pola bardzo daleko. Były to okolice smutnej, opuszczonej Białostoczczyzny, mające w sobie melancholię pól brandenburskich, a może trochę z pustkowi Estremadury, gdzie wiekami nic się nie dzieje, gdzie kolejne generacje chłopskie w małych, przygniecionych i szarych chatach z drzewa nawarstwiają się poprzez dziesięciolecia – niczym mszaki sprasowane w torf nad rozlewami Zelwy. Tak, Zelwa! Zelwa – ze swym mostem i groblą na Zelwiance – to był jedyny błysk czegoś w tych stronach, jakieś muśnięcie sławy, i ile razy w mym życiu na małej bryczce wjeżdżałem w noc ciemną do stacyjnej miejsciny Zelwy, marzył mi się naraz Żeromski i noc żołnierska na przedpolach Mantui, i on – obrońca Zelwy, poległy pod Piramidami, polski oficer i jakobin, Józef Sułkowski. Zelwa, Zelwa... Ale poza Zelwą nie było tam nic, naprawdę nic, żadnego blasku; lasy były marne, choć zwały się „zamkowymi”, i pola były też marne, wąsko pocięte, kamieniami moren przesypane; chłopci tych kamieni nie zbierali,

albowiem w ich pojęciu kamienie i tak odra-
stały z powrotem.

Gdzieś daleko, za albertyńskimi lasami, krył się Słonim – Słonim to już było coś, to już był pomnik, kościoły, klasztory, baszty, Ogińscy, barok biały – i człowiek czuł, nie wiedzieć nawet jak, że tam przecież kiedyś coś było, że te lasy ciasne wokoło i te białe baroki w mieście złowiły pierwsze tony jednego z najpiękniejszych polonezów polskich. Tak, lecz do Słonimia było stąd jeszcze ponad sto kilometrów, i tu nie był Słonim, ale Wołkowysk, a raczej nawet nie Wołkowysk, niski, rozsypany domami i nijaki, lecz ziemie wokoło Wołkowyska, właśnie te biedne, równe i szare ziemie wypełniające próżnię pomiędzy magnackim Białymstokiem Branic-
kich a magnackim Słonimiem Ogińskich, i gdzieś ginąca wśród nich niemal bez śladu owa Zelwa, a także ów dwór z datą trzecio-
majową na szczycie.

Mały, zabiedzony Wołkowysk był sobie stacją przeprężną jakby na wielkim szlaku kolejowym Europy: Calais, Paris, Stołpce, Niegoriełoje. Dwa razy dziennie tym traktem pędziły wielkie międzynarodowe pociągi, lśniące sleepingami, wagonami restauracyj-

nymi i nie wiedzieć jakim splendorem, ku Paryżowi i Moskwie, i tędy właśnie tymi pociągami podróżowały różne Wellsy, Bernardy Shaw, Lady Atholl, Litwinowy i Bóg wie jakie wielkości – ku cudom Białokamiennej, a krajobraz wołkowyski może to czuł nawet i stał jakby jeszcze bardziej zażenowany, przygarbiony i onieśmielony własną małością wobec tego przejezdnego wielkiego świata. Czasem latem do pociągu na Paryż ładowano prostokątne skrzynki, a w nich, obłożone mokrymi pokrzywami, niezgrabiły się czarne, olbrzymie raki posyłane prosto z wód Zelwianki do największych restauracji paryskich. Wołkowysk pokazywał, że i on coś ma do dania temu wielkiemu, dalekiemu światu. Ale paki z rakami wpakowywano do czarnego wagonu pocztowego na przedzie, prędko, albowiem taki pociąg jak Niegoriełoję-Calais nie może przecież stać na takiej stacji jak Wołkowysk więcej niż równo minutę – i czekać na głupie raki! Raki czekały zatem już od półgodziny posłusznie w miejscu, w którym winien się zatrzymać ów wóz pocztowy, potem szybko, skrzynka po skrzynce, znikały w jego czeluściach, żeby wynurzyć się aż w Paryżu. Ludzie w Wołkowysku po-

wiadali z dumą, powołując się na jakąś nieznaną statystykę, że na 10 raków, które je Francja, 8 pochodzi z Polski. Mój teść dodawał w tym miejscu: „...a w tym sześć i pół z Wołkowyska” – ironizując i ten tytuł do sławy grodu, ale, mój Boże, daremnie! Przecież i tak w Paryżu na jadłospisach figurowały wprawdzie *huîtres portugaises* (nie będące, jak wiadomo, z Portugalii) oraz *escargots de Bourgogne*, niekiedy istotnie hodowane na pagórkach Burgundii, ale o rakach jadłospis opiewał niezmiennie jako o *écrevisses polonoises* i nie chciał w żaden sposób przyjąć do wiadomości, iż pochodzą z niejakiej Zelwy, Zelwianki, Wołkowyska. Biedny Wołkowysk nie mógł się tedy nawet rakami wkupić do wielkiego świata.

W dużym, białym dworze przyjęto mnie z ciepłą wyrozumiałością („znowu coś nabroiłeś, widzisz, a Kościałkowski już chciał cię wziąć do województwa na praktykę, byłbyś się ustatkował, usytuował, może byłbyś już teraz nawet wicestarostą”), ale w każdym razie nieźle, jako że w ogóle do rzeczy pisanych, a zwłaszcza pisanych w gazetach innych niż „Kurier Warszawski”, nie przywiązywano w tym domu nadmiernego znaczenia. Poza tym pokoi było

dużo, pieniędzy może brakło, ale nie brakło jedzenia, poza tym była nuda, a w mojej osobie przybywał ktoś do rozmów w coraz to dłuższe już wieczory, a wreszcie była jak ten dwór stara, a nawet jeszcze starsza tradycja rezydentów, takich życiowych nieudaczników, niewydarzeńców – panien, co nie wyszły za mąż, kawalerów, którzy za późno zabrali się do żeniaczki, jakichś ciotek, jakichś wujów, jakichś kuzynów, jakichś kolegów dziadka ze szkół, jakichś nie wiem jakich jeszcze doczepieńców. Byłem zresztą zmęczony Hiszpanią, a może jeszcze bardziej owym absolutnym brakiem odzewu, z którym Hiszpania konając spotykała się w szerokim, sytym świecie. Nikt nie myślał w Warszawie, że los Guerniki czy Madrytu... I to męczyło. Pisałem wiele, jeszcze więcej czytałem. Ostatnia generacja dworu była rozlubowana w rzeczach technicznych, ale poprzednie siedziały głęboko we Francji, w literaturze i historii. Całe rzędy pięknie oprawnych tomików ze złoceniami, mające niebawem dokonać swego żywota w błotach pobliskiej rzeczulki, przechowywały – jak plastry pszczelne miód – rokokowy wdzięk komedii Marivaux, galicką ciętość Woltera i paryskość szyderstw Beaumarchais'go. Kończyło się to chyba na światowym dandysie

Bourgeoisie – dopiero ja przywoziłem jakieś o dwie generacje odbiegłe tomiki tak nieznanymi autorów jak André Malraux. I dnie zachodziły tu w dzień, a noce w noc i jesień zbliżała do siebie późne świty i wczesne zmierzchy, a świat zmęczony, który zostawiłem daleko za sobą, zmałał, przygasł i oddalił się. Tylko nocami czasem daleki łoskot pociągów międzynarodowych szedł przez łąki i przypominał, że jest na świecie jeszcze nie tylko Wołkowysk i Biały-stok, i Słonim, ale jest Niegoriełoje i Paris, i Calais – i jakaś męka, i jakaś Hiszpania. Może, gdyby nie ten pociąg, który szedł z łoskotem po mokrym wrzosie zostawiając za sobą Niepokój, byłbym zapomniał zupełnie, że w ogóle jest jakiś świat inny niż ten, który tu wokół wlecze swe niskie dni.

Zdaje się, że nie powiedziałem jeszcze, iż dwór był stawiany „w podkowę”, to znaczy, że po obu stronach miał dwie pod kątem prostym ustawione oficynki, w nich zaś dużą, o wiele za dużą ilość pokoi. W samym końcu jednej z tych oficynek odremontowałem sobie, a raczej oczyściłem tylko, małe, nikomu nie zawadzające mieszkanie. Miałem tam trochę swoich rzeczy, poleciłem obmyć z wapiennego tynku grube, drewniane, piękne bel-

kowania sufitu, pościągałem kilimów i glinianych mis podolskich. Było właśnie takie popołudnie, kiedy wszyscy wyjechali gdzieś byli, ja zaś kończyłem jakąś robotę, pisząc na maszynie. Postyszałem, jak od dziedzińca zajechało coś i zatrzymało się w podwórzu; lecz mnie to tyczyć nie mogło. Potem wydało mi się, że ktoś się o coś kogoś pyta i że jakiś głos męski informuje, iż pana dziedzica nie ma. To także tyczyć mnie nie mogło. Pisałem więc dalej. Pamiętam jeszcze, jak to pisanie wciągnęło mnie w siebie, jak mi właśnie szło (czy może tylko zdawało mi się, biednemu, że idzie) i jak postukałem tylko zawzięciej, gdy usłyszałem skrzyp drzwi do sionki. Po co mnie tym nudzą? Pewno znowu jakiś rzepak, ordynaria czy klucze do spichrza? Z ulgą stwierdziłem, że po tym skrzypnięciu drzwi nie odezwały się żadne kroki. Może mi się tylko zdawało? Pisałem dalej. Ale nie, nie zdawało mi się, niestety, bo ktoś wszedł do pierwszego pokoiku, tego z kuchnią, zachrzakał i poszurał nogą, słowem wykonał mnóstwo obrzędów, obyczajem tubylczym przepisanych dla zawiadomienia o swej obecności. „Kto tam?” Ktoś odchrzakał. „Kto tam?” Ktoś odchrzakał raz jeszcze. Odsta-

wiłem maszynę. I wtedy, nim się ukazał, usłyszałem tylko jego głos: „To ja, ale niech pan redaktor sobie nie przeszkadza, ja poczekam, aż pan redaktor dopisze, ja poczekam, ja mam zawsze czas...” Nie chciało mi się wstawać od maszyny „Ale kto tam?” Głos zażenowany odpowiedział wtedy, wciąż zza drzwi: „To ja, pan redaktor mnie nie zna, ale ja wiem o panu redaktorze, moja familia Gitman. Ja z Suwałk. Ten z Suwałk Gitman. Gitman, Lazar Gitman”.

– A, pan Lazar Gitman – popisałem się moją znajomością towarzyską tych stron. – Ale pan wie, nikogo nie ma – witałem wchodzącego.

Wchodzący był dość wysokim Żydem o czarnym, nikłym zarostie wijącym się wzdłuż zakosa policzków i spadającym poniżej podbródka ostrym zarysem brody. Miał twarz bardzo żydowską, żółtą, niewielkie, czarne oczy, przy tym nos dosyć cienki, nawet bardzo cienki, wydatny, wcale nie mięsisty nochał, właśnie jakiś śródziemnomorski, semicki. Był ubrany czarno, czy też ciemno, wyraźnie z żydowska, tak właśnie, jak ubierali się Żydzi w nieokreślonym trójkącie ziem pomiędzy Małkinią, Baranowiczami a Mołodecz-

nem. Mógł być pachciarzem i dzierżawić sad, i być rzezakiem, i mieć handel drzewny, i skupywać gęsi do Prus, i co tam jeszcze. Z wejrzenia był tedy tym, co by określono wówczas: „taki pospolity Żyd”. Ale w twarzy miał coś cienkiego, rabinackiego, ręce miał także jakieś białe, długopalce i miękkie, w głosie coś dyskretnego i cichego.

– Ale ja pana redaktora to bardzo chciałem od dawna już poznać, choć państwo mnie skrzywdzili, bardzo skrzywdzili – powiedział. – O, tu właśnie widzę moją krzywdę!

W rogu pokoju stała ta właśnie „krzywdą” i zaraz przypomniałem sobie, o co panu Gitmanowi chodziło. „Krzywdą” była niewielkim, mahoniowym mebelkiem, biurczkiem, sekretarą, jak się mówiło. Przez niezliczony szereg lat stała w pokoju służbowym, służąc za podstawę do maszyny do szycia czy innego podobnego celu. Roztrzęsała się była do reszty i zapewne dokończyłaby żywota nawet nie w czworakach, ale po prostu w piecu. Okoliczność, że drzewa nie brakło, przedłużała jej meblowe wegetowanie. Traf chciał, że moja narzeczona chciała coś uszyć, spędziła parę godzin w służebnym pokoju i zauważyła mebelek. Nie na darmo chodziła kiedyś na wykłady historii sztuki.

– Ależ to śliczne biureczko! – zachwyciła się.

– Proszę panienki, a jak się otwiera, to tam jest taki mramur. Ale rozbity – powiadomiła szwaczka.

Istotnie, po podniesieniu wieka okazywało się, że sekretera była i rodzajem gotowalni. Miała wewnątrz miejsce na lustro (pewno wyjęte z niej przy jakiejś okazji), odpowiednie schowki oraz ów „mramur”, czyli marmurowy wewnętrzny różowawy blat. Najśliczniejsze były jednak same proporcje nóg, stołu, całego zestawienia – a wiadomo, że dobry mebel poznaje się przede wszystkim po proporcjach. Nie miał żadnych brązów, które by wskazywały na zagraniczne, paryskie czy wiedeńskie, pochodzenie. Nie było też żadnych śladów, by kiedykolwiek je miał. Nie miał nawet drewnianych podróbek brązów, jakie często miewały nasze rodzime meble. Nic, tylko same proporcje i szlachetny, piękny mahoń. Oczywiście, biureczko powędrowało do pokoju Marii.

Matka żony była potem zawsze bardzo dumna.

– Widzicie, a ja obroniłam to przed Lazarem...

– Jak to, przed Lazarem?

– A nie pamiętacie? To było na Wielkanoc tamtego roku; nie, jeszcze dawniej. Kiedy by-

li Bispingowie. Od dwóch dni na nogach, od kuchni do piekarni, od piekarni do kuchni; rodzynków Oskar, jak to Oskar, nie przywiózł z Wołkowyska, Michasia zacięła się w palec, baby wielkanocne pieką się w wielkim piecu, ja w strachu, żeby mi nie opadły, a tu jeszcze był ten mór na prosiaki. Sześć poszło jednego dnia. Naraz ze wsi posyłają – Wielickowej trzeba zrobić zastrzyk. Lecę do apteki w służbowym, a tam kto? – Gitman sobie gospodaruje jak we własnym sklepie! Maszynę odstawił i ten stolik ciągnie. „A Gitman tu co?” – mówię. „Proszę pani dziedziczki, a co pani dziedziczka powie, gdybym ja pani dziedzicze nowy, sosnowy stolik pod maszynę kupił?” Rozgniewał mnie tym, że tak szpera nie u siebie, więc mówię: „Maszynie nie trzeba nowego stolika”. A on: „Ja bym może dał pięćdziesiąt złotych”. To już mnie rozgniewało na dobre; więc najpierw sosnowy stolik tylko, a potem zaraz pięćdziesiąt złotych? „I za sto nie oddam!” A byłabym oddała, bo na Wielkanoc zawsze potrzeba pieniędzy, i Gitman to wie, zawsze przed świętami przyjeżdża. Lub przed samymi żniwami. – Ale mnie rozzłościł tymi targami, bo ja o Gitmanie moje zdanie mam, tylko ojciec się na nim nie poznał, a po-

tem jeszcze przypomniałam sobie, że ja tu stoję i z tym Żydem wyklócam się o stolik, a tam baby mogą opaść i ta Wieliczkowa czeka. Więc tylko powiedziałam: „Panie Gitman, żadnego interesu nie będzie, bo ja nie lubię, żeby mi kto po domu chodził i stołki ostukiwał; już komornika dosyć”. Żal mi się go zrobiło, bo od razu zrozumiał, że żarty skończone, i powiedział: „No, kiedy pani dziedziczka taka ostra, to pewno, że interesu nie będzie” – i poszedł, a ja po zastrzyki. Nie, baby nie opadły, a Wieliczkowa, to prawda, umarła, ale dopiero na świętego Jana. I tak ocalałam sekreterę.

Teraz pan Gitman oglądał swoją „krzywdę” i kiwał tylko głową. Odrestaurowaliśmy mebel w Warszawie u Panciewicza; kosztowało to tyle, że w pojęciu matki mojej żony można było trzy takie kupić. Ale sekretera była przywrócona do swojej pierwotnej chwały. Przypomniano sobie, że musiała być jeszcze z kompletu po Ciumdziewickiej, a wiadomo, co to w Minszczyźnie byli Ciumdziewiccy. Żaden dziedziczny graf świętej Golicji i Głodomerii ani się do nich nie umywał. Ale dla nas dzieje mebla też kończyły się i zaczynały na tych Ciumdziewickich; wszak to było w jakichś latach osiemdziesiątych,

może wcześniej, zeszłego stulecia. Powiedziałem to teraz Gitmanowi. Gitman zmrużył oczy, pokiwał głową, pogładził brzeg blatu i zapytał jak doktor przy badaniu pacjenta:

– Panie redaktorze, a czy ci państwo Ciumdziewiczcy nie mieli czasem co z Anglią? Bo to jest, proszę pana, mebel angielski. Angielska robota. Takie same dwa mebelki były w Gieranonach, po Ogińskich księżętach jeszcze, i ja bardzo myślę, że to będzie od tego samego majstra. Tak, może to angielski. No, to w takim razie nie taka jeszcze wielka ta moja krzywda...

– Angielskie niedobre?

Gitman mrużył oczy i patrzył przez okno, na dziedziniec, gdzie cztery białe kolumny pały się pod datę 1791.

– Nie – mówił – dobre, bardzo dobre i ja bym go wziął, ale... To pan redaktor nie wie, że ja, Gitman, zbieram same polskie rzeczy? Jak się trafi niepolska, biorę. Co nie mam brać? Ale naprawdę dla mnie polskie to dopiero co warte. Do tego to ja mam serce.

– Ja też – wyznałem – zbieram sobie gdzieś czasem. Właściwie zbierałbym, ale nie bardzo mam za co...

– Nie trzeba mieć za co; można za nic; ja zaczynałem całkiem za nic. Pan redaktor

może; pan redaktor wszędzie jeździ. Pan w Palestynie był; pisali u nas w żydowskiej gazecie w Grodnie. Pan był w Hiszpanii. Polaki, to une biegali po świecie, umierali gdzie, zostawiali, rozchodziło się po ludziach. Ci obcy nie znali, nie rozumieli. O, żebym ja był w Hiszpanii abo we Włoszech, abo we Francji choćby, ho! ho! ho! co bym ja już nie miał! A wie pan za co? Za nic! Za bezdurno.

– Za... sosnowy stolik?

Gitman połapał się dopiero, gdy już otwarł usta. Złapał dziwnym ich ruchem jakieś nie wypowiedziane jeszcze słowo, połknął je, po czym odrzucił z uczniakowskim, odmładzającym uśmiechem:

– No – a choćby za sosnowy stołek? Sosnowy stołek? Jak na takim czymś może stać maszyna do szycia, na takim czymś, na takim, to lepiej niech stoi na sosnowy stołek! U Lazara Gitmana na takim czymś maszyna – maszyna – nigdy nie postoi... Na takim czymś...

I rozdygotał się cały. Już nie żartował, już się nie tłumaczył. Był butny. Patrzyłem na ten gniew, który nim całym trząsał i wypływał z jakiejś wewnętrznej pasji. Co było ową pasją? Nie, nie było nią geszefciarstwo. To było

coś innego. Ale tymczasem powoli stygł. Znowu się uśmiechnął:

– Proszę pana... a niech pan – tak całkiem po prawdzie – powie... Ja już był bardzo bliiski tego mebla... Ja tylko przyszedł nie w porę. Pani dziedziczka, jak to w święta, miała pewnie jaki kłopot... czy zmartwienie. Może jej mazurki te coś nie... Może ciasta jakie... Ja wim? Nie wim. Ja wim jedno: w święta to każdy pan dziedzic i każda pani dziedziczka potrzebuje pieniędzy. Czy ja nie wiem, jak to dziś jest z państwem? No, to ja jestem w święta. Można zawsze kupić coś. Państwo rade, ja zadowolniony, to ja jeżdżę. Tylko w święta każdy nerwowy taki. To mnie się raz udaje, raz nie. Saldo. Trudno. Trzeba jeździć. Chodzić. No, niuchać. Trzebno na to mieć nos: Pan redaktor jeździ. Mógłby sobie, ani się opatrzy, ładne rzeczy uzbierać. Oko. Pan wie, jak można ładne rzeczy u nas dostać? Ja panu powiem, jak.

Siedzieliśmy tak chyba z godzinę, a Lazar Gitman wprowadzał mnie w swe sposoby. Zrazu myślałem, że będzie chodziło o to, aby mi wpakować jakiś rzekomy antyk, sztych polski czy książkę. Ale okazało się, że nie. Czarne oczy Lazara Gitmana raz świdrowały mnie, to

znowuż uciekały gdzieś w przestrzeń, za okno, daleko za lipy i klony, może gdzieś za Niemen i Świteż. Każdy ustęp jego opowiadania zdradzał mi tajne, latami długiego poszukiwania wypróbowane, przypadkiem jakimś odkryte, może przez jakieś generacje żydowskich antykwariuszy przekazane arkana i sposoby. Była to cała wiedza, podzielona na różne odgałęzienia i działy. Jedną część tej wiedzy stanowiło szukanie rzeczy cennych. Starych. Bo rzeczy takie, rozumował Gitman, nie sztuka znaleźć u antykwariusza, już ocenione, oczyszczone, skatalogowane, na jakiejś Marszałkowskiej, no, Świętokrzyskiej. Nie sztuka w Wilnie. Nie sztuka nawet w Grodnie. – Rzecz cenną, starą, należy znaleźć jeszcze wtedy, gdy nie jest za taką uważana. To, to sztuka. Wtedy, tylko wtedy dochodzi się do posiadania na własność rzeczy cennych. Jakże do tego dojść? Gitman wygłosił prawdziwy wykład. Wyjaśniał, ile cennych rzeczy, porzuconych jako starzyzna, poniewiera się po strychach; ile z dworów przeszło do plebanij, zwłaszcza uboższych, prawosławnych, ile zapełnia pokoje jakichś podrzędnych hotelików żydowskich w Dziśnie, Mostach, Niemenczynie, Oranach; ile rzeźb poszło na strychy kościelne, za szafy zakrystii,

no, czasem do lochów nawet; jak to w synagodze w Mostach odnalazł dwa brzuchate, ciemnobłękitne delfty. To – i setki innych wskazówek, pouczeń, poszlak wyrzucał obecnie z siebie Gitman, jakby na jakimś egzaminie czy popisie. Wpadł w trans. Widziałem go teraz, jak idzie jakimś miasteczkiem kresowym, mnie samemu niemal nie znanym, jakimś Zdzięciołem, jakąś Prużaną, Kamienicą, Żyrowicami, Skidlem, jak – niczym różdżkarz szukający wody – przystaje, rozgląda się, wyczuwa, czy za ścianami niskiego domu, który właśnie mija, nie kryje się coś, co obmyte, oczyszczone, naprawione, zajaśnieje w przywróconym sobie dawnym, polskim blasku. Gitman to wszystko wiedział. Gitman tak to wszystko wiedział, że teraz, po latach, miał już jakieś instynktowne wyczucie. Wiedział naprawdę z instynktu, gdzie coś może być, tak samo jak różdżkarz wie, skąd po chwili kopania tryśnie zbawcza woda.

Ale to była tylko jedna z dziedzin wiedzy Lazara Gitmana. Zabytek to nie grzyb w lesie, gdzie wystarcza znaleźć miejsce, w którym rosną borowiki, by wrócić z koszem brunatno-białych olbrzymów. Jak skłonić księdza proboszcza, żeby pozwolił pobuszować po zakamar-

kach zakrystii? – Panu redaktorowi każdy proboszcz pozwoli. Ale Gitmanowi? Gitmanowi? Pan redaktor sam przecie rozumie? A pan redaktor myśli, że z kahałem łatwiej? Gdzie tam! Co ja zdrowia stracił przez tamte dwa delfty! A dwory, dziedzice, to tak niby pozwalają na strych założyć? Aha! Aha! – Gitman bał się, bym przypadkiem nie zlekceważył ogromu dyplomacji, jaka była mu potrzebna, by przeszperać kościelne strychy w jakimś Zdzięciole. Jak to robił? Kosztowało to lata całe zabiegów, przymilań się, wkradania w łaski, zadomowiania. Tam prezent jakiś przywiózł, gościniec dziecku, tu wiadomość na czas, ostrzeżenie. (Mój teść mówił mi potem, że Gitman zawsze wie, kiedy ma przyjechać w czyjeś progi komornik, sekwestrator czy inna skarbową władzę – jak, skąd, żydowska tajemnica). Więcej niż trzydzieści lat zjeżdżał tak kawał ziemi zamknięty Prypecią i Bałtykiem, Prusami Wschodnimi, granicą. Wozem, biedką jednokonną, na piechtę, zimą, latem, w żniwa, w czas zasiewów. Gitman wiedział, kiedy się zjawić, kiedy jest nadzieja na utargowanie, Gitman był jak ów rybak, który najpierw pstrąga zmęczy, utrudzi, starga, nim go naraz, już dawno umotanego, z zielonego nurtu na brzeg wyśmignie.

Ludzie, co nie lubili Gitmana – bo byli i tacy – mówili mi potem o nim, że jest to kruk, co czyha na licytacje, wykrywa wyprzedaże jak sęp padlinę, wietrzy to z daleka, wywie się o tym jakimś czuciem niemylnym, trafi w porę – i potem wraca do swych dalekich Suwałk z nowym, tanio nabytym łupem. Była i opowieść naprawdę trupami trąca. Oto powiadano mi potem, że podczas rozbudowy Baranowicz rozgrzebano tam, w 1929 bodaj, stary cmentarz. Był to zapewne cmentarz ziemiański, choć nagrobki pobutwiały dawno i krzyże się powaliły, tylko dwie jakieś postaci marmurowe zwieziono potem do Wilna. Ziemia jednak, jak często w tych stronach, konserwowała dobrze. Być może, że i murowane groby pomogły nieco. Dość, że odnaleziono kilkanaście – czy kilkadziesiąt – dość znośnie zachowanych zwłok sumiastych szlachciców sejmikowych, śpiących – swój sen wieczny, rozpoczęty kiedyś za Panie Kochanku i króla Sasa. Z różańcami w ręku drzemały i jejmoście w robronach. Szaty miały być dobrze zachowane. Nim konserwator dojechał, nim województwo coś zamieściło, nawet zanim ukazała się trójszpaltówka w „Czerwoniaku”, już cmentarz zaorano czy

przekopano, nieboszczyków zwieziono do wspólnego bodaj grobu, a miejsce cmentarza zajął tor kolejowy czy też stadion. (Dziś już nie pamiętam, na co ten stary cmentarz był komu potrzebny). Dopiero w dobre pół roku potem poszła gadka, powtarzana odtąd uparcie, że konserwatora, województwo i reporterów wyprzedził jednak Gitman i że wyprzedził nie na darmo. Zwłoki posiadały bowiem nie tylko sumiaste wąsy, ale jeszcze i pasy słuckie. Wszak Słuck i Baranowicze – to było niegdyś niemal o miedzę sąsiedztwo. Te pasy – tu wersja miała duże cechy prawdopodobieństwa – były zachowane najlepiej; nic dziwnego: jedwab i nitki złote. – Otóż pan Gitman miał manipulować tak zręcznie, że szlachcice wrócili wprawdzie na łono rodzinnej ziemi, ale już – bez pasów. Pasy, pewno lekko trącające trupem, pojechały do Suwałk. Było tam nieco huczku o to i proboszcz, który ponoć też był w tym czynny, musiał jeździć do kurii, do Wilna; konserwator też się zbudził na jakieś pięć minut; nawet województwo wysadziło się na jeden, dwa papierki, ale w końcu sprawa zagała jakoś, zamarła. Ów ksiądz nie żył długo, konserwatora przenieśli na lepsze stanowisko, reporterzy

znaleźli inną sensację. I tylko głucha legenda snuła się wokoło Lazara.

Pamiętam, mój teść niezbyt się nią przejmował:

– Miały gnić w ziemi, lepiej, że będą świadczyć o tym, co tu też kiedyś na tej ziemi było...

– No, dobrze, ale skąd do tego Lazar? Powinno Muzeum Narodowe, województwo...

– Widziałeś, jak województwo. Muzeum Narodowe? Gdy będziesz starszy, zobaczysz. Ja mówię: miałyby ziemia, lepiej niech ma Lazar. Lazar nie zmarnuje. On te rzeczy kocha.

– Sprzeda.

Zaprzeczył głową:

– Prawda, że ty wciąż jeszcze Lazara nie znasz. Gdy poznasz Lazara, zobaczysz, że on ich nie sprzeda.

– To po co je zbiera?

– Zbiera, bo... to długa sprawa i całkiem nieprosta. Zrozumiesz, jak poznasz Lazara.

No i właśnie poznałem Lazara Gitmana, siedział przy mnie, mówił. Na dworze zrobiło się szaro, potem ciemno i siedzieliśmy po wiejsku, po ciemku – i tylko piec odcinał się z tego mroku bielszy niż widmo przycupłe w kącie, a nad nami, u pułapu, gliniane misy

podolskie, które w drzewo belek wprawiłem niczym rozety kasetonów – ot tak, dla oryginalności – świeciły swą jasną polewą. Nie chciało się palić światła, żadna dziewczyna nie przychodziła i siedzieliśmy tak, a on mówił, urywał, nawracał, znowu mówił. Nie było Lazara. W tej ciemnej szarości wtopił się w nią niemal zupełnie. Jakaś plama biel-sza przebłyskiwała na wysokości głowy. Czasem mrok przekreślał błysk ręki poruszonej w rozmowie. Było tylko nasze milczenie lub jego – czy mój – głos. Lazar mówił urywanymi zdaniami, zdaniami łączącymi się luźno, odbiegającymi od siebie, mówił jakąś gawędą nieskładną, której charakter właśnie polegał na owej nieskładności, na tym, że jak rzeka stron rodzinnych, skromna rzeczulka nie znana podręcznikom szkolnej geografii, wije się, zakręca, aby po chwili zawiłych zakrętów minąć miejsce, które opłynęła chwilę temu, ścieśnia się naraz w nurt ostrzejszy albo rozlewa szeroko, jeziornie, wnikając cichcem w szuwały i trawy, tak że nie wiedzieć, gdzie woda przechodzi w moczar, a gdzie moczar staje się łąką. Jakaż szkoda, że dziś, po tylu latach i po tym wszystkim, co się w owe lata naniósło, nie potrafię odtworzyć ani jednej

z owych gawęd nanizanych na wieczorną godzinę przez Lazara! Nawet nie od razu zdałem sobie sprawę z tego, że to jego gadanie staje się właśnie niepostrzeżenie gawędą, nasiąka tonami z pana Paska, z *Pamiętek Soplicy*, z *Mieszanin Bejły*, z Odyńca, Syrokomli i Henryka Rzewuskiego, z tego całego genre'u literackiego, dziś wraz z dawną Polską zaginionego zupełnie, a będącego kiedyś istotnym, rodzimym stylem prozy polskiej. Prozy polskiej? Gdybym wtedy, owego wieczoru, znał był nowele Somerseta Maughama albo *Księżę z San Michele*, wiedziałbym, że przy swej polskości jest to rodzaj bardzo europejski. Ale wtedy nie wiedziałem jeszcze o tym – i miało to dla mnie tylko urok sarmackiej starzyny.

Pamiętam potem dobrze, że na tym zastała nas wiadomość, iż kolacja podana, i pamiętam, że odruchowo, sam o tym nie pomyślawszy, wziąłem Gitmana ze sobą. Zdałem sobie sprawę dopiero potem, że łamało to prawa hierarchii gościnnej. Lazar należał do tej klasy gości, którzy po dworach jadalni osobno, ani ze służbą, ani z tak zwanym państwem, stanowili jakby kategorię pośrednią. Jadalnią był duży pokój, prawdziwa sala, ciemna w tonie, bo boazerie

biegły dookoła, kredens stanowił ciemną plamę, a okna były już pozamykane na noc na wysokie wewnętrzne okiennice, których ciemne drzewo dodawało mroku. Wysoko wisiało parę portretów, artystycznie zupełnie bezwartościowych, z których wynurzały się tylko pożółkłą plamą podgolone łby jakichś wendeńskich podstolich czy upickich wojskich. Ściany były oklejone wielkimi płótnami z malowidłami z końca osiemnastego wieku, też nieszczęśliwymi, ale swym charakterem przynajmniej podkreślającymi epokę, w której panował nie tylko król Ciołek, ale i mistrz Bacciarelli. Dwa były zupełnie nierozpoznawalne, ale cztery inne ilustrowały najwyraźniej *Eneidę* – co było zresztą zgodne z gustami tamtych czasów. Widać było, jak płonie wysokie Ilium i jak Eneasz niesie na barkach ku korabiom na wypłowiełym morzu nagą swą żonę, potem Dydo w koronie udzielała posłuchania wygnańcom trojańskim; była – ku naszej radości – i scena, która w tłumaczeniu osłobryków niestrudzonego przyjaciela młodzieży gimnazjalnej, pana Zukerkandla ze Złoczowa – brzmiała, jeśli pamiętam:

*Umilkli wszyscy, rozdziawili gęby,
a stary Eneasz tak cedził przez zęby;*

a wreszcie, jako ostatnie *panneau*, widniał obraz rzeszy wygnańców trojańskich, kiedy daleko od swej dawnej ojczyzny, wygnani z ziemi ojców, opuściwszy rodzinne Ilium, budowali na wzgórzach obcego Latium swe nowe siedziby – Rzym. (Czemuż polscy budowniczo- wie tego domu w owym roku 1791 zdobili ściany takim właśnie *memento*? Czyżby chcieli przypominać wnukom, że w miejsce upadłej Troi powstała jeszcze, na innych wprawdzie ziemiach, potężna Roma?).

Siedzieliśmy tedy obaj, każdy w końcu bardzo długiego stołu. Pokój miał za całe oświetlenie dwa kandelabry, każdy na innym końcu, i pamiętam, jak twarz Gitmana wynurzała się z mroku ozłocona odblaskiem świec. Przyszło mi wtedy na myśl, że Gitman zachowuje się jak mysz, którą kiedyś widziałem złapaną w jakimś ogromnym, za wielkim na nią potrzasku. Owa mysz siedziała najpierw przerażona obcością miejsca, potem poczęła rzucać czarnymi oczkami w każdy kąt, później poruszyła głową, postrzygła uszyna, a w chwilę później pobiegła już obwąchiwać najdokładniej pułapkę. Nigdyśmy nie siadywali długo przy kolacji, ale myślę, że gdybyśmy byli siedzieli dłużej, Gitman

pewnie zerwałby się od stołu, zaczął ostukiwać bufet – zresztą nieciekawym – oglądałby srebra, zdejmowałby portrety...

Nie byłem w mych przypuszczeniach daleki od prawdy, bo ledwo wstaliśmy, Gitman podszedł do owych płócien. Oglądał, poma-cał, pomruczał. Zwilżył palec śliną, pociągnął po płótnie, znowu mruknął i odwrócił się do mnie:

– Proszę pana redaktora – a co jest pod nimi?

– Jak to – pod nimi? Ściana.

– No, a co jest na tej ścianie?

– Na ścianie? Co może być więcej na ścianie?

Ale Gitman, wcale nie proszony, już próbował podważać szeroką listwę, jak rama opinającą wielkie, płócienne *panneau*. Nie szło. Pamiętałem, że w drugim końcu płótno zbutwiało trochę i odchodziło od ramy, że trzeba je było onegdaj zapychać i przyklejać – można było zaspokoić ciekawość Gitmana.

– O, tu, niech pan spróbuje.

Gitman nie przeszedł, ale przebiegł swymi małymi kroczkami po ciemnej posadzce, już był przy drugim brzegu, podważał, podciągał. Dało się słyszeć jakieś darcie – już myślałem, że mi to będą potem wymawiać – i zaraz triumfalne:

– No? Co ja mówił? No?

Musiałem przynieść oba świeczniki i krąg światła rozjaśnił naraz ów kąt przy murze. Gitman ręką jak skalpelem odciął szybko płótno od ramy. Rozszerzył naturalną szparę. Miał rację! Pod płótnem była ściana, ale malowana, najwyraźniej malowana w jakieś freski. Tak, to były freski, od owych płócien niezawodnie starsze, zasłonięte nimi, gdy stały się niemodne – uchronione tymi trojańskimi płótnami przed zniszczeniem i ludzką pamięcią. Freski wypełniały, jak się potem okazało, całą ścianę i reprodukowano je potem w „Arkadach”. Konserwator wojewódzki, który je sfotografował, był wymieniony jako odkrywca i bodaj za to właśnie otrzymał potem Polonia Restituta. A Gitman wrócił do Suwałk.

*

Od tego czasu przez jakieś chyba półtora roku nie widziałem pana Lazara, albowiem uzyskałem posadę w radio i nim mnie z niej wylano, upłynęło jednak parę miesięcy. Natomiast przekonałem się, że Gitman nie jest wcale wielkością lokalną tamtych stron, że, przeciwnie, istnieje w Polsce, a nawet poza Polską, rozległa masoneria ludzi, którym istnienie La-

zara Gitmana w dalekich Suwałkach wcale, ale to wcale nie jest obce. Konfraternia znajomych Gitmana była zresztą nader wieloraka. Jak do pierwszych łóż polskich XVIII wieku – należeli do niej ludzie najbardziej sobie dalecy.

W Berlinie, w Charlottenburgu, odwiedziłem na rok przed jego śmiercią nestora nauki polskiej, Aleksandra Brücknera. Pamiętam ulicę mieszczańsko-niemiecką, spokojną, z drzewami; duży gabinet z zadziwiająco małą ilością książek. Brückner do końca miał pamięć świetną, co przeczytał, to i zapamiętał. Gdy go coś uderzyło w książce, wyrwał z niej kartkę dla siebie ciekawą – resztę wyrzucał. Musiał mieć już wtedy z osiemdziesiąt dwa lata, toteż był wyschły jak mumia, przysłowio- wa skóra i kości. Ale jakże się ożywia! mówiąc, pytając, polemizując! A pytał się ciągle. I tak naraz, już w kawiarni, zapytał:

– Powiedz no mi pan, a Gitman, Lazar Gitman z Suwałk, żyje jeszcze? Bo dawno już mi o niczym nie doniósł.

Po czym okazało się, że Gitman – Lazar Gitman – był w korespondencji z samym Aleksandrem Brücknerem. Gdy o tym powiedziałem w Krakowie profesorowi Kotowi, ten się wcale nie wzruszył:

– Gitman? Panie Ksawery! Jakżeby Brückner, który wszystko wie, mógł nie znać Gitmana? Któż nie zna Lazara Gitmana?

Zaryzykowałem.

– No, jest jeszcze trochę takich w Polsce.

Kot – było to w „Esplanadzie” – machnął tylko ręką.

– Pewno! Są i tacy, co nigdy nie słyszeli o Estreicherze, ale wiedzą za to, że Ewa Estreicher jest mistrzynią w skokach pływackich. Gitman! Panie, czy pan wie, że to on pierwszy, najpierwszy ze wszystkich natrafił na ślad, iż istniało drugie, już w Łosku, w drukarni Kisków, tłoczone wydanie Nowego Testamentu Budnego? Pan wie, co to była za sensacja w Akademii? Chrzanowski, mówię panu...

Hrabia Emeryk Hutten-Czapski na pewno nie należał ani do arian, ani do przyjaciół Stanisława Kota. Ale wśród swych zbiorów, wśród których czasem isticie muzealne trafiały się rzeczy, pokazywał zawsze dużą, złotą monetę o niebywale czystym rysunku.

– A słyszał pan kiedyś o czymś takim? Moneta – bita w Rydze, napis – łacińsko-niemiecki, ten władca w zbroi – król z dynastii szwedzkiej – a całość? Całość – złota dziesięciodukatówka

polska Zygmunta Wazy. Widzi pan jeszcze: Orły i Pogonie, Pogonie i Orły. Na krzyż. Herbo-wa czwórka. Wiedział pan, żeśmy bili kiedyś w Rydze takie złote dukaty?

Nie wiedziałem.

– Przyznam się panu, że i ja nie wiedziałem. Ba! Profesor Kunsterłapa ze Lwowa krzyczał, że nigdy nic podobnego nie było. Co ci profesorowie dzisiejsi wiedzą! A wie pan, kto mi ją wynalazł? Taki zwykły, mały Żyd. Nawet nie ze Świętokrzyskiej. Nawet nie z Wilna. Z Suwałk! Taki jeden tam Gitman...

– Znam.

Czapski przestał wycierać dukat irchą:

– Jak to – Gitmana, Gitmana z Suwałk – pan zna?

– Znam. A pan skąd go zna?

– Panie, oni są z Mołodowa czy z Telechan, od Skirmuntów. Ja go jeszcze sprzed tamtej wojny pamiętam. Jego ojciec handlował drzewem. Stary Gitman. Taki suwalsko-augustowski handlarz drzewem. Trzech synów potem też w drzewie robiło. Lazar też zaczynał od drzewa. I jakoś tak mu zeszło na zbieracza. I pan wie, on to robi z zamięłowania. Może pan nie uwierzy, ale z zamięłowania...

– Uwierzę.

– A pan wie, jak on się zna na tym? A pan wie, że on ma cztery najpiękniejsze pasy grodzieńskie. Pasy filsjeanowskie? Muzeum Narodowe takich nie ma! Potoccy – Potoccy z Krzeszowic! – takich nie mają. Ale co tam Muzeum Narodowe! Nawet mój wuj Pusłowski, i ten nie ma. Rozumie pan? A widział pan katalog zeszłorocznej wystawy starego mebla polskiego na Wawelu? Najpiękniejszy kredens kolbuszowski – Franciszków Potockich z Brackiej, ale najpiękniejsze krzesło? Profesora Groera? Owszem, widziałem, niczego sobie, ale tylko trzecią nagrodę dostało. Pierwszą – biurko L.G. z Suwałk. Pan wie, kto to L.G. z Suwałk? Lazar Gitman z Suwałk. Widział go pan kiedy? Pan z nim rozmawiał? Pan znał Żyda, który by gorzej mówił po polsku niż Gitman, ten sam Gitman od polskich starożytności?

Miał rację: z wielu Żydów źle mówiących po polsku Lazar Gitman był na pewno jednym z mówiących po polsku najgorzej.

Wiadomości o rodzinie Gitmanów były nie mniej ścisłe. Łączyły się też z owym pochodzeniem Gitmana, o którym także wiadomości kresowego arystokraty były najzupeł-

niej prawdziwe. Gitmanowie nie należeli do żadnej z żydowskich rodzin starolitewskich, z dawna zakorzenionych w ziemiach nad Niemnem, Dźwiną i Niewiażą, do polskości silnie przywartych. Ich protoplastą nie był Mickiewiczowski Jankiel, co to grał Janowi Henrykowi Dąbrowskiemu jego mazurka na swych żydowskich cymbałach. Wśród przodków Lazara Gitmana nie figurował także i ów Żyd, który „na złość strażnikom cel” przemycał na Litwę małe emigranckie tomiki wydań paryskich czy lipskich; Żyd-księgarz z opowiadania Syrokomli ani Meir Ezofowicz Orzeszkowej nie widnieli wśród antenatów Gitmana. W tym pochodzeniu i w tej złej polszczyźnie tkwiły ukryte, niezgrabnie skrywane cierpienia suwalskiego antykwarza.

Gitman był to istotnie, „taki prosty, zupełnie prosty Żyd”. Był to po prostu – co tu będziemy ukrywać – pospolity litwak, z pospolitej litwackiej rodziny, jakich tysiące i dziesiątki tysięcy napłynęło gdzieś z głębi Rosji w drugiej połowie tamtego stulecia, przynosząc ze sobą niepokój, niepewność, zastraszenie, brud, nędzę, jakiś żargon dla nikogo niezrozumiały, podszyty jakimiś słowami aż chyba tatarskimi, namokły mową rosyj-

ską, nie tą śpiewną, dźwięczną, Puszkiniowską, ale jakby scherlałą, poprzekręcaną, wynaczoną, odartą z tego wszystkiego, co w tej mowie jest tak szumne. Et, co tu wiele gadać. Gitman wyszedł z rodziny, która, od jednej generacji zaledwie siedząc w tym kraju, zgoła nim nie nasiąkła. Gitmanowie byli to zwykli sobie zjadacze chleba, którzy ledwo się byli wygramolili z ciężkiej żydowskiej nędzy, poniewierki, zagłodzenia, którzy stali z daleka od światłości rabinackich, którzy niczego nie przywlekli z sobą z tej Rosji dalekiej i dla których ten kraj tutaj, ze swoją pańską polskością i zachodnimi nalotami, był jeszcze jedną obcością na bezkresnych drogach tułaczek. Gitmanowie to byli ludzie najpospoliciej przyziemni. Wiedzieli nie tylko, jakie są, ale nawet i jakie będą (i to gdzie i kiedy) ceny drzewa. Wiedzieli, jaki wpływ na tę cenę będzie miała okoliczność, że w Mostach spłonęły tartaki braci Konopackich, że rząd powiększył budżet Lasów Państwowych, że w Hiszpanii jest wojna, że fabryki mebli w Glasgow zastrajkowały po odejściu Balfoura. Wszystko to miało taki czy inny wpływ na rzecz najważniejszą dla dynastii Gitmanów, to znaczy na ceny drze-

wa, i wszystko to oni wiedzieli dobrze. Ale poza tym nie interesowało ich nic. Nigdy nic. Nie interesowała ich daleka Palestyna ani bliiski „Bund”, nie interesował ich Żabotyński, choć miał odczyt w Grodnie – a policja i Wydział Bezpieczeństwa powiedzieliby nam, jak bardzo nie interesował ich komunizm, choć komunizm od biedy mógł przecież wpłynąć i na ceny drzewa. Natomiast mieli pełno wiadomości przyrodniczych odnoszących się do właściwości olchy, czeczotki, wiązu, wiedzieli, jaki materiał jest najlepszy w lasach albertyńskich, a jaki w świsłockiej puszczy i o ile poważnym zagadnieniem jest pojawienie się kornika nad Rudzianką lub jaki gatunek olch nadaje się najlepiej do konstrukcji samolotowych z Białej Podlaskiej. W tym tkwili. Poza to wszystko nie wyścibiali nosa. Byli zresztą jeszcze tacy biedni! Ojciec Gitmanów podobno zagłodził się w harówce leśnej. Synowie, doszedłszy nawet do jakiejś takiej zamożności, jeszcze dyszeli ciężko biedą poprzednich pokoleń.

Otóż z tej generacji Lazar Gitman może się wyrodzić, ale przecież do niej należał. Jego język był tak potworny, tak zanieczyszczony wszelkimi naleciałościami, tak po-

kraczny i dziwaczny, że chwilami trudno było uwierzyć, iż tym językiem można mówić o baroku i o palimpsestach, o porcelanie koreckiej Mezera i o tkaninach Selimanowskich. A przecież tym właśnie kostropatym, straszliwym językiem mówił o tym wszystkim Lazar Gitman, mówił jak profesor uniwersytetu, mówił z wiedzą, z miłością. Co tam miłością: pasją! „On potrafi się trząść, gdy o tym mówi” – zauważył ktoś i to było prawdą. Pasję, którą jego krewniacy mieli do spekulacji, on przeniósł na to. Jak do tego doszedł? Pozostało to dla mnie tajemnicą*.

* Niedługo po opublikowaniu w londyńskiej „Nowej Polsce” niniejszego opowiadania, otrzymałem list, którego ważniejsze ustępy przytaczam. Rzucają one pewne nowe światło na bohatera mego wspomnienia. Oto bowiem, co pisze nie znana mi bliżej pani Maria Białopiotrowiczowa:

„...w swym wspomnieniu o błp. Lazarze Gitmanie pisze Pan, że nie udało Mu się wy badać, w jaki sposób stało się, iż syn niemal nie spolszczonej i pozbawionej zainteresowań kulturalnych rodziny żydowskiej z kresów potrafił stać się takim dziwakiem polskości?

Przypadkiem złożyło się, że mogę dorzucić tu parę objaśnień: Śp. mój ojciec był właścicielem niewielkiego majątku ziemskiego Rohaczowszczyzna pod Skidlem. Znał on dobrze Gitmana; ja zaś sama pamiętam go z dzieciństwa, coś koło 1920 roku. Pamiętam też opowiadania mego ojca o nim. Gitman Lazar był najmłodszym (z czterech,

Czy się na tym dorobił? Trudno powiedzieć. Żył prawie jak nędzarz, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Mógł chować. Było prawdą,

a nie, jak pan napisał, z trzech) z synów swego ojca, Nuchema, kupca, który istotnie dorobił się nieco na handlu drzewem. Najdłużej też siedział przy ojcu. Stary Nuchem jeździł do bankrutujących majątków skupować lasy i drzewo po dogodnej cenie. Trafiał wtedy na licytacje i skupował za bezcen inwentarz ruchomy itd. Potem starał się odsprzedać to drożej. Parę rzeczy odkupił od niego śp. Roman Skirmunt z Porzecza (kuzyn późniejszego ambasadora w Londynie), niezmiernej szlachetności człowiek i wielki miłośnik krajowych zabytków naszych. Jeśli znał Pan Skirmuntów, to musiał Pan wiedzieć, że byli to panowie wielkiej przystępności. Otóż z tego, co mój ojciec opowiadał mi o początkach Lazara, a co ten miał mówić memu ojcu, wynikałoby, że pierwszym człowiekiem, który w młodym Lazarze rozbudził pęd do polskich zabytków, był śp. Roman Skirmunt. Lazar zrazu dla niego zbierał i skupywał zagubione na prowincji polskie rzeczy. Potem robił to dla siebie. Utrwaliło się to zwłaszcza w burzliwych latach 1916–1920. Wiele dworów było zrujnowanych, wiele się wyprzedawało, kościoły i synagogi uległy pożodze wojennej. Lazar niestrudzenie uwijał się wtedy po kraju, skupywał, co się dało, i – gromadził.

Miał Pan rację pisząc dość krytycznie o wykształceniu i polszczyźnie tego Gitmana. Nie uwzględnił Pan jednak – przypuszczam, że nie znał Pan – pewnego faktu. Oto ilekroć w ręce Lazara wpadł jakiś przedmiot, tylekroć zaczynał on dokładne lektury odnoszące się do tego przedmiotu. Jeśli przedmiotem była porcelana – czytał o porcelanie, je-

że posiadał u siebie rzeczy bardzo cenne. Podejrzewano, że posiada ukryte jeszcze cenniejsze. Ale sprzedawał sam mało, stosunkowo mało, i to niewątpliwie mniej dobre, mniej cenne rzeczy. W mym pojęciu musiał zrobić parokrotnie to, co antykwarze określali wtedy „dobry kusz”, to znaczy kupić coś tanio, a sprzedać z dwunastokrotnym zyskiem, i wszystko, co na tym zarobił, pakował potem w nowe, nieproduktywne zakupy. Bracia, którzy zrazu uważali go za rodzinnego „myszuga”, powoli zmieniali swe zdanie. Sami dorobili się już nieco: pieniądze nie robiły już na nich tak olśniewającego wrażenia. Do kultury jeszcze nie doszli, ale jej istnienie

śli pasy – o pasach, jeśli zbroja – o zbrojach. W rezultacie nabył w ten sposób wcale okazały zasób wiadomości, acz dalekich od uniwersyteckiego usystematyzowania. Już to niejedyn taki kresowy handlarz antykami wiedział więcej niż dyplomowany docent krakowski.

Posyłam Panu te wyjaśnienia, gdyż sądzę, że uzupełnią one pewnymi szczegółami to, czego Pan nie wiedział. Może zechce Pan, zachęcony tym opowiadaniem, utrwalić i przekazać pamięci ludzkiej takie i inne zasłużone postaci tamtych czasów, warstw i stron!

Łącząc wyrazy szacunku

Maria z Kulwieciów Białopiotrowiczowa
(37, Maresfield Gdns., Glasgow)

z wolna poczynali przeczuwać, jak istnienie jakiegoś świata, którego krąg zaklęty otwiera się przed oczyma ludzkimi, gdy te nasycą się już pieniądzem. Lazar był pierwszą w ów świat wysuniętą rodową czujką. Potrzebny był dla rodu i taki Lazar. Obiło im się o uszy, że cenią go i znają jakieś obce wielkości z jakichś obcych im światów: to było dobre. Wreszcie był nieżonaty i to wszystko, co uzbiera, przejdzie przecież kiedyś na ich dzieci; nie jest to wprawdzie drzewo ani las, ale coś to jednak jest.

Że coś to jednak jest, o tym przekonałem się na własne oczy we wrześniu następnego roku. Spędziłem właśnie dwa tygodnie nad Jeziorami Augustowskimi. Było ciepło i ciemna ściana lasu przeglądała się w ucichłym jeziorze. Piasek, biały ogromnie, przeświecał przez wody zielone i białe ostrza żagli krajały jasność. Sieci rybackie suszyły się u naszych okien, a łodzie śmierdziały dziegciem i rybą. (Słusznie kochał tak te strony kapitan Kirkor). W drodze powrotnej zawadziłem o Suwałki: Lazar był w domu. Okazało się, że to, co widziałem kiedyś przez okno jego zamkniętego sklepu, było tylko rodzajem przedpokoju, jakby urządzonego dla odstręczania ludzi. Ale za-

raz za tym pokojem był drugi, już lepszy. Z tego drugiego szły wąskie schody na pięterko i tam już było wszystko. Były księgi i meble, tkaniny i porcelana, obrazy i sztychy. Były karabele, od najskromniejszych, pewno na rapciach ze sznurka noszonych, do najozdobniejszych, oprawnych w jaszczur, z głowicami obsypanymi pozieleniałym turkusem, ze złotymi napisami na stali. Jedna, pamiętam, należała ongi do Wiśniowieckiego (ale nie Jaremy, tylko do jego bratanka, hetmana litewskiego, księcia Dymitra). Na półce leżały jakieś prawosławne homilie tłoczone cyrylicą w Ostrogu, kiedy jeszcze Moskwa drukarni nie miała. Były księgi i rzadkie druki z kacerskich drukarni w Słucku. Były stare szkła polskie z Tyzennhauzowskiej Horodnicy z Radziwiłłowskimi trąbami i monogramem Panie Kochanku. Był album w skórę ze złoceniami oprawny, francuski, z miniaturowymi mapami: ofiarowała go, jak napis wewnętrzny głosił, Warszawa Napoleonowi, gdy w czerwcu 1812 roku wyruszał z tego miasta szlakiem na Berezynę...

I wreszcie był zegar Ach, prawda, zegar!

Zegar był wysoki, szafkowy, podobny do angielskich czy niemieckich. Taki do stawiania w rogu sali. Był tylko zagadkowo poma-

lowany na spłwiały zielony kolor: w drzwiczkach miał malowaną scenę jakiejś wiwatujacej szlachty. Była bardzo bacciarellowska.

– Niech pan zobaczy napis – powiedział Gitman.

Odczytałem:

„Karol Topolski, Wołczyn”. Wołczyn Czartoryskich, Wołczyn – miejsce urodzenia Stanisława Augusta. (Właśnie go byli tam nocą pogrzebali).

– A niech pan zajrzy do werku – mówił Gitman.

Wszedłem po nim na schodki, zajrzałem do werku. Na stali był drugi napis: „St. Pétersbourg” i data: 1797. Musiał mnie Gitman objaśnić, że Topolski po upadku Czartoryskich z Wołczyna pojechał nad Newę i tam dla wygnanego króla robił jeszcze ten zegar. Malowidło na drzewie przyszło z Warszawy: ta wiwatuja, polonezowa szlachta.

– A muzyka, chce pan posłuchać muzyki? – mówił Gitman i otworzył górne drzwiczki. Coś tam posunął, coś pociągnął i naraz odezwały się delikatne jak uderzenia mikroskopijnych młoteczków tony. Zrazu rozbieżne, nieśmiałe, osobne, jakby czekające jedne na drugie, potem zbiegały się naraz. Tyraliera

dźwięków. Nim jeszcze się zbiegły w melodię, stary Gitman swym złym litwackim językiem począł podśpiewywać:

*Witaj, majowa juczenko,
Świeć naszym polskiej kraini,
uczczymy ciebie piosenko
pszy hulankie i pszy wini.
Witaj maj, czeci maj,
U Poljaków błogi raaaaj...*

– Widzi pan, co sobie król kazał malować, kiedy w Pietiersburgie życie kończał? Widzi pan, widzi: i takiego króla une nie chco tera jak króla pochować – jak psa – jak dziada – po nocy – une – myśli pan, że une wiencyj od niego warte – myśli pan, że une lepsi, to jego tak chco pochować za to, że kultura, że oświezczenie, że z ty ćmy, tfy! Tfy! – rzucał ze złością. I nigdy nie zapomnę tej sceny w półmroku suwalskiego antykwariatu, wśród komód gdańskich, porcelan polskich i karabel, z owym Żydem miotającym się w pasji nad ponizieniem królewskim i z owym cichym, drżącym od starości a wyrazistym tonem polonezowego trzeciomajowego kuranta...

*

Znowu rwą mi się wspomnienia o Lazarze Gitmanie i odmotują się dopiero o miesiąc chyba później. Może i o dwa. Osiedliśmy na stałe w Warszawie i przyszedłem późno na obiad. Okazało się, że jest pan Gitman. Jeść nie chciał, że niegłodny: herbaty? – tak, „czaju” napije się. Piliśmy zatem wszyscy „czaj”. Pytałem pana Gitmana o Warszawę, wrażenia, interesy. Interesy? – tak, niezłe, przywiózł właśnie do Abe Gutnajera sześć petersburskich gardnerów, nie takich najstarszych, no nie, ale jednak wczesnokatarzyńskich. („Pan wie: gardnery: stara porcelana rosyjska” – upewnił się). Owszem, dobrze za to dostał: rozumie pan sam – gardnery. No i dla ambasadorowej francuskiej takie biureczko małe, cy cy cy, ile w nim szuflad i schowków. Robota będzie pruska. – Ale widać było, że to wszystko nie bardzo go zajmuje, i w pół zdania, przechyliwszy się do mnie, gdy żona wyszła zrobić jeszcze herbaty, powiedział naraz:

– Pan wie, gdzie ja był? Gdzie ja właśnie teraz, teraz był? Skąd ja tu wprost przyszedłem? Ja panu powiem: w muzjeji. Ja był w Narodnom, Narodowom Muzjeji.

Mieszkaliśmy na Saskiej Kępie, a pan Gitman, w Suwałkach tramwajów nie zwyczajny, szedł sobie z Jerozolimskiej piechotą. W pewnym momencie zaciekał go po prawej ręce wielki, biały, dziwacznych kształtów gmach. – Myślę ja – kazna czy kazarma jaka, no i nie kazna, i nie kazarma: muzej. Nowy muzej.

– Muzeum. Muzeum Narodowe.

– O, o! Muzejum Narodowe. Ślicznie dziękuję.

Okazało się, że wprowadzie fakt istnienia takich instytucji był znany panu Gitmanowi, jak też i ich zadanie, natomiast w życiu swym nie był jeszcze w żadnym muzeji. Wszedł nie bardzo pewny, czy go wpuszczą. Wpuścili. W rezultacie Gitman, zamiast przyjść do nas rano, przyszedł późno w obiadową porę. Przyszedł niesłychanie podniecony. Kiedy opowiadał, miał teraz jeszcze wypieki. Opowiadał przewlekłe, z detalami, jakby wyrzucał z siebie ciężący mu natłok wrażeń, jakby musiał się nimi koniecznie z kimś podzielić. Opowiadał swym pokracczym językiem, ale to, co mówił, nie było wcale pokraccze. Jego sądy, o malarstwie zwłaszcza, były trafne, właściwe, znamionowało je prawdziwe znawstwo, takie właśnie, jakie na przekór wyuczo-

nym historykom sztuki mają urodzeni antykwariusze. Wreszcie wyrzucił z siebie wszystko i uspokoił się, jak gruźlik po długim ataku kaszlu. Coś w nim jeszcze zostało, bo zaraz zapytał:

– Proszę pana, a kto to był taki – doktor Jan Popławski?

Zupełnie przypadkowo wiedziałem, kto to był doktor Jan Popławski: znałem bowiem dość dobrze jego syna. Wiedziałem też, dlaczego z Muzeum Narodowego rozmowa zeszła na doktora Popławskiego. Pokrótce objaśniłem rzecz Gitmanowi. Doktor Popławski był w ostatnim ćwierćwieczu przed 1914 – może nawet nieco więcej niż w ćwierćwieczu – jednym z najbardziej wziętych lekarzy w Moskwie. Należał do tych dość licznych Polaków, co za panowania dwóch ostatnich carów poszli z własnej woli pracować w Rosji i zrobili znaczny majątek. Doktor Popławski był tam jednym z najbardziej cenionych lekarzy swego czasu. Leczył wielkich książąt, żony wielkich książąt i kochanki wielkich książąt, leczył koniakową dynastię Szustowów i króla stali Putiłowa, leczył wielkich cukrowników i magnatów, kupców ryb i założycieli płukarni złota na Lenie, Pokrowskich, Szeremietiewów, rewolucjonist-

ki gruźliczki i studentów, za którymi chodziły socjalizm, nędza i policja. Mało ludzi pamięta Moskwę owych czasów, ale kto ją pamięta, ten pamięta i sylwetkę polskiego lekarza. Otóż Jan Popławski miał jedną w życiu słabość: zbierał dzieła sztuki. Głównie malarstwo, i to raczej wczesne włoskie i flamandzkie. Rokrocznie spędzał kilka tygodni za granicą, utrzymywał stały kontakt z antykwariatami i handlarzami dzieł sztuki, odbierał telegraficzne zawiadomienia o tym, gdzie jest do nabycia Poussin i kto chce się wyzbyć swego Verrocchia, i jaki Boucher pojawił się w wyprzedaży. Duży dom na Sadowej upodobił się z biegiem lat do muzeum. W 1917 roku rewolucja uszanowała starego doktora, zezwolono mu na wywóz wszystkich skarbów, po czym większość z nich znalazła się w Muzeum Narodowym, w salach „imienia doktora Jana Popławskiego”. Taka jest oto historia jednej z najpiękniejszych, najbardziej europejskich części wielkiego muzeum.

Gitman kiwał głową z zadziwieniem:

– Cy cy cy, to on takie skarby pozbierał: jeden człowiek w jednym tylko życiu. To żaden hrabia, żaden pan książę. Słuczajny, sobie ot doktor.

– Doktor.

– I tablicę mu dali: „z daru doktora Jana Popławskiego”. Familię jego dali. Że tak to i tak to. Dał. Doktor Popławski. Cy cy cy. I to już zostanie tak, prawda? Póki tego muzjeji.

– Póki tego muzeum.

– Póki tego muzeum. Cy cy cy. Że mu tablice dali. Nie hrabia żaden, nie gubernator, nie marszał. Żeby jeszcze episkop. Nie episkop. Doktor. Tablicę dali. Popławski. Co to za taka famielia, Popławski? Ja nie mówię, że nie, ale żeby tablicę w muzjeji dawać? Dali. No, pewno, doktor. Wielki doktor. W Moskwie. Moskwa bolszoj gorod. Powiedział, że z Moskwy, tak a tak, to dali. Może i zapłacił...

Wzruszyłem ramionami:

– Co też pan myśli, panie Gitman: zapłacił, Moskwa. Obrazy dał, to grunt. Dzieła sztuki. Sam pan widział, jakie. Obrazy dał. Prosta odpowiedź. Mógł być z Moskwy, nie z Moskwy, a choćby był i z Wołkowyska. Mógł być z Kaczego Dołu i sprzedawać śledzie. Gdyby dał takie obrazy, daliby. Mógłby być...

– Żydowi by nie dali.

– Panie Gitman, mówi pan, doprawdy...! Ale pan nie wie. Muzeum Narodowym jeszcze nie rządzi „Falanga”. Widział pan – są

rzeczy z daru Kronenberga, Wawelbergów, Bersonów, Rotwandów...

– Iii... Bersonów, Bersonów. Co to za takie Żydzi; to już takie Żydzi, że stajnie wyścigowe mają... Oni już dawno zapomnieli, kiedy śledzie jedli...

– Oj, panie Lazar! Co ja mam panu powiedzieć? Mówię panu, jak jest. Może pan pójść do muzeum się popytać. Chce pan się przekonać, niech pan swoje pasy słuckie ofiaruje do muzeum. Albo tę karabelę po Wiśniowieckim... Niech się pan nie boi, wezmą, wezmą, jeszcze w gazecie napiszą, a tabliczkę z Lazarem Gitmanem umieszczą...

– Sierjownie pan to mówi?

– A niech pan spróbuje!

– Ale sali, sali to by już nie dali?

– Jakiej znowu sali?

– Sali. Całkiem osobnej sali. Jak temu doktorowi z Moskwy.

Brakło mi cierpliwości:

– Nie wierzy pan? Zaraz się dowiemy! I podniosłem słuchawkę telefonu.

Stary przyjaciel mych krewnych, śp. Brokl, jeden z kustoszów zbiorów państwowych, był na szczęście w domu i chętnie udzielił wszelkich informacji. Sprawa była oczywiście naj-

zupełniej prosta. (Zadzwoiłem potem do niego po raz drugi, tłumacząc mu, dlaczego tak forsowałem moje głupie pytania). Telefon ostatecznie przekonał Gitmana. Prowadziłem rozmowę tak, by mógł sobie dośpiewywać odpowiedzi, jakie padały z tamtej strony słuchawki. Było to jednak zbędne. Magiczny czarny aparat wydający tajemniczy brzęk, z cyframi nakręcanymi po kolei, z jakąś niewidoczną, a jednak na dnie czarnej muszli słuchawki wyczuwalną obecnością, wszystko to podziałało wstrząsająco na suwalskiego antykwariusza. Ha, Warszawa była Warszawą. Cywilizacja. Odkładając słuchawkę powiedziałem:

– No widzi pan. Szoruj pan po swoje zbiory, dostaniesz salę. Sala Lazara Gitmana jak ulał. Mur. Co panu... co panu jest?

Gitman wstał. Jego głowa, schylona, wciśnięta w barki, wyprostowała się nagle tym ruchem nerwowej dumy, jaką mają czasem Żydzi i która wywodzi się może z owych całych żywotów przeżytych w zgięciu pokory. Oczy Gitmana rozjarzyły się nagle, zamigotały. Były w nich niespodziewane łzy.

– Tak jest! Tak będzie! Będzie sala Gitmana! Sala Lazara Gitmana! Sala Lazara Gitmana z Suwałk! Pan jeszcze nie wie, co ja mam!

Pan nie widział wszystkiego, co u mnie jest. Pan nie wie, co u mnie może być. Co u mnie będzie! Tak. Będzie sala starożytności polskich, sala Lazara Gitmana z Suwałk!

Wtedy dopiero zrozumiałem, czemu tak go trapił ów doktor Jan Popławski.

*

W niespełna rok później wojna otworzyła się nad światem i potem stało się to wszystko i znikąd na Zachodzie nie było mniej wieści jak z owego matecznika wokoło sennych augustowskich jezior. Nigdy żaden komunikat nie wymienił nazwy „Suwałki” i nigdy żaden emisariusz nie zawadził o tamte strony. Potem byłem w Anglii, a potem buchnęła, nadzieje budząca, druga wojna, na wschodzie, i ziemia tętniła nowym pochodem niemieckim, a potem znalazłem się w Rosji i czasem były wieści o ziemiach wokoło Suwałk, ale nie było ich wiele. Potem, chory na tyfus, wyjechałem do Persji i było lato 1942, i niezmiernie blade niebieskie niebo, i jasna żółtość skał, i gwar irańskich ulic, i pełno, pełno Polaków, polskiej nędzy wyciekającej ludzkimi strupami, i było się jakby na jakimś

tamtym świecie, gdzie naraz rozpoznaje się w ciżbie ludzi z dawna uważanych za zmarłych. Przyjechał profesor Kot i zamieszkał w niewielkim pałacyku, w którym mieściło się poselstwo polskie przy dworze szachów Iranu, i dom był teraz stale oblegały przez uchodźców, cisnących się pod flagę Rzeczypospolitej.

Rano powitano mnie nowym kawałem:

– Już się i o panu zwiedzieli. Tu o ósmej przyszedł taki Żyd, który – oczywiście – zaraz do „profesora”. Woźny mu mówi: „Pana ambasadora”. A on mówi: „Nu, niech będzie pana ambasadora”. Ma pan demokrację! A o pana pytał także...

– Jakże się nazywa?

– Jak się nazywa? Michale, jak się ten Żyd nazywa? Niechże Michał się dowie. Gutman? Gitman?

– Gitman!!!

Gitman to był teraz nie tylko Lazar Gitman. To był cały świat narosły wspomnieniami dookoła tej postaci cherlawej, przygarbionej, po prawdzie brudnej, to był cały świat ludzi nieżyjących czy rozproszonych, stron, których się już nie zobaczy, domów, miast, wsi, z których nie pozostało śladu, czasów, które

w błoto dróg dziejowych wdeptały gąsienice czołgu historii. Gitman, Gitman! Istotnie, pod kolumnami podjazdu wygrzewał się w słońcu irańskiego lipca Lazar Gitman, posiwiały, wyschły, mrużący oczy od słońca tego czy od rzeczy, które przyszły. Lazar Gitman.

– To pan żyje, panie Lazarze! Jak się pan tu dostał?

Pan Lazar wzruszył ramionami:

– Jak sie miałem dostać! Zwyczajnie sie dostałem. Jak wszystkie my, Poljaki.

Był postarzały wojną, ucieczką, czasem, głodami wyгнаńczymi, drogą. Krótkimi zdaniami opowiadał swe dzieje – istotnie takie jak tam wszystkich. On wiedział, że jestem w Kujbyszewie, i wiedział, że jest „profesor”, i nawet się zebrał napisać i przyjechać, ale potem był „eszełon” do Taszkientu i Ałma-Aty, i Samarkandy, to on pojechał, bo on wiedział, że tam w Samarkandzie albo Taszkientie będą dywany. Jak te w dawnej Polsce. Siedemnasty wiek...

– Co takiego?

– Siedemnasty wiek. Późny siedemnasty, ale pan wie, te późny siedemnasty to te najlepsze...

Pokiwałem głową:

– Panie Gitman! Z pana wielkie, stare dziecko. Świat się wali, a pan dywanów szuka!

– Co jest, co? – oburzył się Gitman. – Taszkient! Samarkanda! Czy pan myśli, że ja myślałem, że będę miał kiedyś taką szaloną okazję? Taka szalona okazja – powtórzył, jakby delectując się polskością tego zwrotu.

Wojna bowiem nie wpłynęła bynajmniej na polepszenie polszczyzny pana Gitmana. Oповідаł mi dokładnie, jakie „kowry” gdzie zebrał i jak potem był w Jangijulu „bolny sypnym tyfom”, i jak omal nie „kończył”. Ale „kowry” przywiózł. Aj, co to za „kowry”! I ma też polskie „starinne knigi”. Jedną taką, której „profesor” będzie rad. To mało powiedzieć: będzie rad. On ze skóry wyskoczy, jak mu pan powie. Niech mu pan tylko to jedno powie: Czechowicz. Marcina Czechowicza z Łoska, z drukarni Kiskowskiej, tej samej, *Trzech dni rozmowa o dzieciokrzęństwie*, a z nią, na końcu, *Rozsądek tego, co o zwierzchnictwie trzymamy i wierzymy*. Chy! On nie skoczy? Niech mu pan tylko powie: Czechowicz. To jedno: Czechowicz.

– Panie profesorze! Jest Gitman i ma dla pana jakiś druk Czechowicza z Łoska.

– Co pan mówi? Gdzie? Niech tu zaraz przyjdzie!

I w reprezentacyjnej jadalni poselstwa zjawiał się posiołkowy obdartus. Nie, profesorzy stanowczo nie nadają się do reprezentacji. Siedzieli tak we dwójkę za stołem, przy mahoniach, porcelanie i srebrze. Profesor gładził oprawę starej, małej książeczki, książczynki, rzecz można, tłoczony w tym zapomnianym Łosku, w czasach, kiedy szła ona w świat dając świadectwo kulturze narodowej i wolności polskiej. Gitman wysunął rękę wyschlą i starą jak karty tej niewielkiej książki i wskazywał jej druk – drobniutką, gęsto bitą szwabachę, dopiski i kapitaliki, chichotał przy błędach druku, ale niebawem ścichł także i tak obaj byli nachyleni nad tą książką, wyrzuconą falami wojny z odmętów historii. Było coś w powietrzu, co skuwało tych ludzi milczeniem, a pozostało niedostrzegalne i obce dla tamtych ludzi wokół, którym Rzeczypospolita zleciła swą reprezentację.

Później na przedmieściu Teheranu u ormiańskiego kupca widziałem Gitmanowe dywany. Zeszliśmy się tam, pamiętam, z profesorem księdzem Kantakiem, a także z Józefem Czapskim, malarzem, gdy skwar dnia się kończył i w noc perską budził się rynek opleciony wołoko moszei. Miałem już odlatywać na drugi

dzień, oni mieli odjeżdżać niebawem. Dywany Gitmanowe – owe „kowry” – były, jak jeszcze jedna baśń Szeherezady, przetykane jedwabiem i wełną. Gitman gładził je, gładził, przeklinał swój niefortunny „tyf”. Miałby więcej takich! Zaryzykowałem zapytanie:

– A co tamte, suwalskie pana skarby?

Gitman uśmiechnął się tylko:

– Pan się bał mnie pytać? Pan niech się nic nie boi! Gitler się do nich nie dostanie. Nastanie ten dzień, gdy one zawisną w Narodowym Muzeji...

Przymrużył oczy:

– Widzi pan, jak mnie było tak źle, tak źle, to przy mnie ludzie leżeli na pryczy i gadali, jak to będzie, kiedy wojna się skończy. Gitlera psa powiesz, powiesi go jeden Żyd złodziej (bo dobrego Żyda szkoda na tu robote), i jak polskie wojsko będzie marszowało tym placem Saskim i to Warszawo i Sikorski gienierał... Wszyscy wiedzieli, że tak będzie, ale nie wiedzieli unie, co będzie jeszcze... ja jeden wiedział, co będzie jeszcze w ten dzień... w ten dzień będzie tak, że pójdą do muzeji patrzeć, a tu muzeji ni ma, bo Niemcy ukradli i sprzydali do Ameryki... a tu patrz... muzeji jest i w muzeji co?... sale Lazara Gitma-

na... a co w sale Lazara Gitmana jest'?... wszystko jest... mapy Napoleona jest'... szable Wiszniowieckiego jest'... zegary króla jest'... porcyłany lebidinoje ministra Brühla jest'... cy cy... a kto? Lazar Gitman wsio. Wsio Lazar Gitman! I złodziei Niemcy nie znaleźli... nie wiedzieli nawet... i wszyscy się dziwio... i sam gienierał Sikorski się dziwi... a najwięcej się dziwi, gdy ja mu dam szable na tyn dzień... jako szable?... polsko szable!... persko... ja już wiem, gdzie ona jest'... a wie pan, po kim ona, ta szable... po Gitmanie?... hii... po samym królu Batorym...

Po czym zaczął tłumaczyć tym językiem, którego nigdy nie odtworzę, jak jeszcze w Polsce, w Wilnie, natrafił gdzieś na opis poselstwa perskiego do Krakowa. Poselstwo perskie było wysłane do Batorego, wojennego króla, i przyniosło mu w darze kutą perską szablę. W zamian za to Batory ofiarował poselstwu dla szacha swoją własną szablę, batorówkę, tę właśnie, którą wniósł do Polski i po której potem moda poszła. Tak się zamienili szablami, król z szachem. Fakt, pamiętam, był dosyć znany. W skarbcu wawelskim zachowała się nawet ta karabela Batorego z adnotacją, że była darem perskiego szacha. Ale dopiero Gitman się za-

troszczył, co się stało z tą szablą, autentyczną Batoręgo, którą otrzymał szach perski.

– Czto s nieju słucziłoś – rozumował logicznie. – Ja dumał: możet byt' czto Piersidi, kotoryje wiezli, ukrali. No, dumaju: oni nie ukrali. Oni stranno bojaliś szacha. Ja ich rozumiem. On ich strogo dzierzał za mordę. Tak czto mogłoby słuczitsa? Ja dumał: Czto szach mog zdiełał'? Czto on mog zdiełał'? Swojo sobstwiennoje orużje on imieł. Tak czto on zdiełał? On gdzie to sochronił. Wied' eto był paczotnyj dar korola! Gdzie on sochronił? Ja dumał: w Isfahanie. No jejo tam niet. Ja dumał. No i ja tiepier znaju, gdzie ona nachoditsia! W Mieszchiedie. Toczno w Mieszchiedie! Potomu mnie nado w Mieszchied. Poniatno.

Zniżył głos:

– Tolko wy nikomu nie goworitie. Nie mówcie nic. Mogą się dowiedzieć Amerykanie – ja wim? Może gienierał Andiers? On sam by oczeń lubiel imiet' szablju Batorawo! On Sikorskiemu zawistnik No kuda jemu do Batorowo, szto! Wy nikomu nie goworitie!

Raz jeszcze zmrużył oczy:

– ...Mieszchied... Ja znaju Mieszchied... Ja tam nie był, no ja znaju... Starinnyj piersid-

skij gorod... Ichnoj Krakow.. Wilno... Stari-na... Czto Tiegieran! Niczto... Mieszchied... tam staryj zamek... moszeji... moszeji... pewno będzie w jakiej moszeji... szabla Batorego... szabla... karabela... ot, przyjedzie Sikorski na Bliski Wschód, tu do wojska, popatrzeć, co się z nim wyrabia, przyjedzie, a ja mu: „Panie generale, karabela Batorego. Niech pana zaprowadzi. Szczęśliwie. Do Warszawy...” Mieszchied, Mieszchied...

Podniósł głos:

– Profesor dobry człowiek, mówił mi wczoraj: „Co pan tu ma siedzieć, panie Gitman. Ja tak zrobię, że panu dadzą wizę do Palestyny. Nie ma pan tam krewnych? Odżywią pana. Wypocznie pan. Na Karmelu są kurorty”. No, co ja miałem powiedzieć? Powiedziałem ja: „Panie profesorze, panie ambasadorze, co mi po Palestynie? Dla mnie Palestyna to Suwałki, Jordan – to Niemen. Moja Jerozolima – ona od dawna jest w Krakowie. Palestyna? Jakie tam są polskie rzeczy? Żadne. Persja? O, tu się zawsze znajdzie! Ja tu już zostanę w Iranie, poka gienierał Sikorski z panem ambasadorem nie wrócą do Warszawy”. Profesor, on śmiał się. „Jak pan chce – powiedział – ale tu niepewnie, wojsko wyjdzie, już

były na prowincji rozruchy...” To co? Ja, Żyd, rozruchów nie widział?

Dwa dni potem, wczesnie rano, musiałem jechać na lotnisko, duże lotnisko teherańskie, wojskowe, zmiotane piaskiem. Siekł wiatr ostry i staroperskie postacie cherubów u wjazdu wyglądały jak wydobyte z muzeum, przed bramą wyrósł żołnierz sowiecki z długim bagnietem na karabinie, potem ktoś wołał po angielsku, potem był samolot, i widać było z samolotu, jak stoi Irenka w kłębach tego żółtego piasku, którym miotał wiatr powstały od ruchu śmigieł, a obok Irenki zasłaniał sobie oczy czarny, chudy Lazar, jakby gnący się na tym pustynnym wietrze, naciskający niezdarnie czapkę na posiwiałe włosy. Samolot ruszył, przetaczał się przez lotnisko i myślałem wtedy, że to jest odjazd, a także, że widzę po raz ostatni Lazara i Irenę i że znowu taki jeden rok życia zaciera się za mną w tym kurzu. Ale miał jeszcze nadejść epilog.

Epilog był rzeczywiście pogrzebny, i taki, jaki być powinien.

Był to lipiec, w rok później, lipiec 1943 roku. Wpuszczano za zaproszeniami do wielkiej, wojskiem obstawionej katedry katolickiej Londynu i była ona cała w krepie, ziele-

ni i polskich barwach, a na froncie stał wysoki katafalk, też tymi barwami polskimi cały przesłonięty. Z czapką generalską polską na wierzchu i błękitną wstęgą pośmiertnego Orła Białego, ten katafalk Sikorskiego wydzwignął się tak wysoko w świątyni, że nam klęczącym zasłaniał sobą ołtarz, resztę kościoła, witraże. W tej chwili zasłaniał sobą nawet coś więcej: świat.

Usiadłem na moim miejscu. Nabożeństwo jeszcze się nie zaczęło. Wciąż słychać było od wejścia podjeżdżające auta, wciąż wchodziłi jacyś ludzie, dygnitarze, wpuszczani osobnym wejściem, w czerni albo w krasie orderów, siwi, młodzi, panie, jakieś oczy splekane do czerwoności, jakieś postawy butne. Ludzie, co wczoraj jeszcze pisali o Sikorskim, że ten człowiek winien pójść precz, dziś są na nabożeństwie za niego, jutro już się będą nań zaklinali. Widziałem, jak wchodzili teraz. Przyjaciele, wrogowie, zawistni, obcy, konkurenci, ciekawi. Wszyscy wciekali kropkami ludzkimi w tę otchłań katedry i jeden po drugim roztapiali się w tym jeziorze głów. Miejsce po mej lewej stronie zajął jakiś pułkownik, który przeciągał się i ziewał. Potem utkwiał we mnie zdumione oczy i z odcieniem

zapytania wypowiedział moje nazwisko. Po czym sam przypomniał się. Powiedział, że ma mi coś do powiedzenia. Że umarł jeden mój znajomy, Lazar Gitman. To mi kazał powiedzieć ktoś z Bliskiego Wschodu. Bo on właśnie stamtąd przyleciał –

Wiadomość ta zagubiła mi się zrazu w szumie wchodzących ludzi, w dusznocie wieńców, w *requiem* organów, w czerni, świetle i w tym mroku, który naraz nasze ciemności uczynił dnia tego jeszcze bardziej mrocznymi. Ale kiedy trumna Generała chwiała się w przechodzie z katedry, płynąc ponad głowami nie ludzkim już szlakiem, i gdzieś w górze zajaśniała ta generalska czapka i szabla oficerska, zwłaszcza szabla, to naraz znowu wynurzył mi się z tego wszystkiego ów jeden tylko, ludziom nie znany, Żyd, dziwak, odrodek, zakochany w polskich starożytnościach jednym z tych niewytłumaczalnych, najdziwniejszych uczuć, które są zawsze miarą i znakiem polskości. Pułkownik z Bliskiego Wschodu dreptał dalej przy mnie i widać mu tamto ciążyło, bo przechodząc ulicami Londynu, ze wzruszaniem ramion i niedopowiedzeniami, zaczął mi opowiadać o tym Żydzie jednym... z Suwałk czy

gdzieś tam... co był na Bliskim Wschodzie... pozostał w Iranie... zbierał starożytności... No i ubrdał sobie, niech pan pomyśli, że w Meszhedzie... takim starym mieście w Iranie... pan pewno nie słyszał... w moszei, meczecie, zna czy się... jednego tam szacha... jest szabla... karabela... autentyczna króla Batorego... skąd? Wariat oczywiście! No i chciał ją kupić... przekupić... wreszcie, podobno, skraćć... że chciał Sikorskiemu dać... na wjazd do Warszawy... na szczęście... słyszał pan, takie pomysły? No i skończyło się bójką, rozruchami... dwa dni były rozruchy... że Polacy i Żydzi okradli meczet... awantura... z Anglikami... ach, cośmy mieli za kłopoty, powiadam panu... ja sam musiałem jeździć... a tego Gitmana to roznieśli w strzępy, powiadam panu, bo to wielcy antysemita, choć też tacy sami czarni, ci Persowie, Irańczycy, jak ich teraz... no i widzi pan... na co mu to zeszło, że sobie ubzdurał, że przyniesie... Sikorskiemu na szczęście... ową karabelę z tego tam Meszhedu.

Tłuste, lipcowe słońce rozmazywało się plamą na lśniących pyskach dwuszeregu mijanych milczących gwardzistów. Ktoś z tłumu rzucił jakieś kwiaty, malutką, nieporadną wiązanekę. Pułkownik westchnął i zagapił się

na mijaną bramę do Hyde Parku. Chłopiec z gazetami wywoływał *A good news!* Alianci lądowali na Sycylii! *Good news.* Tak, oni mieli *a good news.*

Skręcając ku zielonej rozchwiei Kensingtonu pochód naraz stał się ciaśniejszy. Padła ostra polska komenda: żołnierze przybili krok. Ozwało się mocne, dobrze znane skandowanie marszu. Raz dwa, raz dwa, raz dwa. Zgłuszyło – och, jak pożądanie! – owe radosne okrzyki sprzedawców. I wtedy, nie wiedzieć czemu, w ten rytm żołnierski poczęły mi się naraz wplatać natrętnie inne dźwięki, ustawiając się równo odciętymi zgłoskami, równając jak żołnierze w szeregu, stając się jakby taktem owego marszu. Miarowo z tym krokiem szumiało mi teraz w głowie: La – zar – Git – man, La – zar – Git – man, La – zar – Git – man. Dziwne skojarzenie, prawda?

„Karabela z Meschedu” – Warszawa 1948.

Odejścia i powroty

Manuel zasunął klapę od razu, gdy tylko czołg ruszył, bo widział, jak pierwszy szwadron, który przeszedł przed nimi, podniósł za sobą niskie, zagęszczone żółto tumany kurzu. W czołgu nastał półmrok. Manuel widział wyraźniej tylko ręce, nos i podbródek kierowcy, w prawo od niego odróżniał przed sobą ciemny zarys kurzu, czuł na prawym kolanie pustą sztywność torby czekającej na łuski wystrzelanych pocisków. Gdzieś przed sobą przeczuł raczej, niż dostrzegł, metalowy chwyt jarzma, którym „naprowadza się na kierunek strzału lufę karabinu maszynowego”. Przypomniawszy sobie ostatnie dzisiejsze ranne lekcje Edwarda. Sprawdził – i doznał uczucia ulgi. Istotnie, za słabym ruchem ręki lewej cała biza przegięła się ku lewej, potem ku prawej, potem wprost. Poczował, że nie jest zupełnie zagubio-

ny w maszynierii cromwella. Och, oczywiście, jest to zaledwie abecadło czołgu, umniejszał sam własne wrażenie, jednak był znacznie pewniejszy. Trema pozostała poza ciasnymi ścianami czołgu.

Z ruchem lewej ręki luneta podjechała jakby sama przed prawe oko Manuela. Manuel przypomniiał sobie właśnie, że gumowa ochrona lunety była wczoraj cholernie zakurzona – trzeba dbać o szczegóły – sięgnął po popielatą skarpetkę, która w czołgu służyła za ścierkę „od lepszej roboty”, przetarł. Poczłł na sobie w tej chwili uważny wzrok kierowcy i pomyślał, co tamten o nim myśli. Jako o poszukiwaczu wrażeń? Zbieraczu guzów? Frajerze? Manuel chciał być metodyczny. Przetarłszy gumę ścierką, wziął chustkę, przetarł jeszcze, kiwnął z zadowoleniem głową – pozornie dla siebie, naprawdę dla kierowcy. Nie był to tylko snobizm. Manuel chciał tym wszystkim umniejszyć, jak tylko mógł, ów niepokój, jaki musiała odczuwać załoga idąc na dalekie, jak obecnie, zadanie z dwoma zupełnie nowymi członkami – dowódcą Edwardem i przednim strzelcem – Manuelem właśnie. Manuel wiedział, że te drobne psychologiczne zabiegi, podobne

tym, które stosuje dentysta wobec zbyt nerwowych pacjentów, dają nie mniej pożądane skutki; napełniają spokojem. Manuel nauczył się już i tej prawdy, że spokój w czołgu jest tym samym, czym smar w jego motorze – musi dochodzić wszędzie, musi przenikać wszystko, inaczej możliwości niebezpieczeństwa rosną niewspółmiernie szybko. Manuel powiedział sobie, że naładuje się spokojem ruchów, słów, milczenia.

Przetarłszy lunetę przytknął oko do jej gumowej ochrony. W ten sposób z ręką prawą na spuście bazy, z lewą na jej uchwycie, był naprawdę przednim strzelcem. Przez krągłe, jakby powiększające szkło celownika widział teraz przed sobą spory szmat świata, który pozostał jasny, gdy nad nimi zamknęła się ciemność czołgu, i był tym bardziej świecący, że mijali właśnie rżysko, za którym stali przez te dwa dni, gdzie przeszli ten nalot i spędzili noc. Od rżyska, jak przewidział, gąsienice czołgów podniosły żółty kurz i poprzez ten kurz dopiero dostrzegł Manuel posuwające się powoli grube wieżycy czołgów. Słońce poranne świeciło – niebo było bladoprzejrzyste – prawie jesienne. Wieże czołgów nie bały się niskiego ku-

rze i miały klapy otwarte, i Manuel poznał w pierwszym przed sobą zaraz porucznika Lamberta. Smukły porucznik wyglądał sam jak ludzki maszt swej radiostacji – wysoki, górujący nad czołgiem – Manuel zaraz poznał jego silny kark, czerwony od opalenia, beret założony na ukos, wysunięty podbródek, ostro zakrojony nos. Oczu nie widział, ale pamiętał szaroniebieskie, przymrężone oczy porucznika Lamberta. – Czy pan nie wie, panie poruczniku – pamiętał, jak onegdaj po przełamaniu lodów mówił jemu, Manuelowi, ten chłopak – że nieraz miałem ochotę strzelić panu w łeb? – Domyślałam się – odpowiedział wtedy Manuel – że będąc tak młody nie może pan być również i równie mądry. – Za to, co pan pisał o oficerach. – Drogi panie, właśnie pan, jako młody oficer, był najbardziej zainteresowany w tym, aby nie było, jak było. – Moja żona jest z Rosji – przerzucił się Lambert – toteż ona pana ładnie nosi w sercu za to, co pan pisał o tym. – Jeśli tylko logicznie myśli – słyszy swoją odpowiedź Manuel – to zapewne nie najgorzej; przecież należałem do nielicznych Polaków londyńskich będących zwolennikami paktu, bez którego ona nigdy

nie wyjechałaby z Rosji, a pan nigdy by nie był jej mężem. – Tyle razy słyszał Manuel te zarzuty i tyle razy rozbrajał je tak samo, że nawet nie słuchał słów porucznika Lamberta. Teraz patrzył przez lunetę czołgu na tę jego urodną młodość. I naraz poczuł żal. – Wojny powinni robić koślawcy, niewydarzeńcy, szmelc ludzki, nie takie śliczne chłopaki jak sosny gonne, na których czekają w domu takie dziewczyny jak jego. – Czołg przegiął się i wstrząsnął. W kręgu lunety zachybotały drzewa szosy na Falaise.

Angielski żandarm w śnieżnobiałych szelkach, z „MP” na opasce, w białych kamaszach, kierował ruchem, jakby byli na Piccadilly. Tak, to są angielskie niezmienności, jak *cup of tea*, jak kominek w messie, jak głębokie fotele, jak królewski portret, jak *dancing* i *pub*. Znak widomy niewidomego Imperium usunął się przed czołgami, kiwnął energicznie prawą ręką, zakrzyczał coś – i już miał oczy zwrócone na następne w tyle wozy. Czołg zachwiał się znowu ku przodowi, jak wtedy, potem ruszył jakby w dół. Celownik był teraz tak przesłonięty płowym kurzem, że nie było nawet na co patrzeć. Przez radio, dotąd milczące, zaczęły biec jakieś wołania.

Manuel poprawił słuchawkę. Wołania były angielskie. Pytały się ponawiające wołania jakiegoś Harry, czy słyszy i czy *everything* było *okay*. Manuel nic nie widział, tylko zaczęli coraz częściej przystawać i poprzez ciecz kurzu przebłyskiwały szkarpy domów i musieli zamknąć wentylator, bo zawiąło ich słodkim, trupim zapachem. Byli zbyt blisko postoju – to nie mógł być jeszcze front – to musiało być owo Cauvincourt na wzgórzu, z potrzaskanym kościołem wysoko, skąd żołnierze przynosili skwaśniały *cidre* i gdzie pod gruzami leżało wielu Francuzów i Niemców. – Tak, to było Cauvincourt, bo teraz znowu wjechali silnie w dół. – Manuel przekręcił wentylator i w rzeczy samej buchnęło zaraz strugą zimnego powietrza, jak to, które znał z tych łąk, gdzie nocowali dwukrotnie. Wentylator nie zmylił go, ale zmyliła go za to luneta. Przez szkło lunety, jak przez podłużną szparę peryskopu, wyjrzała bowiem z kurzu nie zieloność łąk, ale płowość złota pszenicy. Manuel chciał przez chwilę zapytać Edwarda, gdzie są. Nawet podniósł do ust mikrofon i omal nie nacisnął, kiedy się wstrzymał. Oblała go, jak ten pot, gorąca wściekłość na siebie. Czy nie on właśnie

podchwytywał w poprzednich zadaniach to gadulstwo przez radio? Czy nie było wiadomo, że Niemcy słyszą ich, tak jak oni słyszeli nieraz na tej samej fali rozmowy niemieckie? Wreszcie, czy sam Baca nie zapowiedział wczoraj, nie powtórzył jeszcze dzisiaj, aby ograniczyć radio do minimum? Manuel opuścił mikrofon. Czołg kołysał się, przewalał. Droga widocznie kamienista i twarda. Stawało się coraz goręcej i smary śmierdziały coraz duszniej. Wentylator z trudem wpierał w te gęste wyziewy zimne, raniem pachnące powietrze. Czołg przestał przystawać co chwila – widocznie pułk rozwinął się już w kolumny czy w każdym razie wyszedł z zatorów frontowego zaplecza. Kołysał się teraz dość monotonnie i miarowość tej jazdy poczęła działać tak jak gorącość, jak duszność, jak ciemność i jak ciasnota. Manuela ogarnęła senność. Senność zdawała się ogarniać także resztę załogi za nimi, nawet radio przestało się odzywać. Nic dziwnego, pomyślał Manuel i przypomniało mu się tamto znużenie, potworne znużenie po wczorajszym popołudniu, kiedy ich wozy, rozstawione w prawo od szosy, wzięły fale alianckich bombowców za wyznaczony *target*. Znuże-

nie, potworne znużenie po tych kilkudziesięciu minutach grozy. Potem, w nocy, ten nalot niemiecki i ów ranny, który przypelzł pod ich czołg w mroku. I krótki, łapczywy sen nad samym ranem. – Tak. Mieli prawo popadać teraz w odrętwienie, mogła ogarnąć ich senność. Manuel pamiętał, że do linii niemieckich mają jeszcze dobrych kilka mil, może dziesięć, i że pułk czołgów nie porusza się tak szybko. Był więc czas.

Ale czas się dłużył, a sen jednak nie przychodził. Przeciwsennym zastrzykiem okazał się niepokój. Drażący, zaskórny lęk. Manuel uświadomił go sobie, zlokalizował i nie taił. Nie wstydział się nawet, że go odczuwa. Jeśli tu jest, jeśli siedzi w tym cromwellu teraz, jeśli ma ręce na karabinie maszynowym czołgu, a oko na lunecie, to przecież tylko i wyłącznie dlatego, że tego chciał, że całym szeregiem własnych, pobieranych kolejno decyzji dotarł właśnie aż tu. Uświadamiał sobie po prostu ów niepokój, jak lekarz uświadamia sobie chorobę – swoją własną. Nic więcej. Uświadamiał sobie jej źródła. Cokolwiek by było, Manuel nie był już nowicjuszem. To nie była pierwsza jego wyprawa ani pierwsze jego zadanie. Słów majora na odprawie słuchał

już teraz inaczej niż przedtem. Już umiał sobie przetłumaczyć ów język fachowych określeń (– rozpoznać – dotrzeć – uchwycić – kierunek na – stwierdzono broń pancerną npla) – na język ludzkiego niebezpieczeństwa. Gdy na odprawie czarny ołówek majora wytyczał grubą, ugiętą strzałę po płowych i zielonych plamach mapy, Manuel umiał już odczytać z długości tej strzały i z plam tej mapy, czy zadanie będzie należało do łatwiejszych, czy bardziej trudnych. Manuel umiał już sobie dopowiadać resztę z milczeń, z uwag ubocznych, zawahań dodatkowych, pozornie nic nie mówiących, rozkazów, jakie padały potem. Wiedział, że idą dziś daleko w głąb, że mają przed sobą teren bardzo niejednolity, parę lasów, parę zwartych miejscowości, że major troszczył się z pewnym naciskiem o to, by możliwie blisko za czołgami szły recovery i sanitarki, i ile będzie sanitarek, a recovery służą tak samo do wyciągania czołgów jak sanitarki do ratowania ludzi. Obcy, który przybędzie do dywizjonu bombowego, nie zawsze wie, jak inaczej tłumaczy się na język niebezpieczeństwa wyprawa na Mannheim, Hamburg, Bremę czy Milano, ale ci, co są w dywizjonie, wiedzą. Manuel tak samo wiedział.

Od paru dni straty w pułku przestały się dla Manuela ograniczać do pewnej liczby czołgów i pewnych nazwisk ludzi. Teraz Manuel coraz częściej umiał skojarzyć nazwiska z wieczornej listy strat z jakąś twarzą, ruchami, głosem, zdaniem, uśmiechem. To wszystko nie byli j e s z c z e ludzie z nim zżyci, zaprzyjaźnieni, jak tylko wojna zaprzyjaźnić może: ale to j u ż byli ludzie, z którymi obcował, których znał. Coraz rzadziej wieczorna lista strat nie zawierała dla Manuela nazwisk nie dających się skojarzyć z kimś żywym. Ale też w ten sposób wielka sprawa śmierci nabierała cech codzienności. Ludzie przyzwyczaili się do niej jak do porzuconych na drodze zwłok niemieckich, jak do smrodu spod gruzów, asymilowali ją do życia żartami, omawianiem praktycznych, technicznych szczegółów. Ludzie starali się ją ustrawnić, a czas pracował na to, czas zabijał zdolność reakcji. Otóż Manuel znalazł się na pograniczu obu tych sfer i etapów. J u ż uświadomił sobie różnorodności bogate i proste owej techniki, za pomocą której odbywa się tu nieustanne przechodzenie spoza życia w śmierć; j e s z c z e nie zdołał na to zjawisko zupełnie zobojętnieć. Być może, że im intensywniej

ktoś myśli, tym do owego zobojętnienia przychodzi później. Manuel, jak lekarz badający własne choroby, wie dobrze, że właśnie ów etap pośredni jest idealny dla bakteryj niepokoju. W poprzednim nie mają jeszcze danych, aby się tak pięknie rozwinąć; w następnym natrafią na grunt zbyt zatwardziały, aby mogły tak pełnie rozkwitnąć. Manuel uśmiecha się w ciemność czołgu do nowej swojej myśli. Jakże tu jest i n a c z e j. Czy kto by pomyślał, czołgu nie znając, że można w nim, podchodząc do walki, tak myśleć właśnie, analizując, dociekając, odchodząc? Przecież czołg to nowoczesność, maszyna i walka. Manuel uśmiecha się do tych dziecinnych poglądów, jak sobie mały Jasio wyobraża wielki czołg! Gdyby teraz był z powrotem w piechocie i, tak jak jedzie, szedł na linię, o ile mniej, jeśli w ogóle, mógłby myśleć o rzeczach, o których teraz myśli. Łykałby kurz drogi, uwierałyby go buty, pociłby się z gorąca albo marzył z zimna, ciążyłby mu plecak albo cekaem, odwodził uwagę nękającej oderwanymi pociskami ogień jeszcze dalekiej artylerii albo wielki spór na szczeblu małej drużyny, czy starszy strzelec Omieciński nie niósł magazynka o pięć minut dłużej

od kaprala Główniaka? Tu jakżeż jest inaczej. Wszystkie tamte sprawy, uwagę odwodzące, zmały lub odeszły, świat nawet jest widoczny tylko przez jednooką lunetę i wąską szparę peryskopu. Może kierowca, radiooperator czy dowódca ma nie zwolnioną uwagę; on, strzelec przedni, ma ją wolną w zupełności. Dopiero przed samą akcją włączy się w pracę pułku; teraz – czeka. Mógłby tak samo spać. Może myśleć. Nic bliższego, bezpośredniego nie ściąga, jak rzemień ostry, jego myśli. Mogą odbiec daleko, rozbiec się szeroko, odzielić się od tego wszystkiego. Zawisnąć, ogarniając naraz to, co było, co jest i co zaczyna się stawać. Manuel ma bowiem świadomość, że coś zaczyna się stawać. Pewne rzeczy już właściwie zapadły z chwilą, gdy przed – ileż to było: półgodziną, godziną? Nie; tylko przed minutami czterdziestoma – po tamtej stronie drogi na Falaise zasunął klapę czołgu za sobą. Wrażenie było pewno takie, jakie ma załoga bombowca, gdy zamknięto drzwi za ostatnim członkiem załogi, gdy odrzucono schodki i pękają ostatnie nity z ziemią. Bombowiec wszedł już wtedy na tory swoich przeznaczeń. Aby doszedł do swoich losów, potrzeba tylko czasu.

Porównanie z lotnictwem przypomniało naraz Manuelowi tamte urywane dyskusje z ostatnich dni w pułku. Pułk miał kawaleryjską nazwę i kawaleryjskie tradycje. Patrzyli Manuelowi w oczy; a nam, co pan wytknie? Może stosunek do żołnierza? Manuel mógł powiedzieć, że stosunek do żołnierza, stosunek z żołnierzem, jest nie tylko dobry tam, gdzie armię ogarnęła rewolucyjna *fraternité* ludzkości, taka, jaką gorzały masy jakobińskiego żołnierza, z jaką niósł swój pożar bolszewizmu, z jaką toczyły swój bój przez trzy długie lata międzynarodowe brygady Hiszpanii. Bywają oddziały, które zespala to, co nazywa się zżyciem. Tak było z pułkiem, w którym szukał szczęścia wojennego Manuel; pułk miał sztandar przeniesiony z Polski, jeden z nielicznych – trzech? – sztandarów pułkowych, jakie poszły na Zachód po Wrześniu. Dowódcy pamiętali tamte czasy. Wachmistrze służyli po lat dwadzieścia. Manuel mógłby odrzec, że nie mniej świetne były niejedne pułki wolnego kozactwa carskiej armii i niejeden staroautriacki Montekukulego, i niejeden pruski huzarów śmierci. Tradycja może wytworzyć wielkiego ducha pułku; ale tradycja nie wytworzy wielkiego ducha armii,

nie wskóra tam, gdzie się świeżego rekruta wmiesza i wrzuca, śle w bój dywizję po dywizji, armię po armii. To, że ten pułk był taki, jaki był, że nie miał się co bać krytyki niczyjej, to było tylko potwierdzeniem generalnej, ale mającej wyjątki reguły. Manuelowska przekora uderzała za to w co innego: w kawaleryjskość pułku! – Nosicie – powiadał wtedy Manuel – swą kawaleryjską nazwę, macie wachmistrzów i rotmistrzów, i wszystko inne. Chcecie koniecznie być przeszłością. Tymczasem wbrew sobie jesteście przyszłością. Bezkarne nie zamienia się konia na motor, tak samo jak w rozwoju ludzkości nie pozostawały bez głębokich społecznych skutków zamiany – huków na muszkiet, żaglowca na parostatek ani wrzeciona na warsztat tkacki. Ułan, który przestał czyścić konia, a nauczył się prowadzić motor, nie jest tym samym człowiekiem; pięciu ułanów zamkniętych w czołgu, pełniących różne funkcje i dzielących wspólne losy jest bliższych załodze bombowca niż plutonowi ułanów. Chłopak z kurnej chałupy nie stanie się innym człowiekiem, gdy go wsadzicie na konia, ale stał się innym człowiekiem, gdy go nauczyliście operować radiem i używać Morse'a. Gdybyście chcieli, panowie, być kon-

sekwentni, musielibyście siadać do swoich czołgów z kawaleryjskimi ostrogami u wysokich butów; a siadacie w szoferskich over-
allach, bo tak wymaga czołg, to jest życie. I to wasze obstawanie przy tej teoretycznej kawaleryjskości jest szczątkową formą tego, co już w was samych życie zmiotło. Bliżej wam, powtarzam, do dywizjonu sterlingów czy lancasterów niż do szwadronów siwków z obrazów Kossaka. – Manuel tak mówił i było trudno zaprzeczyć; ale teraz niemal żałuje, że to mówił. Pamięta, jak dostrzegł przymglenie smutku w czyichś oczach. Oczy te szanował. Przyznawały mu milcząco rację. Były tu wyrocznią. Ale mówiły: „Może to i prawda, co twierdzisz, może jest tak właśnie, może matematycznie masz rację. Ale zrozum! Dla nas ta kawaleryjska nazwa, może i ten wachmistrz, i rotmistrz – to bardziej pamiętki niż dzień dzisiejszy. Ale zrozum i spamiętaj, że to nas trzyma, że to nam przypomina tamto, że to, jak ten sztandar ocalony z pożogi Września i rozgromu państwa, jest dla nas, wśród nas, dotykającym strzępem ojczyzny. Zrozumiałeś to? Więc uszanuj”.

Czołgi, przystanąwszy na chwilę, ruszyły dalej. Zjeżdżały teraz niezawodnie w dół; Ma-

nuel spojrzawszy w lunetę widział teraz dość dalekie horyzonty, samotne, wyrosłe drzewa w polu – jeszcze nie rozróżnia jakie – jakąś farmę dużą po lewej. Jakżeż czołg nie ma pograżać w myśleniu, skoro tak jedzie aż w ciemność? Zjechali w wąską, wdrażoną w grunt drogę, i po bokach jej chwiały się uschłe, płowe osty, jak stepowe bodiaki. Kurz, wzniesiony przejazdem poprzedzającego ich czołgu, osypywał je co chwilę żółtym nalotem. Manuel przejrzał raz jeszcze działanie bazy, rozpiął sobie u szyi *overall* i koszulę. Ulżyło. Czołg potoczył się dalej, jak w ciemność. W ciemności dalej toczyły się myśli. Manuel czuł, że odchodzą one jeszcze dalej, wciąż dalej od tego teraz, że na niego samego w tym rozchełstanim, drelichowym overallu, z ręką prawą u spustu bazy, w ciemni cromwella, patrzą jak na obce, dziwne zjawisko. „*Here you are?*” pytały myśli. „*Yes* – odpowiadał strzelec przedni – *and I am quite happy to be there*”. „A wiesz, co to znaczy być tu?” – pytały myśli. – „Wiem – uśmiechał się Manuel. – Chciałem. Chcę”.

Teraz myśli nie goniły pułku i nie szukały z nikim sprzeczki o konie czy motor. Manuel odrzucił głowę w tył, w siedzenie, tak że nie

patrzył już nawet przez lunetę. Po co? W mroku za to wracało życie. Własne życie. Całe. Manuel nie patrzył na nie teraz jak na swoje własne, związane z fizycznym, biologicznym istnieniem człowieka, który siedzi teraz po lewej ręce kierowcy. Manuel patrzył na nie jak na czyjeś życie, które by on, Manuel, układał lub – lepiej – pisał. Czy pisałby je tak właśnie, jak było napisane dotąd, czy może inaczej, gdyby rozdziały, już wypełnione piśmem, wolno mu było zmienić, poprawić czy przekreślić? Czy obecny rozdział, który jeszcze – czy prawie jeszcze – mógł zmienić, zmieniłby też? Czy gdyby... (Niepokój, w tym beczynnym rozpamiętywaniu, wdrażał się wciąż głębiej). Czy gdyby?... Czy jeśli teraz, w godzinę lub dwie... Za dzień lub tydzień?... bo to przecież może być – Manuel wie – przyszedł koniec całej powieści? Powieści zawierającej życie? To właśnie życie, co w tej ciemni, jak w kinie, przepływało na ekranie myślenia? Czy byłyby to właśnie taki koniec, jaki byłby najlepszy? Jakiego by Manuel najbliższemu z bohaterów swej powieści mógł życzyć? Nie? Tak? Manuel sobie nie życzy. Ale przyjmuje. *Il admet*. Owszem. Skoro to życie było właśnie takie, jakie było,

może najlepiej by było skończyć je teraz – i takim właśnie akordem.

Czy w takim razie to, co dziś robi, uważa Manuel za najlepsze, najważniejsze, może jedynie ważne? Czy dokonywa tym aktem jakiegoś „powrotu do szeregu” – a coś innego, co było je go, przekreśla? Nie. Czuje, że nie. Manuel, strzelec przedni w załodze cromwella, nie przekreśla, nie odmienia niczego z tego, w co wierzył w tamtych ostatnich trzech latach walki Manuel człowiek, Manuel pisarz. (Manuel zatrzymał wentylator czołgu: zbliża się południe i powietrze, jakie teraz dolatuje, gorące powietrze z pól, nie jest chłodniejsze od atmosfery czołgu. Ręką lewą poszukał manierki, pomocował się z korciem, wypił łyk ciepławej wody o metalicznym smaku, odłożył; zawsze to lepiej. Miał ochotę zagadać do dowódcy przez radio. Ale to milczenie czołgowych radiostacji, nakazane dziś rano przed wyruszeniem na cały marsz zbliżania, paraliżowało – niepotrzebnie – i jego w mroku. W duszności na nowo przyływały myśli.

Film życia, och, jak dobrze mu znanego życia, wypełził z powrotem na ekran myśli. Manuel patrzy na nie, prawie od początku,

z dziwną melancholią. Widzi naraz jego błędy początkowe, małe i śmieszne dzisiaj, wydające się pewnie wtedy ważne i tragiczne – o, tak, jak upadki i pierwsze kroki dziecka. Jakże daleko poszedł! Jakże daleko odszedł! Manuel jest rad, że tak właśnie, po wielu potknięciach, poszedł, że jego droga nie była, stamtąd, skąd wyszedł, łatwa do odnalezienia; o nie! Manuel jest rad, że odszedł tak daleko, że między tym, co było, a tym, czym on sam teraz jest, zaległa tak wielka droga. Że przeżyć jej już z powrotem nie sposób. Jak wyjść już z czołgu. Jest wdzięczny temu wszystkiemu, co mu w tym okresie – wypadki, książki, ludzie – umożliwiło to właśnie odejście. (W ciemności – i czołgu, i pamięci – migają teraz słowa, zdarzenia, twarze i gdy Manuel skłania teraz głowę, to nie tylko dlatego, że cromwell zachwiał się na wyboju). Tak. To szukanie, długie i trudne, i to przyjscie z daleka – oto rzeczy, jakie podobają mu się w tym filmie. Podoba mu się trud szukania i męka myślenia. Pamięta, jak w jego pokoleniu brano gotowe myśli, seryjnie obtoczone światopoglądy, masowo importowaną manufakturę, łątając co najwyżej faszyzującą kamizelkę chrześcijańsko-socjalnym pulowe-

rem, jak brano, co było na najbliższym rogu ulicy, właśnie byle oszczędzić sobie trudu szukania. (Żałuje ich teraz; jacy biedni!) Oczywiście, byli za to łatwi do zrozumienia. Nie musieli się nigdy skarżyć na brak zrozumienia innych. Mówili łatwo – jak mówi się łatwo rzeczy wykute i cudze. Jemu przychodziło trudno sformułować każde swe zdanie. O, czasem jakże trudno. Przychodziło mu z trudem sformułować własne swe życie. I to – tak teraz sądzi – było właśnie dobrze, że było tak, nie inaczej.

Ale film to nie tylko człowiek, to jeszcze i czyjeś życie. Nie wystarczy to sobie sformułować. Trzeba wlec tę rzecz za sobą. Nie wystarczy, doszedłszy do jakichś twierdzeń, wcielać je na użytek własny; trzeba je dawać innym. Nie wystarczy przejść migotliwym przechodem przez pewien okres lat – ot, gdzieś z jakich jarów nad cichą rzeką Słuczą do innych jarów, nad błotną rzekę Orne. Trzeba zostawić ślad. Trzeba wejść w glinę dróg narodowych koleiną, trzeba przejść przez ich rżysko grubym rozkrojem lemiesza czy – lepiej – rozmiesić je ciężkim ugniotem traktorych gąsienic. Kiedy u innych zużyte dawno słowo mełło dla narodu omłot przeżutych

myśli, trzeba szukać nowych rzeczy do podania, trzeba z rzeczy widzianych, słyszanych, zrozumianych dopowiadać nowe, jutrzejsze. Czy nie należy odrywać starego bluszczu, choć sławą przyległ do ścian, jeśli niesie dziś tylko wilgoć, kryje zmurszenie, przesiania światło? Trzeba. Czy nie trzeba dopowiadać do końca myśli nowych, choćby cięły jak nożem? Czy trzeba unikać myślenia? Nie. Szukania? Nie. Czy Manuel unikał szukania? W ciemni cromwella, z prawym kolaniem wspartym o próżny worek parciany czekający na łuski jeszcze nie wystrzelonych pocisków, Manuel wie, że nie. Nie obruszałby się tak często, nie gniewał ani jątrzył. Przeciwnie. Nie w tym leży troska Manuela. Leży w daremności zupełnej tych wysiłków, w których męczył życie i stargał myśli.

Manuel: – Nie wjeżdżajcie w tę wyrwę! Stać. – Kierowca: – Możesz wyjrzeć.

Popołudniowe słońce było tak oślepiające po mroku, że Manuel widział tylko białe i pożółkłe plamy domów, potem jakąś ulicę, potem kościół. Cóż to już będzie? Nazwy małych osiedli rozmieszczonych po szlaku wypadu na Jort wypadły z pamięci. Mapnik zesunął się gdzieś na siedzenie; nie chciało się

teraz wracać doń z powrotem do ciemności! Manuel stwierdził raz jeszcze, że stuart ma tę – jedyną chyba – wyższość nad cromwellem, że wyskakuje się czy wchodzi do niego nieporównanie łatwiej; i pożałował stuarta. Ale co za różnica motoru, opancerzenia, uzbrojenia. I jaka linia! Wojna cromwellami byłaby pięknym rajdem – gdyby nie to, że Niemcy mają lepsze pancerze i lepsze działa swych panther i tigrów.

Jakakolwiek byłaby to miejscowość, przysiadła w słońcu, pyle i opuszczeniu, Manuel wiedział nie pytając, że tu już postój ostatni. Ostatni żandarm brytyjski – wciąż białe szelki i getry – został za tą wioską. Droga była już prosta. Nikt nie miał już jej wskazywać. Domy tu były rozbite, z powywalanymi bebeczami materaców, papierów, szkła. Ściana jedna obłamała się jakby – legła gruzem poniżej – i odsłoniła jakieś wnętrze – duża, ciemna komoda, nad nią obraz w ramach. Czołg stał tak blisko, że Manuel mógł poznać krągłą czaszkę, kałmuckie kości policzkowe i siwe, opuszczone wąsy Jerzego Clemenceau, zalane sierpniowym słońcem normandykim. Z izby wyszedł Kanadyjczyk w rozchełstanej na piersi koszuli, ogorzały i brodaty.

Zapytał rzeczowo, nie zwlekając, czy chcą cydru? Pili, gdy objaśniał nie pytany, że tam ci są za tym skłonem, mają umocnienia w lesie i trzymają twardo. Był z Montrealu i mówili po francusku.

Okazuje się, że będą tu stali jeszcze. Dragoni czy piechota, która miała pójść za ich wyłomem, podciąga się dopiero czy też jakieś inne sprzęgło dzisiejszej operacji nie jest w czymś gotowe. Chwila. Słońce praży teraz jakby za wszystkie czarne czasy w czołgu, ale milczenie południa jest jeszcze bardziej przejmujące. W załomie drogi przejdzie czasem jakiś żołnierz kanadyjski; kuraki małe, bezpieczeństwa i głupie włożą, nie wiedzieć po co, za gąsienice czołgu. Na murze obok świerszcz strzyka, ale nie sposób go wykryć. Schowany jak *sniper*. Myśli Manuela spływają dalej szerokim, chłodzącym nurtem.

Nie tego mu żal, co robił, ani tego, że się stargał w tej walce bardziej może, niż ciało człowieka może potargać pocisk. Żal mu bezskuteczności tej walki. Prowadził ją najlepiej, jak mógł, rzucił w nią wszystko, co posiadał. Miał kiedyś wrażenie, że wielki wstrząs, jaki przeszli, cokolwiek odmieni. Każe zastanowić się nad tym, co było złe. Każe nastero-

wać na inne tory. Teraz z wysokości swego cromwella mógł Manuel widzieć po latach czterech nie tylko, jak daremne były jego wysiłki, ale jak niczego nie przeorał ten wstrząs. Daremność. Głucha, zawistna niechęć do każdej krytycznej myśli; niewolniczy, bydlęcy kult dla najgłupszej chwały tego, co swojskie, ze swojską głupotą na czele. Pełne zwycięstwo klik, klanów i kast przeciw samotnej jednostce i biernej, zniechęconej, bezradnej masie. Bojaźń przed burzami, jakie nadciągały nieuchronnie, złość do ludzi, co ani nie chcieli pleść, że burza nie nadciąga, ani nie chcieli twierdzić, że burzę potrafią wrzaskiem odpędzić.

Nie żał Manuelowi ludzi ginących w walce; żał mu ludzi ginących bezpłodnie. Wypadek. Kaźń. Pomyłka. To są najgorsze śmierci. I oto gdyby teraz trzeba było zamknąć rozdziały życia, to właśnie byłoby przykre; bezpłodność. Manuel spływa myślą po smutnych szlakach historii. Manuel zna z dociekań książkowych, z archiwów bibliotecznych, z niemego chłodu lektoriów, jak bardzo byli samotni wszyscy, którzy myśleli o Polsce, jak bardzo znienawidzeni, którzy ośmielili się przestrzegać. Jest słońce Francji i silniki czołgów nie zgaszone,

i sieć telegraficzna od pocisków pocięta, i świergot świerszczy w gruzach domów, a Manuel pamięta, jak dygocącą nienawiścią był zalewany suchotniczy prorok Skarga, z jaką lubością zdeptywała czerń kontuszowców szkoły i druki ariańskie, jak sejmikowe pałkarstwa zakrzykiwały Myśl. Żeby zrozumieć historię Polski, myśli przedni strzelec w załodze czołgu, trzeba nie tylko o tym wszystkim wiedzieć. Trzeba pamiętać, że właśnie najwięksi, Kołłątaje, Staszice, Kościuszkowie, których dziś obkadza ten, co by ich kamieniował wtedy, znosili gehennę, jak w żadnym innym narodzie, o której dziś nikt już nie pamięta. Mało tego. Trzeba samemu w Polsce przeżyć część małą tego, co przeżywali najwięksi. Trzeba jak oni widzieć, że trud ich myśli idzie na darmo, a plewa cudzej bezmyślności upaja ów naród. A wtedy zaczyna się rozumieć, ile dopiero przejść musieli tamci, jeśli tyle potrafi przenieść w tym narodzie człowiek mały. Ale też z każdym pokoleniem rośnie nędza tego narodu. Bezkarne nie zdeptuje się myślenia. Bezkarne nie hołduje się miernotom. I Manuel zastanawia się przez chwilę, czyja tragedia w tym narodzie była największa? Jednostek zahukiwanych i zaszczutych, czy masy obo-

jętej na los zaszczuwanych, powolnej klikom i kastom, a potem za swą powolność, za tamtą obojętność; za własne nieocknienie krwawo i boleśnie płacącej.

Czas dłuży się; postój się przeciąga. W lewo od drogi, od tej wsi pustej jak kłos próżen ziarna, rozciągnęły się ciemnymi plamami na płowości pola czołgi tamtych szwadronów. Kierowca się zdrzemnął. Oparł głowę na skraju, podłożywszy ramię pomiędzy żelazo i skroń. Ma jasne, ciemniejące włosy polskiego chłopca, przejaśnione siwszymi pasmami. Śpi spokojnie, jakby siedział na żniwarce, w czas żniw, w południe. Jest coś polskiego w tym śnie. Spokój, czy rezygnacja?

Manuel patrzy przed siebie. O dwieście, może trzysta jardów kończy się horyzont. Jest to pole, które łagodnym garbem podnosi się od tej wsi, po czym załamuje linią niemal prostą. Tak faluje długimi i płytkimi falami cały chlebny krajobraz Normandii. Za tamtą linią będzie znowu jakieś wgłębienie, kotlina, znowu jakieś pole jak to i jakieś miedze zarosłe, i domy jak te tutaj. Tylko że jeszcze Niemcy. Niemcy. Los... nowy rozdział. Może jeden z wielu. Może ostatni.

Na materacu wyrzuconym z domu śpi dwóch żołnierzy alianckich. Tak samo jak ten kierowca. Tak samo jak inni. Manuela teraz opuściła senność przedpołudnia. Opuściły go zwątpienia, żale, wątpliwości. Falami napływa spokój, uroczysty i smutny jak w słoneczny dzień we wsi opustoszałej wojną. W świergocie świerszcza, który zapadł w szczeliny starego muru, Manuel słyszy teraz myśl własną, która naraz układa się w rodzaj dziękczynnej modlitwy:

– Boże tych, co męczyli się szukaniem, Boże tych, co myśleli za innych, wiesz, że jeśli porzuciłem tamtą, trudniejszą walkę, że jeśli jestem tu w tej walce łatwiejszej, to nie dlatego, bym tamtą moją uważał za złą czy błędną. Wiesz, że podjąłem ją nie dla jakichś niecných pobudek, ale z jedną myślą: o dobru moich. Jeślibyś zapytał, czemu nie prowadzę jej dalej i czemu jestem tutaj właśnie, jedna będzie moja odpowiedź. Co miałem powiedzieć, rzekłem. Com miał napisać, napisałem. Rzeczy poszły poprzez mnie i pomimo mnie. Ale jeśli myśli tych naokoło mnie poszły innym szlakiem niż moje, to ich losy będą moimi losami. Albowiem choćby sam szedł w przepaść, jest to mój naród. Nie wiem, coś mnie, małemu, przeznaczył w niezmiernej Twej wysokości;

nie wiem, który rozdział mej powieści będzie rozdziałem ostatnim. Nigdyśmy jeszcze my, ludzie, nie byli tak bardzo pyłkami marnymi jak oto; nigdy nie pochłaniała nas tak w nicość zamieć światów jak teraz. Ale jeśli by teraz czy potem miało się to skończyć dla mnie, to proszę, niechże pozostanie o mnie to jedno: myślą był im obcy, losem jednaki. – Może lepiej to niż myślami swymi innych wtrącać w przepaść, w jaką szli – i raz strąconych, gdzieś daleko, przetrwać i przeżyć.

– Manuel! Jedziemy!

Radio zadźwięczało krótkim, jęklwym sygnałem. Jakby zbudzone nagle. Kierowca ocknął się z drętwoty, przeciąga się jak parobek. Sen południowy skończony. Motory zagłuszają świerszcza. Kanadyjczycy śpiący przed domem poruszyli się, spojrzeli i opadli.

Manuel opuszcza się do wnętrza, zamyka kłapę. Jest znowu ciemność. I jakiś spokój. Czołg rusza. Obie ręce Manuela są teraz na karabinie maszynowym. Okiem patrzy w krągłe oko lunety. Czołg przed nim, zaraz za domami, zjechał w bok i Manuel teraz widzi wszystko dokładnie. Szeroki łąn potratowany do cna, wielka płowa łysina pola przegięta na tamtą stronę. Horyzont bliiski staje się coraz bliższy i Manuel ma celownik

na linii tego horyzontu. Widzi wyraźnie nie dotratowane kłosa i chwasty chwiejące się ciężko na tle nieba; widzi drogę, pylną i rozmytą, która o paręset kroków dalej przełamuje się na tamten stok. Pierwsze czołgi drugiego szwadronu już podjeżdżają pod grzbiet, już dodają gazu, aby przejechać go szybko, nim się nie ocknie obserwator artyleryjski. Już są, jednym skokiem, na samej linii horyzontu; jak śmiesznie. Całe, aż po wyslizgane bruzdy gąsienic, na tle nieba. Jakby tam przed nimi kończył się świat.

Ankona dodała gazu. Manuel ma oko na lunecie. Poprzez krzyż celowniczy i podziałkę widzi teraz, jak tamte czołgi zachwiały się wieżami, masztami radiostacyj, lufami długimi dział – i przechyliły na tamtą stronę, w dół. I w tym samym momencie Ankona przechyla się także. Zamiast nieba i bliskiego horyzontu ma naraz Manuel jakąś chwiejącą się panoramę z plam płowych, zielonych i sinych. Wraz z czołgiem nachyla się w dół. Naraz grube kawały gleby, czerwonawej, stwardniałej od sierpniowych spiek, furczą spod gąsienicy czołgu, przekreślając swym lotem widok. Wita ich wybuch po wybuchu.

Artyleria niemiecka wstrzelana była w ten garb.

*

Odtąd skończyło się wszystko inne. Jest już tylko trzymany oburącz karabin maszynowy typu Besa; prawa ręka Manuela ujęła go silniej pod kolbę; przy zamku palce są na spustach. Lewa trzyma odgięty od karabinu metalowy drążek, którym tym łatwiej „nakierować na strzał”. Manuel podziwia tę łatwość i ów podziw dodaje mu pewności. Wpojony w czołg karabin maszynowy chodzi w rękę lekko jak na zawiasach, w górę, dół, w prawo, lewo. Za nim i wraz z nim idzie posłusznie wzrok Manuela przywarty znowu, ale teraz już na stałe, do szkieł celownika. – Jak to dobrze, że prawe oko mam lepsze, znacznie lepsze od lewego, myśli z dziwną radością Manuel, i jest to właściwie jego główna myśl teraz, kiedy czołg stacza się z ostrzeliwanego grzbietu. Oko przywarte do gumowej ochrony widzi jak przez teleskop i w miarę jak Manuel nasterowuje lufę bazy, w krąg widzenia podłazi coraz to inny wykrawek tego, co jest przed nim. Manuel widzi najpierw rżysko, na które wjechali: źle, jazda nietkniętą pszenicą, jak przedtem, o ileż była pewniejsza! Kopki poustawiane na skraju pola budzą nieufność

czołgów. Mogą być miny, mogą snipery. Krąg celownika przesuwa się dalej – na prawo wieś w dole samym, a przed nią mgła, zieleń i nie bardzo wyraźne jeszcze: sady jakieś? Tak, sady, widać obielone wapnem pnie śliw czy jabłoni, gęste linie żywopłotów – Manuel notuje sobie te gęste linie żywopłotów – potem dalej zieloność sadu – i to, że sad jest rzadko rozsadzony. (Tę okoliczność notuje sobie Manuel także, lecz jako ułatwienie, nie jak tamto). Z sadem nie będzie niespodzianek. Ale zaraz potem pole wybrzusza się silnie do góry. Znowu Manuel zapisuje w pamięci liczne kopice snopów. Wydają mu się one czemuś dużo grubsze i dużo wyższe niż normalne; pamięta przecież *n o r m a l n e*; to jest polskie. Kopice są tak duże i jest ich na tym nowym polu wyżej, po tamtej stronie doliny tyle, że przesłaniają lizjerę lasu. Bo po lewej, w głębi samej, jest las. LAS. Manuel pamięta go z mapy. Las ten zachodził kwadratowym klinem w ich kierunek marszowy i szedł daleko w lewo, a także w tył, na zaplecze niemieckich pozycji, i wszyscy, widząc ów podługowaty las na mapie, pytali, czy jednocześnie z naszym uderzeniem – naszego pułku – pójdzie na ten las, zachodzący tak szpet-

nie pod źebro, jakie inne uderzenie? Teraz Manuel nie może sobie przypomnieć, jaka była odpowiedź – i czy była jakaś; ale zresztą widzi. Ich szwadron idzie właśnie lewym skrajem; jeśli dojdzie, otrze się o ten las; w lewo od ich szwadronu nie ma nikogo.

Luneta, jak krągłe oko, wodzi się teraz po horyzoncie. Horyzont po przejściu tamtego garbu stał się od razu szeroki – w prawo od lasu znów wysoko linia pól, czasem jakieś zakrzewienia, pustka. Manuel nasterowuje teraz spólcześnie broń, celownik i oko na wszystko, co mu wyrasta na drodze. Zwłaszcza na to, co może stać się celem. Przeżywa raz jeszcze dziecinny snobizm. Oto celownik cromwella posiada pewne pokrewieństwo z celownikami samolotów myśliwskich. Nie ma żadnych widłek czy muszek, czy jakichś tam piechocińskich pozostałości po śp. prababce fuzji. Po prostu, na szkle teleskopu przecinają się, tworząc czarny krzyż, duże linie. Na jednej z nich – pionowej – kreskowa podziałka. – I to wszystko. – Nie, nie wszystko. Z brzegu na szkle są jeszcze cyfry i litery. Po lewej i po prawej stronie. Na teraz i na całe długie godziny, jakie będą, ten czarny krzyż z podziałką i te cyfry po bokach będą stały pomiędzy oczyma Manuela

a światem, tym sadem, żywopłotami, polem, kopicami, lasem. Dwa rzędy cyfr. Po prawej i po lewej:

5		4
10		8
15		12
Gun		MG

Manuel raz jeszcze – dotąd był przyzwyczajony do stuarta – powtarza sobie ich znaczenie. Liczy: pięć, dziesięć, piętnaście *Gun*, cztery, osiem, dwanaście *MG*. Ale pierwsza kolumna, po lewej, go nie obchodzi. To *Gun*. Podziałka dla działa. *MG* – to on. 4, 8, 12. Od 400 jardów wzwyż, od 800 jardów, od 1200. Jak w aparacie fotograficznym. Manuel nie będzie tym mniej strzelał ani na osiemset, ani na tysiąc dwieście jardów. Kieruje oko i celownik na sam krzyż na szkle – tam, gdzie duże prostopadłe linie przecinają się pod kątem prostym, i na następną kreskę. Gdy zjeżdżają, prowadzi tym skrzyżowaniem kolejno. Po czerwonych dachach w prawo. Po żywopłocie na wprost. Po kopicach, które, im zjeżdżają dalej, tym są wyżej nad nimi.

Milczące radio teraz rozgadało się gorączkowo, nerwowo. Przejęty swą funkcją Manuel wyłapuje z trudem szczątki zdań spod kamuflażu szyfrów. Jak zawsze: Kamile, Pawły, Barbary. Manuel poznaje pytający głos Dowódcy i szybki, ostry – rotmistrza. Już je zna. I naraz, w to wszystko wdziera się intruz:

– *Katowice, Lwów, Poznań, Wilno i Baranowicze na falach Londynu...*

– *Rozpoczynamy naszą audycję...*

Manuel odjął głowę od lunety. Złapał pytający wzrok kierowcy. To krótka fala odbiła się – wyjaśnia radiem Edward i przekręca. Ale krótka fala odbija się znowu, bo po chwili znowu jakiś strzęp komunikatu. Gdzieś daleko na świecie są jeszcze komunikaty, audycje, fale długie i krótkie. Wszystko takie samiuśkie jak w Londynie, słuchane sobie w mieszkaniu. Aż dziwne, że takie same. Oho...! Zdyszany, znajomy akcent mówi: – *Ici Londres.* – Manuel zna dobrze ten głos i wyczuwa w nim dzisiaj jakąś żwawość. Istotnie...

– *Ce matin, depuis l'aube, des forces américaines sous le général Patton* – Patton, Patton, przecież on we Włoszech – zaczyna pracować Manuel – *ont inauguré une descente*

sur la, côte française de la Méditerranée entre Tulon et Nice, ne rencontrant qu'une faible résistance allemande. Nous répétons: Ce matin –

I Manuel rozumie. – Edward, Edward – woła – podaj Dowódcy, podaj pułkowi, że Amerykanie lądują na południu Francji!... – Tak. Tak? – odpowiada Edward i Manuel czuje, że uwaga tamtego, uwaga pułku i Dowódcy nie jest zwrócona teraz wcale na to, kto i jak ląduje gdzieś o setki mil stąd. Wraca więc do radia. Ale radio francuskie już nie rzuca komunikatów, ale tylko słowa wzruszone, uroczyste i puste, poprzez które twardym chrzęstem przebijają szyfrowe rozkazy polskie. Słowa francuskie są teraz już tylko jak muzyka i wreszcie naprawdę spływają w miękka, podnieśliwą muzykę. Muzyka jest stara, ale zawsze wzrusza głęboko Manuela. Przez mrok Manuel napotyka twarz kierowcy i widzi na niej jakieś wzruszenie nieśmiałe, a w starych oczach jakiś połysk wilgotny. W radio polskim rozkazy ucichły i Manuel słyszy tym silniej potężną pieśń zwycięstwa, tak silną, jakby ją grały silniki bombowców i werble pułkowe. I naraz Manuel przysuwa skroń do lunety, nie po to, aby widzieć coś-

kolwiek, ale po to, by nie widziano jego, strzelca przedniego, oczu. I istotnie, Manuel teraz nie widzi nic. Szkło lunety jest tak zamazane i mgliste, jakby oto spadł deszcz i zmętniał obraz na szybie. Plamy zielonkawe i płowe mieszają się ze sobą, nawet czarne linie celownika, nawet podziałka nikną w tej mgle wilgotnej na oku. Mój Boże, myśli Manuel ostatkiem sił nie uległych wzruszeniu, tak, oto jest szczęście! Być czymś w tej fali wyzwolenia, jaka idzie ojczyzną wolności. Słyszeć tak w czołgu sunącym polami Francji te święte słowa, tak samo żywe dziś jak w dniach jakobińskiego gniewu. I wargami przyciśniętymi do żelaza Manuel powtarza te, jak zwrotki litanii, radiem na świat huczące słowa: *Formez vos bataillons, Marchons, marchons, qu'un sang impur – och, jakież to dzisiejsze to sang impur – abreuve nos sillons – och, jakież to dzisiejsze nos sillons –* kiedy czołg się polami toczy. Co za dziwne, niespodziewane wrażenie daje w dzisiejszej wojnie postęp techniki!

W tej chwili przed sam czołg wyrasta ciemna burza ziemi – wybuch bez huku i wstrząsu. (Potem cały przód cromwella będzie ochlapany błotem, wspomina Manuel). W rzeczy sa-

mej, przed czołgiem wyrósł dół błotnisty. Ta łąka zacieka pod glebą. – Radio gada:

– *Mam jeden czołg uszkodzony. Recovery! Słucham, Bernard, słucham. Proszę recovery, przysłać recovery.*

Drugi pocisk pada za cromwellem: mówi o nim Edward. Ale Edward nie mówi wiele: Nie mogą, nie powinni tam ci wiedzieć, czy biją za długo, czy za krótko; nie mogą. – *Hallo, twenty four, report by signals, hallo, twenty four...* – nawołuje nieprzerwanie jakiś angielski sąsiad. Czołg rusza. Najeżdża na żywopłot. Ostatnia chwila odwagi i pokusy. Wypuścić serię? Gałęzie żywopłotu nachodzą na czołg, coraz bliższe, coraz wyrazistsze, jak w szklach powiększających. Krzyż celownika i cyfry podziałki tańczą po nich. Czołg podnosi się ciężko... Opust. – Zielona trawa, białe pnie. Sad. – Manuel czuje pot ulgi.

Po lewej czołgi poszły dalej; po prawej mel-dunki radiowe mówią, że przeszły wieś. To wzbudza optymizm. Manuel czuje, jak przy przejeździe żywopłotu zrobiło mu się naraz gorąco. Głupia rzecz, a gorąco, wstydzi się. Przez radio pół szyfrem, pół nerwami trwa rozmowa o wsi – jej kryptonim to „Buraki” –

że czołgi przeszły „Buraki”, że nie ma tam Niemców ukrytych.

– *Hallo! Henryk pierwszy i drugi na naszej wysokości. Trzeci naprzód – ten sam kierunek.*

Trzeci – to ich – i czołg Manuela rusza naprzód. Pole – ściernisko raczej – z kopicami pod lasem jest teraz o tyle wyżej od nich, że Manuel musi zadzierać celownik i broń ku górze. Wysoko ku górze. Sad bowiem także wspina się wyżej. Przez radio idą teraz rozkazy własne czołgu. W słuchawkach na uszach Manuela huczą teraz dochodzące z wieży dokładne rozkazy Edwarda.

– *Kierowca bardziej w prawo. Objężdżać w prawo, wyżej.*

Nowy żywopłot, a raczej gęste krzaki zasunęły się znowu przed celownik. Cała gęstwa. Manuel jest teraz pomiędzy tym głosem z tyłu a tymi gałęziami z przodu. *Kierowca, objężdżać w pra...*

Za późno!

Czołg podniósł się znowu, jak wtedy, na tamtym żywopłocie. Gałęzie jeszcze silniej zatrzepotały po szkle. Ale zaraz w następnym mgnieniu cały czołg zachwiał się naraz w przód i zwałił całym swoim straszliwym

ciężarem naprzód. Przed celownikiem nastąpiła ciemność. Manuel uderzył najpierw całym sobą w przód, a potem naraz coś rzuciło nim plecami o oparcie. Czołg poleciał w dół. Huk. Huk, który jest bólem jednocześnie, straszliwym bólem wszędzie. Manuel opada bezwładnie na kolbę karabinu. Jęczy: nie, nie może wydać dźwięku. Przez myśl przebiega pytanie: wybuch? Dół? Mina? Wstrząs odrzucił go bokiem i Manuel widzi twarz kierowcy, usta w czołgowym półmroku rozwarte, łapiące powietrze wargami, jak karp. Brzegiem tych warg zaczyna się sączyć czerwony ściek jakby wina czerwonego z opitych do nadmiaru ust. Ze słuchawek, które wstrząs upadku odrzucił na kark, dochodzi ostry głos Edwarda:

– *Kierowca, mówiłem: omijać w prawo! Nie jechać wprost! Czemuście nie słuchali? Tam z jednego czołgu już dwóch ponieśli...*

W półmroku, jeszcze większym niż przedtem, Manuel dostrzega dalej twarz kierowcy, do której ten głos nie dociera jakby. Teraz Manuel widzi ją dobrze. Jest to postarzała, pomarszczona twarz, teraz w tym cieniu i bólu starsza jeszcze. Kiwa się ona z lewa na prawo, z przodu w tył, bezwiednie. Tylko te wargi, poruszane miarowo bólem, mają jakąś świadomo-

mość reakcji. Na sekundę szare oczy kierowcy natrafiają na wzrok Manuela i twarz wykrzywia się świadomie w jakiś skurcz niezrozumiały. Chciał coś powiedzieć, poprosić, wyjaśnić. Może po prostu jęknąć. Mogło to być wszystko, i nie wiadomo, co to było. Manuel naraz czuje, jak i do niego słowa ze słuchawek dolatują jak przez watę:

– *Manuel, co z tobą?*

Manuel chce odpowiedzieć. Nie może. Teraz rozumie, czemu tamten ruszał wargami. To to. Ale w tej samej chwili budzi go przelotem ostre ukłucie innej myśli. Przedni strzelec jest nie tylko przednim strzelcem. Jest jeszcze zastępczo kierowcą. Siedzi najbliżej kierowcy; w razie czego. Manuel, w przebłysku, pamięta rozmowę z Dowódcą, i jak on, Manuel, tłumaczył, że przecież jeśli kierowca jest ranny, to wtedy chyba i czołg już w ogóle... – Nie zawsze – odpowiadał Dowódca, i istotnie, właśnie teraz tak jest. Myśl ta cuci Manuela. Powinien zepchnąć tamtego, wziąć za kierownicę. Cóż, kiedy nie umie! Ale w tejże chwili najgorszej – cud. Kierowca dźwiga głowę. Ma dalej skurcz bólu na twarzy pomarszczonej i wargi poruszają się nadal rybim, bezradnym ruchem.

Ale ręce są z powrotem na kierownicy i motor działa. Czołg, jak góra żelaza, drgnął.

To drgnięcie przechodzi bólem przez plecy Manuela; pierwsza prawdziwa myśl. (Tamte były tylko odruchami). Kręgosłup! Manuel wie, co to znaczy taki upadek w czołgu. Kręgosłup! Czuje naraz zimno od tej myśli, lodowate zimno schodzące z włosów, ze skroni, w dół, policzkiem, karkiem, aż za rozchełstany na piersi *overall*. Próbuje ostrożnie, ukradkiem jakby, poruszyć lewą nogą. O, cudo: działa. Zaskakujące odkrycie. Ostrożnie wyciąga prawą: działa. Już śmielej rusza ramionami, szerzej, szerzej. Jest ból, im bardziej ruch dosięga pleców, tym większy ból, i Manuel ma wrażenie, jakby był maszyną, której cały mechanizm tam w środku potrzaskał się na kawałki od wstrząsu. Ale uczuciem górującym jest ulga: działa! Może poruszyć rękoma, nogami, poprawić się w siedzeniu, nawet przechylić w przód. Ujmuje wypadły z ręki mikrofon. – Halo, Edward, to tylko potłuczenia. – I ta zadyszka. Po tych paru słowach jest jak dziecko, które ucząc się chodzić przebiegło naraz całych siedem kroków.

Czołg cofa się w tył, skręca. – *Teraz dopiero!* – woła Edward w słuchawki – w lewo,

wykręca znów ku polu. *Radio nie działa* – konstatuje Edward – *zmienić bezpiecznik H.T.2.* – H.T.2 – powtarza bezwiednie Manuel i usiłuje sobie uświadomić to wszystko. Tak. Radio zamilkło. Czołg naraz oghuchł. I kiedy przy wyjeździe z jaru, w który naraz stoczyli się wtedy, ukazuje się z powrotem tamto pole, kopki i las, Manuel aż się dziwi. Oto w ów las tuż przed nimi w lewo, groźnie czerniejący tak długo, opada ogień artyleryjski, bliski, jakże bliski! Ale do czołgu nie doleczą ani odgłosy wybuchów, ani furkoty odłamków. Tylko przez peryskop i lunetę Manuel widzi, jak drzewa łamią się wpół i skoszone wyskakują pod niebo, nim nie zwałą się ciężko w dół. „Ach tak – myśli Manuel – ach tak? Artyleria miała zająć się tym lasem, podczas gdy my?...”

– *Manuel, z bazy po lesie!*

Czterysta jardów czy więcej? (Manuel czuje ból w krzyżach, kiedy schyla się nad karabinem). Bierze czterysta. Pada seria i naraz – zaczyna się. Manuel zagryza wargę – chwyta z boku skośne spojrzenie kierowcy – repetuje broń, tak jak to jeszcze sprawdzał rano, strzela. Biza zaczyna się po pierwszym strzale. „Tego tylko brakło” – myśli Manuel.

Powoli, jak w filmie przesuwanym *au ralenti*, odciąga zamek – ach prawda, kciukiem nacisnąć wyłącznik, naciska. Wyszarpuje taśmę; może co w taśmie? – założy nową. Kierowca pomaga w przełożeniu nowej i ręce obu spotykają się nad zamkiem i są po chwili całe w tłustym, rozgrzanym smarze. Znowu Manuel naciska spust. Tym razem – o szczęście! – seria idzie równo. Zatrzymuje ją. Stoją na wprost ciemnego, postrzelanego lasu. Tamta zwalina gałęzi wydaje się Manuelowi podejrzana. Naciska spust. Suchy trzask. Znowu jeden strzał.

– To wszystko nie jest straszne – mówi Manuel. Uzbrojenie cromwella polega na tym, co ma jego wieża, ale jednak! Rano działało świetnie, ale rano nie oddawali strzału – po cóż by, w obozie? – Kierowca także nie może poradzić. Raz zacina się, raz nie. Pokrwawili sobie ręce i smar miesza się teraz z czerwoną, perlistą krwią, gryzie w zadrapania, ale nie ma rady. Za naciśnięciem spustu Manuel nie wie: pójdzie na nowo pełna, wspaniała seria, spokojem ich czołg napętniająca, czy takie pojedyncze trzaśnięcie. Zagadka.

Myśl Manuela tak nawracała do owej zagadki, gdzie błąd, że niemal nie zauważa, jak

zmienili kierunek. Omijają las. Ich czołgi już wyszły ze wsi na prawym skrzydle i teraz wszystkie wałą w pole przed nimi, w górę, uchwycić nową faliznę Normandii, nowy – jak się to mówi wojskowo? – skraj horyzontu. Manuel nachyla się ku celownikowi tego zawodzącego karabinu. Pole równe – ściern – i tu już nowy grzbiet. Krzyżują się drogi polne – nieliczne krzaki – pole.

– W lewo, kierowca, w lewo. Tamte kopki!

Czołg skręcił silnie i za chwilę Manuel rozpoznaje, gdzie są. Tamten las jest na lewo za nimi, a tutaj jest takie spokojne pole, koltlinka prawie, zboże zebrane i moc kopek. Moc. Po raz pierwszy są tak blisko te kopki i Manuel może stwierdzić, że istotnie są wyższe i szersze niż polskie. I naraz: – *Niemcy, o, Niemcy tam! Uciekają do lasu!*

Manuel widzi przez peryskop – długą, wąską szczelinę – cały wykrawek świata. Ściernikiem pomiędzy kopkami a lasem biegną Niemcy – zielonkawe mundury – czołg nasz strzela – widać świetlne pociski! Manuel słyszy naraz śmiech Edwarda. Zły, spokojny śmiech. Dlaczego Edward się śmieje? Naraz olśnienie. Ach tak, przecież! Jakże mógł zapomnieć! Manuel sam nie wie, czy się bar-

dziej wstydzić, że nie zrozumiał od razu, czy cieszyć, że domyślił się na czas. Manuel już wie, co się stanie. To, co się miało stać, dzieje się rzeczywiście. Zza tamtego skraju kotlinki, tuż popod tym lasem, wysuwają się naraz z przeraźliwą, fatalną powolnością kopulaste wieżycy cromwellów. Jest aż dziwne, że tamci, biegnący, nie widzą ich jeszcze. Ale nie; widzą. Zielone stado pędzących do lasu ludzi zatrzymało się naraz – padają – i Manuel widzi, jak jedni padają inaczej, a inni inaczej. – *Celownik, Manuel! Masz ich!* – Manuel wie, przesuwa celownik i czarny krzyż samym skrzyżowaniem jest teraz na tych ludziach przed nim. I tylko jedna myśl: zatnie się, nie zatnie się. I ulga błoga; poszło – na ten raz – równym ściegiem...

*

– *Nie strzelaj go; niech i my mamy swojego* – woła Edward i Manuel ocyka się z obrzydzenia tamtej chwili. Teraz wie: łatwo, jak strasznie łatwo jest strzelać do człowieka, kiedy ucieka przed tobą. I kiedy skrada się, by z bliska rzucić granatem, i kiedy pędzi na ciebie, jak ci teraz, w tym mgnieniu

czasu; łatwo, jakże łatwo! (Nawet gdyby całej myśli nie zaprzętała troska o wypał karabinu. Nawet wtedy). Ale kiedy tak stają i podnoszą ręce, nie można. Strasznie nie można. Manuel pamięta i nie zapomni nigdy. Uciekający, na których z dwóch stron wyszły czołgi, stojący naraz i podnoszący ręce. Nie; niepodobna. Nigdy w piechocie Manuel nie strzelał do ludzi, gdy podnosili ręce, ale myśli, nawet teraz, że w piechocie mógłby. Ale to co innego w piechocie, a co innego strzelać siedząc w czołgu. Nawet to siedząc ma znaczenie teraz. Strasznie pomyśleć, że człowiek zabija siedząc. Czołgi w polu czystym na wprost ludzi to nie jest ani wojna, ani rzeźnia nawet, to tak jakbyś z jakiejś sikawki jakimś rozczynem lizolu czy arszeniku spryskiwał mszyce. To nie jest wojna, to nie jest walka. *Just a job.* – (Manuel jest rad, że żadnym polskim słowem nie umiał tego nazwać). *Just a job.* Celowanie z bazy jest też *just a job.* Krzyż na szkle wszystko ułatwia. (Ach, jak niespodziane zastosowania ma Krzyż!) Dług metalowy czyni nakierowanie tak dziecinnie prostym. *An easy job. Just a job.* Byle tylko tamci nie utrudniali zadania. Niech uciekają, niech biegną na nas, niech się kryją

– naiwni – za kopce – słomę. Głupcy. Byle nie podnosili rąk.

– *Gewehr – weg!*

To Edward dziwną niemczyzną woła do tego obok. Nie widzą go, bo czołg go minął. – Panie poruczniku, a żeby on nam jaja nie rzucił. – *Nie, nie* – powiada Edward. *Manuel, otwórz!* – Manuel otwiera klapę – ma ją z lewej strony, u góry, na skos, nad głową. Gdy odsunął, na tle nieba widzi wzniesione ręce i rękaw *feldgrau*. Ręce kiwają się w takt biegu; głowa ludzka. Manuel podnosi się z siedzenia – ból w krzyżu ostry – i wydostaje przez otwór głowę. Niemiec biegnie u boku czołgu, patrzy się i uśmiecha prosząco, życzliwie, ludzko, do tej twarzy ludzkiej, co wyjrzała spoza blach. Na tę przymilność – w Manuelu tężeje wszystko. Głową robi Niemcowi ruch: przed czołg! Nie z boku, obok; przed. *So!* Niemiec rozumie. Rozumie nie tylko to, że ma biec przed czołgiem. Rozumie i wiele więcej.

Manuel obsuwa się w głąb – plecy bołą znowu, długim, dojmującym bólem. – Nie wytrzymam, nie wytrzymam mówi Manuel; ale aby tamtą złość spędzić i ten ból zabić, schylił oko do celownika i celownik kieruje na Niemca. Czarny krzyż na szkle tańczy te-

raz tamtemu po czapce, spieczonym karku, plecach. Naprawdę tańczy, bo czołg jest w ruchu i człowiek, co biegnie przed nimi, jest w ruchu, i czarny krzyż ześlizguje się co chwila z Niemca, co przykuwa uwagę Manuela i odwraca uwagę od bólu w krzyżach. Wreszcie Manuel osadza środek celownika – owo skrzyżowanie prostych – wprost na plecach Niemca. „Jeśli znowu się zatnie – rozumuje – to zawsze, gdyby trzeba, jeden strzał odda”. Czołg jedzie, Niemiec biegnie, widać, że się męczy – widać sperlony tłusto kark – kierowca pokazuje i śmieje się w mroku – a palce prawej ręki Manuela są wciąż na „języku spustowym” – tak to się mówi? – karabinu maszynowego. I trwa to długo, długo, aż zza pleców Niemca wyrasta zakryty nimi dotąd świat. Jeńcy. Nasi. Czołgi.

Wyskoczył Edward; wyszedł Lambert; Manuel poznaje paru znanych mu z twarzy kaprali. Edward pomaga mu wyjść. Manuel ma przecież aparat fotograficzny; nigdy jeszcze szwadron nie miał naraz tylu Niemców. Manuel wychodzi (nie chce powiedzieć nie), ale z trudem; kiedy chodzi, czuje z tyłu szarpiący ból. Jest wpółzgięty. Kilkudziesięciu szkopów siedzi w dwuszeregu z nogami

podwiniętymi pod siebie. Karny naród. Usze-
regowali się tak składnie i szybko jak dobre
wojsko do jeszcze jednej wojskowej zbiórki.
Kilkunastu innych stoi z podniesionymi ręko-
ma i kolejno przechodzi przeszukiwanie.
Manuel widzi grube, natrętne łapy Drozdka,
jak obłuskują z góry na dół smukłego, obciś-
niętego mundurem Niemca. Przechodzi mu
przez myśl, że Drozdek był w *Légion Etran-
gère*, i odwraca się na czyjś drwiący głos: –
Tylko mu tam wszystkiego nie urwijcie! –
Niemiec ma znieczuloną, obojętną twarz. In-
ni zbliżają się z pola; im dalej są, tym wyżej
podnoszą ręce. Żadnego oficera, stwierdza
z żalem Edward. Co to za odznakę ma tamten
z lewej na ramieniu? Za zniszczone czolgi?
Taka tarcza jakaś żółta? Czy chcesz to *Eiser-
nes Kreuz*?

Manuel nie chce *Eisernes Kreuz*. Ale pa-
trzy na komiśny, źle obrobiony krzyż ze wstą-
żeczką o barwach czerwono-białych. – Za
co? – pyta ktoś Niemca. Niemiec nie rozu-
mie, ale połapuje się szybko. – Stalingrad –
odpowiada obojętnie i pcha ten krzyż do ręki.
– Niech pan weźmie, panie poruczniku! –
Manuel nie wziąłby i nie bierze tym więcej
właśnie, że tamten pcha. – *Haben Sie engli-*

sche Zigaretten? – pyta bohater stalingradzkiej odsieczy. Manuel patrzy mu w oczy. Ach, co za niezmierna obojętność. Niemiec myśli, że Manuel nie zrozumiał. *Cigarettes anglaises avez-vous?* – „Oto wojna – myśli Manuel – w końcu chce się tylko papierosów! Długa musiała być droga od Stalingradu nad rzeczkę Orne, ale to jest wszystko tylko kwestią drogi i czasu; prędzej, wcześniej, nieuniknione. Zaczyna się od idei i ambicji. Kończy na papierosie”.

Ból w plecach odzywa się coraz częściej; lepiej już w czołgu. Czołgi nie ruszą, nim nie nadciągną dragoni; nie pozostawi się tak jeńców. Z daleka dolatują strzały; w tej kotlinie przed lasem zacisznie. Siedząc z powrotem w czołgu Manuel sprawdza raz jeszcze działanie bazy. Wszystko wydaje się w porządku; dlaczego zatem te zacinania? Co będzie, jeśli...? Patrzy na zegarek: już trzecia. Już trzecia, ale jeszcze dobre dwie, trzy godziny. Dokąd mieli dojść?...

Kierowca nie opuścił czołgu i kiedy jego oczy spotykają się ze wzrokiem Manuela, obaj wiedzą. Nie muszą się pytać inaczej. Tylko gdy Manuel opadł na plecy, tamten na piersi. Może ma wysięk. Pewno go ma.

W górze, w wieży, Edward próbuje coś z radiem. Nie, nie działa. Cała nić łączności przerwana. Jakże to się nazywa? *Realing*? Manuel zbyt świeżo i dorywczo obuczał się tego wszystkiego, zbyt wiele tego jest, aby pamiętać dobrze. Te plecy w dodatku zbyt bolą. Co za nieznośna ta ciągłość! I jeszcze to zacinalenie się nie wyjaśnione. I to, że czołg jakby stracił głos i słuch. Nie ma łączności z zewnątrz. Co robić? Edward dowodzi plutonem; nie może dowodzić z tego czołgu. Przesiądzie się na inny. Manuel? Nie, Manuel woli zostać. Może dlatego, że już siedzi i nie wymaga to nowego ruchu...

Kłapa zamyka się raz jeden jeszcze i znowu nastaje, jak wtedy, taka pierwsza, zupełna ciemność. Manuel przywiera znowu okiem do jasnej plamy lunety; tędy, odkąd zaniemówiło radio, łączy się teraz ze światem. Czołg jedzie powoli; na w skos zaś mija go kolumna jeńców. To ci odcięci przed lasem. Już biorą ich dragoni. Trochę, aby zabić rwanie w plecach, Manuel liczy głowy, jak przesuwają się w szkle celownika; dłonie splecione za karkiem: jeden, siódmy, trzydziesty. Dolicza do trzydziestu siedmiu i staje się to też męczące. Kierowca prosi o coś ruchem. Nie, nie ta manierka; tamta. Pije chciwie

i w półmroku Manuel widzi jego twarz, zeszła od bólu. Po raz drugi zbiera go lęk; co będzie, jeśli tamten nawali zupełnie? On, Manuel, nie poprowadziłby także. Ale kierowca oddając manierkę uśmiecha się uspokajająco. Pewno odgadł myśli Manuela; to takie nietrudne w czołgu. Czołg myśli i czuje załogą. Nawet wtedy, gdy są niezgrani jak ci, nawet gdyby wszelkie aparaty zawiodły. W duszności, w ciemności, w łaskocie motoru idą jakieś prądy tajemne, łączące tych paru ludzi.

Kierowca jest teraz jeszcze bardziej bratnią duszą Manuela. Oni dwaj widzą wzajemnie swoje twarze – ci z wieży nie widzą ich i oni nie widzą tych z wieży. Oni dwaj chyba najciężej przeszli tamten skok w dół. Teraz łączy ich pewne współnictwo win. Kierowca dwukrotnie, łamanym głosem – on też nie może mówić – zagadywał niezgrabnie Manuela. Że to tamten jar, że nie widział. Nie można było widzieć, uspokajał Manuel; nie, nic mi nie jest, ale z wami? Kierowca wiedział, że Manuel myśli inaczej – jar był do omińnięcia, rozkaz był wyraźny – ale rozumiał i oceniał kłamstwo. Manuel czuł, że chyba coś jest z jego, Manuela, winy w tym zacinaaniu się karabinu maszynowego; kierowca brał

się do broni i dowodził po nieudanych usiłowaniach, że chyba coś z taśmą czy jak... Manuel oceniał i to, choć nie wierzył. Musi, musi być jakiś drobny, z jego strony, błąd, jakiś ruch nieuchwytny prawie, który wykonywa raz tak, a raz inaczej, na skutek czego zacięcie powstaje lub nie. Ale jaki? Ciało Manuela, gdy teraz tak jada w skos pól pustych, drażną naraz dwie reakcje. Jedną jest tamten ból, o którym coraz trudniej zapomnieć, w krzyżach; drugą ta myśl, która sprawia, że coraz uporczywiej krąży uwaga koło zagadki owej bazy. Dlaczego? Dlaczego?

Od odjazdu z tamtego pola, wzdłuż tych kopek zboża za wielkich i świeżych całkiem trupów niemieckich, tak obficie wysączających się krwią w żółte, zdeptane rżysko, Manuelowi ubył jeszcze i Edward. Na jego miejsce do ogłuchłego i zaniemiałego swą radiostacją czołgu przyszedł sierżant z tamtego czołgu po prawej – tam gdzie przeszedł Edward. Manuel go nie zna. Po odejściu Edwarda załoga czołgu jest zresztą bardziej zwarta – poza nim, Manuelem – sami podoficerowie. Mówią do siebie per Antoś, Felek, gwarą o wdziękach swoistej, chropawej urody. – *Wolno, Antosiek, wolniusieńko, na ma-*

luśkim gazie – płynie słuchawkami zlecenie do kierowcy. Manuel uśmiecha się. Kiedy to było? Ach tak, dwa dni temu. Na skraju tamtego lasu za St. Martin. On, Manuel, kazałjechać czołgowi „pelot”, w którym był, przez las. Padały pociski, stawali się nerwowi. – Dalej, dalej – mówił Manuel. – Pan porucznik myśli, że czołg to taksówka, żeby po krzakach jeździł – odgadywał kierowca. Ale to było dawno. Dawno. Wszystko jest teraz dawno.

– *Ale walą!* – przechwytuje rozmowę wieży.

– *Żeby tylko motoru nam nie trzasnęli; już bez radia; nie byłoby nawet jak...*

. To są opilki lęku. Czołg istotnie jest ślepy i niemy. Idzie tak, jak idą inne czołgi plutonu – patrzy, co robią inne. Nie słyszy i nie mówi. To prawda. Znad zamka brazylijskiego, którego działanie wciąż bada, Manuel patrzy przez lunetę. Pole, krzaki. Miedze. Jadą teraz znowu pod górę – lekki wskłon – Manuel odgaduje raczej, niż dostrzega, że zaraz znowu przegnie on się w dół. Próbuje odgadywać, co będzie za tym nowym skrajem horyzontu – czy już jest. Nic. A może? Patrzy na zegarek. Dochodzi piąta. Myśli odruchowo: *tea time*. W mroku dzielą się z kierowcą manierką. W manier-

ce jest kawa, i to nawet lepiej, cóż, kiedy skwaśniała po cydrze. Ale jakkolwiek by było, od razu człowiekowi inaczej.

– *Uważaj, Antoś, zjazd...*

Przez celownik widać. Są na półkolistym wzgórzku, ale o kilkanaście metrów przed nimi jest linia krzaków. Może nowy rów? Jar? Dwa czołgi wparły się w coś – i cofają naraz, oba. Dlaczego tak naraz? Niestety, radio nie powie. W wieży, przez słuchawki, idzie nowa rozmowa:

– *Kiedy porucznik macha: „jechać!”...*

– *Jechać? Ano. Antoś, tak pod te krzaki. Tylko nie zaś za bardzo. Panie poruczniku? Tam jakby Niemcy uciekali. Nasz porucznik strzela.*

Czołg zatrząś się wstrząsem. Manuel wie. To działko z wieży. Jak wtedy, kiedy w tych, przed lasem, tamta rzeź... Teraz, już teraz. Manuel przywiera do karabinu maszynowego, rżęsami wparł się w szkło. Za czarnym krzyżem migają coraz bliższe gałęzie krzaków, prawie jak leszczynowe, Antoś najężdża uważnie, powoli. Poprzez pręty leszczyny przebłyskuje łagodny stok – ścierń – dalej, mniej wyraźnie – jakaś wtulona w grunt kępa drzew. Farma? Las? Nie widać. I naraz myśl: gdyby puścić wyłącznik?

Myśl nie ma nic wspólnego z krajobrazem, do którego wolno, wolniuśko zbliża się czołg. Aby móc pociągnąć zamek ku przodowi, Manuel musi nacisnąć taki nieznaczący metalowy wyłącznik. Wtedy idzie. Manuel naciska go – ale co potem? Trzymać naciśnięty, kiedy odciąga zamek? Zwolnić? Manuel naciska, trzyma naciśnięty cały czas. Odpala. Znowu jeden strzał. Ale teraz Manuel jest bliski, bliski odkrycia. (Krzaki są też coraz bliżej, musi być gorąco, wieża się trzęsie od pocisków działka, w czołgu u nich błękitno od gazów z odpaleń). Manuel nie patrzy nawet przez lunetę. Nie widzi nic, co się dzieje tam. Ważna dla niego jest jego broń i jej zagadka. – Wolno, wolno – powtarza sam do siebie. Naciska zwalniacz. Pcha zamek do przodu. Tak! Wolno, wolno, wolno. Puszcza palec ze zwalniacza. Inaczej niż wtedy. Tak. Odciąga zamek; pocisk już w lufie. Tak. Teraz odpalić. I Manuel naraz wie, że teraz seria pójdzie niewstrzymanie, równo jak taśma, jak ścieg. Naciska języczek spustowy. Tak!

Po raz pierwszy Manuela nie boli nic, nie czuje nic, tylko pełno radosnej ulgi, jak tchu, w piersiach. Uśmiecha się do kierowcy i łowi

w półmroku, w błękitnawych smugach gazów, uśmiech tamtego, rozumiejący, cieszący się wzajem. Manuel zwolnił spust, biza przestała strzelać, ale Manuel wie, że za pierwszym naciśnięciem pójdzie teraz dobrze. Kolanem wyczuwa, że torba płócienna na łuski staje się ciężka i pełna: już zdołała nabrzmieć. Nawet ta pełność podnieca. Czołg wstrząsnął się nowym wystrzałem działka; i ruszył jeszcze naprzód. Przez celownik – Manuel ma teraz znowu wzrok w celowniku – widać, jak rozchylają się bliskie, dotykalne gałęzie, spoza nich wyziera to pole i ludzie, ludzie w *feldgrau* zbiegający w dół na tamte drzewa. Są coraz dalej. Za moment będą w tych drzewach. Czołg wyjrzał za linię krzaków, odsłonił się zupełnie. Najlepszy moment – i ostatni. 400. Celownik 400.

I Manuel zaczyna prowadzić szeroko, z lewa na prawo, po linii biegnących. Nigdy żadna seria nie szła mu tak równo. Gdyby poszli bliżej czołgiem, wprost w to pole, dopadliby jeszcze! Prędzej, Manuel, prędzej. Seria wali równo, nieprzerwanie, za tamte wszystkie zawody. Jest tylko to. Tylko. Radość odzyskanej mocy. Aż...

Manuel przerywa ogień. Co się stało? Po tyłu wstrząsach od strzałów działka nie zau-

ważyłby nawet tego nowego wstrząsu. Nawet w części, w ułamku nie to, co wtedy, kiedy stoczyli się w jar. Ale dlaczego naraz taka cisza? Motor stanął? Co to za ruch za nimi w wieży? Dlaczego kierowca...?

Kierowca jest najbliższy. Manuel patrzy na jedyną ludzką twarz dostępną jego oczom w ciągu tych długich godzin. Ręce kierowcy nerwowo wędrują w górę – szukają wyjścia – i naraz spotykają pytanie Manuela. Nie ma w nich już męki, jak wtedy, nie ma uśmiechu ani potwierdzenia, ani podziękii, jest strach. Jego wargi i ręce drgają jednakim pospiesznym ruchem. – Panie poruczniku! Wychodzić, wychodzić!

Manuel rozumie. Zresztą błękitnawe wybuchy z dna czołgu mówią więcej. W wieży ruch. Silne, jak może, pchnięcie lewej ręki. Otworzy się? Zatnie? Ulga; otwarło się. W ten mały kwadrat nieba i światła, jaki się rozwarł nad nim – nieco z lewa – wskakuje Manuel wśliżgiem. Zawsze było to takie trudne, powolne – i Manuel zastanawiał się, jak to będzie, jeśli kiedy trzeba? Jakże łatwo! Wyskakując Manuel pada, podnosi się. Stoi teraz naprzeciw czołgu, twarzą do jego boku, bokiem do krzaków, za którymi kierowca, na poły w czołgu, coś wo-

ła, wyciąga rękę. Manuel podnosi ku niemu lewą rękę ruchem nad czołg. I wtedy...

Staje się to jeszcze szybciej, jeszcze nieznaczniej niż tamto. Naraz jakaś MOC uderza czołg z przodu – tam gdzie siedzieli, tam gdzie miało przyjść opancerzenie dodatkowe z gąsienic niemieckich. (I tamten napis: Ankona). Jednocześnie jakiś podmuch zakręca Manuelem, wywraca go na ziemię, wiatrem suchym ogłusza w usta. Manuel czuje jeszcze, jak w jego bok, ramię podniesione i nogę chlasło jakby batogiem o ostrych, rwących kolcach. Leży.

Pierwszym uczuciem jest nagły napływ ciepła. Jakieś ciepło, które w pierwszej sekundzie, nie wiedzieć czemu, wydaje się błogie, dobre, ale już w następnej jest żarem. Manuel rozumie, że gorąco idzie od czołgu; ale dlaczego? Dlaczego naraz czołg jest jak piec? Podnosi głowę; och! Uczuciem, jakie podnosi Manuela na nogi, jest przypomnienie tamtych, spalonych do połowy na węgiel, wyciąganych za karki ze spalonej maszyny. Nie, nie tak, nie tak. Manuel odbiega o kilka kroków. I przystaje nagle. Silnik mózgu poczyna działać na nowo, spokojnie, chłodno.

Czy można mieć na przestrzeni sekund myśli i obrazy, których opisanie zajmie całe minu-

ty? Oczywiście, że można. I kiedy myśl Manuela na nowo poczyna działać, działa już metodycznie. Tylko skupienie myśli może mu pomóc. Manuel czuje, że jest ranny, ale iść może, Manuel rozumie, że od czołgu musi odejść. Ale Manuel wie, że amunicja – niebezpieczeństwo – zacznie wybuchać dopiero po kilku, kilkunastu minutach; ma czas. Grozi co innego. Manuel pamięta tych dwóch z czołgu podchorążego Możdżenia, którzy z palącego się już czołgu pobiegli wprost, nieprzytomni, ku Niemcom. I tamtego w lesie, co z innego płonącego czołgu skrył się wprost do wykopanej jamy; dwóch Niemców, jej „stałych lokatorów”, podniosło na jego widok ręce do góry. (Ale gdy wybiegł, strzelali). To wszystko uświadamia sobie n a r a z . Uświadamia sobie, że po godzinach w ciemni czołgu, w jeździe tam i sam, wyskoczywszy, człowiek nie wie, gdzie swoi, gdzie Niemcy. Manuel staje i rozgląda się. Istotnie nie wie. W tej chwili zaboląła go silniej ręka lewa. T r z e b a iść. Dokąd! Kędy?

Pole jest istotnie dezorientujące. Jest wzniesienie, wielkie rżysko z trzech stron obramowane żywopłotami. Gdzie Niemcy? Gdzie las? Słońce? Powinno być między południem a zachodem o tej porze; a świeci teraz

wprost w twarz Manuela. Musi on więc iść na lewo; tam jest zachód. Manuel patrzy na zachód i widzi puste, samotne pole, ugięte w dół na lewo. Tędy? Długa droga! Jeszcze jedno. Z prawego boku, z parcianej pochwy, Manuel odpina rewolwer. Myśli z gniewem, że nie ma ładownic; ten gadatliwy leń, magazynier! („Po co panu porucznikowi? W plutonie oświaty?”) Ach, wy, pierniki biurowe! Potem będzie w Londynie „biegał za bohaterą”, magazynier. Gniew zawsze dobrze robił Manuelowi.

Patrzy w prawo. Na tej samej linii co czołg Manuela – tu, wzdłuż tych krzaków, ale o parę kroków przed nimi – stoją cztery czołgi. Nasze? Nasze. Są zwrócone frontem tak jak czołg Manuela – teraz tyłem do Manuela. Jeden z nich strzela poprzez te krzaki. Manuel ma nowe uczucie złości. Po cośmy się wysuwali tak, durnie? Było wleźć za najgęstszy krzak. Idzie. Widzi ludzi biegnących w kierunku tamtych czołgów. Są dużo przed nim. Z jego załogi? Nie dostrzeże. Pójdzie i on tam.

Zaczyna tedy iść tym ścierniskiem pomiędzy rozrzucone z rzadka kopice. Teraz odszedł go wszelki niepokój. Od czołgu odszedł; iść może; wie, gdzie swoi. Trzeba po prostu iść tym ścierniskiem. Nic więcej. Manuel czuje,

że staje się słaby, ale czuje też, że dojść może. Nie będzie poniżenie leżał czekając czyjegoś zmiłowania. Rewolwer w ręce prawej dodaje pewności. Manuel idzie. Naraz coś z furkotem wylatuje spod nóg. Co to? Nieprawdopodobne, a jednak tak, to przysiadłe pod kopcem stadko kuropatw. Niskim lotem odfrunęły o sto kroków dalej i znowu zapadły na ściern. Co im Manuel? Co im jakieś czołgi?

I naraz, po paru krokach, nie ma już niczego, co teraz było. Nie ma wojny, nie ma czołgu, nie ma ciemności. Nie ma smrodu smarów i zacinań bیزی, nie ma kierowcy Antosia, nie ma nawet Normandii. Jest tylko ściernisko puste po żniwach, kopce, na których kłosami szeleści wiatr, letnie późne popołudnie, i spłoszone, spod nóg poderwane, szare stadka kuropatw. A może przepiórek? – zastanawia się idąc Manuel. Może przepiórek; był zawsze takim złym strzelcem. Lewa noga poczyna sztywnieć, rękaw drelicha lepi się czemuś i ciąży. Zmęczenie spokojne. Manuel idzie dalej.

Jest spokój, wielki spokój. Nie, nie ma wojny. W ogóle nie było wojny. Nie było tych pięciu lat. Jest tylko ściern – i taka sama ściern była już kiedyś. I takie samo popołudnie letnie. Może to były pola Żabiej Woli, a może Sieciechowic, a mo-

że Grodowic czy Dermania? Manuel nie wie. Bywał zmęczony tak samo, ziemia rżyska była tak samo miękka; tak samo okurzone miał buty i tak samo był rad, że wraca. Miał broń u boku; inną, ale broń. W lewym ręku niósł czasem – och, rzadko, jakiegoś ustrzelonego ptaka i ptak krwawił kroplami po zwisłej główce, po dziobie. Manuel nie niesie niczego w lewej ręce, ale ta lewa ręka ciąży mu, jakby coś w niej niósł, i jest, jak ptak ustrzelony, bezwładna. Od samego ramienia czuje teraz lepłą mokrość, która powiększa się co chwila. Próbuje rękę podnieść. Nie może. Patrzy się na nią. Szary rękaw roboczy jest star-gany w strzępy i tylko w przegubie dłoni opina ją ciasno. Po palcach jak po dziobie ustrzelonego ptaka spływa ciężkimi pasmami gęsta, szybko schnąca krew. Ale Manuel patrzy na nią, jakby to była istotnie krew ptaka, przepiórki jakiejś czy kaczki krzyżówki, wcale nie jego.

Czołgi, ku którym idzie, są daleko i Manuel czuje naraz, jak między nimi a nim wyrasta taka mgła, która zaciera ich zarys i robi je jeszcze dalsze, niż są. Senność zapada na niego, razem z tą mgłą, jak mrok, i Manuel mniej słyszy i słabiej widzi, i to właśnie jest szczęściem najwyższym. Jest bowiem znowu tylko to ściernisko, którym idzie, i ma się pod wieczór, i na kop-

cach, jakie mija, osiada biało babie lato. I znowu nie ma Francji ani Normandii, ani wojny: ani czołgów, ani lat emigracji, nie było nigdy Londynu, Narwiku, Coëtquidanu: ale ot, takie polskie pola wczesną w słońcu jesienią. I naraz Manuel uświadamia sobie, że w i e. Tak, wie. — Znalazł się na przedprożu tego, skąd się nie wraca, odmětu, który wcześniej czy później, w męce dłuższej czy krótszej, pochłonie ich wszystkich. Manuel ma wrażenie współprzutomne naraz, że patrzy w głąb tego właśnie odmětu i widzi nie to, co jest poza jego chłodnymi falami, lecz to, co się staje, gdy człowiek wkracza w ów nurt. On pierwszy wie to, czego nie wiedzą żywi, co biorą ze sobą umarli. Oto wtedy, w owej chwili przedskonnej, przychodzi Łaska. Manuel wie, na czym polega owa Łaska, w swym zmiłowaniu zaiste bezmierna. Doznaje jej każdy żołnierz polski na obcych lądach i morzach ginący, walący się w dół z płonącym silnikiem spitfire'a, wellingtona, mosquita. W owej chwili przedostatniej zamiera naraz sam ból, kończy się świadomość i pamięć. Nie ma wtedy ani Pustyni Libijskiej, ani lasów brzozowych Peczory, ani kazachstańskiego stepu, ani zdziwionych norweskich białych nocy, ani białych urwisk Dovru, ani psze-

nicy normandzkiej, ani skał włoskich, ani zmętniałej cienmo otchłani dalekich, łasych na żer ludzki, mórz. Wtedy, w owej chwili ostatniej, żołnierz ginący jest poza i ponad tym wszystkim, jest w tym, co dla niego było ojczyzną, wraca cudem na ojczyzny łono. I to jest właśnie owa ostatnia, jedyna, a największa Łaska, jaką Bóg ludziom tak dotkniętym jego gniewem zsyła. I to jest święta tajemnica polskich, żołnierskich śmierci. To jest ich Powrót.

Manuel jest słabszy, słabszy, nogi coraz głębiej zapadają w miękką glebę pola. Usiadłby tak pod kopką i odpoczął; ale przebłyskiem czujności wie, że tak by już został. Idzie. Ale w tej słabości ma spokój, jakiego nie miał z dawna, i szczęście, jakiego z dawna nie doznał. Wie. Zna ową Łaskę. Teraz nie dziwi się, że wielu w walce szuka śmierci. Oni się spodziewają. Czują, że właśnie coś takiego jest i się staje. Manuel wie.

Z mgły, jaka coraz gęściej nachodzi oczy, wyłania się naraz nadjeżdżający czołg. Jest strasznie nierealny.

Dobre oczy Edwarda są zdziwione i niedowierzające, kiedy Manuel uśmiecha się i zapewnia, że nic, naprawdę nic mu nie jest.

Podrzucona książka

*A Was spotykają, i ugaszczają, i śpiewają Wam pieśni
Wasze, bo czują, że Wy wojujecie za Wolność Świata.*

Od Sekwany załoga czołgu Nelly przeszła, jak powiadali w plutonie, na niemieckie metody walki. Niemieckie metody walki nie były aluzją do słów w rozkazie dowódcy dywizji; były tylko wspomnieniem zgorszenia, jakie w załodze czołgu Nelly wywołały w swoim czasie, jeszcze pod Jort, przy przeprawach na sennej rzece Dives, wnętrzości pewnego niemieckiego tygrysa. Bestia był jednym z tych trzech tigrów, jakie wylazły na Jort i ustrzeliły dwa cromwelle ze szwadronu drugiego u rotmistrza Gutowskiego. W jeden z cromwellów tiger ze szczególną zaciekłością wpakował kolejno aż cztery pociski z działa 88. Jakby w tym cromwellu siedział kto ważny! Zajadłość nie popłaca nigdy, w czołgach zaś najmniej, toteż Niemiec dobi-

jając trupa nie dostrzegł, że tymczasem z boku nadjechała nelly. Kiedy zaś dostrzegł, było już za późno. Pierwszy strzał nelly poszedł nieco za płoty; wałnął w nasadę wieży, z tym jednak wynikiem, że przestała się obracać. Długie działo tigra nie mogło się zwrócić w stronę nelly, a nim cały czołg ruszył z miejsca, nelly poprawiła swój pierwszy strzał i poprawiła dobrze. Trzech Niemców porzlepiało się po prostu, kawałkami oczywiście, po żelaznych ścianach czołgu. Reszta jakoś zwiąła. Przysiadłszy, tiger został tak na polu i nazajutrz załoga nelly, a także kilka innych załóg ruszyły się pogapić. Było na co. Nelly podstawiona pod bok jego Germańskiego Majestatu Tygrysa wyglądała jak psiak przy saint-bernardzie. Z wieżą nie dostawała lufy działa. Panthery i tigry miały w 10. pułku strzelców konnych należyty respekt. Ale teraz wzmógł się on jeszcze.

– Harhara taka, jak kamienica jedna na Mostowej w Wilni – jęknął kierowca Ambroży, dla którego Wilno pozostało nadal właściwą miarą wszech miar.

Natomiast jego najbliższy towarzysz, bo strzelec przedni, Józek, zajął się szczegółowiej zawartością tigra i wlaźł do jego wnętrza tą

właśnie drogą, którą przedtem uciekli Niemcy. Nie uznano tego za czyn roztropny; może być jaka niemiecka pułapka. Załoga nelly odsunęła się nieco na bok. I naraz istotnie śmignęło coś z klapy; na ściernisko, udeptane i rozryte, wyleciała torebka damska. Paryska, żółta, z prawdziwego pekari. (Ma ją teraz jedna znajoma Józka z Dundee i całe miasto podziwia ów dowód polskiego męstwa). Po czym w ślad za torebką wyleciał z czołgu bal różowiutkiego jedwabiu, najlepszego, lyońskiego, potem taki sam w rzuciki, potem damskie koszule, potem pantofelki damskie, nowiuśkie, jeszcze w tekturowych pudełkach. Była nawet firma: Honoré Galorean et Fils, Brest. Wreszcie ukazał się sam Józek. Wymachiwał triumfalnie złotogłową butelką *Veuve Cliquot*. Wieczorem nie tylko od załogi nelly jechało szampanem i perfumami Guerlaina.

Odkrycie dokonane przez Józka, a zapisane na karb licznych już wyczynów 10. pułku, wywołało swoje echa.

– To już nie są żołnierze – powiedział Baca.

A słowa Bacy były w pułku święte. Tak, rabusie może, raubrittery, ale nie żołnierze, powiadano sobie. Z nagrabionym mieniem uciekali do domu i nie zdążyli.

Ale nie wszyscy ujmowali sprawy tak żołniersko, i odtąd, jeżeli żywe czołgi niemieckie budziły jeszcze lęk, to ustrzelone wywoływały ogromne zainteresowanie. Okazało się, że wnętrza panther są istotnie przepastne i posiadają niezwykle różnorodną zawartość. Skrzynki z amunicją musiały ustąpić miejsca bardziej pokojowej zawartości – jedwabiom, trzewikom, wyrobom, jak się mówi w Polsce, galanteryjnym. Dział winny i branża perfumeryjna były szczególnie obficie reprezentowane. Porucznik, hrabia L. załamywał ręce:

– Takie wina dla tych niemieckich chamusiów! A perfumy! I *Sou le vent!* I *Cuir de Russie*, i *Dans la nuit*. Ach, Boże! Co te łotry zrobiły z tą nieszczęsną Francją! No, dajcie mi tę butelczynę i tamte trzy także. Trzeba coś uratować z rozgromu.

W odróżnieniu od wielu innych załóg, nie mówiąc już o dragonach, a tym mniej o piechocie, w załodze nelly górowało jednak uczucie pogardy. – My nie będziemy nigdy tacy – stwierdził podchorąży. Wprawdzie Józek, strzelec przedni, coś tam chciał rzec, ale Ambroży, kierowca, tylko nań popatrział. Wystarczyło. Nie, nie. Było jasne, wydawało się jasne, że nelly będzie i nadal rozpruwać kałduny

niemieckim czołgom, jak temu przed Jort, ale że ani ich zawartością nie będzie się zbytnio zajmować, ani sama nie upodli się do tego stopnia, by ładować w siebie szampany, guerlainy czy damskie jedwabie.

Ale los się mści na nas zawsze, toteż niebawem spartańska surowość 10. pułku została narażona na ciężką próbę. Od Sekwany pułk poszedł znowu na czoło dywizji, korpusu, armii – i walił przez cały dzień, blisko sto kilometrów wprost przed siebie, aż popod dymiące w dole Abbeville. To był rajd! Na drogi wybiegała ludność i wtedy wiedziano, że Niemców nie ma; albo nie wybiegała, i wtedy załoga cromwella czepiała się swych stanowisk. Ale tam, gdzie ludność witała, tam podbiegały kobiety, niosąc jabłka, kwiaty, butelki wina – i powoli wszystkie te dary, za wyłączeniem kwiatów, składano w głębiach czołgu. Wieczorem Ambroży skonstatawał, że tak go obstawiono butelkami, iż nie może prawie prowadzić wozu, a potem z radiotelegrafistą i strzelcem głównym, kapralem, tym od działka, sporządzili inwentarz. Były tam calvadosy i armaniaki, były koniaki, burgundy, sauterny, beaujolais, znane złotogłowe szampany akurat tych samych ma-

rek, a nawet roczników, co znaleziono poprzednio w rozbitym czołgu. Porucznik-hrabia, który zawsze znajdował się tam, gdzie strzelały baterie butelek, był tym widokiem niezwykle pokrzepiony na duchu:

– Jednak mojej Francji nawet Niemcy nie dali rady – orzekł.

I tylko Józek zauważył sceptycznie:

– Coś mi się zdaje, panie podchorąży, że jak tak dalej, to my będziemy tak trochę wyglądali jak tamten tiger, cośmy mu dogodzili pod tym Żor.

Musiano mu dopiero unaocznić tę zasadniczą różnicę, jaka zachodzi między tym, co jest dziełem rabunku, a tym, co stanowi dowód wdzięcznych uczuć alianckich. Ale Józek nie bardzo rejterował:

– Rabunek nie rabunek, uczucia nie uczucia, a tam butelek pełno i tu butelek pełno. Prawda, galanterią jeszcze nie rzucają ani biustonoszamy, ani jedwabiamy. Ta i różnica.

*

Nad Francją dogasał skwarem słońca i łunami pożarów sierpień, sierpień jabłek, zniw, wyzwolenia i wojny, a pułk 10. strzelców kon-

nych imienia Jana Maciejowskiego rznął na Saint-Omer. Ze sztabu dywizji przychodziły co wieczór nowe mapy, na sieci radiowej każdy dzień przynosił nowe kryptonimy, i nim się przyzwyczajono do jednych, już jutrzejszy dzień przynosił nowe. Kolejno każdy ze szwadronów wysuwał się na czoło pułku – i wiedział wtedy, że idzie pierwszy, pierwszy z całej dywizji, korpusu, armii, że rżnie przez Francję na samym, samiuśkim czele całej sławetnej B.L.A., jak pisano na kopertach, czyli British Liberation Army – Brytyjskiej Armii Wyzwolenia. Czarny, prostokątny proporczyk dowódcy pułku z cyfrą 45, furkoczący wysoko nad czołgiem, był pierwszym sztandarem alianckim, jaki się pojawił na tych drogach od lata zgrozy, hańby i żalu, lata 1940. Pułk szedł napełniając powietrze Francji łoskotem swych gąsienic po jej asfaltowych drogach, wpadając na Niemców uciekających wozami jednokonnymi, płosząc ich z kafejek, zrzucając samym swoim pojawieniem się z jakichś skradzionych damskich rowerów, w ten bowiem niezbyt triumfalny sposób odbywał się pospieszny *Heimkehr* nowoczesnych Nibelungów. Tam, gdzie był opór, łamano go. Potężne działa cromwellów załatwiały się szybko ze zjadli-

wym ujadaniem niebezpiecznych kiedy indziej moździerzy. Mogły nawet nieboszczyków z grobu wydobyć! Tak było raz, gdy pluton porucznika Edwarda Rożka wyjechawszy na górę dostał z dwóch stron ognia moździerzy. Trzy lufy długich dział jego cromwellów momentalnie zwróciły się na lewo – i tam, gdzie był sad i skąd zaszczeły moździerze, wzbily się zaraz czarne rozpryski ziemi, wcale nie tak, jakby to skądś padły tam pociski, a tylko tak, jakby to z tamtego sadu trysła pod górę trzema wulkanami zbuntowana ziemia Francji. I nim ten kurz czarny opadł, już z sadu – czy z tego, co był o sadem – zabielały w powietrzu dziesiątki kornie podniesionych rąk. Tylko machnięto im ręką, wskazując kierunek marszu – na zachód! – i już lufy plutonu zwracały się na drugą stronę szosy. Porucznik Rożek przeżył chwilę wahania; celowniki wskazywały na cmentarz. Przykro było zakłócać spokój zmarłych aliantów, ale ogień moździerzy z tej strony zbliżył się podejrzanie, toteż trzy działa oddały swą straszliwą salwę prosto w cmentarz. Teraz przed lunetami czołgów, w rdzawej kurzawie, śmigaly w powietrzu nie tylko połamane drzewa, ale jakieś krzyże kamienne, gipsowe aniołki, kraty, a – co gorsza –

całe trumny, naraz wyrzucone z głębi ziemi na wysokość kilkunastu metrów. Cmentarz był tuż przy drodze i jego zawartość wysypała się i na drogę, tak że leżały poniżej u jej skraju, patrząc oczodołami pustymi, pomieszane pospołu, stare francuskie trupy i nowe, niemieckie. Trzy czołgi Rożka były już tymczasem daleko. Nelly także. Właśnie spełniła się była przepowiednia Józka i przeszli na to, co nazywał „niemieckimi metodami walki”. Coraz więcej było miejscowości, w których już były wykwitły z powrotem, podnoszone automatycznie za zjawieniem się polskich czołgów, francuskie *tricolore*, w coraz większej ilości miasteczek i wsi ludność nie kryła się już, ale wybiegała na drogę, pijana wolnością. Była nią naprawdę pijana; była to radość i szal, i rozrzewnienie do łez samych, i złość, kamienna, zażarta złość, i czasem na małych rynkach, pod jakimś pomnikiem poległych z tamtej wojny, w *Marsyliance* był szczęk gilotyny, a w oczach ludzi z *maquis* jakobińska zaciekłość. Cromwelle wtedy jechały wolno, ostrożnie, powoli, i ludzie biegli za nimi, ludzie podawali ręce załodze, ludzie mieli oczy czerwone od łez i błyszczące szczęściem, i ludzie prosili czołgi pułku, aby stanęły na chwi-

łę, i ludzie mówili: *nos libérateurs*. Ale czołgom było spieszo naprzód i zostawiali innym kafejki, paradowania i gadania. Więc Francuzi poczęli znosić, co mogli: jabłka, wina, kwiaty, kwiaty, jabłka, wina, jakiś spocony rzeźnik przytryndał szynkę, jakiś staruszek obwieszony medalami z tamtej wojny – wianko kielbas, i kiedy wieczorem, zgrzani, opaleni słońcem, szarzy od kurzu, bezmiernie zmęczeni dniem i bezmiernie szczęśliwi szczęściem innych, oparli się o nową rzekę i stanęli obronnym obozem – nie trzeba było otwierać żadnych już puszek.

Ambroży, zapobiegliwy wilnianin, liczył zapasy spiżarni.

– Kab półgęsek jeszcze wileński abo kielbasy z czasnykiem, ale tu pewno nie umiejo, ci co.

– Porzundny naród Francuzy – konstatował Józek, strzelec przedni.

– Mówiłem wam: Francja – przypominał podchorąży, który, jako coëtquidańczyk, czekał dopiero na swą gwiazdkę.

Radiotelegrafista i strzelec przedni nie wzdychali za tym, czego nie ma, nie oceniali odzyskanego alianta i nie propagowali Francji. Po prostu żarli. Ale jakby tam żarli, jakby tam zapijali winem, a poprawiali słodką be-

nedyktynką – nie zdołali zlikwidować całodziennego dorobku. Ambroży z Józkiem spakowali, co zostało, tak by się butelki nie potłukły, a reszta jedzenia nie pozaciekała smarami. Znienawidzone corned beefy oddali Francuzom z sąsiedniej farmy. Ci rozplýwali się w podziwie nad hojnością Polaków.

– Nietrudny ten ich naród – powiększał zasób swych doświadczeń kierowca Ambroży.

Nazajutrz rano pułk miał macać przeprawę na owej rzece; kierunek był teraz na Saint-Omer. Wśród map dosłanych ze sztabu dywizji pojawiły się mapy nowego kraju: Belgii. Na rzece były zaznaczone cztery mosty i jeden problematyczny bród i plutony rozjechały się, aby uchwycić mosty, jeśli ich Niemcy nie wysadzili, i trzymać. Rzeka płynęła malowniczo, jakby w jarze, tworząc zakola i zalewy, i Ambroży dostrzegł w niej pewne podobieństwo do Wilii tuż koło Werek. Ale Wilia, rzecz jasna, była piękniejsza. Teren był pofalowany, jak mówiono jeszcze na odprawie, i rzeczywiście były to wzgórza, wzgórkę, dołki, jarki i wszędzie tam siedziały domy, farmy i wsie. Niemców przedzielała rzeka, toteż ludność, nie bojąc się niczego, wyległa tym skwapliwiej. Od cofających się

oddziałów którejs z dywizji SS dowiedzieli się wczoraj, że nadchodzą Polacy – i na domach obok chorągiewek trójkolorowych bieleły się i kraśniały polskie. Przyjazd czołgów nie był jak gdzie indziej niespodzianką walącą się naraz z góry po latach czekania na tę chwilę. Słyszano i widziano je, jak wieczorem dobiły do rzeki i stanęły obozem opodal. Wiedziano, że się zjawią z rana albo przed południem. Czekano na nie na drogach, dzieci wypadały na rozpoznanie, staruszki wynosiły stołki przed domy i siadały mrużąc oczy w słońcu, przyczłapywał czarny *Monsieur l'abbé* i uroczysty *Monsieur le maire*. Była to nie tylko uroczystość, była to także zabawa. Że zaś miano czasu pod dostatkiem i że w departamencie Pas-de-Calais mieszkała ludność praktyczna, przeto nikt nie przychodził witać Polaków *avec les mains vides*. O, nie! Wiedziano też, że żołnierz nie żyje samym słowem w rozkazie czy gazecie, poranną rosą, uśmiechem kobiecym, a nawet kwiatami, ale nieco bardziej konkretną konkretnością. Zaczne Katany miały też jedną rękę wzniesioną do witania, a w drugiej dzierżyły swe dary. Śmiał się z góry słońcem francuski sierpień, dyszały wonią owocu sady i tylko czasem

znad rzeki zastukała jakaś krótka seria, jak poderwana nagle z tataraku cyranka.

W sprawach życiowych załoga nelly stanowiła swojego rodzaju kolektyw, gdzie większość decyzji, poza bojowymi, zapadała umownie, niejako automatycznie, narzucona zwykle przez okoliczności. Tak było i tego właśnie dnia, kiedy jeździli od mostu do mostu, szukając długo takiego, którego nie zdążyli wysadzić Niemcy. Zbyt długo jechali drogami i wsiami, gdzie wylegała ludność, żeby nie dostosowali się do nowej sytuacji. Bo ludzie w czołgach – to nie automaty, nie stupaje bezmyślne, nie muje-salutuje, ale ludzie z rozpoznaniem. Z pomysłu. A nowa sytuacja narzuciła członkom załogi nowe funkcje. To prawda, że kierowca prowadził czołg jak dawniej (tyle że swą klapę miał otwartą i musiał uważać, by nie najechać na nadmiernych entuzjastów); ale Józek, strzelec przedni, w ogóle nie był na swoim przepisowym miejscu. Siedział na zewnątrz czołgu, z boku, oparty o błotnik, z nogami opuszczonymi w dół, do wnętrza. Jego ręce, zamiast być u uchwytych karabinu maszynowego, wędrowały nieustannie, jak krany portowe czy żurawie w dokach, od tłumy do wnętrza czołgu i z powrotem. (Tę

drogę powrotną odbywały oczywiście puste). Ach, ręce Józka! Trzeba było widzieć te łapska, długie, czerwone, małpie, prawdziwe łapy powiślaka albo muranowszczaaka, jak tak zataczały półkola z lewa w prawo, od tłumy do czołgu, jak chwytały w locie podawane butle, paczki, kosze, zawiniątka i rzeczowo, systematycznie i szybko składały je w niezgłębio-nych czeluściach czołgu jak w piwnicznych sklepach. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Aż utrudził się Józek, pot mu się lepił na czole pod tym czarnym beretem ze srebrnym orzełkiem na nim. (Nie zdjął go, jakby to pewno niejeden inny ćmoj zrobił: niech wiedzą, że Polacy!) Gdyby tłum naokoło był bardziej zdolny do chłodnej obserwacji, zauważyłby, że Józek nie pracuje bezmyślnie. Jego ręce nie wyciągały się bezmyślnie do każdego podanego daru. Wybierały. Butelki szampana łatwe do odróżnienia od innych miały niewątpliwie *priority* przed wieloma innymi – chyba że Józek dostrzegał taką, która patrzyła na calvados albo kirsch. Na podstawie jakichś nieznan-nych, tajemnych kryteriów dostrzegał jedne paczki przed innymi, wiedział, które wystarczy cisnąć gdzieś na dno czołgu, a które starannie złożyć. Po francusku nie umiał ani sło-

wa z wyjątkiem *oui*, które wymawiał za to po wielokroć, oczywiście jak polski „łój”. Hałas gąsienic, silników, głosy ludzi nie nadawały się też do oracji, ale Józek niezmordowanie wołał:

– Łój, łój, łój! Dawaj, dawaj twoje szampańskie, Katanie patriotyczny, dawaj, dawaj. Te, nie pchaj mi flachy w rękie, kolejki sie pilnuj. Łój, łój, dziękuję paniusi, dziękuję. O, to, to, więcej takiej świńszczyzny, a prędzej będziemy w Berlinie. Ambroś, kaszanka, jak Pana Boga kocham, kaszankę bauer dowalił! A o de kołoń dla narzeczonej szkockiej macie? O de kołoń? Ziela nie wal, córuchna, ziela mi nie pchaj na oczy, czołg nie trumna paninej babci. O, z tą to bym poszedł na ksiuty, jak Boga szczerze kocham, jakby był postój jaki. Zara, zara, łój, łój, mersi, bązur, nie pchajcie się, kaźden swoje złoży, nic się nie bojta, dobry narodzie aliancki!

Aczkolwiek niezrozumiałe i zagłuszone, przemówienia improwizowane Józka robiły znakomite wrażenie. Czołg stwierdziwszy, że i ten most Niemcy zerwali, ruszył na nowy kierunek. Stanąwszy na rozdrożu podchorąży porównywał teren i mapę. Józek tymczasem wyciągnął praktyczne wnioski z zakończonej przed chwilą akcji bojowej.

– Ambroś, jak mi nie będziesz jechał wolniutko przez ten nowy wilaż, to jak Pana Boga mego kocham, nie nadążę. Już teraz ze trzy koniaki zostały! Mnie, rozumie się, nie o te koniaki tak chodzi, ale o to, że Francuzom, aliantom, sprzymierzonym, k... ich mać, Francuzom, nie możemy przecie despektu robić. Co się spieszyć, wojna się kończy, czy co? A nam to się inni może spieszą?

A zwracając się do wieży, dodawał:

– Antosiek – był to radiotelegrafista – mógłbyś te jabłka w locie łapać, jak będą rzucali. Ja nie podołam z tym drobiazgiem. Jabłka dobre. Kaczkie jedną mamy, to mogłaby za gęś z jabłkami biegać, jak będzie gdzie postój.

Tylko strzelec główny, sterczący zbyt głęboko w wieży, nie nadawał się do nowych zadań czołgu. Ale już dla dowódcy nelly Józek miał odpowiednią funkcję.

– Panie podchorąży! A niech pan podchorąży tak stoi prosto we wieży i salutuje co razu. Ale tak i na prawo, i na lewo. Jak ten ich de Gaulle w Paryżu. I uśmiechać się, jak jaka lepsza. To bardzo dobrze robi, uczucia alianckie wzmacnia i szpyry nam przymnoży. Reprezentacja grunt!

Następny most także wysadzili niegodziwi Niemcy, o czym przez radio zaraportowano do pułku, a z pułku do dywizji. Wiadomość ta nie zrobiła, jak się zdaje, dobrego wrażenia ani na szczeblu pułku, ani na szczeblu dywizji, ale Józek nie ulegał przesadnemu pesymizmowi. Okoliczność, że pomiędzy alianckim a niemieckim brzegiem były już dosłownie spalone mosty, działała bowiem znakomicie na wzrost powitalnych nastrojów, co z kolei nie pozostawało bez wpływu na zawartość czołgu. Kiedy rozpoznawano na trzeci most, Ambroży musiał już odgarniać wszystko na bok: kierowcy brakło miejsca.

– Nic to, po corned beefach, sucharach i innym puszkowym paskudztwie nareszcie będzie jakieś ludzkie wcinanie – uspokajał Józek.

A inni byli jego zdania, bo istotnie nadojdało to wszystkim.

Trzecia miejscowość była jakaś większa, bogatsza, jakieś zamożne i widocznie dystyngowane panie cisnęły się do auta, jakiś emerytowany francuski generał, pięknie wyprostowany, z siwym wąsem, ucałował w oba policzki czerwonego jak piwonia podchorążego. Okazało się, że zna Coëtquidan, poznał

kiedyś generała Sikorskiego i należał do Amis de la Pologne w Nancy. Podczas tych zwierzeń Józek nie zaprzestał zgarniania owoców zwycięstwa i wyciągania lepszych wyników z polsko-francuskiej przyjaźni, niż robiła to (większym kosztem) nasza dyplomacja. Na jedno patrzył tylko krzywo: na kwiaty. Jak na złość, kwiatów było tu pełno i obczepiono nimi wszystkie trzy czołgi plutonu. Obwieszono lufę działka, wieżę, błotniki, reflektory: wszystko, w co tylko dało się wetknąć kwiaty. Ambrożemu do klapy wpadły olbrzymie piwonie, wciśnięte jakąś energiczną ręką: dobrze, że nie róże; podrapałyby mu twarz. Toteż kiedy czołg wyjechał w pole, był cały barwny, obetkany różami, astrami, margerytkami, powojami, groszkami, nasturcjami, kwiatami z bogatych ogrodów i skromnymi kwiatkami z miękkich pól za Sommą, i tak jechali w tej kolorowej rozchwiei, naprawdę ukwieceni Francją. Józek narzekał, że czołg wygląda jak karawan pierwszej klasy, ale podchorąży nie pozwolił rzucić kwiatów. Jakże? Tymczasem było już po południu i, przeprowadzeni przez miejscowych chłopaków, którzy z największą frajdą obsiedli czołg, dotarli do innego zało-

mu rzeki. Był tu jakiś *château*, położony przy miasteczku, sam w głębi rozległego parku. Stare, rozeschłe lipy zaszumiały nad głowami słowiańsko, powiało chłodem i zapachniało jak miodem, aż wyjechali do rzeki. Mózgi trapiła jedna myśl: będzie most czy nie będzie? Bo tu, w parku, miał być czwarty most, prywatny. Może Niemcy zapomnieli, może nie zdążyli? Gdzieś po prawej zamigotał jasną plamą trawnik i jaśniejszą jeszcze, bo białą, wysokodachy *château*. Przewalili się mimo. Co ich to mogło obchodzić: most! Aleja druga, trzecia, po głowach wystających z wież łomotały niskie gałęzie, aż naraz rozchyliły się. Przed nim był tamten brzeg, rzeka i – most.

Sam porucznik dobiegł ze swego czołgu do mostu stwierdzić, czy nie podminowany. Nie. Jego czołg ruszył teraz przodem. Przejechał szybko most – aż się zachybotał grat, bo nie był to żaden solidny most, a już na pewno nie na czołgi: taki prywatny, pański. Za chwilę za zakrętem, za którym znikł czołg dowódcy plutonu, posłyszano się strzały, ale tylko z karabinu maszynowego. Drugi czołg dał gazu i przez most. Tymczasem ogrodnik Francuz wskazał załodze nelly co innego. Oto rano był tu polski

patrol, o świcie samym, i przepłoszył Niemców; ale jeden nasz padł. Sama *Madame* grób mu tu kopała. Ogrodnik odgarnął w krzakach przy samej drodze płytką, świeżutką mogiłę. Był na niej krzyż, a na tym krzyżu hełm angielski, piechotny, z wymalowanym orłem. I podchorąży kazał znieść te wszystkie kwiaty, bukiety, wieńce, wiązanki, te róże i piwonie, i myosotisy, i georginie, i jak tam jeszcze, tę całą kwietną wdzięczność Francji, jaka zwała się, oplatając stal polskiego czołgu – i obsypać nimi tę płaską mogiłkę bez nazwy. I tak było lepiej niż rzucić to gdzieś do rowu, jak chciał niegodny Józek, a zarazem odciążyło to czołg od tej zaszczytnej, ale zbyt barwnością widocznej pstrokacizny. Mógł iść do walki. I kiedy już za mostem oglądnał się jeszcze telegrafista, widział, jak koło drogi i mostu na rzece, której nawet nie znali nazwy, kwiatami wypiętrzył się jeszcze jeden żołnierski grób polski na ziemi obcej, gdzie wyrósł znacząc powrót wolności.

*

Nocny postój zastał ich chyba dwadzieścia mil za tą przeprawą, może mniej, a może i więcej, trudno to dziś powiedzieć, bo

szwadron i pułk poszły wtedy mocno do przodu, ale na noc, jak to zwykle, cofnęły się o parę kilometrów. Tę drugą połowę dnia przebyli w walce. Niegroźne to było, bo ani ppancy, ot – moździerze, karabiny maszynowe, a najwięcej to uciekających Niemców. Dwa czołgi, to prawda, dostały, ale nelly nawet mało strzelała. Niemniej wieczorem byli tak pomęczeni, że się nie babrali w tym, co tam w czołgu przybyło. Nazajutrz od rana był marsz, a raczej pogoń, a Niemcy odskoczyli byli jeszcze bardziej, i pułk, dywizję prowadząc, walił na granicę belgijską. Ludzie na drogach stali i czekali, Józek zgarbiał, co mógł, podchorąży rozsyłał saluty i uśmiechy, tylko Ambroży, kierowca, pocił się w swej jamie.

– Ambroś, coś dla ciebie: szkaplerze dają ją! – zawołał w pewnej chwili Józek.

Istotnie, z klasztoru, widnego opodal na górze, wyszedł biały sznur zakonników. Z podgolonymi głowami, bladzi w tej bieli habitów, wyglądali jak zjawy nie z tego świata, naraz zagubiona w tej wojnie. Tak sznur mnichów wyszedł na przełaj ciągnącemu sznurowi cromwellów – i wieki średnie zmierzały się z tym, co dał światu okres postępu.

– Ambroś, dymaj, mówię, po sto dni odpustu – wołał Józek i dodawał: – panie podchorąży, a może by my tak sobie z roczek postali z rękoma założonemy na brzuszku?

Ale ani Ambroś, ani podchorąży, ani nikt z załogi nelly nie zdradzał wolteriańskich zapędów, a i sam Józek, gdy czołg doszedł na wysokość mnichów, przeżegnał się, jak inni, wielkim znakiem krzyża. A właśnie na czele stojący dominikanin, bardzo chudy, o błyszczących oczach i nieziemskim jakimś uśmiechu, podniósł krzyż i tym krzyżem wysoko w górze, powoli i uroczyście błogosławił jadącym czołgom. I tak kolejno mijały go cromwelle 10. pułku i widać było, jak załogi stojące w wozach powtarzają ten znak krzyża – tak jak powtarzają go ludzie, kiedy wiedzą, że chwila ostatnia może przyjść na nich niebawem, spodziewana i niespodziewana, i może wtedy, gdy przyjdzie, zabraknie im i sił, i czasu, aby tym znakiem świętym ten świat pożegnać. A jakoś w pół godziny chyba potem, a może i wcześniej, naraz zamiast chorągiewek niebiesko-biało-czerwonych – czerwone, żółte i czarne. I w oknach portrety z jakimś młodym przystojniakiem i blondyną z trojgiem ładnych dzieci.

– Wjechaliśmy w Królestwo Belgijskie! – skonstatował uroczyście radiotelegrafista.

– Jezu, Maryjo, gdzie ta granica? Człowiek nie usnął nawet zobaczyć swoje rozstanie z Francją, sojuszniczką tam i nazad, a już nowego alianta okupowanego wyzwala. Jak tak dalej, to może na wieczór ujrzymy te ich wiatraki holenderskie z krowamy?

Ten ostatni komentarz pochodził, rzecz prosta, od Józka.

Ale gdzieś za nimi w wysokim sztabie kazano stawać stosunkowo wcześniej po południu. Był czas na wymycie się i na pitraszenie, no i na zrobienie nareszcie jakiegoś porządku z tym bajzłem w czołgu, jak powiedział podchorąży.

Szczodre dary Francji odbywały teraz drogę powrotną. Wędrowały z głębi czołgu znowu na zewnątrz, nawet przez tę samą klapę, przez którą opuściły je sprawne ręce Józka. On sam wlaźł teraz do środka i podawał po kolei radiotelegrafiście, a strzelec główny i Ambroży, usiadłszy w wykopanym dole, segregowali mienie. Butelki szły do butelek, jabłka do jabłek, masarskie produkty Francji osobno, osobno sery, camembery, chleby, osetki masła. Wszystko to odbywało się wol-

niej niż przedtem i systematyczniej i radiotelegrafista w ogólnej ciszy wyliczał:

– Czwarty szampan, trzeci ser, piąty szampan, szósty szampan, czwarte masło, czwarty ser, drugi kirsch, wędzonka, druga wędzonka, siódmy szampan, piąte masło, chłopaki, nie umrzemy z głodu, *vive la France!* Józek, podawaj dalej. Trzeci kirsch, ósmy szampan...

Był to dobry radiotelegrafista i sztuka nadawania i przyjmowania 110 liter na minutę jest, jak widzimy, dobrą zaprawą dla mózgu.

Ale właśnie coś po ósmym szampanie, a przed trzecią wędzonką – nawet on utknął:

– A to co? Jakby książka? Książka, jak Boga kocham: stara, do nabożeństwa jakby. Ambroś, to dla ciebie suvenir od Francji, módl się za nas, żebyśmy nie zginęli w kwiecie życia... Trzecia wędzonka. Chleb...

Ambroś, któremu książka przypadła w udziale, odłożył ją na bok i dopiero potem, kiedy radiotelegrafista z podchorążym poszli po coś tam do szwadronu, a Józek ze strzelcem głównym zajęli się kolacją, otworzył książkę. Ambroś lubił książki, co było tym dziwniejsze, że czytanie przychodziło mu z trudem. Nie był

on młody, Ambroś, nie, i podsiwiały dobrze. Nie był też analfabetą: jakżeby! Ale należał do tej klasy pośredniej, która po dziś dzień u nas istnieje i lepiej czyta „drukowane” niż pisane, duże litery niż małe, w gazetach przeważnie tytuły depesz, a z książek najchętniej książki do nabożeństwa. Ambroś nauczył się szoferki, prowadził czołg spokojnie i pewnie, ale sztuka czytania była niebezpieczną rafa, którą najchętniej omijały fale jego inteligencji. Ambroś za to był ciekawszy „pisanego” niż niejeden dyplomowany. Pomimo dworowań Józka jego autorytet w nelly, a nawet w plutonie, był duży i kiedy w jakim silniku czy broni był defekt jaki, na postoju walono do Ambrosia.

– Panie kapralu, coś mi się w tej bizie zablokowało...

– Zablokowało? Co się tam w bizie zablokować może? No, pokażże, kochaneńki, popatrzę ci ja... O, widza... Już ja ci to zrobia, a ty mnie poczytaj, o, w tej gazecie, co pod tą fotografia...

– I... to jakaś stara gazeta. I co ta to w niej! Wódz naczelny, że furt całuje junaków...

– Stara nie stara, całuje nie całuje, a poczytaj. Od razu robota sama idzie, jak kto z boku czytający...

To był jeden z tricków Ambrosia. Toteż kto wolał sobie pysk strzępić, dukając nawoływania do boju „Polski Walczącej”, zamiast mieć ręce w smarze, a i pokrwawione czasem – walił do Ambrożego.

Ale kiedy nawet na „zablokowane” bazy panował „mortus”, Ambroś pozbawiony lektury wiercił się i zagadywał:

– Józek?

– A czego?

– Ot, masz, siądź, poczytaj mi...

– Że co?

– Poczytaj, mówię.

– Akurat. Sami to nie możecie, czy co?

– Móc mogie, ale mi na oczy niedobre pod wieczór...

– Jaki tam wieczór: piąta.

Jeśli działania wojenne zaczynały się dla Ambrożego tak niepomyślnie, zwykle przychodził mu sukurs. Najczęściej podchorąży odrywał się od listu do którejś narzeczonej, patrzył na Józka pytająco i zaczynał:

– Nic by wam się nie stało, jakbyście tak poczytali kapralowi...

– A co to? Strzelec przedni belfer, a kierowca ministrowa, żeby mu czytać?

W takich wypadkach podchorąży nigdy nie podnosił głosu. Zniżał go nawet, ale mówił tym dobitniej:

– Nie. Ale kolega.

Raz sam wziął gazetę i przeczytał całe sprawozdanie o bezzarzutnej działalności PCK oraz rubrykę „Polacy przebywający w Teheranie” od Nr 9823, Wrzuszczak Józef z Turki, do Nr 10110, Zwierzchowska Helena, z domu Kracewicz, z Drui. Toteż Józek przestał już czekać na interwencję podchorążego i wołał kapitulować zawczasu. Mścił się za to na samej gazecie, opatrując swoimi komentarzami wywiady generalskie, przepowiednie polityczne Zbigniewa Grabowskiego, wiersze wojenne, misje dziejowe i tym podobny materiał, wchłaniany przez Ambrożego ze słodką, wileńską rezygnacją. Ach, używał sobie na nich i wyżywał się, a tak soczyście, że ani sposób części tego przytoczyć, i tylko chwilami Ambroś zerkał na stronę i upominał:

– A ciebie już tak koniecznie żeb gdzie ja-ki dostyszał? Z „dwójką” chcesz znowu mieć, chcesz?

I Józek ścichał.

Teraz, kiedy tamci smażyli na maszynie świeże ziemniaki z jajami, cebulą i kaszanką,

Ambroś nabożnie otworzył książkę. Powiódł po jej marmurkowej oprawie swoją szorstką, ciężką dłonią, obejrzał skórzany grzbiet; powąchał. Tak, to nie była zwyczajna książka, ale jakaś starodawna i nawet przeleżawszy tyle już godzin w czołgu, nie nasiąkła odorem smarów czy spalin, ale zachowała dalej jakiś nieuchwytny zapach zamknięcia i starzyzny. Z tym większym nabożeństwem Ambroś otworzył książkę. Niestety, karta tytułowa była naddarta, mógł przeczytać tylko słowo: KSIĘG..., a na dole, acz z trudem, *Paryż, druk. A Pinard, 15 Quai Voltaire*. Dalej było po polsku: *Roku pań. 1832; 32°, str. 123*. Po polsku była nawet cena: *2 Złp. 15 gr.* Natomiast autora nie było.

„Książka do nabożeństwa” – pomyślał znowu. A winietka, religijnego typu, utwierdzała go w tym przekonaniu.

Na drugiej stronie zauważył zbrunatniały od starości atramentowy napis. Litery były wykaligrafowane wyraźnie, acz na pewno starszą już ręką. Niezrozumiały dla Ambrosia napis brzmiał:

*Ce livre appartenait
à feu mon père*

Erasme Klobukowski
officier au 10-me Reg. Pol.
des Chasseurs à Cheval.
Dieu veille sur son âme!
A. de M.

– Klobukowski – męczył się chwilę Ambroży – Klobukowski? Był Klobukowski w Nowoświęcianach; jest dużo Klobukowskich. Jest u nas w pułku podchorąży Klobukowski.

Zerknął z przyzwyczajenia na Józka. Ale ten był zajęty rozpalaniem ognia.

– Te, Ambroś, a może byś ty nam poczytał na ten raz jeden? – uprzedził atak.

– Ano, jak tam, Ambroś – zażartował strzelec główny. – Małośmy się dla ciebie naczytali?

– No ale co, to książka cała, nie widzicie – bronił się Ambroży.

– Gdzie popadnie; byleś poczytał – i w oczach mieli złośliwe uśmiechy. Trącili się łokciami.

Nie było rady. Ambroś popatrzył na otwartą właśnie stronicę. Druk był wyraźny, czysty; nie jak w gazecie; ale właśnie jak w książce do nabożeństwa. Poza tym było du-

zo białych miejsc i zdań zaczynających się od dużej litery. I jakoś naraz wydało się staremu kapralowi, że sprosta czytaniu, więc wziął i zaczął czytać tam, gdzie otworzył. Było spokojnie na polu i tylko wsunięta popod czołg szypiała maszynka, kiedy naraz odezwał się niepewny, a modlitewny i uroczysty jakiś głos Ambrosia:

A kiedy mówią o wojnie Waszej dla zbawienia Narodów, nie przeczą, iż dobrzeście zrobili, ale powiadają, iż niewcześnie, jako doktorowie wyrzucali Chrystusowi, iż w szabas śmiał ludzi uzdrawiać, i krzyczeli: Godzili się w szabas uzdrawiać...

Przeczytał i jakby się zląkł, czy czytać ma dalej. Podniósł oczy i zgubił tekst, który czytał. Natrafił na inny, jakby od początku rozdziału, nawet nadstrzępiony, i czytał:

Słyszycie, iż mówią Żydzi, i Cyganie, i ludzie z duszą żydowską i cygańską: Tam Ojczyzna, gdzie dobrze; a Polak powiada Narodom: tam Ojczyzna, gdzie źle; bo gdzie tylko w Europie jest ucisk Wolności, i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni.

Powiadano dawniej Narodom: Nie składajcie broni, póki nieprzyjaciel trzyma jedną piędź ziemi Waszej; ale Wy powiadajcie Narodom: Nie składajcie broni, póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej.

Bo i Francuz, i Anglik, i Niemiec bronią własności swej, i nienawidzą nieprzyjaciół swych. A przecież kiedy Francuz i Anglik i Niemiec podróżują między Ludami, tedy Ludy nie wychodzą spotykać ich i śpiewać im pieśni ich.

A Was spotykają, i ugaszczają, i śpiewają Wam pieśni Wasze, bo czują, że Wy wojujecie za Wolność Świata.

Czytał teraz dłużej, nie przerywany, aż rozdział cały się skończył, ale krótki, i nowy zaczął:

Gdy w pielgrzymstwie Waszym przyjdziecie do miasta jakiego, błogosławcie mu, mówiąc: Wolność nasza niech będzie z Wami. Jeśli Was przyjmą, i usłuchają, tedy wolni będą; a jeśli Wami wzgardzą, i nie usłuchają Was, i wypędzą, tedy błogosławieństwo Wasze do Was powróci.

Ambroś przystanął. Czy sam się dziwił słowom, które przez siebie mówione słyszał? Czy

coś się w nim odezwało, chociaż sam jeszcze nie wiedział co? Była prawie groźba w tych słowach ostatnich i sam się jej jakby przeląkł, że zamilkł – tak jak zamilkli i tamci.

– No? – zapytał tylko Józek.

Odchodząc z miasta i kraju bezbożnego, niewolniczego i ministerialnego – czytał dalej trudne słowa Ambroży – otrząście proch z obuwia Waszego, a zaprawdę powiadam Wam, iż lżej było Tulonowi, i Nantes, i Lugdunowi w dniach Konwencji, niżli będzie miastu onemu w dniach Konfederacji Europejskiej.

Do czołgu podszedł kierowca z innego plutonu o coś poprosić czy zapytać. Posłuchał chwilę i zagadnął Józka półgłosem:

– Przepowiednie?

A gdy Józek potaknął tylko głową, słuchali dalej. Było ich już siedmiu:

Albowiem gdy Wolność zasiędzie na stolicy świata – czytał Ambroży oparty o błotnik cromwella, właśnie jakby modlitwę czytając – będzie sądzić narody.

I rzeknie do jednego narodu: Oto byłam napastowana od zbrojców, i wołałam na cie-

bie Narodzie, o kawał żelaza do obrony, i o garść prochu; a tyś mi dał artykuł gazety. A Naród ów odpowie: Pani moja, kiedyż wołałaś do mnie? I odpowie Wolność: Oto wołałam ustami tych pielgrzymów, a nie słuchaliście mnie: idźcie więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzęst ukazów.

I rzeknie Wolność do drugiego Narodu: Oto byłam w utrapieniu i w nędzy, i prosiłam ciebie, Narodzie, o opiekę prawa, i o opatrzenie; a tyś na mnie rzucał ordonansami. I odpowie Naród: Pani moja, kiedyś przychodziła do mnie? I odpowie Wolność: Przychodziłam do ciebie w stroju tych pielgrzymów, a tyś mną wzgardził; idźże więc w niewolę, kędy będzie świst knuta i chrzęst ukazów.

Zaprawdę mówię Wam, iż pielgrzymstwo Wasze stanie się dla mocarstw kamieniem obrazy.

W tym miejscu kończyła się strona i dwie następne kartki z trudem dawały się odlepić; Ambroży, który łatwiej sobie dawał radę ze świecą lub ze starterem niż z książką, rozlepił je, ile mógł, z trudem. Ale zauważył przy tej czynności, że wokoło niego i za nim ucichło, przystanęło i zasłuchało się coś znacznie więcej ludzi.

Po chwili słyhać było ten sam niewprawny w czytaniu, śpiewny jakiś głos Ambrożego:

Odrzuciły mocarstwa kamień Wasz od budowy europejskiej, a oto kamień ten stanie się kamieniem węgielnym i głową przyszłej budowy, a na kogo on upadnie, tego skruszy; a kto nań potknie się, ten upadnie i nie powstanie.

A z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu.

Bo przeniesiona będzie stolica Wolności.

Jeruzalem, która mordujesz ludzi mówiących o Wolności, mordujesz Proroki twoje; a lud, który morduje Proroki swe, uderza sam siebie w serce swoje, jako szalony samobójca.

I potem już, sam nie widząc jak go zebrało, czytał Ambroś dalej o rządcach francuskich i mędrkach francuskich, co obiecywali wolność, i o rządcach i mędrkach angielskich, i o kupcach i handlarzach obojga narodów, co „posyłaliście pieniądz na zgębienie Wolności”. Tak, były to niezawodnie przepowiednie.

...a oto przyjdą dni, że będziecie lizać złoto wasze, i żuć papier wasz, a nikt wam nie przyśle chleba i wody...

Mowa książki była niejasna, zwyczajnie jak w takich przepowiedniach bywa, ale chwilami wydawała się im jaśniejsza niż wszystko, co jest wkoło nich obecnie. Ciemniało tak, że zapalić musieli światło reflektora, obłożwszy je tylko kocami. Poprzez ten *black-out* i spoza tych płacht, w gęstniejącym chłodzie mroku widniała oświetlona rzęsiście niewielka stara książka i dochodził łamiący się głos czytającego:

Panie BOŻE wszechmogący! Dzieci Narodu wojennego wznoszą ku Tobie ręce bezbronne z różnych końców świata. Wołają do Ciebie z głębi kopalni syberyjskich i ze śniegów kamczackich, i ze stepów Algeru, i z Francji ziemi cudzej...

Tu głos Ambrożego załamał się nagle, zatrzymał chwilę, aż podjął:

... i z Francji ziemi cudzej. A w Ojczyźnie naszej w Polsce wiernej Tobie nie wolno jest wołać do Ciebie! i starcy nasi, kobiety i dzieci modlą się do Ciebie w skrytości, myślą i łzami. BOŻE Jagiellonów! BOŻE Sobieskich! BOŻE Kościuszków! Zlituj się nad Oj-

czynną naszą, i nad nami. Pozwól nam, modlić się znowu do Ciebie obyczajem przodków, na polu bitwy z bronią w ręku, przed ołtarzem zrobionym z bębnow i dział, pod baldachimem zrobionym z orłów i chorągwi naszych; a rodzinie naszej, pozwól modlić się w kościołach miast naszych i wiosek naszych, a dzieciom na grobach naszych. A wszakże niech się stanie, nie nasza wola, ale Twoja. Amen.

I naraz wszyscy, co słyszeli, razem z Ambrożym sami już powiedzieli to: *Amen*.

Wtedy zaś tak jakoś stało się samo, że wszyscy poklękali naraz, ledwo Ambroś przeczytał – dużymi literami stało w książce – LITANIA PIELGRZYMSKA. Więc kiedy tylko przeczytał to „litania”, to najpierw poklękał ten i ów, a potem inni w tym mroku, bo już całkiem się ciemnawo zrobiło, i odpowiadali, kiedy ten czytał:

Kyrie eleyson, Chryste eleyson.

Boże Ojczye któryś wywiódł lud swój z niewoli egipskiej, i wrócił do Ziemi Świętej.

Wróć nas do Ojczyzny naszej.

Synu Zbawicielu, któryś umęczony i ukrzyżowany, zmartwychwstał i królujesz w chwale.

Zbudź z martwych Ojczyznę naszą.

I szła nie znana przedtem litania, polska i bliska, aż nauczyli się powtarzać jak w kościele:

Przez męczeństwo obywateli Oszmiany wyrzniętych w kościołach Pańskich i w domach.

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy zamordowanych w Fischau przez Prusaków.

Wybaw nas Panie.

Przez męczeństwo żołnierzy zaknutowanych w Kranstademie przez Moskali.

Wybaw nas Panie.

Przez krew wszystkich żołnierzy poległych w wojnie za Wiarę i Wolność.

Wybaw nas Panie.

Przez rany, łzy i cierpienia wszystkich niewolników, wygnańców, i pielgrzymów polskich.

Wybaw nas Panie.

O wojnę powszechną za Wolność Ludów!

Prosimy Cię Panie.

O broń i orły narodowe.

Prosimy Cię Panie.

O śmierć szczęśliwą na polu bitwy.

Prosimy Cię Panie.

*O grób dla kości naszych w ziemi naszej.
Prosimy Cię Panie.*

O niepodległość, całość i wolność Ojczyzny naszej.

Prosimy Cię Panie.

*W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.
Amen.*

I tego dnia prześlepiłi nawet wieczorny komunikat z walk warszawskich – a nie prześlepiali go nigdy.

Książka odtąd była już z nimi.

*

Jakoś w dobre kilka tygodni potem w pewnym londyńskim hotelu biedzono się nad nadesłanym aż z Holandii meldunkiem:

„...zlecone mi zadanie wyśledzenia, czy pobyt we Francji, od dawna znanej z rozkładczych i demoralizujących tendencji, a obecnie szczególnie silnie podminowanej rewolucyjną zarazą, nie działa na żołnierzy I Dyw. Panc. – starałem się wypełnić z całą służbową gorliwością. Obawy, jak i przewidywania, były całkowicie uzasadnione. Co prawda, po-

stój pod Bayeux był za krótki, następnie walki pod Falaise zbyt zajmowały uwagę, by już wtedy wpływy podziemne na zwartość moralną dywizji mogły odpowiednio podziałać. Jak jednak nawet krótki pobyt we Francji może się okazać destruktywny, tego dowodem jest następujący, wykryty przeze mnie – nie bez trudu i kosztów (rachunek załączam) – wypadek...”

Po czym w tymże tonie utrzymany był meldunek, że do jednego z czołgów pułku rozpoznawczego podczas rajdu na Saint-Omer („gdzie jeszcze przed wojną, jak wszędzie w skupiskach przemysłowych i robotniczych, macki Kominternu były szczególnie ruchliwe”), podrzucono „agit-broszurę w języku polskim, zręcznie zamaskowaną w formie modlitw i prorocstw”, która nie mniej zawiera „typowo wywrotowy materiał”. Jest tam przede wszystkim „stałe, niestety, zjawisko na emigracji podważania autorytetu władz wojskowych”; (świadczy o tym już taki ustęp: „na jakich ludziach Ojczyzna wasza największe pokłada nadzieje? Nie... na ludziach, którzy dawniej wojny robili i wyuczyli się najlepiej maszerować, i szykować, i rozprawiać o wojnie, ale na po-

czciwych żołnierzach tudzież młodzieży”. Czy to nie stały slogan wywrotowej propagandy?). Podejrzane jest również stanowisko w sprawie granic: „Alboż kłóci się Litwin z Polakiem o granice Niemna, i o Grodno, i o Białystok?” Dosłownie! Cóż zaś powiedzieć o następującym passusie? „A Polak (cytuję dosłownie – pisał gorliwiec) mówi Francuzom i Anglikom: jeśli wy, dzieci wolności, nie pójdziecie za mną, tedy Bóg odrzuci plemię wasze, a rozbudzi obrońców Wolności z kamieni, to jest Moskalów i Azjatów!” Oto dosłowne brzmienie. A jeszcze są i takie zdania, jak: „i będziecie wołać do młota od ludu waszego”. Nie ma nic o sierpnie, ale chyba jasny jest ten młot. Jest i wiele innych podobnych aluzji.

„Jak udało mi się stwierdzić – kończył meldunek – owa bibuła wywrotowa była nawet czytana głośno. Jeśli tak późno o tym zawiadamiam, to jedynie dlatego, że nasza praca wywiadowcza w tej formacji natrafiła, niestety, na nieprzezwyciężalne przeszkody. Znany jest fakt, że i dawny, i obecny dowódca pułku nie odnosili się z należyтым zrozumieniem do pracy wywiadu na terenie własnym i nawet oficerowie wywiadowczy

poświęcali nadmiernie wiele uwagi nplowi, zanedbując właściwe zadania II oddziału. Robiłem z mej strony, co mogłem, aby temu zaradzić i na własną rękę rozpiąć w pułku odpowiednią sieć informacyjną. Jest to jednak szczególnie trudne z uwagi na fakt, że pułk rozpoznawczy, będąc stale w akcji, jest bardziej niż inne narażony na straty, a najwytrawniejsi nasi ludzie nie bardzo się kwapią, jak wiadomo, do pierwszej linii”.

Meldunek, jak się zdaje, spowodował dłuższą, kryptonimową korespondencję pomiędzy londyńską centralą a kontynentalnym gorliwcem, prowadzoną jemu tylko znanymi i właściwymi drogami. Specjalnie wykwalifikowani rzeczoznawcy, sprowadzeni (za zwrotem kosztów i dietami) z Edynburga, biedzili się nad wyjątkami z podejrzanej broszury, nadsyłanymi tymczasem z kontynentu. I dopiero jeden z nich, który kiedyś nawet złożył maturę, mógł uspokoić czujność kolegów. Broszura była naprawdę wydana w 1832 roku. Napisał ją wtedy – choć nie podpisał nigdy – niejaki Adam Mickiewicz, za życia i na emigracji pomawiany zresztą często i gęsto przez ówczesnych gorliwców o rusofilstwo, słowianofilstwo i żydokomu-

nę. Nazywała się zaś *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego*.

Nikt tylko nie dowiedział się i zapewne nie dowie się już nigdy, jakimi drogami dobrnęła ta własność polskiego oficera i emigranta do wnętrza polskiego czołgu, sunącego latem po wojennych drogach Francji. Nazwisko Erazma Kłobukowskiego z 10. pułku strzelców konnych gwardii występuje parokrotnie w annałach tamtej emigracji. Brał on udział w socjalistycznej Gromadzie Humań, gdzie żołnierze i oficerowie żyli w braterskiej komunie, z Bemem szykował się do Portugalii, ale i w Hotelu Lambert był kiedyś na obchodzie powstania. Potem znikł z widowni zupełnie – i dopiero teraz wojna wyorała ostatni po nim ślad. Jedno w każdym razie było sądzone temu wygnańcowi: książeczka, z której ongiś modlił się o broń i orły narodowe i o wojnę powszechną za wolność ludów, trafiła nie tylko pod strzechy wieśniacze, ale i pod blachy pancerne polskich czołgów.

„Trzyście opowieści” – Warszawa 1946.

Różaniec z granatów

For Susan

Był to mój trzeci kolejny szpital, już w Anglii, i przewieziono mnie nocą i umieszczono na jedynym wolnym łóżku. W szpitalu nie było poza tym wolnych łóżek i wszystkie sale były pełne, i stało w nich więcej łóżek, niż powinno było stać. Był to czas, kiedy codziennie napływali setkami tacy jak ja, z dywizji, o których było w pismach, że *they are closing the Falaise gap*, a także tysiącami tacy z Włoch, o których w tych samych dziennikach, ale o trzy tygodnie wcześniej było powiedziane: *they effectuated a very deep break through on the Ancona sector*. Była noc, a na sali ostry zapach jakichś lekarstw i mdły cierpiącego ludzkiego ciała, jakim nie czuć ciała ani w koszarach, ani w więzieniu, ani w okopach, ale tylko tam, gdzie są rany i gdzie ciało cierpi. Było także mdłe, przy-

mglone światło i wszystko było białawe. Leżałem wysoko na wózku, wyprostowany, i mało mogłem widzieć, gdy mnie przekładano na łóżko. Potem mogłem widzieć jeszcze mniej, bo bolało mnie ramię, całe poszarpane, i bok jeszcze pocięty, a do łóżka przygważdżał mnie ciężki, jedenastokilowy gips, założony na pęknięte od wstrząsu kręgi w plecach. A jazda przedtem była długa i męcząca.

– To jest Polak obok pana, także – powiedziała siostra.

I, nachylając się nade mną, doszeptała jeszcze:

– *He is not very well, poor boy, I don't think he will have it for very long.*

Co znaczyło, że długo nie pociągnie, ale omyliła się. Następnego rana żył jeszcze, a następnego wieczoru było mu jakby lepiej. Mnie z rana było za to niedobrze. Widziałem, jak na drugim końcu sali obstawili łóżko jedno białym parawanem wokół, a że znałem już zwyczaje szpitalne, więc zastanawiałem się tylko, o co tu chodzi: naturalna potrzeba czy koniec. Ale nie otworzono okna i tylko po jakichś dwudziestu minutach przystawiono wózek, a potem wytoczono go z sali, tak sa-

mo jak przytoczono przedtem mnie, gdy przyjechałem, a także jak wytoczono w cztery dni potem na zeszyte rany ramienia. Wózek był zasłonięty białymi płótnami, także nie widziałem wcale twarzy człowieka, co skończył tak blisko. Potem łóżko zasłano. Na obiad już tam leżał ktoś nowy.

Twarzy Polaka przy mnie także nie widziałem długo, bo on się nie ruszał, a ja prawie nie. Ale jego łóżko było tuż przy moim i jego szafka nocna między nami, i z niej zwiisał zawieszony przedmiot, który mnie zastanowił. Był to różaniec. Nie to było nadzwyczajne, że był to różaniec, dużo dziwniejszy był rodzaj tego różańca. Był to różaniec z granatów. Małe, ciemnoczerwone ziarnka były nanizane jedno za drugim, jak zwyczajnie w różańcu. Rzadko widziałem w życiu różańce z granatów; a jednak przypomniałem sobie, że widziałem takie, i męczyłem się, aby sobie przypomnieć – gdzie. Kiedy się tak leży nieruchomo, człowiek wdraża się myślami we własną pamięć, aż znajdzie. Znalazłem! Kiedy człowiek jest ranny i uświadomi to sobie, to maca ciało i kości, aby wiedzieć, co mu dolega, a co wyszło cało. Kiedy człowiek przeszedł przez gorączkę i był nieprzy-

tomny, to bada, czy jego myśl i pamięć nie przestała działać. Działała. Tak. Różańców z granatów nie robi się ani w Polsce, ani we Francji, ani we Włoszech nawet, ani w Holandii, choć wszystko to są kraje katolickie i wszędzie tam odmawia się różaniec. Jest tylko jeden kraj, gdzie nawet z przedmiotów do nabożeństwa robi się klejnoty, bo tam religia i zbytek od dawna łączą się razem, i w kraju tym słyszałem o różańcach z pereł, a widziałem różańce z ametystów i – najpospolitsze – różańce z granatów. Było to w Hiszpanii. Poczulem się lepiej, ale chłopiec za to poczuł się gorzej. Mogłem się nieco podnieść i widziałem, jak leżał na wznak, wyprostowany. Miał bardzo młodą i bardzo białą twarz, rysy nieregularne, jakieś brwi nierówne i czoło szerokie, otwarte. Oczy miał przymruczone i tylko czasem jakiś skurcz poruszał te oczy i zbieleła, popękane wargi. Miał ludową polską twarz i może pasował do niej różaniec, ale nie z granatów.

W nocy niepokoił się i rzucał, co było niebezpieczne o tyle, że miał przestrelone jedno płuco i także naruszoną wątrobę. Siostry nie chciały mówić wyraźnie, co mu jest, bojąc się, by nie dosłyszał, a także dlatego, że

tak chce regulamin. Ale wiedziałem, że walczy o życie, jak to się mówi, że raz jest lepiej, a znowu drugi raz gorzej. Sam ranny, człowiek obojętnieje na cudze rany i śmierć. A jeszcze ludzi, których się nie widziało i nie znało inaczej niż w szpitalu. Kiedy człowiek sam gorączkuje i bóle wracają na niego falami – miewa zachcenia. Jeden u nas kiedyś wołał po nocy o kiszoną kapustę; inny chciał wody, ale ze studni. Mnie męczyła po nocy historia tego różańca. Przypomniała się naraz Hiszpania, płowa, surowa, pachnąca oliwą, Hiszpania wojny domowej. Był wieczór, kiedy temperatura się podnosi, i zacząłem sobie nucić bezwiednie dawno zapomnianą nutę, smutną, bardzo hiszpańską: *Siempre in guardia, siempre in guardia* – powtarzałem sobie strzępy zwrotki. Białe łóżko obok poruszyło się. Posłyszałem jakby jęk; ale to nie był ból: to tylko usta odwykłe od śpiewania stroiły się tak, jak się stroi instrument. Za chwilę jęk przeszedł w pieśń. Bolało mnie, ale podniosłem głowę, jak tylko mogłem. To wtedy nie było dużo, ale dosyć jednak, by coś widzieć. Widziałem, jak na twarzy pojawił się ruch jakby. Opierzchłe usta wyrzucały z siebie, z trudem na pewno, ale wyraźnie, całkiem

wyraźnie, dalsze słowa zwrotki. Pamiętam dwa słowa: *joven guardia*. Wymawia się 'hoven'. Znaczy: młoda gwardia. Wiedziałem już, że leżał przy mnie członek Brygad Międzynarodowych, pewno z Polskiej Brygady, trzynastej, imienia Jarosława Dąbrowskiego.

– Dąbrowszczak? – zapytałem.

– Aha...

Odmrużył oczy. Były szare, przedziwnie świetliście szare. Patrzyły pytająco, ale nie bardzo przytomnie. Opadłem na poduszkę sam i nie widziałem ich. Głos przestał nucić. Słyszałem tylko oddech jego, niespokojny, przez nos, świszczący jakby, i miałem prawie zadzwonić na siostrę, bo bałem się, czy on... Ale to pewno było wzruszenie jakieś. Może nie wiedział przedtem, że Polak tu leży albo że tamto posłyszysz. Pewno za silnie potrąciło to struny jakichś wspomnień. Ale oddech ścichł, stał się miarowy. Myślałem nawet, że usnął, ale po długiej chwili posłyszałem naraz głos tak cichy, jakby brzęczenie:

– Kolego?

– Co wam?

– Nnnie... Wiersz? Czy pamiętacie? Wiersz?

Mówił wyraźnie: wiersz. Cicho, ale zupełnie wyraźnie. Prosił o jakiś wiersz? Jaki?

Ktokolwiek by słyszał ten jego głos, taki cichutki, słaby jak pajęczyna jaka, nie odważyłby się spytać, jaki wiersz. Nie chciałem i ja i szukałem myślą. *Arriba parias de la tierra* – zacząłem. Łóżko się poruszyło. Nie wiem jak – poznałem, że to nie to. Zobaczyłem ruch ręki, białej, znieruchomiałej ręki na kocu. I znowu ten słaby, męczący się głos.

– Nie... nie... nie to. Polski wiersz. Polski. O jednym... chłopcu takim... co porzucił chatę... u nas mówili... w Albacete.

Teraz na mnie napłynęła fala wzruszenia ciepłego pod gardło. Wiedziałem. Jak mogłem nie wiedzieć!

Było cicho owego wieczoru i pola zielone za oknem przesłaniały się błękitnym zmrokiem. Szedł ciepły sierpniowy wiew przez otwarte okna. Wyganiał zapachy szpitala. W ciszy tej, cicho i wyraźnie, zacząłem mówić wiersz prośby, jak opowieść:

*Jechaliśmy stępa,
Pędziliśmy w kłębach
I „Jábłoczko” piosenkę
Trzymaliśmy w zębach.
Ach, piosenkę tę dotąd
Na pewno pamięta*

*Malachit stepowy,
Murawa pamięta.
Lecz inną pieśń jeszcze,
O obcym narodzie
Do siodła przytroczył
Towarzysz w pochodzie
I śpiewał, choć rodak,
Tutejszy jak ja:
– Grenada, Grenada,
Grenada mają!*

– To? – spytałem cicho. Spytałem głupio. Podniosłem się i widziałem jego twarz. Była to twarz człowieka, który ma widzenie, którego teraz nie boli nic, dla którego ani cierpienia nie ma, ani śmierci. Poruszył głową:

– Tak, tak... dalej.

Czy pamiętałem dalej Tuwimowski przekład wielkiego wiersza Swietłowa? Zląkłem się. Dawno go nie mówiłem. Teraz był tak potrzebny! Wolniej, bo z namysłem, zacząłem mówić dalej:

*Na pamięć tę piosnkę
Jak pacierz znał Pański.
I skąd do mołojca
Ten smutek hiszpański?
Kijowie! Połtawo!*

*Od kiedyż w te strony
Przybyły z Grenady
Hiszpańskie canzony?
Nie w twoimż to zbożu,
Ukrajno, śród żniwa,
Tarasa Szewczenki
Papacha spoczywa?
Więc skąd, przyjacielu,
W piosence twej łka:
– Grenada, Grenada,
Grenada mają!*

Mówiąc męczyłem się, czy pamiętam.
Czy nie urwę w połowie, w ćwierci. Przysta-
nałem. Od łóżka – postyszałem coś. Spojrza-
łem. Po żółtej, nieżywo już żółtej twarzy
spływały wolno, długimi strugami łzy. – Da-
lej... dalej...

*A chochoł-marzyciel
Po małej chwileczce
Powiada: „Grenadę
Znalazłem w książeczce.
Wysoki to honor
Tak piękne mieć imię,
Jest powiat grenadzki
W hiszpańskiej krainie.
Ja chatę porzucił*

*I walczyć szedł po tom,
Że ziemię w Grenadzie
Ja oddać chcę chłopom.
Żegnajcie, najmilsi
Powrócę, Bóg da!”
– Grenada, Grenada,
Grenada mają!*

Od łóżka szedł chwilami cichy ogromnie szloch, tak cichy, że aż wierzyć było trudno, że może go wydawać dorosły człowiek. Ale on był już czymś innym niż dorosłym człowiekiem: był trochę jak bardzo słabe dziecko. – Dalej, dalej – prosił i mówiłem cały długi wiersz. „Świt wstawał na niebie, by znowu się schować”...

*I koń się utrudził
Po stepie cwałować.
Lecz „Jąbłoczko” szwadron
Wciąż grał bez wytchnienia
Na skrzypcach epoki
Smyczkami cierpienia.
I gdzież, przyjacielu,
Podziła się ta
– Grenada, Grenada,
Grenada mają!*

Naraz, nie wiem czemu, to mnie przypomniała się nie Hiszpania, lecz nasza Norman-

dia i czołgi mego pułku, 10. pułku, brnące gdzieś pod Falaise przez pszenicę normandzką. Mówiłem, jak „poznali dokładnie gramatykę boju i słowa armatnie” i jak „rozstało się z siodłem, a nigdy nie chciało, nad trupem się księżyc potoczył jak łza, i wargi martwiejąc szepnęły: Grena...”

Cała ballada rewolucyjna, wyśniona w 1917 gdzieś nad Donem, nad Manzanarem w dwadzieścia lat potem echem wojny odbita. Jego wojny.

Było już ciemno zupełnie i nie mówił już nic. Zasnął. Myślałem, że może mu to zrobić źle albo dobrze. Zrobiło dobrze. Spał twardo, na drugi dzień było wyraźnie lepiej. *Here, you are a good boy* – mówiła siostra odkładając termometr. Tylko młodszy doktor milczał sceptycznie.

Mnie też było lepiej. Posadzono mnie na łóżku i oparto o poduszki. Miałem coś do wyjęcia z kieszeni battle-dressu i kazałem go sobie podać. Zobaczyłem biorąc, że jego oczy spoczęły na czymś i zdumiały się czy zmroziły. Na naramienniku widoczna była gwiazdka.

– Oficer?

– Tak – kiwnąłem głową – podporucznik.

Milczał chwilę: tak trudno mu szło mówienie. Może się zmęczył, może zawahał. Po chwili, patrząc głęboko tymi swoimi bardzo szarymi oczyma, zapytał:

– Byliście... pan porucznik był... w której kompanii? Mickiewicza? Palafoxa?

– Nie. Nie byłem w żadnej kompanii.

Szare oczy nalały się zdziwieniem:

– Toście nie z Hiszpanii?

– Z Hiszpanii. Byłem w Hiszpanii podczas wojny. I z wami. Ale się nie biłem. Pisałem. Jako korespondent.

– Korespondent? A myśmy nie mieli oficerów. Nam tak trzeba było oficerów! Byłoby inaczej pod Saragossą...

– Ciszej, ciszej. Nie mówcie tyle!

Ale on urwał sam. Dyszał. Nie rozumiał, ale się męczył. Patrzył długo, długo, tym nieruchomym wzrokiem, jaki mają ludzie, co nie mogą mówić, ale jeszcze nie zdołali do tego przywyknąć. Patrzyłem na niego i raz jeszcze oczy mi zbiegły na ten różaniec; może dlatego, że jego ciemnoczerwone ziarnka odbijały od tej całej białości szpitalnej. On zobaczył ten mój wzrok. Uśmiechnął się i powiedział:

– To też... z Hiszpanii.

Uśmiechnąłem się i ja.

– Wiem.

– Kto wam... kto panu porucznikowi powiedział?

– Nikt. Ale takie różańce z granatów są tylko w Hiszpanii i nigdzie indziej.

Kiwnął głową:

– Tak... Dlatego...

Oczy jego pobiegły za różańcem. Znowu uśmiechnął się.

– Wie pan – mówił z trudem – gdyby nie ten różaniec... dawno bym nie żył... A tak – uśmiechnął się – dopiero teraz... Całych siedem lat... wygrałem... na tym różańcu takim...

Zadyszał się i znowu nie mógł mówić, a nawet teraz stało się jeszcze inaczej, bo poruszał ustami, ale usta nie wydawały dźwięku. Ale po kwadransie jakimś zaczął mówić, potem znów ustał, potem mówił, aż póki nie przynieśli obiadu. Przespawszy się trochę, mówił znowu, z ciągłymi przerwami, aż do wieczora. Opowieść była tak samo w strzępach jak on sam. Ale strzęp po strzępie dały się one zeszyć. Oto była jego historia:

Rodzice pochodzili z Polski, spod Wolbromia, i brat starszy, i siostry dwie pamiętały jeszcze Polskę, on – nie, choć się był jeszcze w Polsce urodził, ani siostra trzecia, która

przyszła na świat w Larieges koło Lens nad Kanałem, już nie znała nawet Polski. Rodzina zaznała wiele biedy, jak tylu emigrantów z Polski, szukających chleba w kopalniach na północy Francji albo w fermach na jej południu. Ojciec był tam czymś w lokalnym C.G.T., znał Jouhaux, i kiedy wybuchła ta wojna z Hiszpanią i szli Polacy, Jędrrek – starszy brat – poszedł także. Było mu dwadzieścia dwa lata, Jędrkowi, był ranny zaraz na początku, ale lekko, i posyłał kartki do nich do Francji i swoją fotografię, kiedy przeszedłszy przez kurs w Albacete, został *tenente*. Piękny był chłopak, Jędrrek, i dla niego, Józka, taki dobry zawsze. Dobry, mądry brat. Matka płakała, och, jak płakała, gdy przyszło z Polskiej Brygady, że Jędrrek poległ na czele swej kompanii, na samych przedmieściach Alcalá de Henares. Na wiosnę samą 1937. Matka mówiła, że to kara Boska, bo matka była jeszcze z tych starych. Po staremu – mówił – myślała. On, Józek, wtedy poszedł. Za brata tego. Za Jędrka. Matka nie wiedziała. Poszedł.

Dalsze strzępy opowieści były porozrywane niezmiernie. Czasem myślałem, że majączy. Uniósł się. Nawet podnosił ten swój głos. Wynikało z tego, że był w brygadzie Dą-

browskiego niedługo, jakieś kilka tygodni. Zrobili nocny marsz na Saragossę. O świcie byli pod miastem. Słyszeli, jak faszyci bili w dzwony na trwogę. Ale potem przyszły samoloty i drogą wyszły czołgi, i uciekali górami. On z drużyną błędzili trzy dni, aż wpadli na tamtych. Reszta drużyny uszła, on i dwóch zostało. Tamci dwaj – na śmierć.

On dostał z boku strzał przez plecy, w łopatkę. Kiedy przyszedł do siebie, był wieczór, ciemno, leżał na słomie, obok inni jęczeli. Była to jakaś stajnia czy obora, czy piwnica. W drugiej izbie palił się ogień i w jego świetle w drzwiach Józek zobaczył żołnierza w takiej *capo* na plecach i z takim bagnetem na karabinie, jaki tylko mieli tamci. Faszyci. Zmartwiał. Przy ogniu w tamtej izbie siedzieli ludzie, których nie widział, bo siedzieli w kucki na ziemi; ale naraz podeszło do tamtych ze dworu dwóch innych żołnierzy. Teraz dopiero zmartwiał. Mówili do siebie chrapliwym, obcym językiem, a jeden miał na piersi, na mundurze, sznurkiem – jeden na drugim – jak medale pozawieszane zegarki. Mieli twarze czarne i brodate i białe zawoje. Byli to Maurowie z Riffu. – Ja się tyłkom dziwił, czemu nie zabili mnie tam – opowiadał Józek.

Tajemnica niezwyklej łaskawości się wyjaśniła. Na drugi dzień przyszedł oficer w granatowej szamerowanej kurtce, gruby ksiądz i dawaj *requetes*. Byli młodzi i mieli czerwone berety. Jeden nie mówił prawie wcale po hiszpańsku. Oficer wydobył z kieszeni ten różaniec i spytał, czy to mój, skąd go mam i żebym powiedział całą prawdę. Czemu nie miałem jej powiedzieć? Więc powiedział, że raz w Albacete, gdzieśmy stali, robili taką antyreligijną *représentation*. Maskaradę. Żołnierze. I jeden zawiesił sobie ten różaniec. Pewnie go gdzieś zrabował. Mnie się żal zrobiło i powiedziałem, żeby mi go dał. Dać nie chciał, ale sprzedał. I stąd mam. Jednogom tylko już nie powiedział, gdzie sobie ten *miliciano* ten różaniec powiesił. I tego, po com go odkupił. A odkupiłem dla matki. My zawsze, jak z domu gdzie jeździli, to matce gościniec przywozili, a jeszcze teraz, kiedy przeciw niej do Hiszpanii poszedłem. I myślałem, że matka nigdy takiego pięknego różańca nie miała ani nie wiedziała, że takie są. Alem tego wszystkiego im nie powiedział. Oni posłuchali, a potem ksiądz mnie spytał, czy wiem, że to grzech kupować rzeczy kradzione, a do tego święte. A ja mu

na to – bom nie był tak słaby jak tera – że pewno jeszcze większy grzech nie kupić, jak inni ze świętych rzeczy pośmiewisko se czynią. I wszystkim mu wtedy wygarnął, i ksiądz był czerwony jak piwonieje, co u nas przed domem rosły, a oficer to z krzykiem i pejczem na mnie skoczył. A ja nic, bom sobie myślał: i tak zabijają, niech się nie męczę, jak inni się męczyli, i tylko że mówię, co było, bo mnie pytali, to niech się nie sierzdzą. I że mi o ten różaniec i tak wstręty czynili w brygadzie, tyle że kapitan Kowaczek ujął się za mną. I żeby mi go oddali, bo to nie jeich, a mój, zem go zapłacił. Pyskaty wtedy byłem. Zobaczyłem też, że ci dwaj drudzy, *requetes* znaczy się, nie mówią nic, ale tak jakos patrzą, jakby moją stronę brali. I ten obcy mówił z tym drugim na stronie, ale widziałem, że nie po hiszpańsku. Potem spytał mnie, czy znam francuski. Powiedziałem *que oui* i on mnie zapytał, po co przyszedłem tu się bić. A ja: *et vous pourquoi?* Oficer powiedział, że mnie zapłacono, a ja – że pewno mniej, niż jego płacą. Myślałem, że mnie zabije, ale jakoś z tym obcym się liczył. A tamten znowu: czy wierzę w Boga? Powiedziałem, że wierzę, ale jak na różaniec patrzę

i jak matkę wspomnę, a jak takiego księdza z coltem do sutanny widzę, to już nie wierzę w nic. I naszała mnie taka słabość, jak teraz czasem. A gdy przeszła – to ich już nie było.

Ale potem miałem ranę przewiazaną i dostałem jeść, a wieczorem zaszedł ten obcy *requetes* – pokazał przepustkę żołnierzowi u drzwi – i przykląkł przy mnie. Pytał, czy czego nie trzeba, ja mówiłem, że nie, bo i tak nas rozstrzelają, a on mówił, że nie i że to czerwoni mordują jeńców, a oni – katolicy – nie, to ja się śmiałem i tych ośmiu, co leżało – też, z wyjątkiem dwóch, co już od południa przestali się ruszać. Jemu było przykro i mnie jego zrobiło się żal. A był wtedy młody jak moja siostra, ta druga, Janka. Powiedział, że jest Irlandczykiem; że zawsze słyszał, że Polacy są dobrzy katolicy; a że walczyć tu przyszedł za wiarę. Spytałem – za jaką? czy za tego grubego księdza z coltem u boku? A on odpowiedział, że nie, ale za takie różańce jak ten, które z ręki pobożnych wydarto na pośmiewisko. To mnie było żal. I powiedział mi jeszcze, że nasza drużyna nacięła się na ich stanowiska i że to był ich karabin maszynowy, z któregośmy dostali. Inni Irlandczycy byli z falangistami: ale oni są katolicy i poszli

do *requetes*. Nosił taki szkaplerz, jaki znajdowaliśmy na piersiach poległych *requetes*: z Sercem Jezusa. Duży Czerwony. I powiedział, że zawiadomił Polaków o mnie.

To była prawda, bo jakoś w trzy dni później przyszli po mnie. Myślałem, że wyprawdzą tak jak innych, i bałem się, tak, wtedy to się naprawdę bałem. Nie miałem nikogo, by być na niego zły, jak wtedy z tym księdzem i oficerem. Ale mnie nie związali, przetarli twarz mokrym ręcznikiem, wsadzili nawet do auta. Nie ciężarówka, ale auta. Za chwilę byliśmy w mieście. Ma wąskie ulice, do góry takie, klasztorów a pałaców pełno, wszystko z kamienia. Było ciemno i tylko w witrynach była wszędzie uśmiechnięta gęba tego ich Franco, i dziewczyny chodziły z żołnierzami na rambli. Dziwno było patrzeć. Myślałem sobie: ot, ludzie żyją i chodzą, a tobie, Józek, koniec. Wtedy dziwno było myśleć, że mnie nie będzie, ale świat będzie, jak był... Dziś wiem. Auto stanęło na placu przed jakimś pałacem czy hotelem bardzo oświetlonym. W bramie stało na warcie czterech takich czarnych w zawojach, z karabinami w kosmatych łapskach. Zwierza takie. Na mnie to patrzyli – zjedliby tymi zęba-

mi żywego. Ale puścili do środka. Oficer był ze mną i dwóch *regulares*. Była sala, i światła, i pełno mundurów, potem korytarz – jeden, drugi, trzeci. Mijaliśmy jakąś jadalnię jak refektarz: były białe obrusy i szkła, zbierano talerze i zapachniało baraniną i oliwą! Myślałem, że mnie zemgłi. Głodny byłem. Ale pędzili dalej. I wreszcieśmy doszli. Z korytarza były oszklone drzwi, a za nimi duży pokój. Fotele, dywany miękkie wszędzie, portrety czarne takie, stare po ścianach i wielki komin, a na nim ogień. I było ze dwudziestu może oficerów. Siedzieli, gazety czytali, gadali bardzo głośno. Byli i nie-oficerowie, a wyglądali na oficerów. Mój oficer wszedł do środka. Trzasnął tymi obcasami, spytał jakiegoś grubego, siwego pułkownika; ten się rozejrzał i wskazał na stolik. Bo były trzy stoliki: w karty sobie grali, skurwysyny. Wskazał na pierwszy. Oficer podszedł i zagadał do jednego grającego, w cywilu. Serce mi zabiło. Powiedziałem sobie: to musi być Polak. Tamten wstał. Ci, co z nim grali, odłożyli karty. Wtedy zobaczyłem, że tylko jeden z nich, też starszy, na piersiach z całą tęczą orderów, jest Hiszpan, ale dwaj inni – nie. Jeden – poznałem – Włoch. Włoskie mundury

znałem z kina. Drugi miał jakiś zielonkawy, wcięty mundur. Cywil zagadał coś do mego oficera, ale ten w zielonym coś się wtrącił. Nie wstawał, ale zrobił ruch taki jak rozkaz. I wprowadzili mnie.

Jak wszedłem – zrobiło się cicho, a ja jak popatrzyłem do lustra, zrozumiałem dlaczego. Lustra były duże, na całą ścianę, i zobaczyłem, jaki byłem: czarny, zarosły, włosy długie, a moje granatowe „mono” milicjanta republikańskiego podarte i brudne. A wokoło same ich jaśnie państwo. Ale mnie zmroziło i stanąłem hardy – niech tam! – i byłbym tak stał, ale ten zagadał: – Polak? – To na tę polską mowę, jakem ją postyszał, to mnie zmiętkło. – Polak – mówię. – Z Polskiście? – Z Francyjej. – A on popatrzył na mnie i gada: – A ile wam dali, żeście tu poleźli? – O Jezu! Tak mi powiedział jak tamten, a Polak. To mnie to tak zaraz zatkało w gardle z żałości, i stoję; one się gapią, a ja tylko myślę, że nie, niech co chce, nie będę płakał. Ale on widział i pewnie pomyślał, że mnie skruszył, bo mówi: – Teraz to żałujecie. Wstyd Polsce tylko przynosicie wszyscy. Czerwienić się za was trzeba. – Ale się nie czerwienił, tylko głos podniósł. Jakby chciał, żeby wiedzieli drudzy. A potem jakoś zmiętkł.

– Czego chcecie? – zapytał. Ja już nic nie chciałem, tylko żeby mnie od tych świateł i od tych lusterek, i od tych panów zabrali, ale wyjęczał z siebie: – Polak jestem... – Ale on znowu z ostra, jakby na całą kompanię krzyczał: – Nie jesteście już żaden Polak: bolszewik jesteście, bolszewik. Rzeczpospolita się was wszystkich wyparła i wyrzekła. Rzeczpospolita pozbawiła was obywatelstwa. To macie, na coście zaszukali. Odmaszerować! – I tak mnie wzięli, ale jeszcze przez drzwi widziałem, jak siadał z powrotem do kart, ale wzburzony jednak taki, a ten czarny Włoch i ten zielony, i inni mu potakiwali coś zadowoleni. A mnie było wstyd, i wstyd, i wstyd, i jak szedłem koło tej sali, gdzie jedzeniem pachniało, a byłem głodny, to – słowo daję – nie mógłbym nic wtedy ruszyć, nawet gdyby dali. Ale nie dali nic. – Nic ci twój major nie pomógł – zaśmiał się w aucie oficer. A ja nie powiedziałem nic. Tylko myślałem: major? W cywilu był. Major? A ojciec bił się w dwudziestym roku! Słowa na wojsko polskie powiedzieć nie pozwalał! Major! Polski major! Pewno był obserwatorem jakimś czy korespondentem jak pan...

Ta część opowiadania kosztowała go najwięcej. Reszta była łatwiejsza. Wypluwał ją

z siebie kawałami, jak krwawą plwocinę suchotnik, nazajutrz rano. Okazało się, że po tej wizycie zapadł w gorączkę. Irlandczyk go odwiedzał, a potem jeszcze dwaj inni jego koledzy. Warta puszczała, bo mieli przepustki, a potem – bo przywykła i że papierosy angielskie im dawali. I jakoś trzy dni potem przyszli pod wieczór, ale w szczęściu, poklęczeli przy nim i naraz nasunęli mu na głowę beret taki, jak mieli sami, narzucili taką samą opończę i popod ramiona wyprowadzili. Była noc i wartownik był opity, a drugi w ogóle nie pytał. Przed domem stało ciężarowe auto i siedzieli na nim inni. Byli to wszystko ochotnicy irlandzcy, jak ten pierwszy, i na mocy jakiejś umowy międzynarodowej mieli wracać do Irlandii. Wielu z nich to ranni, ze szpitali. – Rano byli w San Sebastian. Na widok ich mundurów nie było żadnej kontroli; jeszcze ich kobiety eleganckie, uperfumowane obrzuciły kwiatami, słodkimi *pastas*, medalikami. I wtedy mu Irlandczyk oddał jego różaniec. Byli też księża i błogosławili im. – A ja się tylko bałem, żeby gdzie mego grubego nie zobaczyć: on by mi pobłogosławił! Bo mnie tu obdarowali i obmodlili najhojniej, jako żem najbardziej ranny. – Wieczorem statek był już na morzu. W dwa dni później znaleźli się w Dubli-

nie. – O, to złoty naród Irlandczycy. I – widzi pan – zbawił mnie różaniec.

Naopowiedział mi tyle dnia tego, iż myślałem, że jest mu naprawdę lepiej, i ze skruchością wysłuchałem przy opatrunku w ambulatorium łajania siostry Knight, że męczę go gadaniem. Ale nadszedł doktor, spytał, o czym mówimy, i wysłuchawszy powiedział, że nie. Że nic. Niech mówi. I ja mogę mówić. To mu sprawia ulgę. A zaszkodzić mu już więcej nie może. Powiedział też, że ma w jego sprawie list. – To był jakiś dzielny chłopak: ocalił życie swemu pułkownikowi. Piszą do mnie o jego stan: ma tu ktoś przyjechać go dekorować. Napisałem, żeby się pospieszyli. I pan niech będzie dobry dla niego do końca. *It won't be very long. Niedługo, poor boy.*

Wróciwszy z ambulatorium przyjrzałem mu się uważniej. Doktor miał rację. Jego ręce na kołdrze stały się bardziej żółte i przezroczyste, i przyschłe do kości, a oczy podkrzażyły się sino. Tego dnia mówił już mało. Prosił, żeby mu jeszcze powiedzieć *Grenadę*, i mówiłem mu ją dwukrotnie. Drugiego dnia odzywał się jeszcze mniej. Ale koło południa na końcu sali zrobił się ruch i brzęk jakiś. Leżący popodnosili głowy. Zobaczyłem, jak

idzie doktor, siostra i wskazują na nas dwom oficerom, i powiadają, żeby iść ciszej. Ale oni – widać – nie rozumieli albo nie umieli iść ciszej. Zobaczyłem polskie odznaki.

Wieloletni *attaché* wojskowy polski w różnych stolicach, pułkownik dyplomowany N..., był w swej roli. Był zarazem wyniosły i ojcowski, surowy i dostojny, bojowy i wytworny. Miał ręce w rękawiczkach z żółtego pekari, a piersi całe w orderach, a elegancki porucznik w wysokich butach był jakby uzupełnieniem jego rękawiczek, orderów i akselbantów. Była to ceremonia najwidoczniej tak dla niego pospolita jak dla księdza śpiewanie mszy. Zabierał się do niej z godnością.

– Kapral Łaptak Józef? – upewniał się.

Ranny jakby podniósł głowę. Nie mówił nic, ale jakoś zmrużył z wytężeniem oczy. Patrzył w twarz pułkownika. Ten był z kolei ojcowski.

– Skądżeście, Łaptak?

Ten nie dosłyszał widać, bo jakby go zatkano, tylko patrzył coraz uporczywiej. Pułkownik, dobrotliwie, powtórzył raz jeszcze:

– Z Polskiście?

– Z... z Francji.

Coś naraz niesamowitego było dla mnie w tym głosie, w pytaniu tym, odpowiedzi.

Gdzież ja to kiedyś słyszałem? Ale pułkownik był uroczysty:

– Kapralu Józefie Łaptak! Na polu walki z odwiecznym wrogiem naszej ojczyzny zachowaliście się jak prawy i nieodrodny syn naszej wspólnej matki, Rzeczypospolitej Polskiej. Przynosicie dumę waszej rodzinie i całemu polskiemu wychodźstwu we Francji. W imieniu Rzeczypospolitej Polskiej, z rozporządzenia jej władz najwyższych, otrzymaliście Krzyż Walecznych!

Miał go w ręce i prawie, prawie że nachylał się nad Łaptakiem. Ale naraz wyprostował się znowu. W oczach Łaptaka było coś nieprzytomnego tym razem. Myśleliśmy, że schwytał go nagły ból albo wzruszenie za silne. Aż pułkownik, przerażony, zapytał:

– Co wam, Łaptak? Słyszycie mnie?

– Słyszę – szepnął ranny tym swoim cichym, wyraźnym głosem. – A pan major... pan major... mnie poznaje?

Pułkownik ściągnął brwi. Męczył się. To nieładnie nie poznawać. Królowie i wodzowie muszą mieć pamięć twarzy. Wyraźnie się męczył. Począł nadrabiać. – Tak, Łaptak, rzeczywiście, zaraz no, zaraz, czekajcie... Gdzież to ja was ostatni raz...

Od łóżka szedł szept jak syk...

– Pan major mnie tylko raz... To było w Tudeli... Tudela... – powtórzył. – A ja byłem...

Twarz pułkownika stała się naraz ciemna, tak napłynęła krwią. Cofnął się o krok od łóżka. Opuścił rękę z orderem. Przystojny adiutant patrzył oniemiały: on jeden tylko nie rozumiał, co się stało. Ale pułkownik to człowiek bywały. Opanował się. Zaczął mówić zupełnie innym niż dotąd głosem. Ani uroczystym, ani ojcowskim, ani wodzowskim. Jakimś dziwnie ludzkim.

– Ach, to wy, wtedy... Przykro mi... Ja... doprawdy... Przykro...

Adiutant patrzył oniemiały na swego woźdza. Pewno go nigdy nie widział takim. Ja podniosłem się. Patrzyłem na twarz Łaptaka. Znikło z niej naprężenie sprzed chwili. Zjawił się tylko bardzo smutny, jesienny uśmiech... – Zdarza się... tak, to ja... dobrze... ale... niech pan major... już mnie i teraz... zostawi... mnie... już niedługo...

Miał rację. Rzeczywiście było niedługo. Lekarz też miał rację. Jakoś ledwo w godzinę potem przysunięto biały parawan, przyszedł ksiądz, czarnooki dominikanin w szerokiej białej sutannie pod czarnym płaszczem, i wsunął się w szumie tej sutanny za parawan. Przy-

szyła siostra i doktor i mówili do siebie cicho, aż nie słychać było jego głosu. Leżałem nasłuchując, kiedy siostra podeszła do mnie i podparła mnie: – On chce pana jeszcze zobaczyć. – Myślałem, że mi coś powie, ale poruszał tylko wargami. – Józek, Józek – powiedziałem i myślałem, że może chce tę *Grenadę*. Ale siostra potrząsnęła głową. – On już nie może mówić, on już nie słyszy. On jeszcze tylko widzi. Może mu pan zrobi jaki znak? Jakiś polski znak. – Polski znak? Nie znałem żadnego polskiego znaku. Ale naraz uświadomiłem sobie, że jest jeden znak, jakiego sam nie robiłem, który moim nie był, ale który temu człowiekowi wchodzącemu w śmierć przypomni to, co było jego młodością i jego wiarą, i jego ofiarą, i jego wzlotem, i najpiękniejszym, i najbardziej gorzkim w jego młodym, dopalającym się życiu. I tak, aby ją widział, póki jeszcze widzieć będzie, podniosłem pięść zwiniętą w kułak, pięść, jak oni podnosili ją w Hiszpanii. Tak. To był znak. I trzymałem ją tak na jego oczach, aż odwracały się w górę, stawały znieruchomiałe i szklane, i nim nie włożyłem mu – na zawsze – tego jego wykupionego różańca.

Gwiazda Wytrwałości

W ostatnich dniach listopada 1944 roku na północnym skrzydle zachodniego frontu zapanował zupełny zastój. Czołgi pierwszej polskiej dywizji pancерnej, przebywszy heroicznie Normandię, Pas-de-Calais, Flandrię, Belgię, wryły się na dobre w rozmiękczone deszczami jesiennymi piaski, groble i błota Brabantu. Holenderskie kanały trzymały dobrze. Codziennie szwadron po szwadronie wysuwał się na odcinku pułkowym na ewentualne „zadanie”, ale zadania jakoś nie przychodziły i kronika pułku stała się ostatecznie sucha i krótka. Co więcej, mnożyły się nieomyślne oznaki, że front nieprędko się ruszy. Z Londynu niemal co parę dni przyjeżdżał teraz na inspekcję jakiś dobrze odchowany, sutouorderzony generał, uroczyście objeżdżał „pozycje”, przeprowadzał „lustrację”, z niekłamany zdziwieniem przypatrywał się

czołgom, po czym w kasynie oficerskim wracał do opowiadań bujnej młodości i doświadczeń bojowych spod Łowczówka czy Radzimina. Przyjechał – także z Londynu – specjalny korespondent fotograficzny polskiego ministerstwa informacji, dokonał paru zdjęć „z pierwszej linii” – dekoracja żołnierzy, mesa sztabowa, msza polowa itp., okazał się wielkim mistrzem w dziedzinie pokera, a jeszcze większym na polu giełdowych spekulacji walutami. Nawet trzech polskich korespondentów wojennych zaryzykowało jeepami swój pierwszy w życiu dojazd do bojowych oddziałów dywizji. Wszystko to, dla dobrze obeznanych z sprawami wojny, mówiło jasno: *lull*. Znosi się najwyraźniej na dłuższy, może do Nowego Roku zaciągnięty zastój działań wojennych.

Nic też dziwnego, że aż czterech oficerów 10. pułku strzelców konnych wzięło wspólny urlop i jeepem rotmistrza Iwanowskiego (tym samym, którego, gdyby nie alarm polskich Żydów, Kanadyjczycy omal nie buchnęli z Antwerpii), pognało do Brukseli. Szybko wpadli z grobli przykanałowych Brabantu na szeroki asfalt holenderskich szos, zostawili na boku Bredeę, zjechali z drogi na Antwerpię

i gnali popod cieniem klonowych alei ku Brukseli. Był ranek bardzo wczesny i bardzo listopadowy, w przeddzień spadł był deszcz i wielkie kałuże schły wolno na szosie, furczały po niej tam i z powrotem wojskowe woziki, asfalt wyścielały miejscami opadłe żółte, rozczapierzone liście. Jesień brabancka jest podła, bo bardzo deszczowa i mglista, ale tego dnia do południa zaczęło się wypogadzać i zaczynała się prawie robić, jak zauważył ksiądz kapelan Kłażewski, prawdziwa jesień podolska. Gdy wjeżdżali w zatłoczone dojazdowe drogi do Brukseli, urlop zapowiadał się nie mniej pięknie jak pogoda. Szkoda tylko, że był taki krótki. Przepustki opiewały do godziny 12 w nocy następnego dnia, 29 listopada. A tu tymczasem nieubłaganie było już niemal południe dwudziestego ósmego.

Rozeszli się każdy w swoją stronę, za swoim interesem czy potrzebą, na środku Boulevard Max, tuż przed hotelem „Atlanta”. Weszli nawet jeszcze wszyscy czterej do niej, jako że w „Atlancie” stawali z przydziału oficerowie pierwszej armii kanadyjskiej, w skład której wchodziła polska dywizja pancerna. Od tej chwili rozpoczął się pech, wyraźny pech całego tego urlopu. Nie było

pokojów. „Atlanta” była wyjątkowym hotelem brukselskim, który dawał gwarantowanie czystą pościel i – jakże cenioną po froncie! – możliwość rzetelnej, gorącej kąpieli. Po wielkich staraniach koloratka księdza kapelana czy francuszczyzna porucznika Sztuma zrobiły swoje i zdobyto dwa łóżka, w dwóch różnych pokojach. Ksiądz odstąpił potem swoje Iwanowi: sam poszedł ulokować się w którymś z brukselskich klasztorów. Problem noclegu Witka okazał się mniej trudny: miała go przytulić ofiarnie kuzynka jednej znajomej z Gandawy. Ale pech prześladował nadal wszystkich razem i każdego z osobna. Wizyta u pana Marcina zawiodła spodziewane nadzieje: w „Sonacie” zmienił się program wieczorny i nie występowała już, znana dobrze niejednemu z oficerów pułku, piękna Marusia, córka grabarza z Lille. Sztum daremno biegał po księgarniach za gramatyką języka dolnoniemieckiego, którą obiecano mu przed dwoma tygodniami; kapelan nie dotarł do źródeł olejku lawendowego; a rotmistrz Iwanowski, który ze swych operacji nie zwierzał się szerzej, wrócił nazajutrz wieczorem na umówione miejsce w najgorszym humorze. W dodatku termin kończenia się

przepustki uniemożliwił spędzenie drugiego wieczoru w Brukseli. Do miejsca postoju pułku były dobre trzy godziny jazdy. Raczej cztery, zwłaszcza że po nocy i zwłaszcza że na miasto zaszła właśnie mżysta listopadowa szaruga, w której ginęły nieliczne uliczne światła i blakły pozłacane gzymsy domów starych przy Hôtel de Ville.

Na miejsce spotkania przed odjazdem rotmistrz wybrał niewielką boczną uliczkę w tyle za tymże Hôtel de Ville, już na starym mieście brukselskim, przed niewielką kawiarnią, raczej szynkiem, bistro, gdzie można będzie jeszcze i napić się, i przekąsić. Na przepelnionych ulicach Brukseli byłoby trudno postawić jeepa. Tu nie było nikogo o tej porze, a w bistro można było usiąść przy szerokim, starym oknie i mieć wóz na oku. (Od czasu swej antwerpskiej przygody rotmistrz był ostrożny). Każdemu dał dokładny opis kawiarni, narysował niewielki plan, wypisał nazwę ulicy. Trafić tu istotnie nie było łatwo. Właśnie ta część starego miasta była gmatwaniną ulic dość opuszczonych i nieładnych. Piękne jej gmachy poburzono i zastąpiono innymi jakich sto czy mniej lat temu: mało który zachował się z epoki. Ale uliczki i domy miały mimo tego charak-

ter staroświecki, choć nie miały staroświeckiego wdzięku. A może nie miały go owego dnia i wieczoru, w listopadowym mroku, słońcie i mgle.

Zeszli się nawet punktualnie, dobrze przed siódmą. Kawiarnia okazała się dobrym miejscem spotkania. Nie tylko że nie było tu tłoczno, ale gdy weszli, nie było w ogóle nikogo. Zegar z wahadłem, z obrazkiem namalowanym na tarczy, głośno i nieregularnie cykał swoje minuty: na tle boazerii, starej, ciemnej i nieładnej, na półce obok cynowych kufli wylegiwał się leniwy kot; za jeszcze ciemniejszą ladą, z butelkami w głębi, podniosła się, zbudzona z drzemki, thusta, łysawa i płaska postać gospodarza. *Patron* dość opryskliwie objaśniał, że nie ma nic do jedzenia. Tak, chleb. Chleb jest. Ale poza tym nic. Może być kawa. Oczywiście nieprawdziwa: skądże? Wino? Tak: wino. Jeśli panowie nazywają to winem... *Padre* Kłażewski z właściwą sobie w rzeczach doczesnych sprawnością zorganizował posiłek. Za ladą prymus grzejący kawę zaczął furczeć, z jeepa Sztum przyniósł dwie puszki corned beefa, na złotym, dużym stole pojawiły się kolejno talerze, noże, chleb, szklanki, cierpkie belgijskie

wino. Jedli w milczeniu, rozpamiętywając zmarnowany, nieudany urlop, do domu się nie kwapiąc. Z okna, jeep w ciemniejącym mroku przypominał im pułk i odjazd. Za nimi, w głębi ciemnej sali, Belg gospodarz ponownie zapadł w martwość, z której nie dał się wytrącić ani na chwilę kot.

– Jak myślicie, czy w kasynie będą pamiętali, żeby nam co zostawić?

– Kto się teraz tym zajmuje?

– Henio.

– Henio nie pomyśli.

– U Niedzielskiego na pewno by zostawili.

– Pewno. U nas, wiesz, jak to jest.

– U Salwy zawsze zostawiają.

– No no... Nie mów, jak nie wiesz. Jak Salwa pojedzie do Brukseli, to pewno, że mu zostawią. Ale tak o każdym pamiętać znowu nie będą.

Rozmowa się rwała. Dolali wina.

– Co, zabieramy się? – pytał Iwan.

– Zaczekaj jeszcze, co się tak spieszyć – opóźniał ksiądz.

– Droga zła po nocy...

– Ale czasu pełno. Zupełnie dosyć. Zre-sztą... zostawiłem kartkę u pana Marcina, żeby przyszedł, jeśli co najdzie. Co szkodzi poczekać?

Za oknem wokoło samotnego jeepa, w pustej, nie oświetlonej ulicy rozsączał się mokry, wodnisty mrok. Lampa nad ladą w głębi rozświetlała opuszczoną w dół połyskliwą tyśinę Belga. Wśród cyny na półce kot spał hieratycznym snem.

– Było co w gazetach?

– Iii... Dalej o tej mowie Churchilla.

– Że Lwów to powinniśmy oddać, a Gdańska to nie brać?

– Aha.

– Dobry aliant.

– Dobry – podniósł Iwanowski. – Dooooobry. Dooooobry...

– Ech, powiem wam, komu źle – a nam najgorzej.

– W trzydziestym dziewiątym było gorzej... – ryzykował ksiądz.

– W trzydziestym dziewiątym gorzej? Kapelanie kochany, z cyckaś się urwał? W trzydziestym dziewiątym gorzej? Warszawa, braćcie, stała. Warszawa stała. I była nadzieja. I była wiara. Wierzyło się tym aliantom, rozumiesz? Nie znało się ich jeszcze! To różnica, rozumiesz? Była wiara. A teraz? Wierzysz jeszcze Churchillom i innym? Wierzysz? To kup sobie zbiorowe wydanie jego

mów, czytaj jedną po drugiej, odechce ci się. Jak po powstaniu tym całym odechciewa się już...

– Powstanie...

Słowo to zostało wypowiedziane jak echo, gdzieś zza ich pleców. Spoza nich. To pewna, że nie powiedział go Witek, który po zjedzeniu swego beefu pisał szybko jakiś list, ani Sztum, który dopijał wino. Słowo „powstanie” powtórzył ktoś za nimi. Ktoś piąty. Ktoś, kogo nie było. Gospodarz Belg? Obejrżeli się. Pod niską lampą łysina obniżyła się była bardziej jeszcze. Zegar nierówno tykał. Tylko z boku odezwało się ostre starcze kasznięcie.

Teraz dopiero zauważyli, że nie są sami w pokoju. Widocznie, gdy byli zajęci jedzeniem, wszedł cicho, siadł cicho, tak że nie spostrzegli go. Był dość blisko nich, przy sąsiednim prawie stoliku, ale w głębi, jakby we wnętrzu. Zaspany gospodarz nie zdążył także go zauważyć, bo nie podszedł, i przybysz siedział jakby czekając. Jego przymrużone oczy wpatrzone były gdzieś przed siebie i niewidoczne.

– Znowu ktoś „od naszych”...

Powiedział to Witek, tym razem z porozumiewawczym uśmiechem. Wszyscy wiedzie-

li, dlaczego. Bruksela jesienią i zimą owego roku wyzwolenia (jak też i Antwerpia, i Gandawa, i Breda, ale przede wszystkim Bruksela) pełna była polskich Żydów, wypełzłych naraz z jakichś schowków, targujących i handlujących za wszystkie lata, jakie z łaski Hitlera spędzili w norach swych ukryć. Zaczepiali na ulicach wojskowych – lub bywali przez wojskowych zaczepiani – i przeprowadzali wszelkie rozliczne i skomplikowane transakcje, wymiany guldenów na franki i odwrotnie, zakupy postal, orderów, złotych monet, aparatów Leica, pończoch nylonów, papierosów amerykańskich, łupów.

Iwan oponował:

– Byłby podszedł. Nie każdy z brodą zaraz Żyd...

– Z brodą? Popatrz na jego czapkę? Cera-towa maciejówka. Nie Żyd? Powiem ci nawet skąd: z Kongresówki!

Kapelan, zrezygnowawszy już ostatecznie z przyścia pana Marcina, przypatrzył się także. Człowiek, który siedział we wnęce, mógł być istotnie polskim Żydem. Miał nieżydowski może, ale ostry, wydatny nos. Posiwiąta, niesforna bródka jak zapuszczony zarost opływała mu załom policzków i kończyła się

spiczasto. Miał na sobie jakieś ciemne, dość staroświeckie ubranie – dziwacznie wtedy ludzie chodzili, nawet w Belgii. Mogło być czymś w rodzaju kapoty. Na stole jednak, przed sobą, położył czapkę. Była to istotnie krągła czapka z daszkiem, niewielkim daszkiem, ceratowa sama, wytarta na bokach, przyduszona i potłuszczona. Przypominała istotnie maciejówki lub czapki noszone do niedawna przez Żydów z Kongresówki.

– Może wcale nie Żyd? – pytał Sztum.

– Mów głośniej, jeszcze głośniej – zgromił kapelan. – Żyd! Żyd!

– Wcale tak głośno nie mówiłem! On zresztą nie słyszy.

– Może nie rozumie? Dlaczego musi zaraz być z Polski?

I tak się stało, że w tym momencie wszyscy czterej spojrzeli na przybysza. Siedział zniechęcony zupełnie i miał oczy tak ukryte w tym przymrużeniu powiek, że można się było niemal zastanawiać nie tylko nad tym, czy słyszy, ale czy w ogóle żyje. Poczł widocznie spojrzenie na sobie, bo drgnął. Oczy otwierały mu się powoli, jakby ze snu. Poruszył głową. Witek poczuł naraz w swych własnych źrenicach sondy dwojga jasnych, starczych, nie-

zmiernie przenikliwie jednak patrzących oczu. Z kolei poruszyły się wargi. Witek miał potem zachować wspomnienie owej stopniowej kolejności tych ruchów. Poruszyły się wargi wąskie, po czym, jeszcze po chwili doszedł wyraźny, ale cichy głos:

– Panowie, widzę, Polacy... Polacy...

(„Nie ma żadnego akcentu – przeleciało przez myśl Witkowi – żadnego akcentu. Nie, nie, zwłaszcza ani śladu żydowskiego jakiegoś akcentu. A jednocześnie mówi jakoś dziwnie i inaczej. Pewno odwykł. Na pewno. Za granicą”.)

– Pan szanowny – tak dziwnie jakoś zaczął Iwan – też z Polski? Od dawna?

Stary człowiek popatrzył na rotmistrza i dalej mówił cichym głosem.

– Dlaczego – z Polski? Dlaczego – z Polski? Ja – Polak. Jak panowie. Jak wy.

(„Nie, nie jest Żydem – pomyślał Witek – nie jest. Mogło się zdawać zrazu na pierwsze wejrzenie, ale nie, nie jest”.) I zagadnął:

– O, to przepraszamy bardzo. Myśmy myśleli z początku, że pan jest Żydem z Polski. Bardzo przepraszam. Pan rozumie.

Stary człowiek poruszył się:

– Nie ma za co przepraszać. Izrael – brat starszy. Nie ma za co. Prawda? Broda? Za

moich czasów wszyscy nosili. A wąsy jakie. Patriotyczną winność z tego czynili. Że Żyd to i pisali w gazetach paryskich. Też nieprawda. Rodzina – dziad – przyszła z Saksonii. Nazwisko się upolszczyło... To i tak... Za powstania też wytykali... Emigracja nie gorsza... Na paryskim bruku...

– Eee, paryskim – powiedział z wyższością Kłazewski. – Co tam paryskim! Jeszcze nie zdążyli walizek rozpakować. Londyńskim, o, tam by pan dopiero zobaczył. Tam to się żrą...

Starszy pan patrzył przed siebie:

– Londyn – mówił – Londyn. Nie. Jednak nie to, co Paryż. Przede wszystkim nie tylu ich tam najechało... Kielecczan, Płocczan, Oszmiańczuków... Kto tam siedzi w Londynie? Mnie by samemu tęskno było do...

Tu wymienił nazwisko, które potem zapomnieli tamci, jakieś jakby na W. Witek szukał w mózgu wtedy, kiedy je posłyszał: wydało mu się skądś znane. Ale nie mógł go jakoś skojarzyć z żadnym z londyńskich biur. Więc żeby pokryć tę lukę w rozmowie zapytał:

– A pan szanowny wołał tu, w Brukseli?

Siwe oczy starego człowieka rozjaśniły się. Twarz ożywiła się naraz:

– A tak! W Brukseli. I blisko tego Paryża i tego, co się tam święci i gwarzy, i roi, i dalej od niego także. I blisko tego Londynu, gdzie socjaliści... socjalizm (podkreślał w słowie literę „y”). Trochę tu naszych oficerów z trzydziestego pierwszego... I pamiętają. Lubią. Belgowie, wdzięczny naród. Nie zapomnieli. To nie francuski *bourgeois*, ten sam za Burbona co za Louis Filipa...

– Czego nie zapomnieli? – wtrącił nie bardzo rozumiejący Sztum.

Staremu panu podniosły się zdumieniem siwawe brwi wąskie.

– Jak to czego? To młodzi się pytają dziś, na emigracji, czego? A o czym to panowie mówili na początku? Powstania nam nie zapomnieli. Ot co! Powstania! To nie pamiętacie, że tacy jak wy, w noc listopadową, ciemno było jak dziś, dziś noc taka sama. O polską sprawę wtedy mniej szło jak o europejską... o ludów... o tę belgijską... Belgowie za broń chwycili... Wolność sami wzięli. Car odebrać chciał. Car! Nasze wojsko miało pójść. Na Belgię! Tłumić! – I poszło! Na Belweder.

Stary pan podniecił się nagle. Wyrzucał słowa w gorączce jakiejś, ożywieniu. Ożywienie zapadało w znużoną już obojętność

oficerów. Iwanowski postrzygł uszami do Sztuma, mrugał na Witka, Kłazewskiemu zdało się, że stary to przychwycił, więc starał się rozładować grzecznie:

– Pan szanowny ma pamięć do historii...

– Pamięć do historii? A cóż ja innego robię? Piszę, zbieram. Jak nie mam pamiętać... Ojciec umierał, pamiętam, wtedy. Pamiętam, umierał ojciec... Był listopad i było ciemno... Wbiegła służąca, że strzały i że gwardie wyszły na ulicę. Bo koszary gwardii były najbliższe naszych. Potem do pani Rautenstrauchovej, która mieszkała najbliżej, poszli powiedzieć... Ojciec umierał...

Sztum od kilku minut słuchał z podejrzliwą uwagą:

– Przepraszam pana... może nie zrozumiałem... pan mówi, że ojciec pana... bardzo mi przykro, istotnie... że ojciec pana umarł... kiedy?... w rocznicę listopadową?

Stary człowiek zaprzeczył głową:

– W rocznicę? W rocznicę już w Warszawie był Paskiewicz. W ten dzień właśnie. Nie w dzień, raczej w noc. W ową noc listopadową.

Sztum upewniał się:

– W Noc Listopadową?

Stary człowiek kiwnął dumnie głową:

– Tak, panie. W Noc Listopadową.

Sztum jeszcze się upewniał. Sztum był zawsze wielki pedant:

– Zaraz, zaraz, więc jak? W noc listopadową, 29 listopada 1830 roku? Tysiąc osiemset trzydziestego roku podkreślił słowo osiem.

– W noc wybuchu powstania?

Stary człowiek skinął głową tak samo i spokojnie jakoś, z uporem:

– Tak, panie. Mój ojciec, świeć Panie nad jego duszą, umierał właśnie wtedy, kiedy Wysocki, biedny Wysocki, szedł na Belweder.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Zza lady doleciało pochrapywanie łysego Belga. Wszyscy przeliczyli sobie naraz w głowie odległość dat dzielących historyczny rok 1830 i dzisiejszy, 1944. Wszyscy zapytywali sami siebie o to samo, o co zapytywał starego wścibski, mały Sztum. Na ustach Sztuma ustalił się wreszcie ironiczny, kpiący uśmiech, który spotkał się z pobłażliwym uśmiechem Kłazewskiego i z pokręceniem głowy Iwanowskiego, i z jakimś zakłopotaniem Witka. Stary człowiek nie widział tego wszystkiego. Znowu jakby zapadł w ten swój dziwny półsen. Jego oczy patrzyły gdzieś przed siebie.

Milczenie przerwał naraz głos Sztuma. Był to głos sztubaka, który podchodzi naiwnego profesora w szkole.

– To bardzo dobrze wiedzieć... Naprawdę, miło poznać... To pan dobrze pamięta, jak to było... Może nam pan opowie...? Niech no pan się przysiądzie... Prosimy. Prosimy. Jak to z tym było?

Witkowi, trąconemu przez Sztuma pod stołem, zrobiło się jakoś nieprzyjemnie. Ale tymczasem stary człowiek usiadłszy przy nich zaczął opowiadać:

– Ojciec był bardzo źle od czwartku już. Rozumieją panowie, w jego wieku. Po południu, gdzieś koło piątej, był doktor Chevalier. Powiedział, że stan jest bardzo niedobry... Odprowadzałem go do drzwi. Nim wyszedł, powiedział w progu: – To na dziś wieczór. – Byłem tak zasepiony ojcem, że nie rozumiał nawet. Zrozumiałem raczej, że doktor Chevalier zapowiada śmierć ojca na dziś wieczór. Co i nastąpiło, ale później. Zapytałem więc: – Jak to, dziś wieczór? – On rozumiał, że myślę o ojcu, i wziął mnie za rękę. Pamiętam jak dziś. Przyciągnął twarzą do twarzy i powiedział: – *Non, pas votre père. L'autre. C'est pour lui ce soir. L'ours.* – Bo panowie wiedzą, myśmy w naszej

mowie tajemnej mówili o nim: *l'ours*. Niedźwiedź. Albo: *le mongol*. Że Kałmuk taki, Kałmuk...

– Jaki Kałmuk? – zapytał Sztum.

Pólszeptem, takim samym głosem, jakim musiał zapytywać doktora Chevalier, groźnym, konspiracyjnym pólszeptem rzucił przez stół, nachyliwszy się nagle:

– K o n s t a n t y.

Zrobiło się nagle cicho i jakoś niesamowicie. Światło dalekiej lampy było jakby bledsze, rozcieńczone ciemno i mgliście. Stary pan opowiadał dalej:

– Świętej pamięci mój ojciec mieszkał w pokoikach na górze, ale na czas choroby zniosłem go na dół i leżał w pokoju, obok którego ja pracowałem. Wykańczyłem moje *Prawo litewskie*. Doktor Chevalier wyszedł, a ja przypominałem sobie wszystko. W sieni. Ledwo drzwi za nim zamknąłem. Powiedział jeszcze, żeby go nie wołano, jeśli nie będzie potrzeba, bo boi się *une bagarre*. Trzeba zaś panom oficerom wiedzieć, że ten Chevalier był francuskim emigrantem. Był kiedyś jakobinem, potem był lekarzem pułkowym za Napoleona u Murata, ranny w 1812 roku, przechował się w dworze u Ciechanowieckich w Mińszczyźnie – moja siostra cioteczna by-

ła za tym Ciechanowieckim – potem był sztabsarctem emerytusem u generała Umińskiego. Do Francji burbońskiej dawny jakobin nie mógł i nie chciał wrócić; znali go tam. Zataił się u nas. Leczył w wojsku i mieście, miał wykłady dla młodych medyków wojskowych i duże wzięcie. Mieli go trochę na oku, bo sprowadzał z Paryża „Constitutionella”, a panowie wiedzą, jak się o to złościł *le mongol*. Ale miał praktykę w tych sprawach, nie jak nasi. – Kto się u Fouché uchronił, tego byle Makrot nie złapie – mawiał. Wiedziałem *qu'il est bien renseigné*. Nie jak nasi. I powiedziałem sobie, że jeśli powie dział, że to dziś, no to znaczy, że dziś.

Dokładność opowiadania poczyniała działać.

– Może się pan z nami napije, proszę – prosił rotmistrz. – *Patron, un couvert de plus...*

– Dziękuję, za moich czasów wino tu bywało niegorsze. Tutejsze, ale niegorsze. Gdzie to ja urwałem? Aha, jak wyszedł doktor. Więc jak wyszedł, wszedłem do mego pokoju. Gdzie pracowałem. Drzwi od pokoju ojca były otwarte. Spał. Źle oddychał, nierówno, ale spał. Te-dym usiadł przy sekreterze – właśnie pisałem wykład o prawie litewskim dawnym – i zacząłem sobie przypominać. Parę tygodni wcześ-

niej był u mnie Wysocki. Kapitan Wysocki. Mówił, że wybuch będzie. U podchorążych. Że jest i druga, cywilna konspiracja. Nabelak, Plater, Orpiszewski. Dwóch Orpiszewskich. Że jest i w pułkach rosyjskich, w gwardiach zwłaszcza. W wołyńskiej. Radził się. Młodzież mi wierzyła. Pytał o Francję. Co zrobi? Nie wiedziałem, co zrobi Francja, ale wiedziałem, że to, co jest nieuchronne i nikt tego już nie odwróci. I wiedziałem, kiedy wychodził ode mnie kapitan Wysocki, że to przyjść musi, i niebawem. Ale potem przyszła choroba ojca i jużem w to wpadł i o bożym świecie zapomniał.

Siedziałem może godzinę, może więcej. Weszła Franciszka, służąca (jeszcze u matki mojej była), zapaliła świece. Słyszałem, jak od ulicy podszedł stróż Jędrzej, żeby zasłonić okiennicę. Pokazałem przez okno ręką, żeby zasłonił u ojca, ale nie u mnie, i żeby przyszedł do sieni. Kiedy przyszedł, dałem mu szóstaka, że taki staranny, i zapytałem, co na mieście słyhać. – Ano nic, powiedział Jędrzej, a to pan profesur nie wie, że córka Kozuba, tego szewca z Franciszkańskiej, uciekła z tym przystojnym czeladnikiem? Pono są za pruską granicą? – Wydawał się bardzo zajęty tą wieścią. – A niczego tam więcej nie sły-

chać, Jędrzeju, na mieście? – jeszcze pytałem. – Ano nic, proszę ja łaski pana profesura, ano nic, bo to z Jedlikówną nie wyszło naprawdę. Chyba jeszcze to – dodał – że studenty i oficerzy znowu o ruchu jakimś mówią. Ale że to pan profesur wie, jak to jest na świecie; pod wiosną mówią, że wojna będzie, a na jesieni, że rewolucja. A jeszcze, że słyszeli we Francji i w tej drugiej. – Wtedy obudził się ojciec i zawołał mnie zaraz. Poszedłem. Jędrzej odszedł. Miał przyjść dopiero na drugi dzień. Przyprowadzić stolarza. Na miarę trumny.

Ja tymczasem usiadłem przy ojcu. Ojciec oddychał gorzej i świstało mu w gardle. Siedziałem przy nim i patrzyłem do mojego pokoju ponad te książki za okno. Było coraz ciemniej. Naszą ulicą mało kto chodził wieczorem, więc słyszało się kroki. Ojciec się męczył, brakło mu tchu, podnosiłem mu poduszki. Poszedłem po drugie do siebie i wtedy posłyszałem strzały. Jakby strzały. Od Belwederu. Potem z pół godziny było cicho, aż naraz ktoś biegł ulicą i to słyszać było głośno. Nawet ojciec słyszał. Strzałów nie słyszał jakoś. Były daleko. Weszła Franciszka z narządzonymi wywarami dla ojca, które przepisał doktor Chevalier. Powiedzia-

ła, że mówili, że jest pożar jakiś. Ojciec się zląkł, czy blisko. Uspokajała, że nie, że daleko. I że ugasili. Gdzieś aż na Solcu.

Sztum słuchał ze wszystkich najpilniej.

– Ojciec coraz gorzej chwycił oddech i bolały go piersi przy tym, kiedy strzały doszły całkiem wyraźnie, ale z innej już strony, od miasta. (Potem dowiedziałem się, że to było wtedy, kiedy wystąpiły inne pułki, wzięto arsenał, rozbrojono w teatrze oficerów rosyjskich.) Coraz to ktoś biegł ulicą koło nas, czasem krzyczał, raz pognali konno. Potem ojciec rzeził i posłałem Franciszkę po doktora, ale wróciła bez niego i powiedziała, że Jezus Maria! Rewolucja francuska, że wielki kniaź ubit, że jeden generał polski zabity na Mostowej leży. Czy na Lesznie. – Mówiła pacytując głośno. Zgromiłem ją, by nie straszyla mi ojca, ale ojciec już nie słyszał. Usta mu się tylko poruszały, powietrze nimi chwycił i raz, gdy były nowe strzały, jakby oczy otworzył. Ale nie, na pewno nic nie słyszał. I tak szły godziny jedna po drugiej na zegarze, świece dopalały się i trzeba było nowe wstawiać. I tu na moich rękach konał mi ojciec, a tam na ulicy rodziła się wolność! Przyszedł ksiądz od franciszkanów, jakiś zestrachany, udzielił

in articulo i zaraz wybiegł. Było coraz głośniej na mieście, ale ojciec tego wszystkiego już nie słyszał. Świtało za oknem, kiedy ojciec skończył na moich rękach i kiedy zapukał kołatką doktor Chevalier. Miał pochlapany krwią surdut i ręce, bo szedł ze szpitala. Powiedział, że wielki ksiązę nie żyje i Kuruta, i Potocki Stanisław, i generał Hausman. – *Et votre père?* – przypomniał sobie. – *Il è est mort* – powiedziałem. – *Il è a vécu assez pour rendre son dernier souffle dans une patrie libre.* – Pamiętam jak dziś. I zaraz potem przyszli do mnie studenci i oficerowie z kokardkami narodowymi na piersiach, francuskimi, rewolucyjnymi, i tłum, i posłali z Rady Administracyjnej. No jakże, zdałem egzamin z historii, panie poruczniku?

Wszyscy, ze Sztumem pierwszym, byli zapomnieli o pytaniu niedowierczym Sztuma. Tamto wszystko odpłynęło gdzieś w mrok. W powietrzu belgijskiego bistra, jak kłęby nie rozwianego dymu, unosiło się jeszcze strzępami tamto opowiadanie.

Stary człowiek kiwał teraz głową. Był zupełnie jak stary polski Żyd, niedobitek zaginionego gatunku. Oczy utkwiał w Sztuma, najmłodszego ze wszystkich. Były to oczy

rozmrużone teraz zupełnie, ogromnie jakieś jasne. Głowa roztrzęsała mu się zupełnie:

– Wojsko polskie – mówił urywanymi zdaniami – wojsko polskie... wojsko polskie w Brukseli... myślałem, że to nigdy nie będzie... że się nie stanie... coś takiego... pamiętam... szło wojsko z Warszawy, wychodziło we wrześniu... no i stało się...

– Tak, tak, panie dobrodzieju kochany, stało się, i jeszcze w Warszawie będziemy, ale teraz nam jechać pora, przepustka się kończy – przerwał rzeczowo Iwan.

Wszystkim to ulżyło.

(„Nie, stanowczo dosyć tych roztkliwień nad wojskiem polskim i głędzenia, i mazgajstwa, i tych opowiadań, jak to czyjś ojciec umierał. Dziadydze pomieszało się wszystko. Za długo siedział po jakichś lochach czy schówkach na gestapo. Otóż to” – myślał Wittek.) I głośno, żeby poprzeć Iwana:

– Jak to pan wie. Komu w drogę, temu...

Stały zaprotestował. Był cały w gwałtownych a drobnych starczych ruchach:

– O, co znowu – mówił swoją dziwną, emigrancką polszczyzną. – Polskie przysłowie, polski obyczaj narodowy – obyczaj narodowy – każe strzemiennego...

I nachyliwszy się do Witka, łypnąwszy okiem, zarechotał:

– A jak strzemiennego, to już miodem! Polskim miodem. Mam polski miód. Stary, Fukierowski! Lubliner przysłał...

– Kto? – zainteresował się Sztum.

– Lubliner. O nim też w paryskich naszych gazetach emigracji. Ha! gorzej niż o mnie jeszcze. Lubliner...

– Może Litauer? – poprawiał Witek.

Stary się gniewał:

– Gdzie Litauer? Jaki Litauer? Litawor? Lubliner, mówię. Panowie nic o Lublinerze... A, prawda...

I jakby sobie coś przypomniał. Zapatrzył się. I naraz:

– Dziwne te wasze nowe mundury... Szare takie... Tylko orzeł ten ci... A te... wypustki... barwy... proporczyki czy jak to tam... jaki panowie pułk?

– Dziesiąty strzelców konnych – zaskandował czwórgłos.

– Dziesiąty strzelców konnych... – powtórzyło starcze echo. – Dziesiąty... Ach tak... Zielone kurtki, żółte wyłogi. Dobry pułk. Jeszcze napoleoński... Z rekrutacji do Hiszpanii 1808 roku... Dobry pułk. Nie taki od paniczów,

a dobry... Oficerstwo było w konspiracji... Pod Grochowem nacierali z Umińskim... Pod Iganiami... Zaraz, zaraz, nie przypomnę sobie... A może nie? Może to pod Dębem Wielkim? Ot, dziurawa pamięć... Ale przy miodzie się załata... No, proszę łaski panów do mnie. W niskie progi... Ja tu o kilka progów...

Iwanem znowu zatargał tak zwany obowiązek:

– Bardzo ładnie, panie dobrodzieju – sam przechodził na ten dziwny język – ale my w wojsku, służba. Już późna godzina... Pora do pułku...

– Jaka późna godzina? A któraż to u pana rotmistrza? Na mojej cebuli siódmej nie ma.

Iwanowski spojrzał i nie rozumiał. Na jego chronometrze złotym, szwajcarskim była za pięć siódma. Witek i ksiądz spojrzeli na swoje. Było tak samo.

W zamieszaniu zapomnieli o wszystkim, nawet o jeepie, który dalej stał przed traktiernią, gdy oni ze starym, zgarbionym człowiekiem w lichym palcie i ceratowej maciejówce szli przez mgły brukselskich uliczek.

Nie szli długo.

Dom, przed którym stanęli, był ciemny i wąski, sień bez światła i schody drewniane

pogarbione. Wprost z tej klatki weszli na piętrze do pokoju wysokiego i wielkiego. Wyglądał tak, jakby sam był całym mieszkaniem – łóżko tanie, derką przykryte, staroświecka umywalka. Wyglądał jeszcze jak rupieciarz, jak boczny pokój antykwarni. Na półkach, wzdłuż wszystkich prawie ścian, układały się książki mniejsze i większe, staroświeckie wszystkie. Książki zbiegały się aż na wielki stół w podkowie, zarzucony jeszcze papierami, pozapisywanymi drobnym, wyraźnym pisemkiem. Stary zawijał się koło jakiegoś kąta, wytaszczając zielonkawą butelkę i zabrudzone kieliszki. Jego ręce drżały przy tej robocie. Kopcąca lampa rzucała więcej cieniów niż światła.

– Widzisz – trącił Sztum Witka – tym pisze...

– A czym, za pozwoleniem – dosłyszał widocznie stary – mam pisać, mój poruczniku? Pióro? Że gęsie? Temperują mi je w sąsiedniej *papeterie* – objaśniał – bo ręka już, jak panowie sami widzą... miód rozlewa i pióra źle tnie. Nie tak za jednym pociągnięciem, jak trzeba... No, panowie? Napijmy się. W wasze...

– Mooocny miód – osądził Iwan.

– A co, panie rotmistrzu, a co? Warto było wstąpić do starego? On mi się dla was

chował, polskiego wojska. Miód stary jak książki...

– Książki też niczego – pochwalił Witek.

– Uzbierał też tu sobie pan bibliotekę...

Stary machnął ręką:

– Bibliotekę! Bibliotekę! Trzeba było widzieć u mnie w Wilnie. Albo w Warszawie. Ani jednej książki nie wywiozłem we wrześniu...

W Sztumie zbudził się inkwizytor:

– To pan we wrześniu wyjechał z Warszawy? We wrześniu?

Stary zdziwił się.

– Ano wrzesień był przecież, kiedy podpisywali kapitulacją – wymawiał znowu tak dziwnie: „kapitulacją”. – Kiedy rząd i sejm, i wojsko poszły na Zakroczym, Zawichost, Czersk, do Płocka...

– Jak to do Płocka – irytował się Sztum – jakiego tam Płocka? Zaleszczyk.

(„Nie przerywaj – spotkał upominający wzrok księdza – nie przerywaj, daj wreszcie spokój. Nie rozumiesz? Biedny stary, pomieszało mu się wszystko w głowie. Że też z tobą, Sztum...”)

„Dobrze, już dobrze – sygnalizował wzrok Sztuma – już nic, co chcesz ode mnie. Że się dziwię?...”).

– Do Płocka – powtórzył stary. – Do Płocka. To były te tygodnie konania. Jak tamte godziny z ojcem, kiedy rodziło się wszystko. Już było wiadomo, że żadna pomoc nie przyjdzie i że powstanie padło, nie dostawszy pomocy od tych, co powstania z Zachodu żądali...

(„O czym on mówi – myślał Sztum – o którym powstaniu? Warszawskim?”). Ale nie zapytał.

– O, i jeszcze jedną rzecz, jedną chciałem panom pokazać – ożywił się naraz nowym napływem stary. Tylko gdzie to zapodział? Jest! – I przebierał w jakimś pudle pełnym starych monet.

– To pan i numizmata? – zapytał Sztum. – O, jakie piękne monety!

– Najlepszy zbiór polskich monet – oburzył się stary. – W Puławach takiego nie mieli! Gdzie ja to mam? Pisałem przecież o naszych monetach. Gdzie ja to mam?... Jest!

To, co trzymał w ręku i nad czym nachylił się czterej oficerowie, nie było jednak monetą. Na karteluszkę pożółkłego papieru, wycieniowany piórkiem, widniał zarys jakby orderu o gwiazdzistym kształcie. Iwan, który znał się na orderach jak Sztum na gramaty-

kach hindustańskich, nie mógł sobie przypomnieć. Nie, nie znał takiego orderu.

– Order? – zapytał.

Stary, zapatrzony w rysunek, pokiwał poważnie głową.

– Tak, order. Ostatni nasz order. Gwiazda Wytrwałości.

– Polski order? – nie mógł wytrzymać Sztum. – Nie ma takiego polskiego orderu!

Stary potrząsnął głową:

– Nie ma – i jest. Uchwalił go, trochę na mój wniosek, powiem to panom, sejm, nie pomnę już, w Zawichoście jeszcze czy Płocku już, już na samym końcu. Bo wtedy najpotrzebniejsza była cnota wytrwałości. Taki mój pomysł. Śmiano się ze mnie potem, że już nie pora była na ordery – ale na co już wtedy, po wyjściu z Warszawy, była pora? Ani go wykonano, ani rozdano i tylko rysunek mój tu pozostał. Unikat chyba. Był w moich papierach, kiedyśmy przekroczyli granicę pruską, i tu ze mną przybył, i jest chyba nestorem tej, co tu panowie widzą, biblioteczki. I lubię, że jest na biurku przede mną tak, gdy piszę, bo mi to przypomina. Gwiazda Wytrwałości!

Ileokroć zaczynał mówić, to tak jak stary zegar. Najpierw stękał, zacinał się, zgrzytał,

a potem dopiero mówił spokojnie i jakoś pięknie:

– Gwiazda Wytrwałości! Najpotrzebniejszy polski order. Nie męstwa. Męstwo jest. Męstwo nie zbawi. Wytrwałości. O, wytrwałość! Wytrwałość! Nam potrzeba było wytrwałości i wam w waszych terminach wytrwałości trzeba, i tym, co po was przyjdą, będzie jej potrzeba. Wiele wytrwałości. Pozwólcie, panowie, weźcie, tak na wspomnienie, ode mnie. Wstążki nawet nie było, tak weźcie. W naszym pułku by wtedy dostali, za Iganie i Ostrołękę słusznie im było należne. Weźcie, panowie, na odchodnym tak, i pamiętajcie: Wytrwałości. Wytrwałości.

*

Zapewne cud, noc i mgły, jeszcze gęstsze owej pory, uchroniły *jeep* zapomniany od złodziei brukselskich, alianckich czy swoich, polskich. Było dobrze po dwunastej, gdy dobrnęli do kwater pułku, i był nazajutrz dobry raban o to. Dowódca pułku z odpowiednim wyrazem twarzy wysłuchał tłumaczenia o wizycie u dziwnego Polaka. Przyjął sceptycznie wyjaśnienia o książkach, gęsim

piórze, maciejówce. Pokiwał za to ze zrozumieniem głową, gdy niebacznie wspomniano o znakomitym miodzie.

– Panowie się nie zdziwią, że nieprędko zobaczą Brukselę – powiedział wreszcie swym irytującym, pobłażliwym sposobem.

To ostatnie było do przewidzenia i tylko nieokreśloność czasu stanowiła zaskoczenie. Sztum tylko dalej wracał do brukselskiej wizyty.

– Musimy to opowiedzieć naszej Opiece – orzekł wreszcie.

Tak zwany, na angielską modłę, Oficer Opieki pułku, inaczej, mówiąc oficjalnie, oficer oświatowy, a nieoficjalnie, z wyraźniej niepowtarzalnych racji, owocowy, był jednak tego dnia na końcowej miesięcznej odprawie u majora Łubkowskiego, wnosząc stare, bezskuteczne i uparte skargi o to, że numery „Nowej Polski” dostarczane do dywizji ulegają nadal prywatnej cenzurze i konfiskacie gorliwego porucznika Podlizara. Przyjechał późno i zobaczyli go nazajutrz. Opowiedzieli wszystko tak, jak pamiętali, kłócąc się o szczegóły.

Oficer Opieki wysłuchał. Zbadał wszystkie kontrowersje księdza ze Sztumem, Witka

z Iwanowskim. Prosił o odtworzenie możliwie dokładne opowiadania o tej śmierci ojca, zainteresowała go biblioteka pozostawiona w Wilnie oraz marszruta z Warszawy na Czersk, Zakroczym, Płock. Oficer Opieki pułku był to w ogóle dziwny człowiek i tylko dlatego zainteresował się tym wszystkim. Był kiedyś uczniem Handelsmana, ale został usunięty raz z asystentury historii, a potem z profesury w jednym z gimnazjów poznańskich. Poparcie historyka generała Kukiela i teraz uchroniło go od niejednej draki. W pułku go lubiano, bo zawsze opowiadał ciekawe rzeczy z historii, był koleżeński i odważny, ale nie poważano zbyt, bo pić nie umiał.

Oficer Opieki pułku wysłuchał opowiadania po parę razy i, nic opowiadającym nie mówiąc, sam stanął o przepustkę do Brukseli. Adiutant pułku zdziwił się bardzo, zdziwił także stosunkowo małej sumie guldenów, jaką zabrał ze sobą, wymieniając je w kasie pułkowej, Oficer Opieki. Adiutant nie lubił Oficera Opieki. „Inny na jego miejscu...” Ale znając go, nawet nie zachęcał do korzystnych operacji.

Oficer Opieki pułku znalazł się w Brukseli w piękny, słoneczny grudniowy dzień, kie-

dy mgliste mroki listopada stężyły nareszcie w zdrowy przymrozek. Nie udał się ani do „Sonaty”, ani do pana Marcina, pozostał głuchy na zaproszenia pokątnych sprzedawców i kupców z Boulevard Max i uśmiechy dziewczek przy Giełdzie. Skręcił w stare miasto i był po chwili przed nie mniej starym i opuszczonym bistro. Odnalazł je bez większego trudu. Wszedł do środka.

Znowu nie było tu nikogo i łysy gospodarz był rad, gdy zamówiono najlepsze wino z karty. Zaproszony, przysiadł się, nawiązała się rozmowa. – Tak, mała frekwencja, *que voulez-vous*, miasto odeszło stąd. Amerykanie lubią *avec de la musique du „fun”*, *vous comprenez – et alors? Il n'y a que les habitants du quartier qui viennet*. O, długo jeszcze po takiej wojnie...

Ale Oficer Opieki nie był ciekaw, co będzie długo jeszcze po takiej wojnie, i przeciął:

– *Dites donc* – a nie było tu jednego wieczoru czterech oficerów polskich? Dwudziestego dziewiątego. We wtorek?

– We wtorek? Zaraz zaraz. A jakże! Byli. Pili wino. Mieli *leur pitance avec eux*.

Oficer Opieki dojrzał zegar z malowanym cyferblatem i kota. Zgadzało się. Pomyślał i zagadnął jakby od niechcienia:

– A zna pan może tego pana, w cywilu, starego, co się wtedy do nich przysiadł i z którym wyszli? Polaka? Dawno tu mieszka.

– Pana w cywilu? Nikt się do nich nie przysiadł.

– W cywilu – powtarzał flegmatycznie oficer. – W długiej, staroświeckiej *redingote*. Z czapką taką okrągłą, z daszkiem *comme ça...*

Ale nic to nie pomogło.

– *Je vous assure, Monsieur* – mówił oberżysta urażony w dumie swej pamięci – że nie było z nimi nikogo. *Pas même une fille*. Nawet dziewczki. Sam usługiwałem, więc wiem. *Tenez!* Znajdę panu – szukał za swą ładą. – Widzi pan! 29 listopada, wtorek, wieczór. Byli ostatni goście. *Quatre couverts!* Nie! – Po czym: – *Nom d'un chien de nom d'un chien!* Jak to się stało. Zapisałem, istotnie, *cinq couverts*. *Cinq*. Pięć. *O, Monsieur* – przeraził się nagle – pan jednak nie jest z *police militaire*? *Je vous jure*. Przysięgam. Jestem patriota, mego syna wywieziono do Bawarii, doprawdy nic nie miałem z Niemcami. Nie, nie pamiętam, doprawdy nie pamiętam tego cywila.

Oficer Opieki zapewniał go spokojnie, że nie przyszedł w celach wywiadowczych i nie

należy do żadnego z alianckich wywiadów. Człowiek, o którego się pyta, także nie jest podejrzany politycznie. Przynajmniej nie dzisiaj. Upornie, belfrowaniem, zacięciem, ponawiał swe pytania. Belg karczmarz tępo przeczył dalej. Nie widział, nie pamięta. Nie pamięta.

Oficer wyszedł wreszcie i rozglądał się, dokąd pójść dalej. Informacje kolegów były w tym punkcie dość sprzeczne. Gdy tak stał, dogonił go karczmarz. „Pewno nie uspokoiłem go dosyć, że nie należę do wywiadu” – pomyślał Oficer Opieki. Istotnie, Belg popadł był znowu w przerażenie. Ale teraz to on pierwszy pytał:

– *Mon lieutenant*, pan powiedział, że to był stary bardzo człowiek?

– Tak – ucieszył się porucznik – pan widział go więc?

– I ubrany, pan mówił, ze staroświecka. *Comme dans l'antan!*

– Jak?

– *Une casquette ronde, polonaise?*

– Tak – ucieszył się porucznik. – Właśnie. Więc jednak pan go widział? Czemu pan nie mówił?

Ale Belg był wyraźnie zatrwożony po każdym potaknięciu.

– Nie, ja go nie widziałem – odrzekł. – Jestem tu od dwóch lat niespełna. Dawniej miałem inny lokal. Ale wiem, kim on jest... Ale najpierw, kto panu o nim mówił? *Vos collègues?* Tylko pańscy koledzy?

– *Allez danc* – mówił Polak. – Ja z panem nie robiłem tajemnic, niech pan ze mną ich nie robi. Co pan wie o tym człowieku?

– *Pour sûr, vous ne me croirez pas...*

– *Pourquoi pas?* Różne bywają dziwy..

– Tak – westchnął Belg – różne bywają dziwy i żebym zapisał pięć *couverts* zamiast czterech, to się także nie zdarzyło. Więc to jest tak. Ja ten lokal mam od ledwo dwóch lat, ale to jest stary lokal, ma swoich dobrych sto lat. I to nie zawsze była taka pusta rudera, jak pan widzi. I temu sto lat mieszkał tu niedaleko *un Polonais*, emigrant, *un savant quoi*, rewolucjonista. Powiadają, że nasz pierwszy król do niego jeździł, ale po co – nie wiem. Może nieprawda. Choć teraz to już nie wiem, co prawda, a co nie. Więc ten pan, Polak, tu chodził co dzień, do lokalu, który pan widzi, siedział tu, jadł tu. Tu spotykał się z Polakami. Potem umarł. To było dawno także. I, powiadają – obniżył głos i nachylił się do ucha Oficera Opieki – potem opowiadano, że ON

tu się zjawia. I że czeka na Polaków, którzy przyjdą... *C'est connu dans le quartier*, każdy panu powie... Byli tacy, co go podobno widzieli. Myślałem *que c'est tout ça des blagues*. Takie gadanie, żeby klientelę mi odstraszyć. Ludzie są zawistni. Ale odkąd zamiast czterech piszę pięć – już nic nie wiem...

Oficer Opieki słuchał dziwnego opowiadania nie dziwiąc się niczemu, tak jakby do zagadki, w której odgadł już przedtem niemal wszystko, dochodził ostatni, naprzód odgadnięty człon. Zapytał jeszcze Belga:

– Nie pamięta pan, jak się miał nazywać ten Polak?

– Pamiętałem kiedyś – rzekł Belg. – Nie, nie bardzo polski. Coś na L., coś tak jakby Laval. Laval. Ale on mieszkał w tamtej uliczce od rogu i w domu tym wmurowano na jego cześć *une plaque*. Tablicę. Tam wszystko jest napisane. O, tędy. Nie ten, tamten dom. Nie, drugi. O właśnie. *C'est bien celui-là*.

Było bardzo rozśonecznione popołudnie brukselskiego grudnia, gdy oficer w battle-dressie brytyjskim, ale z polskim orłem na czarnym berecie i z czarnym naramiennikiem dywizji pancерnej, czytał proste słowa:

W TYM DOMU ŻYŁ, TĘSKNIŁ
I TWORZYŁ
POLSKI HISTORYK, PATRIOTA
REWOLUCJONISTA
PREZES RZĄDU NARODOWEGO
W 1831 ROKU
JOACHIM LELEWEL

Oficer Opieki wiedział. Wiedział o tym wszystkim o wiele, wiele wcześniej, wiedział o tym nieomal od pierwszych słów opowiadania rotmistrza, kapelana i obu poruczników. Każdy szczegół zapamiętany przez Witka czy powtórzony przez Sztuma pogłębiał w nim tylko tę spokojną, naukową pewność. Zbyt wiele czasu swych studiów prześlęczał nad tamtymi czasami, aby nie dostrzec, że każdy szczegół relacji oficerów miał znamię historycznej autentyczności. Oficer Opieki wiedział to wszystko, jeszcze nim tu przyszedł. Teraz wiedział i wiele więcej! Wiedział, że do jego z kolei relacji odniosą się wszyscy w pułku z takim samym – ba, większym! – niedowierzaniem, z jakim major odniósł się do usprawiedliwień tamtych po spóźnieniu z przepustki, sporo winy składając na ów miód lekkomyślnie wypity. Wiedział, że jeśli opowie to kiedy w Polsce, ludzie pokiwają głowami: „ładne literackie opowiadanie”. Wiedział, że jeśli się będzie przy nim upierał – to raz jeden jeszcze ominie go katedra.

Ale jednocześnie Oficer Opieki, który historię nie tylko znał, ale rozumiał i czuł, wiedział, że było właśnie tak. Wiedział także, iż tej wiary, że tak było właśnie, nikt jemu przynajmniej nie odbierze. Nie darmo pisał kiedyś magisterską pracę o „brukselskiej działalności Joachima Lelewela”, żeby nie rozumieć, że musiało być tak, a nie inaczej, tak jak chciała legenda brukselskiego staromieścia, opowiadanie kolegów i świadectwo karczmarza, i dowód: – namacalny, zachowany – cztery nieznanego rysunku orderowe znaki.

Dzieci bawiące się w domino na skraju ulicy dziwiły się chwilę patrząc, jak aliancki oficer, wyprostowany jak nigdy, podniósł dłoń do wysokości swego czarnego beretu i trzymał ją długo w żołnierskim salucie, wpatrzony w ciemną tablicę na szarym staromiejskim murze.

„Trzydzieści opowieści” – Warszawa 1946.

W Giewałdowej

Stała teraz przed nim, oparłszy się tylko szerokimi plecami o orzechowy bufet, i wyrzucała z siebie, wykrzykiwała do siedzącego za stołem wyzwiska. Więc co? Że Zośka się puszczała? Więc puszczała się, puszczała, puszczała! A dlaczego nie miała się puszczać? Żeby jej krew uderzyła do głowy? Żeby jej z tego nieruchu zaś i zaśmierdło? A co? A może nie? A co on myślał? Że jak żonę kochającą, młodą, trzech miesięcy nie było po ślubie, zostawił na pięć lat, nie, sześć lat bitych, równiusieńkich, to taką nie uszczkniętą sobie z szuflady wyjmie? W szufladzie oni się tutaj nie chowali: to nie wasz Londyn! Funtów nie dawali na pierwszego! Czym kto miał i czym mógł, tym i zarabiał, no niby nie? A za tamtej, pierwszej wojny, za Wilusia kajzera, to nie puszczały się żony mężów na froncie, choć ta niby i ten mąż,

spod Verdunu nawet samego, i pisał, i przyjechać mógł? Raz na trzy miesiące – pięć dni, nie licząc drogi. Że nie z jednym? A jak się nie nadarzyło? Różnica jaka? Więc tak, więc wie, co on powie. Na wsi też mówili. Najwięcej te, co Zośce jej chłopów zazdrościły, bo same nie miały takich. No mów, mów..

Ale Tomasz nie mówił nic. Siedział dalej przed nie dopitym kubkiem zbożowej kawy i nożem rozsmarowywał sobie smalec na kromce chleba. Rozsmarowywał go, wgniatał, rozsmarowywał k'sobie i od siebie, oczy opuścił gdzieś w ten stół, jesionowy, o deskach rozchodzących się od siebie szparami. I przyszło mu naraz na myśl, że chciałby wcisnąć się tak w szparę taką i zniknąć tak samo niespodzianie, jak wczorajszej nocy wyskoczył tu z przejezdnej sowieckiej ciężarówki i został tak, sam na szosie, w srebrnej poświacie wrześnie nocy, w chłodzie górskim sunącym z ciemnych stoków Podhala, w dymnym gwarze gasnących z wolna chat Giewałdowej. Tomasz chciał po prostu w tej chwili nie być. W ustach czuł już posmak żółci, który zawsze towarzyszył jego najprzykrzejszym przejściom. W ramionach i udach jakąś ospałość. Teściowa, matka żony, matka owej Zośki, jego Zosi, odstąpiła teraz od

barykady bufetu. Krążyła po izbie, przynosząc jakieś talerze, wycierając niby jakieś kurze, przystając co chwila i obrzucając go za każdym razem nowymi pociskami z arsenału swej spóźnionej argumentacji. Trzeba jej było zrobić dziecko! Tak, dziecko! Z dzieckiem byłoby co innego! Dlaczego jej nie zrobił dziecka?

Wyrzuciwszy ten ładunek pocisków wyszła na werandę, po czym wróciła z nowym. Dlaczego nie pisał? Że paczki posyłał? Paczki – dobrze, uznała, ale trzeba było pisać! Że bał się o Zośkę? Co się było bać, jak był tu ten, no, Kratochwil. Jaki Kratochwil? No, ten jej drugi. Że folksdojcz? Najlepsi ludzie pisali się na folksdojcz. A jak żyć trzeba było, żyć? Jeszcze taki mógł innym pomóc: bywało! A czy teraz to niby im gorzej? Gołonog, przyjaciel tego Kratochwila, ale pies największy, ten z Nowego Targu, teraz na Śląsku w województwie. Do Suchcikowej szwagierka pisała. Nie każdy był frajerem i ganiał z Sikorskim...

Tu przypomniała sobie coś:

- Dolarów choć coś niecosieś przywiózł?
- Dolarów nie. W Anglii przecież nie ma dolarów Mam tam trochę funtów...
- Ile trochę?

– Sto siedemdziesiąt. Może siedemdziesiąt dwa. Mniej niż dwieście.

Kochańska rozterkotała się ponownie.

– W Anglii nie ma dolarów! Dla takich jak ty nie ma! Każdy jeden, co przyjedzie z Londynu, przywozi ich na setki, tysiące, grube tysiące – rozrzuciła obie dłonie szeroko, jakby trzymając w nich rozciągniętą a niewidoczną harmonię – grube tysiące! – Z wyżyn niebosiężnej pogardy wyjaśniała zięciowi, że angielskich pieniędzy nikt tu nie chce, że w Anglii sami Anglicy ich nie chcą i dolar u nich na czarnej giełdzie jest... Teściowa wzięła teraz za kolejny temat finansową niezaradność czy też, jak wołała to przedstawić, lekkomyślność, bezmyślność, męską nieodpowiedzialność Tomasza. Inni mogli! Inni pomyśleli! Inni już sobie dali radę! Tylko on z próżnymi rękoma wrócił do domu – co to jest tych dwieście funtów? Kto mu je zmieni? I taki potem chce, żeby jej Zośka... – No, mówże coś, powiedz, jak masz co do powiedzenia, mów...

Gdy mówiła, Tomaszowi przechodziło przez myśl niejedno. Mógł powiedzieć, że to Zośka wbrew niemu (o, jakże wbrew niemu!) nie chciała dziecka – „nie teraz, nie zaraz”,

mówiła – i że nie wszystkim w Anglii tak sypały się funty, jak to sobie ludzie wyobrażali w Giewałdowej. Patrzył teraz w okno. Z miejsca, gdzie siedział, nie widać było Giewałdowej, rozłożonej bardziej w dole, pod nimi, w dolinie, którą wiła się – mały dopływ potężnego Dunajca – nie znana obcym Łężna. Łężna, gdzie za rakami brodził z pochodnią po nocy milami. Łężna! W ramie okiennej, jesionowozłotej, jak z miodu, zawisło tylko błękitne powietrze nasycone mgłami jesienno-ranka. Od dołu wpajały się w tę błękitność białawe, rozcieńczające się smugi i Tomasz odgadywał, jakby nigdy nie ruszał się z tego miejsca, że te rozcieńczone smugi wyrastają o tej i o wieczornej porze z białych kominów nisko wpartych w dachy na dole i wiją się spokojnie i całopalnie jak strudzony oddech.

Słońce musiało już być dosyć wysoko, ale i jego nie było widać. Rozpylało się tylko w owej niebieskości nawisłej w tej ramie okiennej barwy miodu. Grzebiąc w normandzkim rowie najbliższego przyjaciela Tomasz wspominał kiedyś ostry zapach rumianku, Polskę przypominający, i teraz nagle uświadomił sobie, że takie powietrze nasiąknięte słońcem widział kiedyś na południu Fran-

cji, kiedy stali w Prowansji, a także u jednego francuskiego malarza, który w tej Prowansji malował i którego obrazy widział w Royal Academy w Londynie na wystawie francuskiego malarstwa, dokąd zawlokła go Sheila. I pomimo wszystko, co słyszał, ten widok w oknie, z lasami skoczowickimi wyrastającymi na horyzoncie, spływał na niego spokojnie i oleście. Chłodził i koił. Dlatego właśnie Tomasz odwrócił spokojne oczy ku matce żony i powiedział:

– Nie.

– Co nie? Co znowu nie?

– Nic nie mam do powiedzenia, mamo. Stało się, co się stało. Mama ma rację. Zośka nie miała dziecka, ja poszedłem, nie było mnie. Tyle lat. Musiała.

Okno rozwarte na świat nad Giewałdową, rozciągniętą w dole, przypomniało mu coś, bo wskazał głową na okno, za okno i zapytał:

– Wiedzą?

Odgadła, o kogo chodzi, i teraz z kolei cała jej złość rozpełtała się na nieobecną Zośkę. Że jakby kiedy co z Zośką nie wiedziano! Ona głupia taka, najgłupszy po niej wszystko zaraz pozna; jak kura, gdy zniesie jaje. Czy to inne nie brały sobie chłopców? Choćby sama

pani Ślenziarska z Uchacza: która by nie brała? Sześć lat! Ale jedna to umie tak zrobić, że łóżko nie skrzypnie, a druga, że cały powiat pytluje. Co ona miała z tą Zośką! Przecież przez to właśnie musiała wyjechać zaraz, jak ruscy przyszli. No, teraz niby wrócić może, posadę na Śląsku przecie ma, „szaber” przysyła niezgorszy, zrobić jej nikt nie zrobi nic; nie żeby „bezpieka”, nie. Ale ludzie, ludzie. Palcami będą pokazywać, na ulicy chłopaki za nią wołać, z kościoła wypychać. Chamy takie! Galicyjskie chamstwo...

– No, mamó, mamó, tylko niech mi mama...

Osadziło ją od razu: pierwszy jego sprzeciw. Znowu oparła się o bufet jak o ostoję najpewniejszą. Bała się go i nie rozumiała. Spokojnie zniósł wszystko, co na niego gadała, a to, co chciała powiedzieć na tych z Giewałdowej, z dołu, nie. Ale taki był zawsze i Kochański; jak przez mgłę, poprzez odległość tych siedmiu lat przypomniała sobie, że zięć był dla niej zawsze niespodzianką. Inny niż wszyscy. Uświadomiła sobie i to, że niepokoiło ją zawsze, iż był taki czarny, smagły na twarzy, z tym swoim czarnym włosom. U nich, w Bydgoszczy, gdzieby zaś tam! Białe i białe albo, jak Zośka, złociste. Przypo-

mniała sobie ślub Zośki, w kościele świętomarcińskim jeszcze, jak Osmulka, składnicy aptekarskiej wdowa, nachyliła się przez stół biesiadny podczas toastów i zapytała ją z nagłą, szeptem słyszalnym na miłę:

– Pani Luiza! Pani Kochańska! Ale czego on taki czarny? Czy żeby zaś nie z Żydów! Pani przecie wie: galicyjoki...

I słyszała jeszcze swoją własną odpowiedź:

– Pani Osmulka! A co też pani gada! Zośka by szła za Żyda? To pani nie wie, że do galicyjoków Madziarom było blisko i oni wszyscy czarni jak Cyganie. Nawet hrabiowie u nich czarne...

Biedna Osmulka! Wykończyli ją w Bydgoszczy jeszcze tego samego września! Kochańskiej przypomniała się nagle rodzinna Bydgoszcz. Tyle doświadczona Bydgoszcz! Schroniła się tu, to prawda, do wsi rodzinnej Tomasza – gdzie miały się podziąć, wysiedlone? – ale nigdy się z tym tu nie zżyła. Dostawała zadyszki, gdy trzeba było drapać się pod górę: nigdy nie lubiła galicyjoków: w jej stacycznym drobnomieszczaństwie to wszystko były chamy, chamy, chamy. Kiedy Niemcy tu byli, „szprechowała” zaś *vielleicht* po nie-

miecku i odczuwała z tego faktu podświadomą dumę. *Ich bin doch eine Deutsch geborene...* Pamiętała i ludzi w Giewałdowej, u których budziło to pewien podziw, i większość, u której nawet niechęć była podświadomą formą zazdrości. Był czas, że pani Kochańska z Bydgoszczy była w podhalańskiej Giewałdowej pośrednikiem, opiekunem, interwentem, buforem między szeroko rozsiałą wsią a nową, przemożną władzą. Że oni w Poznańskim wiedzą, jak z Niemcami. Że Niemiec nie taki straszny. Że trzeba umieć. Że w Giewałdowej nie umieją. Że ona pokaże. Ale Giewałdowa pomoc brać brała, lecz wdzięczna za nią nie była. Dziewczyny z Giewałdowej nie zapomniały nigdy tego, że poznańska „grula” z Bydgoszczy zabrała Tomasa, najpierwszego chłopaka w okolicy, inteligenta i pana, o którym pisano w gazetach, którego promował Pan Prezydent, który był wysoki, smukły i czarny. Giewałdowa zapisała sobie dobrze owe gadania Kochańskiej, że jej córka mogła wyjść za kogo chciała, nie za takiego nie ze wszystkim statecznego, co teraz pognał za tym tam Sikorskim. W Giewałdowej rosła do Kochańskiej i jej córki nieważka góralska, twarda, przyczajona, ma-

skowana zręcznie pozorami góralskiej gładkości. Przyczaiła się nie darmo. Doczekała się swego z pierwszym puszczeniem się pięknej Zośki, tym z owym lejtnantem ze Styrii, co to ich Józek od Hawlenów podpatrzył na usieku. Odczekała to, doczekała się Kratochwila i folksdojczowej zabawy w Nowym Targu i wtedy przywalała swoje. Chamy pokazywały teraz bydgoskiej burżujce całą swoją pogardę. Sypały jej w oczy i za oczami tymi samymi – i brutalniejszymi – słowami, jakimi teraz w odwecie nierozumnym waliła w Tomasza. Giewałdowa brała sowity odwet. Aż wreszcie po paru latach pomiędzy nowym, na pensjonat niemal budowanym, drewnianym domem na porębie, wysoko na stoku, a wsią, rozsiadłą w dole nisko, po obu stronach kamienistej Łężnej, zapanowała milcząca nieprzyjaźń. Obitej moralnie Kochańskiej dano nareszcie spokój.

W chwili zaniemówienia Kochańskiej Tomasz wyszedł przed dom, ten sam właśnie tak pięknie budowany w 1937 r., jeszcze za ojca, z piętrem i pokojami-klitkami na piętrze, żeby można było i narciarzy z Krakowa przyjeżdżających gdzieś pomieścić. W sezonie bywało do trzydziestu pięciu złotych na

dobę z tych dwu pokoi, a trzydzieści pięć złotych przed wojną to był przecie pieniądz. Agrest sadzony na stoku rozrósł się przez te lata, uli jakoś nie było dawnych. Z drugiej strony domu, od jego i Zośki pokoju, dzikie wino, sadzone przez ojca jeszcze, puściło się pięknie i szcerwieniałymi pnączami zachodziło aż w okna. Mimowiednie zdumiał się Tomasz: pamiętał tę ścianę nieprzyzwoicie nagą, świeżą jeszcze złocistymi deskami sosnowymi. A teraz... No przecież, sześć lat. No prawda. Przed oknami od Giewałdowej puściły się malwy i słoneczniki, i chwast jakiś. Tomasz mimowiednie począł wyrywać chwast, ale przestał: po co?

Musiało się zbliżać południe. Czuł na plecach ciepłą światłość słońca i poznawał słońce giewałdowskie po tym, że nie było ani mniej, ani więcej ciepłe, jak bywały ciepłymi różne bardzo słońca różnych bardzo owych sześciu lat, a tylko właśnie tak grzało, jak wtedy, gdy był młodym chłopcem i ojcu w sianokosie pomagał. Słońce nad Giewałdową pozostało to samo. Ludzie marli i odchodzili, i inni po nich przyszli, i stało się to z Zoską i wszystko inne, a to słońce nad zapomnianą wsią Podhala po-

zostało takie samo. Aż dziw. Odczuł chwilową ulgę. Niżej przed nim ścieliła się Giewałdowa. Miał ją pod sobą, jak z lotu ptaka, o trzysta jakieś metrów. Nawet nie. Tylko że na skos. Liczył stare chaty, o czapach z gontów, i nowe, z białawą blachą, i wybrzuśł kościoła z pęku lip, spod których przezierały białe nagrobki i czerwieniała dachówka barokowej dzwonnicy. Zobaczył nieładny, dobrze sobie znany prostokąt szkoły, widział, jak droga pylna z Nowego Targu gubi się we wsi, ginie pod domami czy drzewami i jak mostkiem przerzuca się nad połyskliwy w słońcu nurt Łężnej. Był spokój. Tomaszowi w tym dniu wrześniowym poszerzały się z wolna oczy. Nie wierzył. To była Giewałdowa. To była Giewałdowa. Musiał to sobie mówić. To była droga i to był kościół wśród lip, i to były lipy, i to były groby widne pod lipami, i gdzieś wśród nich grób ojca i matczyn, i grób starego księdza Wślizgły, kanonika, i mała mogiłka Józka, który wpadł pod przerębłę w roku dwudziestym szóstym – tak, wtedy kiedy potem był zamach majowy, w tym samym. I most był ten sam, i domy, i strzechy, i blaszane dachy. Blaszanych dachów było jak gdyby więcej. Tej chaty na skraju nie było także. Jest pewien, że nie było. I czy

po tamtej stronie rzeki nie rosły topole? Rosły. Nie ma. Trzeba będzie zapytać. Ale to jest Giewałdowa, Giewałdowa. Wchłaniał oddechem jej świetliste powietrze i macał ten rozległy krajobraz oczyma, tak jak ślepiec maca twarz osoby pamiętnej mu z rysów. Tak, to było to. Giewałdowa. W nocy, gdy przyjechał, gdy ciężarówka sowiecka zwała go tak na środek gościńca i ścisnęła jakieś ciężkie rosyjskie ręce, i słyszał ich słowa: *Nu, bud'doma zdorow, wot i my by chotieli tak doma* – był oszołomiony. Poznawał wieś z trudem, tak na słowo honoru, i łoskot oddalającej się ciężarówki zostawił go oszołomionym. Ale teraz to była Giewałdowa, nie zjawia nocna, nie mara, Giewałdowa naprawdę. Patrzył na nią, tam w dole, szklącymi się oczyma, łykał wzrokiem jej dymy wolno podnoszące się ku niskiemu niebu. Zdał sobie sprawę, że teściowa raz po raz z okna zerknęła ku niemu, wyszła nawet na werandę, bodaj zagadała. Ale to było dalekie, nierealne, może działo się to w Anglii, to znaczy nigdzie, albo dalej. Tu była Giewałdowa i on. I naraz zrozumiał jeszcze jedno. Oto że nikt tutaj, w tym całym kraju, od Giewałdowej tysiącrotnie rozleglejszym, nie zrozumie i nie odczuje tego, co on tu czuje właśnie. Dla

nich istnienie tego wszystkiego było oczywistością. Dla niego to wszystko nie istniało przez bitych sześć lat. W ogóle nie było. Teraz jest. Oni nie wiedzą, co to znaczy, co to może znaczyć, że tego nie było. On wie. Myślą przerzucił się naraz do światów, które stąd, z Giewałdowej, wydawały się tak nierealne, jak Giewałdowa była nierealna z nich. Był naraz w Cupar i w Scarborough, i w Meppen. Był na „krzyżówce” i w Lingen, i w Oberlangen. Był w Perth i w Plélan-Le-Grand, i w Aberfeldy, i w Kirkcaldy. Odnajdywał niezliczone, zagubione po świecie całym stacje męki wygnańczej. Tam zostali ci, co by go zrozumieli teraz, dla których tak samo świat od nadmiaru Paryżów, Normandyj, Italij, fiordów narwickich i innych paskudztw zwięzał się naraz do jakichś Wólek i grajdołków Mickiewiczowskiego pacierza o „Litwie, ojczyźnie mojej”. Oni, od których odszedł, oni by wiedzieli. I poczuł się naraz im, od których odszedł, niewymownie bliski – a od tych, których tu już widział, niewymownie daleki.

Przypomniał sobie pierwsze dni po przybyciu, Warszawę, drogę z Warszawy, Kraków. Rozmowa następowała po rozmowie i każda się zacięła. Pamięta, pytał go jeden major,

dlaczego właściwie wrócił i jakie ma zamiary, i kogo znał na emigracji? Pamięta słowa: – No, wyście wojnę przegrali. – Pamiętał znajomego: – No, ale pan miał szczęście, nie każdemu tak było, wy londyńczycy w ogóle jesteście szczęśliwcy, ale to, że pan przyjechał, to pan frajer; nie mógł się pan w Kanadzie jakiejś urządzać? – Pamiętał w ciężarówce za Radomiem: – Że wy z emigracji zawsze pytacie o ten Wrocław i Szczecin, chyba nie wiecie, że to tylko na sześć miesięcy, potem Niemcy wrócą, pół Niemiec będzie republiką sowiecką, a druga połowa monarchią z Wittelsbachami jako anglo-amerykańskie kondominium, Churchill mówił przez radio. – To nie mógł się pan tam jakoś urządzać, musiał pan wracać? – Ho! ho! ale forsycie brać musieli na tych londyńskich posadach? – Co mi pan tu będzie mówił o szukaniu porozumienia, ja ruskich znam, a pan nie; to bydło, panie, bydło, tylko czekajmy, aż tej bomby atomowej więcej narobią zakłady Forda, zobaczy pan do wiosny. – Ja to tylko takich z emigracji do kraju bym wpuścił, co to byli i pod Narwikiem, i pod Tobrukiem, i pod Monte Cassino: był pan tam? – Tomasz nie był – o czymże to świadczy? – ani pod jed-

nym, ani pod drugim, ani pod trzecim. Był, prawda, pod Montbart w czerwcu 1940, gdy niedobrojona brygada pancerna osłaniała francuski krach. Wylądował potem na brzegu normandzkim w 1944 r., brał udział w przełamaniu pod Falaise. – Był pan choć ranny? – Dziewięć miesięcy leżałem w szpitalu – tłumaczył spokojnie Tomasz. – W szpitalu? O! Myśmy tu, panie, szpitali nie mieli! – (Rozmówca, który tak miażdżył Tomasza, zresztą nie leżałby w szpitalu, gdyby szpitale i były. Był na tyle rozsądny, żeby sobie znaleźć dwie treuhänderki, i niezgorzej się dorobił na mieniu żydowskim). Ale o tym wszystkim Tomasz jeszcze przecie nie wiedział. Skądże?

Siedział dalej nieruchomo przed domem, niżej nieco od domu, na tym stoku olbrzymim, który od lasów arcyksiążęcych spływał ku dolinie Łężny. Przemierzał myślami te pierwsze dni powrotu. Rozmowy, które się nie kleiły, uściski dłoni, które się rozmijały, słowa, które nie rozumiały się wzajem. Ludzie ci byli zwolennikami nowego porządku lub jego zaciekłymi wrogami: ale to było dla niego jedno i to samo. Nie rozumiał ani tych, ani tamtych. Przypomniwał sobie słowa pułkownika Hutnika. Był to dwójkarz, wielki

dwójkarz, pułkownik Hutnik, ale człowiek niemal inteligentny i osobiście dosyć przyzwoity. Wezwał Tomasza przed jego odjazdem. – Ma pan prawo robić, co pan chce, panie kapitanie, ale grubo się pan zawiedzie. Grubo. Nikt was tam w kraju nie chce! W armii będą się jak ognia bali tych z Zachodu; w społeczeństwie nie będą rozumieli, po coście wracali. Będą wszędzie patrzeć na was jak na konkurentów. Tam już najlepsze posady pozajmowane, i to przez ludzi nieskończenie mniej umięjących od was. Panie kapitanie, upewniam pana, że nawet na placówki dyplomatyczne będą posyłani ludzie, którzy o Francji czy Anglii, czy Ameryce mają mniej pojęcia niż pański strzelec przedni z czołgu! – Tomasz powiedział, że mu o posady nie chodzi. – Ha, przekona się pan sam – mówił pułkownik Hutnik. – Ze swym wyszkoleniem, wiedzą, będzie pan tam wyrzutem dla tych, co lepsze zajmą miejsca. – Tomasz nie miał możliwości sprawdzenia, czy całość wywodów pułkownika odpowiada prawdzie. Ale pierwsza część odpowiadała jej już na pewno.

Pamiętał ową jazdę ciężarówką do Krakowa, rozmowy po drodze o dolarach, o Żydach, o szabrze, o łapówkach, śliskie, lepkie

błoto tych rozmów, czasem zaczerwienione krwią, zawsze cuchnące moralnym kałem. Pamiętał jakieś spryciarskie śmiechy porozumiewawcze, jakieś wzniosłe pogardy, jakieś zuchowate cwaniactwo. Mówił sobie, że nie mogło być inaczej po tym, co było, że musiało być właśnie tak, a nawet znacznie gorzej, że dobrze, iż jest tylko tak, jak jest, ale... Ale było mu trudno. Prowincjonalni znawcy zagadnień światowych tłumaczyli mu, że Ameryka, że Anglia, że bomba atomowa, że na wiosnę, a on, który tam był i patrzył, wiedział, jak ponurą bzdurą, jak szkodliwym kłamstwem jest to wszystko, co sączyło się z mózgownic tych ciemnych prowincjonalnych Bismarcków. Ale wytłumaczyć im nie umiał: uśmiechali się tylko z kpiącą wyższością. Nad jakimś rozbitym mostem wtajemniczano go, że mosty są rozbite, bo NKWD nie pozwala mostów naprawiać – to pan nie wie? A orać nie warto, bo od stycznia będą wszędzie kołchozy! No, a od kwietnia – niech się pan domyśli? Pan rozumie: Truman.

Droga na Kielce była rozmokła, spadły bowiem pierwsze jesienne deszcze i miałkie błoto chlapało wysoko, obryzgując jadących ciężarówką. Cały w tym błocie podwójnego

rodzaju wjeżdżał Tomasz w ulice Krakowa. Nie, nie mógł politycznie ani życiowo, ani w żaden inny sposób odnaleźć wspólnego języka. Wysłuchiwał godzinnych opowiadań, jak to, kto co przeżył w obozie tym czy innym; i pamiętał, jak tamci, jemu bliscy, nauczyli się nie mówić o swoich przejściach, jak żartowali kiedyś w pułku, że o Narwikach i Tobrukach będą najwięcej mówili w Polsce ci, co naprawdę przeżyli je w głębi londyńskich schronów. Rodacy wydali mu się naraz krzykliwi, gestykulujący, hałaśliwi. Przypomniawszy sobie zgrozę powściągliwych Anglików, gdy latem 1940 roku, po upadku Francji, lądowała w brytyjskich portach polska ferajna. „Na nas patrzyli tak, jak ja patrzę na nich” – orzekł.

Przypomniawszy sobie dom rodziców Sheili, taki właśnie cichy, w niejakiem Bridgenorth, nad niejaką rzeką Severn, w dalekim, stąd nierealnym Shropshire. Bridgenorth nie umywało się do Giewałdowej. Gdzie tam Severn do Łężnej! Chociaż... Ale dla niego było tak właśnie, że ani się nie umywały. Tak. Ale oto teraz uświadamiał sobie, że rozmowy z ludźmi z Bridgenorth i skądinąd układały mu się lepiej. Byli jacyś powściągliwsi i mniej

wścibscy, i mniej pewni i cichsi jacyś; William, który pod Dunkierką stracił nogę aż powyżej kolana, mówił tylko: *O, it was just a mistake*. Wstydział się, że porównywał, ale tak było. Pamiętał swoją rozmowę z Sheilą, gdy szli do Ludlow, jak stanęła i jak się zapytała, czy myśli, że ta w Polsce jest mu wierzna? I jak powiedział, że wie, iż cokolwiek by było, myśli o niej jako o swojej, o jego, i że dlatego jest mu trudno z Sheilą. Pamiętał, jak się zachnęła – *oh, then it's o key, it's all right* – i że nie to miała na myśli. Ale wiedział w te dy, że właśnie to miała na myśli, a teraz wie, że mu nie wierzyła. Mój Boże! Ileż dziewczyn angielskich pamięta, których chłopcy byli daleko na wojnie, a one tymczasem brały sobie polskich chłopaków. To było takie powszechne; takie proste; takie – zdawało się wreszcie – mój Boże! – naturalne. Naturalne dlatego, że widziało się to tak często. Dlaczegożby polskie dziewczyny miały być lepsze, to jest – inne? Musiały być takie same i to należało do praw i skutków wojny. Po prostu. Nie inaczej.

Przed nim w dole leżała szeroko Giewaldowa. Patrząc na nią raz jeszcze, Tomasz uświadamiał sobie jedno. A raczej jedno je-

szcze wygrzebał z pamięci: leżą na pryczach w węgierskim obozie – Lengyelfalloda – i Stankiewicz roi, jak to będzie, kiedy ich brygada będzie wjeżdżała na czołgach do Warszawy. Od Okęcia, Alejami Jerozolimskimi. Rozumiecie? Najdalej w lipcu, lipcu 1940. To dopiero będzie! Przez środek Warszawy. Warszawy. I wtedy on, Tomasz, uświadomił sobie nagle, że wcale o Warszawie i defiladzie w Warszawie nie marzy. Ale oto w ów mokry wieczór listopadowy, w węgierskim obozie internowanych w Lengyelfalloda, w roku 1939, Tomasz wyśnił sobie swój własny sen o końcu wojny. Naiwny sen! Oto wkraczają do Polski, jak z niej wyszli, od południa. Od Karpat. Na tę Lengyelfalloda i na Giewałdową. Jego szwadron jest właśnie na szpicy, jego pluton pierwszy. Tomasz otworzył klapę wieży i beret czarny zsunął z czoła, słuchawkami do głowy przydusił. Czołgi wwalają się w wieś, gdzie każda ściana znana, każdy opłotek swój i głos każdy... Karczma starej Toporowej... Kościół... zakręt... most. To było dla niego Okęcie, Narutowicza, Dworzec, Aleje!

Leżąc w szpitalu po Falaise, czytając dokładnie gazety angielskie, Tomasz doszedł daw-

no do przekonania, że taki sen się nie ziści. Nie będzie ani parady w Warszawie, ani przemarszu Giewałdową. Trudno. Może i lepiej, oszczędził Tomasz, niż byśmy mieli na naszych uczciwych, głupich żołnierskich barkach przynieść do kraju z powrotem te wszystkie stare wszy, z których się Sikorski otrząść nie zdołał? Może i lepiej... Trudno. Ale stworzył sobie namiastkę tamtego snu. On wróci! Sam, w mundurze swoim, przyjedzie do Giewałdowej, góralskiej ojczyzny najbliższej. Pamięta, jak go przyjmowali, gdy z egzaminami uniwersyteckimi wracał; i gdy w podchorążówce dostał szablę od Prezydenta; co to pisał aż Jalu Kurek w „IKC”. I teraz nie mają się co go wstydzić. Niech kto powie, że górale szli na folksdojczów! I w szarych pokojach szpitala w Ormskirk, w nudach długich, wypracował sobie ten sen. Przyjedzie autobusem od Nowego Targu. Wyjedzie z Krakowa rano, aby dojechać po południu. Ale nie wysiądzie z autobusu w samej Giewałdowej, przed plebanią, tylko na półkilometra przede wsią, o, przy figurze Jana Kantego właśnie. Będzie szedł sobie powoli, jako że kuleje, i jakby nigdy nic. Poznają od razu. Mundur. Takiego nie widzieli. Będzie szedł, będą wypadać przed domy, ręce załamywać,

zapraszać, a on nic, że owszem, że jutro, że dziś strudzony, i jak tam krowy, i jaka dziewczyna za mąż poszła, i z Ameryki do kogo pisali? I wie, że będą szli za nim i będzie ich coraz więcej, i będzie się miało ku zachodowi, i skręci pod górę dróżką, a tam Zośka. A ona już wyjdzie, bo chłopaki pogonią przodem powiedzieć, a on tylko: „No co, Zośka? a mleka tam masz, żebyś się ja napił? Dawnom nie pił naszego mleka. W Anglii ono nie takie...”

W dole dzwon kościelny ugrzęzły w lipowych koronach począł naraz dzwonić. Tomasz pamiętał dzwon. Pamiętał, jak z chłopakami rozhuśtywał go w rezurekcję, aże w Skoczowicach było słyszeć. Wiedział, czemu dzwoni. Odgadnął. Przypomniało mu się, jak dzieckiem szedł za dziadem, Tomaszem także, który orał, i jak spędzał ptactwo lecące za pługiem, i jak dzwon bić począł o południu i dziad stawał, zwracał się w stronę kościoła i mówił pacierz, a on, mały, powtarzał za nim. I teraz bezwiednie mówić począł:

*Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi
I poczęła z Ducha Świętego...*

.....

*Oto ja służebnica Pana mojego,
Niech mi się stanie wedle słowa Twego...*

Ale nie powtarzał tego jako modlitwy ani się i nie modlił. Był to jeszcze jeden nit, który go zespałał z tym wszystkim właśnie wtedy, gdy inne odpadały.

Błogosławił los, który kazał mu przyjechać nie autobusem – jakie tam autobusy, och ty, londyńczyku! – ale sowiecką ciężarówką, i nie w dzień, ale późnym wieczorem. Nie triumfu uniknął, lecz sromu. Po prostu sromu. Wiedziała cała wieś. To, co mu matka Zośki rzucała teraz w twarz, rzucałyby mu uśmiechy, niedomówienia czy wprost brudne, zuchwałe słowa. Taki byłby twój wjazd do Giewaldowej, londyńczyku! O, jakże dobrze, iż osłoniła go litościwa i ciemna noc! Jednakowoż miłosierna jak Opatrzność. – „Anioł Pański zwiastował Pannie Maryi...”

Jedli obiad w milczeniu, jak dwie strony wypoczywające po walce. Była zacierka i kura, i placek ze śliwkami, był nawet cukier, i przy tym placku teściowa powiedziała, że cukier od Zośki. Nigdzie nie ma cukru. Zośka przysłała. Zawsze pamięta. Ale

Tomasz nie podjął rozmowy na temat zapobiegliwości Zośki.

Przez okno, jak podczas porannej rozmowy, kiedy naraz cały ten wrzód wyciekł, lśniła dalej rozległa przestrzeń, z garbami górskimi i lasem na horyzoncie dalekim. Bliżej, na pierwszym planie obrazu, sterczały głowy słonecznika i różowe dzwony paru małą. Powietrze było mniej mgliste. O tej porze stanowiło raczej pustą przestrzeń niż jakąś zwiewną mlecznożółtą substancję. Niemniej pozostawało dalej owo poranne wrażenie, że tuż za tym oknem świat się urywa, leci w przepaść, że przepaść jest za tym oknem. Ale teraz przepaść stawała się czymś groźnym. Było nim istnienie tam w dole – Giewałdowej, owej utęsknionej ongi Giewałdowej, która wiedziała. Po raz dziesiąty i setny Tomasz dziękował mocom niebieskim czy ziemskim, które sprawiły, że jego przyjazd tutaj osłoniła noc. Powoli jednak inne uczucie przenikało poprzez to uczucie wdzięczności. Tomasz zdał sobie sprawę, iż przyjdzie mu wreszcie zejść do Giewałdowej. Trzeba będzie zejść tą dróżką na gościniec, pójść na plebanię do starych Satarów, do Bylinowej, do Wawrzątek, do Solików, do Rachwałów jednych i drugich. Pamiętał Kostro-

niową, starą plotkarkę i jędzę – nie śmiał pytać matki, czy żyje, domyśliłaby się, o co mu chodzi, pewno żyje zresztą, takich jędz prędko czart nie bierze. Pamiętał Hanke Świebodziankę, z którą chadzał na porębę na maliny i na dansingi do Stalca w Szamrowej i która się miała ku niemu i na niewidziane jeszcze znie-nawidziła Zośkę. Przypomniwał sobie Wawrzątków – to byli zawistnicy, Wawrzątki. Przed tamtą wojną, cesarską, za ojca, byli najbogatsi we wsi, potem to wszystko na nice się rozeszło. Jak on, Tomasz, i jego brat, Adam, robili postępy w szkołach, matka Wawrzątków mówiła: – Moje syny są panowie gospodarze, im tego nie potrzeba. – Zazdrościła Adamowi jego inżynierstwa, Tomaszowi jego słynnej prezydenckiej szabli. Wydymała wzgardliwie usta. – I co w tym takiego? Wsunęli w Warszawie do ręki komu trzeba było, to i dostał. A mój na jego szablę podatki płaci. – Mógł sobie wystawić, z jakim radosnym chichotem opowiada teraz po wsi. – Moje synowe, prawda, gospodarskie tylko córki, nie z miasta wywłoki, ale na siano z każdym przyjezdnym nie leżą. – Giewałdowa zaludniła się naraz masą twarzy znanych, których reakcje odgadywał. Za oknem czaił się cierniami najeżony świat.

Po obiedzie matka zaproponowała, aby położył się nieco. Po tamtej nocy dobrze mu to zrobi. Tomasz przyjął chętnie tę radę. Wybawiała ona od kłopotliwych wizyt w Giewałdowej, pozwalała odwlec jeszcze o parę godzin, może do wieczora, może nawet do jutra – przykrą chwilę zetknięcia. Zwalniała go zarazem od rozmów z matką żony. Poszedł do siebie. Był to pokój dwułożkowy na parterze, od południowego zachodu i od lasu. Z lasu zachodziła wilgotna świeżość, zapach zgniłego drzewa i świerczyny; nie czuło się, jak od frontu, niewidocznej a nieustannej obecności Giewałdowej. Było natomiast pełno rzeczy przypominających Zośkę i ich krótkie przedwojenne pożycie. Łóżka były zasłane kilimami, weselnym darem, w kącie stała Zosina wyprawna komoda, miejski intruz w tym drewnianym domu. Była półka z jego książkami. Aby zabić myśli, sięgnął po prostu po któryś z tomów Sienkiewicza. Po paru stronkach natrafił naraz na wiersz czy pieśń raczej, śpiewaną na czyimś odjezdnym. Pieśń staroświecka mówiła:

*Znajdziesz po wojnie, nieboże,
znajdziesz po wojnie*

*pustkę z powrotem w komorze,
ran w skórze hojnie...*

Skrzywił się i opadł w zły, zmęczony sen.

Obudziło go wycucie, zwierzęce, góralskie i żołnierskie, że nie jest sam.

Ocknął się z odrętwienia i skoczył z łóżka. W tym samym momencie od framugi okna poodrywały się w pośpiechu czyjeś ręce, zatupotały jakieś spieszne kroki. Gdy dobiegł do okna, tylko dzikie wino, bujnie tu teraz obrastające, chwiało się wkoło ściany i w krzakach leśnego poszycia mignęło jakichś paru wyrostków. Chciał huknąć na nich, ale już znikli.

Zrozumiał.

On nie poszedł do Giewałdowej, ale Giewałdowa przyszła do niego. Chcieli mu zajrzeć w oczy, widzieć go teraz w tym stanie. Podpatrzyć. O, właśnie!

Narzucił na siebie cywilną kurtkę i wyszedł przed dom. Musiała już być blisko siódma, bo cała wieś i dolina Łężnej przeciągnięta była sinym, ostrym cieniem. Tylko dzwonnica i głowy lip osypywały się jeszcze rudawym złotem, i gościniec za mostem, gdzie biało

wybiegał pod górę. Łężna w dole była stalowosina, nie błękitna, miała prawie czerni oksydowanej stali. Wieś w tym cieniu była jakaś złowroga. Tomasz począł iść ku niej stokiem, w dół, zdecydowanym krokiem. W połowie drogi zawrócił. Szedł wolno teraz, spokojnie, jak człowiek, który naraz powziął decyzję. Póki jej nie był powziął, szamotał się i męczył. Teraz już jest spokojny. Wie.

Odczuwał w tym wreszcie nawet niespodziewaną ulgę i grzął w tym planowaniu jak człowiek zmęczony i zgrzany w chłodnej, miękkiej wodzie. Obmyślał to, leżąc owej nocy, w szczegółach, dokładnie. Ta dokładność właśnie rodziła ulgę. Przypominała mu dwa, niedługie zresztą, okresy, kiedy był adiutantem dowódcy pułku. Był to pułk czołgów. Pierwszym rejonem operacji były ugięte fałizny Falaise normandzkiej – jesień; drugim – kanałami pocięte laski holenderskiego Brabantu pod Bredą. Wczesna wiosna. Pierwszym jego dowódcą był stary, z Polski jeszcze żołnierz, który został tam pod tym francuskim Falaise i śpi snem wiecznym na białym polskim cmentarzu w Langannerie. Drugim był młody, rączy, porywczy tamtego następ-

ca. (Gdzieś z pułkiem, o tej porze, czeka angielskiego zmiłowania na „krzyżówce” pod Meppen). Ale przygotowanie bojowe było zawsze to samo. Tak samo wyliczano zawsze ilość benzyny i smarów, jaką spiją silniki czołgów, tak samo wyliczano kilometraż i nasilenie ognia, i ilość i gatunek pocisków. Wojna czołgowa była rzeczą dokładną i planową. Uczyła metodycznego myślenia. Jak to uczono na wykładach w Aberfeldy? *Step by step*. Tak. Krok za krokiem. Leżąc na wznak owego wieczoru i nocy Tomasz układał swój plan operacyjny tak samo. Krok za krokiem. *Step by step*. Przypomniawszy sobie, jak sam, jako wykładowca dla nowych, przydzielonych do pułku żołnierzy, rozkładał na części sławetną bieżnię – karabin maszynowy czołgu, kładł część po części, tłuste od smaru, na przygodnym stole, po czym, o krok cofnięty, żądał od tamtych, by złożyli je z powrotem. Na czas. Tak. Z tym było trochę podobnie. Tak samo – z różnych porozkładanych czynników – układał sobie teraz całość swego planu.

W planowaniu tego, co się w wojsku nazywa *ordre de bataille*, w układaniu tego, co przepisowo należy do szkoleniowych ćwiczeń, względy moralne, rzecz prosta, nie ist-

nieją. Jakiż adiutant pułku, kalkulując ilość amunicji na jutrzejsze zadanie lub wypisując czy wytelefonowując odpowiednie zapotrzebowanie, kłopotczy się myślą, że pewna część tego wszystkiego skróci o pewną ilość lat trwanie czyichś tam istnień? Żaden. Oblicza się to jak ilość paliwa, taśmy do maszyny czy krzeseł potrzebnych na doroczne posiedzenie rady szkolnej powiatu. Czy ucząc sztuki składania i rozkładania karabinu maszynowego typu BES jakikolwiek instruktor zastanawia się nad tzw. związkim przyczynowym, który, mówiąc wciąż stylem pp. instruktorów, może w przyszłości zaistnieć pomiędzy funkcjonowaniem, czyli współdziałaniem poszczególnych części tejże brazy, a czymś indywidualnym życiem? Byłby to niezawodnie bardzo roztargniony instruktor. Co jedno ma do drugiego? Tak właśnie było z Tomaszem. Plan swój układał teraz i składał z części niejako technicznie. Był to, jak obliczenia przed zadaniem czy składanie karabinu maszynowego, problem czysto techniczny. Wszelkie inne względy, że tak powiemy, nie istniały tu wcale. Problemem było, jak wydość się z Polski do tzw. brytyjskiej strefy okupacji Niemiec. Problemem było, jak

z niej z kolei wydostać się do samej Wielkiej Brytanii. To drugie było już mniejszym zresztą problemem. Po tym szły dalsze już, mniej aktualne problemy. Będzie jakaś demobilizacja. Bridgenorth. Sheila.

Owej nocy, przy świetle lampy naftowej, odczytywał sobie jeszcze list jej ojca. „*Dear Thomas* – pisał ów ojciec – jedziesz więc do Polski. Byliśmy pewni, znając Cię, że tak zrobisz. Myślę, że nie pogniewasz się jednak, jeśli poproszę Cię, abyś pamiętał, że masz w Bridgenorth bliskich i oddanych Ci ludzi, w razie zaś, gdybyś wskutek niemożliwych do przewidzenia okoliczności nie mógł w Polsce mieć domu, masz go tu zawsze, jakęś go miał tej zimy ostatniej!” Spośród innych papierów dobył teraz Tomasz ten list i czytał go w gorącą noc giewałdowską, w nocnym brzęczeniu komarów. Charakter pisma ojca Sheili był twardy, wyraźny. Pisał, co miał na myśli. Pisał może mniej, niż miał na myśli. Tomasz pamiętał starego, jak odprowadził go do furtki po dróżce wśród ogródka, żwirem wysypanej. Dalej uliczka szła w dół, ku przystankowi autobusowemu do Wolverhampton, ku kamiennemu mostowi na Severn i staremu domowi, w którym, we-

dle napisu, miał się urodzić trzysta lat temu z niczego nie znany Tomaszowi, ale widać swego czasu sławny biskup Perthy. I głęboko wryta Severn zapachniała naraz Tomaszowi pospołu z ciemnymi włosami Sheili.

Nie żeby się naprawdę kochał w tamtej, nie. Sheila oznaczała spokój od tego pierwszego dnia, kiedy zjawiała się w sali szpitalnej Appley Park, o cztery mile od Bridgenorth, pańskiej rezydencji zamienionej na jeden z trzech tysięcy szpitali Wielkiej Brytanii. Sheila oznaczała spokój. Sama była spokojem. Dom Sheili w Bridgenorth oznaczał także spokój i wieczory wiosenne nad Severn, w dolinie bukami porosłej, oznaczały spokój i wszystko wkoło było spokojem. Po co się stamtąd wyrywał? Nie musiał. Była tu Zośka. Czy Tomasz kochał Zośkę? Kiedyś – zapewne. Ale potem, kiedy pokładły się między nimi długie lata rozłąki, Zośka to było to coś własnego, co gdzieś jest, jakoś trwa, do czego się wróci. Baza, od której samolot odpłynął w walkę i noc, ale która gdzieś jest i do której się wróci o świcie. Punkt stały w tym najbardziej niestałym ze światów. Było rzeczą tak prostą i naturalną, że się po Sheilę wyciąga ręce i przychodzi – i że się do Zośki wraca.

I było takie pewne, że Zośka jest, nawet gdyby nie było Polski. Tymczasem Polska jest inna – i Zośki nie ma.

Był teraz nachylony nad tym swoim powrotem jak nad mapą. Jak z mapy zeń czytać umiał. Pamiętał indagacje tego majora, pamiętał inne dziwne rozmowy. Czy był potrzebny tu komu? Nie był. Był własnym duchem, zjawą po sześciu latach niebytu. Miejsce, które mógł mieć, zajęli mu inni. Zośka była tych innych i wszystko, i dom ten nawet był bardziej teściowej niż jego. Był dla tych wszystkich człowiekiem, który odszedł, gdy zwała się burza, i wraca, kiedy deszcz w kałużach osycha. Rozeszły się jego drogi i drogi tego kraju, i drogi tych ludzi. *A stranger*. Tak, obcy. W Bridgenorth by obcym nie był. Z tamtymi przeżył właśnie owych lat sześć, tych samych, którymi od tych odstał. Długich sześć lat, trudnych sześć lat. *Oh, Tom, how are you today? Isn't the weather fine? Back again?* Tak byłoby w Bridgenorth. Tak będzie.

Obmyślił wszystko szczegółowo i metodycznie. Nie, nie pojedzie na północ, na Berlin, lepiej mu jechać sowiecką strefą, lepiej jechać na Czechy i do Amerykanów. Znał

w Coburgu oficera łącznikowego. I w Bad Nauheim. I w Etreb. To nie jest żaden problem. Nie będzie problemu również z przedostaniem się do Anglii. Od czego urlopowe karty? I tak był w szpitalnej ewidencji ośrodka w Montrose; nawet śladu nie będzie w aktach. Pobory posyłali na Barclay's Bank. – Sheila. Zasnął.

Musiało być późno już, gdy się obudził. I znowu obudził się z tą niemiłą świadomością, że nie jest sam. Nie poruszył głowy, ale otworzył oczy i nimi tylko rozejrzał się po pokoju. Dostrzegł. W oknie, w obramowaniu dzikiego wina, bezczelnie wdzierającego się do wnętrza, czerniały dwie głowy wiejskich chłopców. Dwie pary rozwartych ciekawością oczu. Znowu! Zerwał się. Głowy jak dmuchnięte znikły. Tylko chwiała się dzikie wino w oknie.

Gdyby nie noga – myślał Tomasz – gdyby nie ta noga, dałbym im. Jeszcze tylko ich trzeba. – I zwlókł się na śniadanie. Kochańska zrozumiała sama, po książkach Tomaszowych wybieranych z półki, po milczeniu, po pakowaniu. Po tamtym dniu była jakaś cicha. Pytała tylko, czy chce, aby mu wynaleźć furmankę i na kiedy. W Śmigławej już są so-

wieckie albo i nasze, wojskowe auto się trafi, 12 kilometrów. Odparł, że wieczór albo rano, na rano, ale zawczasu. Zrozumiała. Co się ludzie mają gapić? Pomyślał o tych chłopcach.

Weszła do niego, gdy się pakował, koło południa.

– Kuraki ci się piekom na drogę – oznajmiła.

– Kuraki? Dziękuję mamie.

– To już jedziesz na dobre, co?

– A co mam tu zostawać?

Kochańska kiwnęła głową, jakby uznawała ów brak racji. W progu zawróciła raz jeszcze:

– A Zośki już nie zobaczysz?

– A po co?

Kochańska zaniemówiła znowu, jakby raz jeszcze przyjmując ten brak racji. Ale spytała jeszcze:

– Mam jej co napisać? Powiedzieć?

Nachylony był właśnie nad walizką. Znad niej podniósł głowę:

– Niech żyje sobie. Jak może, jak i z kim chce. Niech jej tam będzie dobrze.

Kochańska nie rzekła już nic. Na obiad były istotnie kurczaki z mizerią i młode ziemniaki. Za oknem, nad Giewałdową, w dole,

zawisł błękitny jesienny dzień. Był wszędzie wielki spokój i już nie było więcej mowy o Zośce.

Poszedł po obiedzie pakować resztę swych rzeczy, wypchał nimi bez trudu plecak i fibrową walizkę. Przebierał powoli książki, ojcowskie jeszcze i własne, kupowane na spłaty rozliczne u Trzaski i Everta, Wegnera, Gebethnera i Wolffa. Książki przetrwały lepiej niż kobieta. Miał całą swą nauczycielską biblioteczkę, zbieraną z trudem, klasyków „Biblioteki Narodowej”, wydawnictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego. (Tomasz należał kiedyś do jego aktywnych prowincjonalnych działaczy). Z książek, których nikt nie otwierał przez te lata, wypadały karty, jakieś wezwania do zapłaty nie uiszczonych składek, jakieś zaproszenie na zebranie organizacyjne „Ozonu”, zawiadomienie o czyimś tam ślubie. Tomasz kucnął w rogu pokoju przy tych książkach, czytał. Był tu w półcieniu, choć prawie pod oknem. Zagłębił się właśnie w jakimś tomiku Mochnackiego, z jego, Tomasa, dopiskami na marginesie, kiedy naraz poczuł czyjąś obecność w pokoju. Pierwszym jego odruchem było znieruchomienie.

Tomasz znieruchomiał czujnie, jak pies gończy tropiący zwierzynę. Jakieś szelesty ledwie dosłyszalne sprawiły, że ta obca obecność stała się wyrazistsza. Pewniejsza. Wtedy dopiero z wolna podniósł głowę. Popatrzywszy zrozumiał.

Przez okno, to drugie, od niego dalsze, wścibiały się w pokój trzy – nie – cztery głowy chłopięce.

Okno było od południa, więc na te głowy i na ich włosy jasne lała się tak zwana przez literatów słoneczna patoka i naprawdę było to coś, co się lało i skapywało im na czoła strugami jasnego włosa. Pod tym włosem jasnym, jak ze Stryjeńskiej, cztery pyszczki wysuwały się w pokój ostrożnie jak różki ślimacze. Było to wszystko robione wspólnie i jednocześnie i Tomasz pomyślał, że jeśli odezwie się teraz czy chrząknie, to cztery głowy jak jedna znikną z okna. I gdyby nie widział ich tak z boku, to by wykonał taki właśnie ruch. Widziane tak właśnie, w jego położeniu, na tle cienia jodłowych ścian pokoju, twarze tych czworga dzieci – tak, to były dzieci jeszcze – sprawiały dziwne wrażenie. Tomasz przez te lata widział różne dzieci. Francuskie, angielskie. Z nauczycielskiego nawyku lubił wszelakie brzdą-

ce. Widząc tę czwórkę, tak z profilu, uświadomił sobie, że takie włosy i nosy zadarte, i jasno wysłepione oczy mają tylko dzieci nie widziane przez niego od lat sześciu. Jeśli działały na niego w sposób dziwny kartki i zapiski odnajdywane w zapomnianych książkach, to cóż dopiero żywi ludzie, gnomkowie zabawni, wspinający się oto po obramieniu okna, z dziwkim winem pospołu? Stężał w swym kącie jeszcze bardziej i patrzył. Przez chwilę myślał nawet, że oczy chłopców, nawykłszy z wolna do półmroku, dojrzą go łatwo. Ale oczy chłopców były zwrócone bardzo wyraźnie w jeden punkt na ścianie, tuż nad łóżkiem Tomasza. Widziały tylko ten jeden.

Tym jednym punktem był rozwieszony Tomaszowy mundur.

W tym momencie Tomaszem targnęła jeszcze jedna z jego śmiesznych, wewnętrznych iluzji. Tak, był to piękny mundur Tomasza. Nie był to zresztą jego normalny battle-dress, mundur bitewny i polowy, mundur spod Falaise, Jort i Chambois. Był to jego paradny, „wyściowy” mundur; nawet mało używany. Przerabiał go krawiec w Edynburgu, p. Pallman, który „zaraz po wojnie” chciał wrócić do Polski i który szył angielskie mundury „po pol-

sku”, to jest z pogardliwym gwałceniem wszelkich przepisów oszczędnościowych. Pan Pallman wiedział, gdzie mundur miał być wcięty, a gdzie nie, jak mają być wpuszczone haczyki do pasa, jak mają być przyszyte odznaczenia, a jak proporczyki. Kręcąc się swą małą, tłąstą postacią wokoło swych postawnych klientów, pan Pallman z rozrzewnieniem wspominał dzień, kiedy szył mundur na pewnego pana, generała Maczka, i zapewniał, że ten przez niego szyty mundur pana generała Maczka będzie kiedyś „powieszony w muzeum”. Tomasz nie myślał o tym, aby jego mundur galowy także zawisł w „muzeum”. Ale był to, sekretnie, jego mundur do Polski, do Zośki. Teraz czterech chłopaków z Giewałdowej patrzyło z okna na ten mundur.

– Józek?

– Tss... A co?

– Ten pierwszy to jaki?

– Abo nie wiesz? Wirtuci!

– Ten czarny z niebieskim?

– Ano!

W pokoju zrobiło się cicho, jeszcze ciszej, niż było przedtem. Tomasza zaczęło coś naraz ścisnąć głupio pod gardłem. Ale po chwili trzeci głos zagadał:

– A ten drugi? Biały z czerwonym.

– Amarantowym, nie czerwonym, nie widzisz? Takie coś to się nazywa amarant. Krzyż Walecznych.

– A te skuwki jakieś na nim?

– Okucia, nie skuwki. Podwójny Krzyż Walecznych. I potrójny.

– Jej... A tamten?

W oknie zapanowała niepewność. Przerwał ją po chwili ten sam głos, ale mniej stanowczy:

– To chyba jakiś amerykański... Albo angielski...

Głos poprzedni podchwycił z pokorną radością:

– To ty nie wiesz?

– A co, ja mam może wszystko wiedzieć, mógłbyś i ty coś wiedzieć sam, no nie?

– Nie kłóćta się! Posłyszają.

Znowu zapadło milczenie. W obramieniu winogradowych liści cztery głowy dziecięce wpatrywały się w mundur na ścianie. Było gorąco, cicho na dworze, jak w czas popołudniowej spiekoty, i w tę cichość zapadł szept uwieszonych u okna dzieci:

– Józek!

– Stul pysk, szczeniaku!

- Sam szczeniak!
- Tylko spróbuj...
- No, no...
- Będziecie wy ciszej... Nigdy więcej z wami nie pójdę...
- Oho...
- Nigdy!
- A zobaczysz, że pójdziesz. Bez ciebie pójdziemy...
- Beze mnie? Kto tu dowodzi? Skreślę was z listy, Pięta! Stale jesteście niekarni. Zliźć mi z tego okna!

Groźba zrobiła swoje. Świergot ludzkich wróbli ustał w tym oknie i było teraz o jedną głowę mniej. W słońcu przez okno napływającym i ściemnianym drewnianymi deskami ścian trzy głowy patrzyły dalej jak urzeczone w wiszący na ścianie nieznany mundur. Tomaszowi przypomniało się, jak on sam, w wieku tych brzdąców, stawał tak przed oszklonymi gablotkami jakichś muzeów, gdzie wisały martwo mundury jakby żywcem wyjęte z powieści Walerego Przyborowskiego. I własny mundur wydał mu się naraz daleki jakiś i cudzy, jak tamte oddzielone niegdyś szkłem gablotek i czasem historii.

Korzystając z milczenia i zapatrzenia, czwarta głowa – owego zagrożonego tajemniczym „skreśleniem z listy” Piętaka (ach, więc to jest Piętak, ciekawym, którego Piętaka syn?) – pojawiła się nieśmiało w oknie. Ona to zapytała pojednawczo:

– Komendancie?

– Czegój tam znowu – nie odwracając się zagadał „komendant”. (Ach, więc to ten komendant; cóż to za „komendant”?).

– Czemu to jedna epoleta czarna, a druga nie?

– Jaka ci epoleta? Nie mówi się epoleta. Po polsku to naramiennik. Porucznik Piechta was nie uczył?

Piętak przyjmował to pokornie.

– No więc ten naramiennik, jeden taki, a drugi jakiś inakszy. Carny cały...

– Może nie dowidzisz – bronił się niepewnie „komendant”. – Pewnie taki samy...

– Nie, nie, inakszy – oponował domniemany Piętak.

– Inakszy – potwierdzał pomrukiem chór.

Ale tymczasem dywersja wywołana odmiennością barw naramiennika została wykorzystana strategicznie. Rękoma oparłszy się o parapet bliskiego mu okna, Tomasz przerzucił się naraz całym ciałem na drugą stronę. Stało się

to tak szybko, że nawet winograd, gęsto obrastający okno, chwiać się począł dopiero wtedy, gdy Tomasz był już za oknem i spokojnie podchodził do wczepionych w drugie okno chłopaków:

– Coście wy tu, gówniarze? Co wam to tu, he?

Łapy i grzbiety odpadły od okna. Ci, co stali za nim, dotąd niewidoczni, cofnęli się o dwa kroki i znieruchomieli. Nie było co i uciekać, tak stało się to szybko. Chłopaki i oficer zmierzyli się. Tamtych było siedmiu. Mogli mieć po dziewięć, dziesięć i dwanaście lat – a może tylko wyglądali na takich. Szarymi oczyma polskich dzieci patrzyli w oczy Tomasza – oczyma zadziwionymi, ciekawymi. Oficer, jakby nie widząc, pytał:

– No? Coście wy tu za jedni? Co tu łazicie, gówniarze?

Powtarzał to słowo z rozmysłu, jakby mur jakiś stwarzał tak między nimi a sobą. Czy może między sobą samym a czymś, co w nim chwilę temu rósć poczęło. Powtórzona słowo wydało się ów mur upragniony podwyższać. Ale naraz jeden z chłopców, zapewne ów „komendant”, wyprostował się i odparł:

– My nie gówniarze, panie poruczniku. My Armia Krajowa.

– Co? – zdumiał się Tomasz. – Armia Krajowa?

Ale w tej chwili „komendant”, przywarłszy mizernymi łapami do szwów spodni, meldował dobitnie:

– Panie poruczniku, sierżant Kotlik Jan melduje posłusznie zbiórkę oddziału ochotniczego AK powiatu nowotarskiego, okręgu Giewałdowa-wieś, zwołanego na mój rozkaz na przyjazd pana porucznika. Stan i obecność 7. Baczość!

– Spocznij – odruchowo zakomenderował Tomasz.

„Całość” wykonała komendę. Oficer teraz dopiero odczuł głupiość sytuacji. Oto z zaskoczenia, z zadziwienia „przyjął” odruchowo ten meldunek. Z nawyku, siedmioletniego nawyku, wydał sam komendę. Owo nieszczęsne „spocznij”. Wpadł tak w tryby – jak to nazwać? – maszyny wojskowej czy fikcji? Jak bardzo wpadł, jak wdepnął psychicznie – zrozumie to tylko ten, kto przez lata całe nasiąkał liturgią wojskowej komendy. I tak stali na wprost siebie, bezradni jednakowo, oficer i oddział.

Tomasz, dalej bezwiednie, przeszedł się tędy i owędy. Znowuż zdał sobie sprawę, iż to czyniąc zachowuje się jak oficer przed frontem oddziału – odruchowo tak samo. Grzęźnie zatem dalej. Trzeba to było jakoś przerwać.

– Kto – zapytał – kto was uformował w oddział? – mówił.

– Porucznik Piechta Walenty – wyrecytował, jakby tylko czekając na to, Kotlik.

– Gdzie jest?

– Wzięli go do Oświęcimia – wystrzelił Kotlik. Tak jakby mówił: „został generałem”.

Tomasz przeszedł się znowu przed frontem „kompanii”.

– I co wy tu robicie?

– Czekamy na rozkazy pana porucznika – odrecytował Kotlik.

– Czyje?

– Pana porucznika!

– Moje? Dlaczego – moje?

– Pana porucznika! My, panie poruczniku, o panu poruczniku wiemy wszystko. Cała Giewaldowa wie!...

– Co! – wrzasnął Tomasz.

– Cała Giewaldowa wie! Pan porucznik miał złotą szablę od Pana Prezydenta...

– Ach! – westchnął Tomasz. Rozumiał.

Kotlik walił dalej:

– Pan porucznik jest z czarnej brygady, z dywizji pancерnej.

– My wszystko wiemy o dywizji pancерnej. Mąbar. Kan...

– Caen – machinalnie poprawił Tomasz.

– Przepraszam pana porucznika. Na drugi raz będę wiedział. Falez, Abewil. Breda. My wiemy wszystko, panie poruczniku. Mieliśmy radio. Po jednym folksdojczu. I myśmy, jak gruchło, że pan porucznik przyjechał, i jak drugi dzień wieś cała czeka, przyszli się zameldować. Oddział AK. Całość na moją komendę ba...

– Spocznij – przerwał Tomasz.

Chodził znowu, tam i sam przed frontem. Tamci czekali. Nie widział, ale czuł ich wzrok.

– A do szkoły czemu nie chodzicie?

– Nie ma – zapiszczały głosy.

– Jak to nie ma? Spalili?

– Szkoła jest. Nauczyciela nie ma – objaśniał poprawiając Kotlik. – Nie przystali. Mieli przysłać... Nie ma nauczycieli, panie poruczniku. Co tam teraz szkoła?

– Co tam teraz szkoła? – poderwał Tomasz. Już wiedział.

I odstąpiwszy na trzy kroki, wydał naraz wojskowy, zwyczajny mu rozkaz:

– Całość na moją komendę – baaaczność!...

Dwuszereg zwarł się.

Prawe nogi zelzały w postawie. Coś wchodziło w naturalne tryby. Powtórzył:

– Baczność!

I, gdy wykonali, raz jeszcze:

– Spocznij!

Oddział leżał mu teraz w ręku. Nawykł. I teraz dopiero Tomasz zaczął mówić:

– Jako wasz dowódca, w myśl rozkazów wydanych a rozwiązujących Armię Krajową, dokonuję rozwiązania ochotniczego oddziału AK Giewałdowa, powiat nowotarski. Z dniem dzisiejszym. Jutro zaczyna się szkoła. Punkt ósma. Szkoła. Zrozumiano?

(Znowu był, jak chcieli, żołnierski).

Małym Kotlikiem targało w środku.

– Przecie nie ma! Nauczyciela nie ma! – wypisnął i poczuł, że traci grunt. Sam z kolei nie mówił wojskowo; mówił, wbrew sobie, jak dziecko w szkole.

Tomasz odpowiadał – jak nauczyciel w szkole:

– Nauczyciel jest – objaśniał, jakby mówiąc o czymś, o czym było na ostatniej lekcji, ale klasa nie zapamiętała. – Przyjechał. Zostanie. Nauczyciel – to ja...

– Pan porucznik – nauczyciel? – niedowierzająco opierał się Piętaś.

– No chyba. Nie słyszeliście? Uczyłem w tej szkole waszej. I w starej, której nie pamiętacie.

– Aha... ojcowie mówili.

– Masz ojca?

Zapytany Piątek wyprostował się:

– Już nie, panie poruczniku. Jak go wzięli w czterdziestym, to już nie wrócił z Oświęcimia.

Piątek mówił to jakby z dumą, tak, z dumą – pomyślał Tomasz. Tacy oni już. Więc to tak jest. Tak właśnie. AK. Ci sami. Patrzył w jasne, szare po wróblemu oczy gromadki. Takich nie było nad Severn. Takie oczy pamięta w dywizjonie na lotnisku w Northoldt i takie oczy miał Kazek, który został pod Kappelschewere. I tacy oni będą, gdy dorosną. I to już tak jest. Jedną trawę skoszą, druga porasta. Dęby połamie burza, a spod pni zwalonych dębczaki rosną. Dębczaki.

– Kto z was tu nie ma ojca? – Zagadnął i zamilkł. Dobrze zapytał. Tylko dwoje rąk nie podniosło się do góry.

– Kiedy i gdzie? – pytał jak w rubryce.

– Odpowiedzi padały zbiorowo. Litanijnie.

– Jeszcze we wrześniu...

– Jak pacyfikowali Sącz...

– Oświęcim...

– Oświęcim...

– Buchenwald...

– Na Zachodzie...

– Podobno we Francji...

– W lesie...

Aż zamilkli.

– Słuchajcie, chłopcy – mówił teraz Tomasz głosem powolnym, tłumaczącym, nie jak na odprawie, lecz jak na pogadance. – To jest tak. Ja znałem waszych ojców. Twojego, Piętak. Twojego, Kotlik. Najswarliwszy był w klasie. Starszy ode mnie o dwa lata chyba. Poszedłem jak oni, gdy szli wszyscy. Wróciłem, kiedy trzeba było wrócić. Trzeba było wrócić – powtórzył. – Tak samo trzeba było teraz wrócić, jak wtedy trzeba było iść. Gdyby ojciec którego z was tak jak ja wrócił, powiedziałby to samo, co ja mówię. Odtąd nie ma AK. Teraz jest szkoła! Rano pójdziecie do szkoły. Pójdziecie, chłopaki?

– Rrozzkaz – syknął Kotlik.

– Nie ma rozkazu, „kapralu” Kotlik. Pójdziecie, bo trzeba pójść. Było tamto, a teraz jest inne. Trzeba – ja przyszedłem, bo trzeba, i zostaję tu, bo trzeba, i tak już jest, i inaczej nie. No, chłopcy! – poderwał. – A raki łapiecie? Raki?

Gromada się ożywiła:

– Aha!

(Są jak żołnierze, jak wojsko – komentował sobie ożywienie – trzeba zawsze coś dla

nich po rozkazie, aby przyszło odprężenie. Jakiś dowcip, coś, co odprowadzi uwagę, ot co. – I jednocześnie przypomniał sobie czasy na tej wojny początku, gdy mawiał sobie: żołnierze są jak dzieci, z nimi trzeba tymi metodami, co z dziećmi w klasie).

– A gdzie?

Zdania były teraz rozdzielone:

– Przed mostem...

– Ale! Gada, jakby nigdy nie łapał! Za usiekiem.

– Ani przed mostem, ani za usiekiem. Za wygonem.

– Kto mówi, że za wygonem?

– A ja – powiedział Piętaś. Był niepewny. Patrzył w oczy oficera, który mu oto odbierał jego władzę. Tomasz pomyślał, że dobrze się stało, iż Piętaś wymienił wygon.

I powiedział:

– Piętaś wie, co mówi. Za moich czasów łowiło się je za wygonem. Idziemy za wygonem.

Zzuwał obuwie ciężkie, zagraniczne, siedząc na trawie niskiej, kudłatej jak wełna górskich owiec. Chłopcy byli za nim. Patrzyli uważnie i milcząco, i Tomasz wiedział, że ich oczy zatrzymały się na sonej wklęśliźnie

postrzału, którą smagneła go wojna. Któryś trącił Piętaka, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale zamilki, a kiedy Tomasz rzekł: – No co, wy nie schodzicie, sam mam za was łowić? – poturlali się jak kaczęta do wody.

W tym właśnie miejscu Łężna swym zakolem podmywała szeroko grunt i była głębsza, ciemna i chłodna. Porucznik zanurzył się z wolna w ten jej ciemny i chłodny nurt. Ostrożnie, ręką odwykłą, szukał podwodnie nor i zakamarków, z których kiedyś, chłopak jak tamci, wyciągał szamocące się niezdarnie skorupiaki. Nim jednak ręką trafił, oblał go nurt rzeki swojej, najbardziej swojej, zimny, zmywający wszystko, uzdrawiający, wracający siły, spokój i moc. Nurt był wartki bardzo, jakby się spieszył, aby wygładzić to wszystko, co było i co narosło, i aby wygładzić to wszystko wodami zapomnienia. I Tomaszowi, nauczycielowi szkoły powszechnej i oficerowi broni pancernej, przyszedł naraz na myśl Odys do swej skalistej wracający Itaki i ów strumień z wierzeń Hellady, który toczył wody letejskie.

„Karabela z Meschedu” – Warszawa 1948.

Ulica Pruszyńskiego

– **W**iesz, gdzie jest ulica Pruszyńskiego? – pytają w Belgii złośliwi znajomi.

– Nie.

– To pojedź do Gandawy – powiadają.

– Nie pojedę – odpowiadam – po co? Już wiem dlaczego i jakiego Pruszyńskiego.

Oczywiście nie Ksawerego ani Mieczysława, ani jakiegokolwiek innego. Gandawianie żyją w błogiej nieświadomości rozrodczości tego rodu. Jest to ulica Jana Pruszyńskiego, historia sprzed stu lat z okładem. A było to tak:

W odróżnieniu od innych Pruszyńskich, na ogół ludzi spokojnych i siedzących na miejscu, Jan Pruszyński postanowił nie tkwić w przeznaczonym mu przez Pana Boga powiecie i ruszył w świat, korzystając z udogodnień turystycznych, jakie w tym kierunku zorganizował ludzkości niejaki Napoleon.

Spóźnił się na lepszą część *tournée* – piramidy, Włochy, Saragossa, Jena – ale był pod Moskwą i Lipskiem, i Hainau, był, gdy sprzymierzeni wdarli się do Francji, był wreszcie w słynnej bitwie pod rodzinnym miastem Dantona – Arcis sur Aube. W bitwie tej Napoleon doznał srogiego losu. Nacierali nieprzyjaciele, posiłki nie nadchodziły, gwardia zasłała pole zwłokami najlepszych żołnierzy. „*Sire, jesteś w niebezpieczeństwie*” przestrzegali go adiutanci: „*Chroń się*”.

Napoleon rozejrzał się i dostrzegł z daleka jakiś osamotniony batalion. Pognał siwka ku nim.

– Kto jesteście?

– *Lieutenant Pruszyński du troisième bataillon des...* (porucznik Pruszyński z trzeciego batalionu...) – zaczął meldować pierwszy spotkany oficer.

– *Ça va* – rzekł bóg wojny, poznawszy Polaków. – Zawołajcie waszego dowódcę! *Je vais me mettre à l'abri de votre bataillon.* – (Schronię się pod opiekę waszego batalionu.)

Nadbiegł dowódca – kapitan Skrzynecki Jan i z błyskiem szpady zameldował się przed Cesarzem. Następnie padła francuska komenda:

– *Formez vos rangs!* (Formować szyk!)

...i Maćki, i Bartki zwarli swe szyki w przepisowy owoczesny czworobok. Cysarz był między nimi! Silniej przyciągnęli giwery. W sam czas, bo zza wzgórza waliły nawały nieprzyjacielskiej konnicy. „Ognia!” komenderowali oficerzy polscy i batalion spluwał ogniem ze swych luf, raz za razem. Wzgórze okryło się dymem, dym spełzał winnicami ku rzece Aube, zza wzgórz waliły nowe watahy najeźdźców, a batalion pluł ogniem i ogniem. I tak przez parę godzin polski batalion w bitwie pod Arcis sur Aube w roku pańskim 1814 osłaniał Napoleona. Po czym posypały się krzyże Legii Honorowej, przypięte do piersi obrońców przez samego Cesarza, i od tego dnia zaczęła się sława Skrzyneckiego.

Oraz dola i niedola Jana. Ten ostatni doszedł do wniosku, że nie ma co – trzeba się dalej trzymać swego kapitana spod Arcis. Wraz z nim udał się do armii Królestwa Kongresowego, wraz z nim nie kwapił się w 1830 r. do nowej „awantury”, wraz z nim poszedł do powstania, wraz z nim walczył pod Grochowem i Ostrołką. Po czym wraz ze Skrzyneckim znalazł się na emigracji. Co to znaczy trzymać się dowódcy! Rodzina (która z dawna miała Jana za urwipołcia) odetchnęła:

– No i dograł się!

Dziadzio Jan się tym nie martwił – był przekonany, że niebawem wróci wraz ze Skrzyneckim. Tymczasem jednak Skrzyneckiego powołali do siebie Belgowie. Właśnie odłączyli się od Holandii, stworzyli osobne państwo, formowali własną armię. Polski były naczelnym wódz wydał im się pomimo Ostrołęki (może o niej nie słyszeli?) najstosowniejszym organizatorem, zaprosili zatem Skrzyneckiego.

– Z tym nie będzie trudności – odpowiedzieli Belgowie.

W rezultacie wśród kilkunastu innych znalazł się w Belgii również i Pruszyński Jan. Przez dobrych kilka lat szkolili armię belgijską. Tym razem poszczęściło się Skrzyneckiemu: Belgia była neutralna, nie miała wojować przez najbliższych siedemdziesiąt lat, toteż nikt nie mógł sprawdzić wartości polskiego przeszkolenia. Car okropnie się denerwował obecnością polskich instruktorów w armii belgijskiej, więc wreszcie, po kilku latach, Belgowie postanowili spensjonować Polaków. Oczywiście przy okazji podnieśli im wojskowe stopnie i w rezultacie major wojsk polskich Jan (ten z Arcis sur Aube) dosłużył się rangi generała. W dalekiej Polsce rodzina westchnęła:

– No i ma tu być jakiś porządek na świecie?

Jan Pruszyński uważał, że nawet i jest. Ożenił się z Belgijką i zamieszkał w jej rodzinnej Gandawie. Zbierał mapy wojskowe i sztychy, i pamiętano długo jego wysoką, postawną sylwetkę. Wreszcie po wielu latach rozstał się z tym światem, wyrażając wolę, iż pragnie być pochowany albo wśród swych podkomendnych w Arcis sur Aube, albo u boku swego dawnego dowódcy – Skrzyneckiego. I jedno, i drugie było nie do przeprowadzenia – pozostał przeto w Gandawie. We wrześniu 1944 r. może obudził go chrzęst wojenny. To obok gandawskiego cmentarza przechodziły polskie oddziały.

Przypomniano sobie w tym momencie wszystkich Polaków mających coś wspólnego z Gandawą. Nie było ich tak znowuż wielu – pamiętano zatem i o Janie. Niebawem wyrosły ulice Skrzyneckiego i Lelewela. Obok nich – skromniejsza, rzecz prosta – pojawiła się i ulica generała Jana Pruszyńskiego.

„Przekrój” 1949, nr 209–210.

Opowieść nie dotyczy lat 1939–1945. Do tematu jej nawiązuje jednak Pruszyński w opowieści „Gugenmus z Gandawy”, dlatego zamieszczamy ją w tym dziale. (Przyp. red.)



Spis treści

Przedmowa	5
Madonna Mikulińska	9
O głowę murzyńskiego króla	45
Trębacz z Samarkandy	67
Ksiądz Ułas	82
Karabela z Meszhedu	139
Odejścia i powroty	204
Podrzucona książka	269
Różaniec z granatów	311
Gwiazda Wytrwałości	339
W Giewałdowej	379
Ulica Pruszyńskiego	431



„W pięknych, tak słonecznych dniach
 lutego 1957 roku, który znów w Warszawie należał
 do miesięcy dobrych nadziei, mijalem wystawowe
 szyby księgarni na rogu Nowego Świata
 i Alej Jerozolimskich, kiedy jakaś trochę ryżawa
 we włosach i trochę przeźroczyta na twarzyczce
 panienska zawołała:

– Ach, ja tego nie przeżyję!

– Czego nie przeżyjesz? – zapytała ją koleżanka.

– O patrz, Pruszyńskiego Droga wiodła
 przez Narwik, a ja nie mam pieniędzy,
 aby to kupić.

Poszedłem dalej i potem zawróciłem. Cbiałem
 jej powiedzieć: »Proszę Pani, byłem osobistym
 przyfacielem Ksawerego Pruszyńskiego,
 pozwoli więc Pani, że jej kupię tę książkę«.
 Ale niestety gdzieś zniknęła”.

Ze wstępu do „Margrabiego Wielopolskiego”

Stanisława Mackiewicza.

PEDAGOGICZNA
 BIBLIOTEKA
 WOJEWÓDZKA



161176

161175 / 2

Gdańsk-Wrzeszcz
 Al. Gen. J. Hallera 14

ISBN 83-7163-192-8



9 788371 631924

Twój STYL

Cena 34 zł